Philip K. Dick

Człowiek z Wysokiego Zamku

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Philip K. Dick

Człowiek z Wysokiego Zamku

Przełożył
Lech Jęczmyk

Dom Wydawniczy REBIS

Wszechświaty w szopie

Człowiek z Wysokiego Zamku to przełomowa książka w dorobku Philipa K. Dicka. Ukończona i wydana w 1962 roku przyniosła trzydziestoczteroletniemu wówczas autorowi prestiżową nagrodę Hugo, a w przyszłości okazała się jego najczęściej tłumaczonym dziełem. Powodzenie *Człowieka…* przekonało Dicka, że uparte podchody do literackiego głównego nurtu są błędem. To uprawiając science fiction, szybciej zdobędzie literacki prestiż i apanaże, niezbędne mężczyźnie zmieniającemu żony i regularnie powiększającemu progeniturę.

Pierwsze wydanie *Człowieka…* w Polsce 1980 roku, w tłumaczeniu Lecha Jęczmyka, także dla nas było fantastycznym świętem i zwiastunem przełomu. Wkrótce nałożyły się na to inne święta (festiwal Solidarności, Nobel dla Miłosza), szybko przytłoczone ośmiolatką „Jaruzelskiej zmarzliny”. Ale historyczny, polityczny, metafizyczny dyskurs *Człowieka z Wysokiego Zamku* okazał się kluczem do polskiej przygody z historią w obu odsłonach. Tragicznej i pełnej nadziei.

Dick odwrócił w tej książce wynik drugiej wojny światowej; nad Wisłą wiedzą dziś o tym także ci, którzy *Człowieka z Wysokiego Zamku* nie czytali. Na tę akurat powieść miało w latach osiemdziesiątych ochotę wielu wydawców spoza fantastycznej branży, a na inne już nie. U Dicka wygrali

i przegrali nie ci, którzy powinni – owszem, była to fikcja, ale kojarząca się z naszą sytuacją; historia także nam nie wypłaciła się należycie. Pierwsi postawiliśmy się Niemcom, walczyliśmy do ostatniego dnia wojny, zakończyliśmy ją w obozie zwycięzców, a obudziliśmy się w kraju podbitym przez byłych sojuszników Hitlera i wydanym na pastwę bolszewickiej rewolucji. Jeden paradoks przeglądał się w drugim.

W *Człowieku z Wysokiego Zamku* części naszych upokorzeń i krzywd doświadczają Amerykanie, choć mają szczęście, bo od wyrafinowanych Japończyków, a nie barbarzyńskich Sowietów. Zostało to w warstwie historiozoficznej i metafizycznej skomentowane podług wróżb i wskazań liczącej sobie pięć tysiącleci chińskiej Księgi Przemian – *I-cing*. Chińczycy to też polski trop: napomykał o nich Wyspiański w traktującym o naszym losie *Weselu*, a Witkacy straszył nimi w *Pożegnaniu jesieni*.

Tylko idealizowani przez Dicka Japończycy mieli więcej od nas powodów, by powieść pokochać. Ale już nie Rosjanie – w *Człowieku z Wysokiego Zamku* zostają rozgromieni, mowa tam o nich w tonacji szyderczej; wiedzieli, co robią, tłumacząc książkę dopiero po rozpadzie Sowietów w 1992 roku. Dick wręcz straszy czytelników sowiecką dominacją, taką, jakiej doświadczyliśmy w naszym świecie. Polakowi przed trzydziestu laty nie uszłoby to na sucho, co innego Amerykaninowi, choć i tak nie obyło się bez nocnej telefonicznej konsultacji. Szczęśliwie Jęczmyk zdołał przekonać cenzora, że w fantastyce nie takie ekstrawagancje są dopuszczalne.

Dzięki temu powieść już od trzech dekad poszerza polityczną i historyczną wyobraźnię naszych czytelników i oczywiście autorów. Andrzej Ziemiański z *Bombą Heisenberga*, Marcin Wolski z *Alterlandem*, niżej podpisany z *Burzą* nie wyprą się tej fascynacji i inspiracji. To się musiało spodobać i zaowocować nad Wisłą.

Czytelnik sięgający dziś po dowolną książkę dobrze w Polsce znanego Dicka ma wobec autora *Człowieka z Wysokiego Zamku* lekką przewagę. Wie, co go czeka w tej prozie.

Prawie na pewno będzie tam zapis psychicznych katastrof spotykających w stosunkach z dominującymi kobietami słabego mężczyznę o bujnym życiu wewnętrznym. Spodziewać się należy wieloznaczności światów, w których granice między rzeczywistością, transem, halucynacją, przepowiednią i jej spełnieniem zostaną zatarte. Kiedy indziej może iść o nie dającą się uchwycić różnicę między człowiekiem a robotem, zwierzęciem i automatem oraz, jak w tej powieści, między zabytkowym przedmiotem a zręczną repliką. Najpewniej czekają nas też pojedynki dusz, dokonujące się w szczerych, bolesnych dialogach, sięgających sekretnych urazów i tajemnic. Opowieść może traktować o szaraku powołanym do wielkiej sprawy, któremu to zadaniu można stawić czoło lub mu zaprzeczyć. Okaże się wreszcie, że Dick w szczególny sposób opiekuje się pozytywnymi bohaterami – ludzie prawi, jeśli nawet zginą, to godnie, na łajdaków czekają kary i upokorzenia.

Dzięki doskonałej biografii pióra Lawrence’a Sutina *Boże inwazje. Życie Philipa K. Dicka* wiemy, że Dick nawiązywał w prozie do swojej sytuacji i swoich demonów. Akurat podczas pracy nad *Człowiekiem z Wysokiego Zamku* pomagał żonie w produkcji jubilerskich cacek, jakie w powieści wytwarzają Frank Frink z Edem McCarthym. Ta robota rozbudziła Dicka filozoficznie – jej zawdzięczamy fascynujące refleksje estetyczne – ale zdominowała pisarza i urażała jego ambicję. Mało brakowało, by dochód z precjozów przekroczył literackie wpływy Dicka. Pisarz wierzgał przeciw tej niesprawiedliwości jako artysta i jako mężczyzna, uciekał w jubilerkę

przed trudnościami pisarskimi, gardził tą robotą i gardził sobą, aż żona przegoniła go do szopy, by tam pisał, miast zatruwać życie rodzinie. Błogosławiona decyzja. Ileż to książek dokończono dzięki wygnaniu z domu lub małżeńskiego łoża. Albo dzięki świadomej ucieczce.

Dick wziął na ambit, tkwił w szopie, nawet gdy przyszło ułaskawienie, na szczęście nie był podczas roboty samotny. Miał luźny koncept powieści wzorowany na alternatywnej historii Warda Moore'a z 1953 roku, *Bring the Jubilee*, w której Południe wygrywa wojnę secesyjną, i postanowił, że to Księga Przemian pomoże mu ją napisać. Wielokrotnie radził się *I-cing*, uczynił ją generatorem rozwiązań fabularnych i znaczącym bohaterem powieści. Później publicznie deklarował wdzięczność Księdze, ale zdarzało mu się pomstować na *I-cing*, że zamiast jednoznacznego zakończenia podsunęła mu otwarte.

W *Człowieku z Wysokiego Zamku* poznanie prawdy nie wyzwala, a jeśli już, to nielicznych. Nawet Abendsen, który dostrzega i opisuje rzeczywistość ukrytą pod pozorami diabelskiej atrapy, nie potrafi uznać, że to jego książka, *Utyje szarańcza*, mówi jak jest, a kłamie obraz, który ma przed oczami. Może właśnie taki, pełen niepewności, winien być los wizjonerów. Tylko Juliana, seksowna ciemnowłosa kobieta, przy pomocy której faszyści próbują Abendsena omotać i dopaść, znajduje w sobie siły, najpierw, by pisarza/wizjonera ocalić, a później – by spojrzeć prawdzie w oczy. Obaj, Dick i jego bohater, lubili takie kobiety, ale nawet Juliana nie wie, co począć ze swoją wiedzą. Jeśli rzeczywiście chodzi o wiedzę.

Na pewno wzmacnia to dramatyzm książki, poza tym warto pamiętać, że nie było to pierwsze ani ostatnie otwarte zakończenie Dicka. Pisarz nie powinien narzekać, *I-cing* wyrzuciła rozwiązanie w jego stylu, nadała na jego fali.

Byłoby fatalnie, gdyby wyrocznia uczyniła z Dicka kogoś w rodzaju Asimova, podpowiadając mu powieść w typie „Fundacji”, ze sterującym dziejami przemądrzałym psychohistorykiem Sheldonem. Jeśli nawet, jak twierdzi Lech Jęczmyk, idee „Fundacji” wcielali w życie funkcjonariusze KGB, sterując quasi-upadkiem Imperium ku temu, co mamy dzisiaj – to instrumenty pożyteczne dla KGB nie muszą być dobre dla prawdziwego pisarza.

Zaproponowana przez Dicka tajemnicza, dramatyczna, kwantowa, nieostra wizja dziejów, wymykających się narratorowi i bohaterom, jest bliższa naszemu doświadczeniu i nowoczesnej wiedzy. Chodzi o teorię Hugh Everetta, wedle której dziesiątki równoprawnych wariantów historii rozgałęziają się i współegzystują obok siebie. Dick zaś oprócz tego, bądź obok tego, widzi w historii nie tylko matematyczne procesy i prawa, dające sobą powodować, ale i szaleństwo, czasem diabelstwo, wolę mocy i pęd do samozniszczenia.

Taka była natura faszyzmu, która wyłania się między innymi z pism „tych wyblakłych, chudych, nordyckich pedałów z SS skoszarowanych w bawarskich zamkach”. Dick znalazł w uniwersyteckiej bibliotece dostęp do tych ksiąg i jako Amerykanin niemieckiego pochodzenia mógł je studiować w oryginale. Jak pisze, rozbrzmiewający w tych pismach „bełkot Hitlera był świętością. Biblią. Jego poglądy zaraziły całą cywilizację, a teraz zaślepione, jasnowłose, nazistowskie pedały jak zarazki roznosiły chorobę na inne planety”. Indywidualna, kliniczna i ta okultystyczna zbiorowa paranoja, która kierowała Hitlerem i jego zausznikami, kazała mu poszukiwać tajemnych mocy i przodków w Tybecie, w Andach, konstruować ezoteryczne machiny, łowić magiczne moce, kondensować energię *vril*, gromadzić dziwaczne magiczne artefakty. Aż w końcu Hitler rozkazał zabierać ostatnie siły i środki oddziałom cofającym się na

wszystkich frontach, by użyć ich do realizacji największego swego obłędu – idei ostatecznego wytępienia znienawidzonych Żydów.

Nie całą powieść napisała *I-cing*. Kiedy przyszło do przekazania, w co mogliby grać tasujący się przy władzy umierający i starzejący się wodzowie Rzeszy, jak rywalizowaliby ze sobą tajni agenci służb w mundurach feldgrau, brunatnych i czarnych – Dick ze swymi religijnymi, mistycznymi pasjami, Dick po przeróżnych przygodach z psychicznymi dopalaczami i środkami zmieniającymi świadomość – był najlepszym możliwym medium. Naziści „chcą być podmiotem, nie ofiarą historii. Identyfikują się z boskimi mocami, wydaje im się, że są podobni bogom. To jest ich największe szaleństwo”… Proszę pamiętać, że napisał to autor, który zobaczył kiedyś na niebie metalową twarz diabła.

Nieszczęścia, jakie wyrządza wojna ludności miast, granicom i państwom, opisują bataliści; zagrywkami polityków zajmują się stratedzy; zmagania wodzów analizują specjaliści od logistyki, rodzajów broni, gospodarki i szyfrów… Dicka interesowało to, co się wyprawia z duszami. Toteż odwracając znane wszystkim losy wojny, pokazał historię jako udrękę, pułapkę, niezrozumiały spektakl wprawiający w przerażenie, wobec którego pozostajemy bezradni. Chyba że ocalejemy, że odzyskamy równowagę w wyniku kaprysu losu. Który czasem odpowiada na nasze starania, na modlitwy, tęsknoty.

Ze swej wrażliwości, ze swej postawy i sytuacji outsidera wystrugał Finka Franka z jego żydostwem, bezradnością, miłością do Juliany i z jego kunsztem. Do poruszających partii książki traktujących o *wu* srebrnych precjozów zainspirował Dicka poradnik uprawy japońskich ogrodów. Postać wspaniałego, skomplikowanego arystokraty ducha, pana Tagomiego, podpowiedzieć musiały kontakty w bogatym narodowościowo tyglu barwnej wielokulturowej Kalifornii. To tylko niektóre przesłanki, szybkie

flesze na tajemnice pisarskiego wnętrza, na jego sekretną alchemię. Dick składa hołd buddyjskiemu podejściu do świata, ale pokazuje, że okrutne wydarzenia nawet buddystę wyprowadzą z równowagi. Pan Tagomi, zadziwiająca, bogata wewnętrznie literacka postać, buntuje się przeciwko swemu zabójstwu z konieczności, brzydzi się taktycznymi politycznymi wyborami, które skazują go na popieranie gorszego faszysty przeciw lepszemu. Nie ma szczęścia, spokoju, nie ma usprawiedliwienia.

W książce Ameryka jest pokonana, rzucona na kolana, a figuranci w rodzaju Childana doświadczają upokorzeń kolaboracji, udręki służalstwa, inni zaś, jak Wyndam-Matson, wysługują się nie tylko Japończykom, ale i Niemcom. Ciekawe, że w tej sytuacji Dick znalazł okazję, by się Ameryką w nowoczesny sposób pochwalić. Chodzi o antykwaryczną warstwę powieści, gdzie subtelni zwycięzcy Japończycy traktują jak przedmiot kultu wyroby amerykańskiego rzemiosła. Zegarek z Myszką Miki, colt z wojny secesyjnej, filmowe plakaty, bibeloty. Ameryka, kraj – z punktu widzenia takiej Grecji, Hiszpanii, Egiptu, Japonii – kompletnie bez zabytków, zostaje tu wyniesiona jako antykwaryczna enklawa interesujących i kultowych przedmiotów nowego rodzaju. Nawet opowieść o klęsce może dostarczyć pisarzowi powodu do dumy, do zadziwiającego samochwalstwa.

W Polsce te partie powieści czytało się z dużym zrozumieniem. Tak jak Japończycy zbieraliśmy przecież paczki po amerykańskich papierosach, zaczytane komiksy, pisma, przedwojenne wieczne pióra, archiwalne aparaty, blaszane emaliowane pudełka na ołówki, cukierki, puszki z UNRRA po mleku w proszku i pudrze. Umieliśmy docenić siłę *wu* drzemiącą w pięknych drobiazgach, których na parę dekad zostaliśmy pozbawieni. Jak Dick na to wpadł? Intuicja, geniusz, praktyka jubilerska? Nie sposób wszystkiego przypisać dragom i dopalaczom.

Na pewno czerpał z rzeczywistości – nieocenionego doradcy tak realistów, jak i fantastów.

Powieść ukazała się w 1962 roku, weźmy go pod lupę. Pollock w tym czasie odkrywał Ameryce zupełnie inny rodzaj dumnej z siebie sztuki amerykańskiej, Roy Lichtenstein powiększał do wymiarów obrazu kadry z popularnych komiksów, świat odkrywał malarstwo Edwarda Hoppera, Warhol wymyślał pop art. A w konsekwencji tych wydarzeń Nowy Jork ukradł (Paryżowi) ideę sztuki nowoczesnej, o czym później napisze znaną książkę Serge Guilbaut.

Jeśli chodzi o rekonstrukcję opętanej niemieckiej duszy, to rzeczywistość, nie tylko biblioteczna, też podsuwała pisarzowi rozwiązania. W Jerozolimie w 1961 roku ruszył proces Adolfa Eichmanna, a w 1962 zbrodniarza powieszono. Wówczas na tym sądzonym piętnaście lat po zakończeniu wojny biurokracie zbrodni, który wyznawał, co zrobił i dlaczego, skupiły się oczy świata. Jedna z najbardziej wpływowych myślicielek XX wieku, filozof Hannah Arendt, zobaczyła w procesie Eichmanna przypowieść o banalności zła. Dick, o którym mało kto wtedy wiedział, że staje się wielkim pisarzem, odczytał wydarzenie po swojemu: jako kamuflaż kryjący obłęd, upadek, wyzwanie rzucone prawom ludzkim i boskim. Twarz zimnego urzędnika była maską? Kto miał rację?

Szaleńcza gotowość do zniszczenia ludzkości to zarzut, który można postawić nie tylko faszystom. Kiedy Dick finiszował z powieścią, nabrzmiewał kryzys kubański. Wspomagani przez USA emigranci i wygnańcy lądują zbrojnie w Zatoce Świń. Potem u wybrzeży Stanów ZSRS montuje wyrzutnie dostosowane do miotania atomowych pocisków, a przez Atlantyk płynie sowiecka flota gotowa ich bronić. Kennedy i Chruszczow siłowali się na rękę, a w Berlinie staje mur oddzielający świat

wolny od podbitego. Czy tak trudno sobie wyobrazić, że te wydarzenia zainspirowały Dicka, w którego powieści takim naturalnym niby-murem dzielącym skłóconych sojuszników stają się Góry Skaliste?

W książce mowa o osuszeniu Morza Śródziemnego i zagospodarowaniu Afryki, o podboju Marsa. Ziemią zajmują się praktyczni Japończycy, kosmosem – szaleni Niemcy. Era kosmiczna nie była wymysłem pisarza, żywił się kosmonautycznymi realiami i mitologią eksplodującą na jego oczach. Dopiero po zakończeniu zimnej wojny to wszystko okaże się mirażem i prestiżowym szczerzeniem kłów. Na razie jest rok 1962. Startuje sowiecka sonda *Mars 1*, a amerykański *Mariner* zbliża się do Wenus. Za sobą mamy już lot Gagarina, zaraz po nim pierwsze kroki w przestrzeni kosmicznej stawiają Amerykanie. Sowieci i Amerykanie korzystają, przynajmniej na początku, z niemieckich uczonych i ich technik rakietowych. Pozostając w tym temacie, to z hitlerowskich uczonych na usługach Amerykanów kpi Kubrick w *Doktorze Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę* z 1964 roku (nakręconym na podstawie powieści Petera George'a *Red Alert* z 1958 roku). Jak to się niesamowicie plecie – fakty i fikcja.

Bez wątpienia jest do dobry czas dla literatury głównego nurtu. Może najlepszy. W głównym nurcie mamy Abe Kōbō z *Kobietą z wydm*, *Inny kraj* Baldwina, *Grę w klasy* Cortazara, *Sto lat samotności* Márqueza, *Eksplozję w katedrze* Carpentiera. Fantaści też są znakomici – oprócz *Człowieka z Wysokiego Zamku* ukazują się: *Kantyczka dla Leibowitza* Millera juniora, *Cieplarnia* Aldissa, *Solaris* Lema, *Mechaniczna pomarańcza* Burgessa, *Diuna* Herberta, *Kocia kołyska* Vonneguta… Literacką światową modą rządzi francuska „nowa powieść", uwalniająca autorów od ograniczeń klasycznej narracji, pozwalająca im na eksperymentowanie z czasem, z punktem widzenia. Kilkanaście lat później Lem w *Doskonałej próżni*

wykpi niektóre pozoracje i uzurpacje nurtu, ale czas poświęcony na te literackie eksperymenty nie wydaje się stracony.

W trzecim tomie swej fundamentalnej *Drogi do science fiction – od Heinleina do dzisiaj* James Gunn dzieli pisarzy na narratorów i stylistów.

Narratorzy to ci, którzy podziwiają świat, różnorodność sytuacji i wydarzeń i opisują je, zmieniając środki literackie. Styliści odnajdują swój wyraźny styl i używają go w wielu powieściach, ponieważ opowiadają stale tę samą historię. Wzorcowi styliści według Gunna to Hemingway i Faulkner. Narratorami byliby według niego Kipling i Steinbeck. Wśród fantastów o stylistów trudniej, taka to specyfika autorów tego gatunku, raczej opisujących światy niż cyzelujących frazę. Ale są styliści i u nas, a jakże – najbardziej wyraziści to Lovecraft, Bradbury, Ballard i oczywiście Dick. Stały temat Dicka to natura rzeczywistości, jej wieloznaczny status.

Znów sięgnę do nieocenionej biografii Sutina. Otóż opowiada on, posiłkując się korespondencją pisarza, w jaki sposób wynalazł bądź skonstruował Dick ów szczególny styl *Człowieka z Wysokiego Zamku*. Krótkie zdania, równoważniki zdań, plamki emocji, czas teraźniejszy, wszystko to pisane z wielu punktów widzenia, autor wcielający się w różne postaci, specyficzny język ujawniający różne, sprzeczne emocje… To się zapamiętuje jako znak własny; zresztą ten dramatyczny, nerwowy sposób pisania wróci w innych książkach. Ale Dick stylista, a więc teoretycznie więzień jednej formuły, wybrał ją świadomie, jako narrację do określonej historii. Sam mówi o tym tak:

> W latach czterdziestych wpadły mi w ręce powieści pisane w tamtym czasie przez studentów romanistyki uniwersytetu tokijskiego. Studiowali oni francuskie powieści realistyczne (które ja też czytałem) i przemodelowali strukturę typu „wycinek

> z życia”, tworząc bardziej zwartą, bardziej zintegrowaną formę […]. Kiedy zacząłem pisać *Człowieka z Wysokiego Zamku*, zadałem sobie pytanie, jak zostałaby napisana ta powieść, z jaką strukturą, gdyby wojnę wygrała Japonia. Niewątpliwie z wykorzystaniem wielorakiego punktu wiedzenia, jak u tych studentów […][1].

Pisarz opowiada historie, pisarz taki jak Dick miał do przekazania, albo do zasygnalizowania, historie niesamowite. Ale że nie był zwykłym opowiadaczem, to stawiał swojej prozie zadania artystyczne, poszukiwał literackiej akuratności na wielu poziomach i wielu obszarach literackich oddziaływań. Jednym z nich był ów styl, którym pisarz brał w karby swoje osobnicze szaleństwo. Zaprowadziło go to parokrotnie w rejony dokonań prawdziwie arcydzielnych i do diagnoz tak przenikliwych, że aż bolesnych. Może groźnych?

Na zakończenie anegdota, którą opowiada przyjaciel Dicka i kolega po piórze, Norman Spinrad. Jak wiadomo, Dick był paranoikiem dręczonym przez manie prześladowcze, także zabawne – jak ta, że nasz Lem jest tworem zbiorowym wymyślonym przez KGB. Ale czasem Dick przypomina tego żołnierza ze *Szwejka*, który nie chciał ciągnąć armaty, bo jak twierdził, ma przepuklinę. Ale go zmusili, więc się zaparł, pociągnął i umarł, jako symulant. No to Dick bywał takim paranoikiem jak tamten symulantem.

Norman Spinrad w *Metamorfozie Philipa K. Dicka*[2], rozprawiając się z problemem domniemanej paranoi pisarza, daje kilka zabawnych przykładów wysokiego poziomu rozsądku u Dicka. Oto jeden z nich:

> Należy zdefiniować termin „zdrowe zmysły”, a to, jak można się było nauczyć, zgłębiając jego twórczość, jest zadaniem zupełnie bezcelowym.
>
> Przykład: niemieckie wydanie *Człowieka z Wysokiego Zamku* miało wreszcie się ukazać przeszło dekadę po pierwotnym amerykańskim wydaniu. Phil, czytający po niemiecku, powiedział mi kiedyś, że nalegał na osobistą korektę wersji niemieckiej,

bowiem ni w ząb nie ufał Niemcom. Powiedziałem mu, że zachowuje się naprawdę paranoidalnie.

Lecz gdy dotarła do niego korektorska wersja powieści, okazało się, że zostały tam usunięte dość pokaźne fragmenty dotyczące nazistów[3].

Dlaczego nas to nie dziwi?

marzec 2010
Maciej Parowski

1 tłumaczył Lech Jęczmyk
2 „Czas Fantastyki”, nr 1(14)2008
3 tłumaczył Konrad Kozłowski

Mojej żonie Tessie
i synowi Christopherowi
z wielką miłością

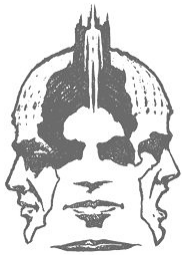

1

Od tygodnia pan Childan z napięciem przeglądał swoją pocztę, ale cenna przesyłka z Gór Skalistych nie nadchodziła. Kiedy w piątek rano otworzył sklep i zobaczył, że na podłodze pod drzwiami leżą tylko listy, pomyślał, że czeka go przeprawa z zagniewanym klientem.

Nalawszy sobie kubek herbaty ze ściennego dystrybutora, wziął szczotkę i zaczął zamiatać; wkrótce frontowa część sklepu pod nazwą Amerykańskie Rzemiosło Artystyczne była gotowa na przyjęcie klientów: wszystko lśniło, w kasie zapas drobnych, świeże nagietki w wazonie, dyskretna muzyka z radia. Ulicą śpieszyli biznesmeni do swoich biur przy Montgomery Street. W oddali przejechał tramwaj linowy; Childan przystanął i przyjrzał mu się z przyjemnością. Kobiety w długich, barwnych, jedwabnych strojach… im też się przyglądał. Telefon. Odwrócił się, żeby go odebrać.

– Słucham.

Odpowiedział mu znajomy głos. Childan poczuł skurcz serca.

– Tu pan Tagomi. Czy ten mój plakat rekrutacyjny z wojny secesyjnej już nadszedł? Może pan pamięta, że miałem go otrzymać w zeszłym tygodniu? – Wymagający, ostry ton, na granicy grzeczności, ledwie zachowujący

pozory. – Czy nie tak się umawialiśmy, kiedy dawałem zaliczkę? To ma być prezent, czy pan rozumie? Mówiłem przecież. Chodzi o klienta.

– Rozległe poszukiwania – zaczął Childan – które prowadziłem na własny koszt, szanowny panie Tagomi, w sprawie obiecanej przesyłki, mającej nadejść, jak panu wiadomo, z zagranicy…

– A zatem nie nadeszła?

– Nie, szanowny panie Tagomi.

Lodowate milczenie.

– Dłużej czekać nie mogę – powiedział wreszcie Tagomi.

– Rozumiem. – Childan patrzył ponuro przez okno wystawowe na ciepły, pogodny dzień i biurowce San Francisco.

– Coś zastępczego zatem. Co pan radzi, panie Childen? – Tagomi z rozmysłem błędnie wymówił nazwisko; obraza, od której Childan zaczerwienił się po uszy. Hańba dla firmy, straszne upokorzenie. Lęki, ambicje i udręki Roberta Childana skłębiły się, zalały go, krępując mu język. Jąkał coś, dłoń kleiła mu się do słuchawki. Powietrze w sklepie przesycone było zapachem nagietków, rozbrzmiewała muzyka, lecz on miał uczucie, że tonie w jakimś dalekim morzu.

– Może… – zdołał wyjąkać – maselnica. Maszynka do lodów z roku 1900. – Umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Jak tylko człowiek zapomni, jak tylko zacznie oszukiwać sam siebie… Miał trzydzieści osiem lat i pamiętał okres przedwojenny, inne czasy. Franklin D. Roosevelt i Wystawa Światowa, dawny, lepszy świat. – Czy mógłbym przywieźć różne interesujące okazy do miejsca pana pracy? – wyjąkał wreszcie.

Umówili się na drugą. Odwieszając słuchawkę, myślał, że musi zamknąć sklep. Nie miał wyboru. Trzeba zabiegać o względy takich klientów, na nich opiera się cały interes.

Stojąc na drżących nogach, uświadomił sobie, że ktoś wszedł do sklepu. Młody mężczyzna i kobieta, oboje przystojni, dobrze ubrani. Idealni. Opanował się i fachowo, lekko, z uśmiechem podszedł do nich. Pochyleni oglądali rzeczy w gablocie, wybrali uroczą popielniczkę. Małżeństwo, domyślił się. Prosto z Miasta Powiewnych Mgieł, nowego ekskluzywnego osiedla na wzgórzu nad Belmont Avenue.

– Hello – powiedział i poczuł się lepiej. W ich uśmiechach nie było cienia wyższości, sama uprzejmość. Jego zbiory – bez wątpienia najlepsze w swoim rodzaju na całym Wybrzeżu – wprawiły ich w podziw; zauważył to i był im wdzięczny, że potrafią to docenić.

– Rzeczywiście wspaniałe – odezwał się młody człowiek.

Childan skłonił się z przyjemnością.

Ich wzrok, wyrażający prócz czysto ludzkiej sympatii także wspólną radość z jego dzieł sztuki oraz poczucie podobnych gustów i upodobań, był przez cały czas skierowany na niego; byli mu wdzięczni, że dzięki niemu mogli takie rzeczy oglądać, wybierać, podziwiać i dotykać, nawet nie kupując. Tak, pomyślał, oni rozumieją, co to za sklep, nie jakaś tam turystyczna tandeta, sekwojowe plakietki z napisem „Rezerwat Muira, Hrabstwo Marin, PSA”, humorystyczne wywieszki, pierścionki i pocztówki z rozebranymi dziewczynkami czy widoczki mostu nad Zatoką. A już te oczy kobiety, duże, ciemne. Bardzo łatwo, myślał Childan, mógłbym zakochać się w takiej kobiecie. Jak tragiczne byłoby wówczas moje życie; jakby teraz było mi za dobrze. Modna fryzura, lakierowane paznokcie, z przekłutych uszu zwisają długie, mosiężne kolczyki ręcznej roboty.

– Pani kolczyki – wyjąkał – nabyte może tutaj?

– Nie – odpowiedziała. – W kraju.

Childan skinął głową. Oczywiście nic z nowoczesnego rzemiosła amerykańskiego. Jedynie przeszłość mogła być reprezentowana w takim

sklepie.

– Państwo tutaj na długo? – spytał. – W naszym San Francisco?

– Przybyłem na czas nieograniczony – odparł mężczyzna. – Pracuję w Komisji Badania Stopy Życiowej Rejonów Upośledzonych. – Jego twarz wyrażała dumę. Nie był wojskowym, jednym z tych żujących gumę prostaków o chciwych chłopskich twarzach, którzy zapełniali lokale i kina porno, strzelnice i tanie nocne kluby udekorowane zdjęciami szczerzących zęby, podtrzymujących piersi podstarzałych blondynek, którzy tłoczyli się w zakazanych knajpach jazzowych dzielnicy slumsów, zajmującej większość równinnej części miasta… wśród rachitycznych bud, z blachy i desek, wyrosłych na ruinach, zanim jeszcze przestały spadać bomby. Nie, ten człowiek należał do elity. Kulturalny, wykształcony bardziej jeszcze niż pan Tagomi, który zajmował przecież wysokie stanowisko w poważnej instytucji, jaką była Pacyficzna Misja Handlowa. Tagomi był starym człowiekiem. Jego poglądy ukształtowały się w latach Gabinetu Wojennego.

– Czy szukają państwo wyrobów tradycyjnego miejscowego rękodzieła na prezent dla kogoś? – spytał Childan. – Czy też może do dekoracji swego nowego mieszkania tutaj? – Jeżeli to drugie… Serce kupca zabiło żywiej.

– Trafne przypuszczenie – odpowiedziała kobieta. – Urządzamy mieszkanie. Trochę jeszcze niezdecydowani. Czy może mógłby pan nam służyć radą?

– Tak, chętnie udam się do państwa mieszkania. Gdybym przywiózł kilka walizek, mógłbym zaproponować coś na miejscu, we wnętrzach. To nasza specjalność. – Spuścił oczy, żeby ukryć nadzieję. W grę mogą wchodzić tysiące dolarów. – Oczekuję stołu z Nowej Anglii, klonowy, zrobiony bez jednego gwoździa. Także lustra z czasów drugiej wojny o niepodległość.

Mam również wyroby krajowców: kilimy z koziej wełny, farbowane barwnikami roślinnymi.

– Co do mnie – powiedział mężczyzna – to wolę sztukę miejską.

– Oczywiście – zgodził się skwapliwie Childan. – Proszę posłuchać. Mam czteroczęściowe malowidło na dykcie z urzędu pocztowego, przedstawiające Horace'a Greeleya. Oryginał z czasów pierwszej prezydentury Roosevelta. Bezcenny rarytas.

– Ach! – jęknął Japończyk, a jego ciemne oczy rozbłysły.

– I radiolę z roku 1920, przerobioną na barek.

– Ach!

– I, proszę posłuchać, *oprawione zdjęcie Jean Harlow z autografem*.

Japończykowi mało nie wyskoczyły oczy.

– Czy zechcą państwo ustalić datę spotkania? – spytał Childan, wykorzystując najodpowiedniejszy moment psychologiczny. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął notes i pióro. – Zapiszę sobie państwa adres.

Potem, kiedy para wyszła ze sklepu, Childan stanął, założywszy z tyłu ręce, i wyjrzał na ulicę. Radość. Gdybyż wszystkie dni były takie jak ten… Był to nie tylko dobry interes, sukces dla firmy, lecz, co więcej, okazja do spotkania się na gruncie towarzyskim z młodym japońskim małżeństwem, które dostrzegło w nim człowieka, nie zaś jankesa lub w najlepszym razie sprzedawcę dzieł sztuki. Tak, to wchodzące w życie pokolenie młodych ludzi, którzy nie pamiętają lat przedwojennych ani nawet wojny, jest nadzieją świata. Różnice pozycji nie mają dla nich znaczenia.

Kiedyś to się skończy, pomyślał Childan. Zniknie samo pojęcie pozycji. Nie będzie rządzących i rządzonych, będą po prostu ludzie.

Mimo to drżał z niepokoju, wyobrażając sobie, jak zapuka do ich drzwi. Przejrzał swoje notatki. Państwo Kasoura. Przyjmą go, pewnie zaproponują

herbatę. Czy potrafi się zachować? Czy zrobi i powie w odpowiedniej chwili to, co trzeba? Czy też zachowa się jak zwierzę, zhańbi się jakimś okropnym faux pas?

Kobieta ma na imię Betty. Jaka sympatyczna twarz, myślał. Łagodne, pełne zrozumienia spojrzenie. Niewątpliwie, mimo że krótko była w jego sklepie, zorientowała się, jakie on żywi nadzieje i że już doznał porażek.

Nadzieje… poczuł nagły zawrót głowy. Szaleńcze, może nawet samobójcze mrzonki. Ale przecież słyszało się o związkach między Japończykami i jankesami, chociaż zwykle chodziło o Japończyka i białą kobietę. A ona była na dodatek mężatką. Przestraszył się samej myśli. Otrząsnął się i zabrał energicznie do otwierania porannej poczty.

Stwierdził przy tym, że ręce wciąż mu drżą. Później przypomniał sobie, że o drugiej umówiony jest z panem Tagomim, i drżenie rąk przeszło, a zdenerwowanie ustąpiło determinacji. Muszę wystąpić z czymś odpowiednim, pomyślał. Gdzie? Jak? Co? Telefon. Źródła. Zdolności handlowe. Wygrzebać gdzieś forda z 1929 roku, całkowicie odrestaurowanego, włącznie z pokryciem dachu. Wielki szlem, dozgonna wdzięczność klienta. Albo fabrycznie nowy trzymotorowy samolot pocztowy znaleziony w stodole gdzieś w Alabamie. Zdobyć zasuszoną głowę Buffalo Billa z imponującą srebrną grzywą – sensacyjny amerykański zabytek. Zdobyć sławę w kręgach najwybitniejszych koneserów sztuki w basenie Pacyfiku, nie wyłączając samych Wysp.

Szukając natchnienia, zapalił papierosa z marihuaną znakomitej marki Kraina Uśmiechu.

Frank Frink leżał w swoim pokoju przy Hayes Street, zastanawiając się, jak wstać. Słońce padało przez żaluzje na ubranie, które zsunęło się na podłogę.

Okulary też. Ciekawe, czy je rozdepcze? Spróbować dostać się do łazienki inną drogą. Czołgać się czy turlać? Głowa go bolała, ale nie był przybity. Nigdy nie oglądać się za siebie, postanowił. Godzina? Zegar jest na komodzie. Wpół do dwunastej! Rany boskie. Ale wciąż leżał.

Wyleją mnie z pracy, pomyślał.

Wczoraj w fabryce popełnił przestępstwo. Odpowiedział nie tak, jak należało, panu Wyndamowi-Matsonowi, właścicielowi wklęsłej twarzy z nosem Sokratesa, pierścienia z brylantem i złotego suwaka w rozporku. Innymi słowy – władza. Tron. Myśli Franka błądziły półprzytomnie.

Tak, myślał. Trafię jak nic na czarną listę, moje umiejętności nic tu nie pomogą, bo nie mam zawodu. Piętnastoletnie doświadczenie pójdzie na marne.

Będzie teraz musiał stanąć przed Komisją Kwalifikacyjną w celu weryfikacji jego grupy zaszeregowania. Ponieważ nigdy nie udało mu się rozgryźć stosunków łączących Wyndama-Matsona z pinokiami – marionetkowym białym rządem z Sacramento – nie potrafił ocenić wpływów swojej byłej firmy u prawdziwych władców, czyli Japończyków. Komisja podlegała pinokiom. Na polecenie Wyndama-Matsona stanie naprzeciwko czterech lub pięciu podstarzałych, pulchnych białych twarzy. Jeżeli odmówią mu licencji, poszuka drogi do jednej z filii Importowo-Eksportowej Misji Handlowej, która ma siedzibę w Tokio i biura w całej Kalifornii, Oregonie, Waszyngtonie oraz w części Nevady wchodzącej do Pacyficznych Stanów Ameryki. Jeżeli jednak nie uda mu się i tam…

Plany kłębiły się w jego głowie, podczas gdy leżał w łóżku wpatrzony w starą lampę na suficie. Mógł na przykład przemknąć się przez granicę do Stanów Gór Skalistych, które jednak miały swoje powiązania ze Stanami Pacyficznymi i mogły go wydać. A Południe? Otrząsnął się na samą myśl.

Brr. Tylko nie to. Jako biały miałby tam duże możliwości, większe niż tutaj, w PSA. Tyle że nie chciał takich możliwości.

A co gorsza, Południe miało gęstą sieć gospodarczych, ideologicznych i Bóg wie jakich jeszcze powiązań z Rzeszą, Frank Frink zaś był Żydem.

Nazywał się naprawdę Frank Fink. Urodził się na Wschodnim Wybrzeżu, w Nowym Jorku, i w roku 1941 został powołany do armii amerykańskiej, natychmiast po upadku Rosji. Kiedy żółtki zajęły Hawaje, przeniesiono go na Wybrzeże Zachodnie. Po zakończeniu wojny znalazł się w strefie japońskiej i tu spędził piętnaście powojennych lat.

W 1947, w Dniu Kapitulacji, był bliski szału. Pełen nienawiści do Japończyków poprzysiągł im zemstę; zakopał w piwnicy swoją starannie owiniętą i zakonserwowaną broń na dzień, kiedy on i jego towarzysze powstaną. Czas jednak okazał się dobrym lekarzem – tego nie wziął pod uwagę. Kiedy myślał teraz o planach wielkiej, krwawej łaźni, o czystce pinokiów i ich panów, czuł się tak, jakby przeglądał pożółkły rocznik gimnazjalny i przeczytał o swoich młodzieńczych marzeniach. Frank Fink, zwany Złotą Rybką, zostanie paleontologiem i przysięga poślubić Normę Prout. Norma Prout była najpiękniejszą dziewczyną w klasie i on rzeczywiście obiecywał, że się z nią ożeni. Wszystko to było tak diabelnie odległe jak piosenki Freda Allena albo filmy z W.C. Fieldsem. Od 1947 spotkał chyba z pół miliona Japończyków i pragnienie mordowania ich nigdy się jakoś nie zmaterializowało. Po prostu przestało to być tak ważne.

Chociaż nie. Był niejaki pan Omuro, który wykupił całą dzielnicę domów mieszkalnych w śródmieściu San Francisco, i Frank przez jakiś czas mieszkał w jego domu. To był kawał łobuza, pomyślał Frank. Rekin, który nigdy nie przeprowadzał remontów, dzielił mieszkania na coraz to mniejsze, podnosił komorne… Omuro kantował biedaków, zwłaszcza bliskich nędzy byłych żołnierzy w kryzysowych latach pięćdziesiątych.

Jednak to właśnie japońska misja handlowa ścięła mu głowę za jego spekulacje. I obecnie podobne pogwałcenie surowego, twardego, ale sprawiedliwego japońskiego prawa cywilnego było nie do pomyślenia. Stanowiło to świadectwo nieprzekupności japońskich urzędników okupacyjnych, zwłaszcza tych, którzy nastali po upadku gabinetu wojennego.

Pomyślawszy o niezłomnej, stoickiej uczciwości misji handlowych, Frank poczuł się pewniej. Nawet Wyndam-Matson zostanie odpędzony jak natrętna mucha, bez względu na to, czy jest właścicielem Towarzystwa W-M czy nie. Przynajmniej taką miał nadzieję. Chyba rzeczywiście wierzę w ten Pacyficzny Sojusz dla Dobrobytu, pomyślał. Dziwne. Kiedy się spojrzy wstecz… wówczas wydawało się to tak oczywistą lipą. Pustą propagandą. A teraz…

Wstał z łóżka i niepewnie skierował się do łazienki. Myjąc się i goląc, słuchał południowych wiadomości radiowych.

„Nie lekceważmy tego osiągnięcia” – usłyszał, kiedy na chwilę zakręcił ciepłą wodę.

Nie ma obawy, pomyślał Frank z goryczą. Wiedział, o jakie osiągnięcie chodziło. A jednak było w tym coś śmiesznego, obraz flegmatycznych, gruboskórnych Niemców kręcących się po Marsie, po czerwonych piaskach nie tkniętych dotąd stopą człowieka. Mydląc policzki, Frink zaczął nucić satyrę na siebie samego: *Gott, Herr Kreisleiter. Ist dies vielleicht der Ort, wo man das Konzentrationslager bilden kann? Das Wetter ist so schön. Heiß, aber doch schön…*

Radio mówiło:

„Wspólnota Pacyficzna musi rozważyć, czy w naszym dążeniu do zapewnienia zrównoważonego bilansu wzajemnych obowiązków i odpowiedzialności w połączeniu z korzyściami…” – Typowy żargon

biurokratyczny, zauważył Frank. – „…nie przeoczyliśmy przyszłej areny, na której będą się decydować losy człowieka, czy będzie to Nordyk, Japończyk czy Negroid…” – i tak dalej, i tak dalej.

Ubierając się, kontynuował swoją zabawę. Pogoda jest *schön*, bardzo *schön*. Tylko nie ma czym oddychać…

Fakt pozostawał faktem: Wspólnota Pacyficzna nie zrobiła nic, żeby skolonizować planety. Zamiast tego zaangażowała się – a właściwie ugrzęzła – w Ameryce Południowej. Podczas gdy Niemcy z całą energią prowadzili zrobotyzowane prace konstrukcyjne w kosmosie, Japończycy nadal wypalali dżunglę w głębi Brazylii, wznosząc siedmiopiętrowe gliniane bloki mieszkalne dla byłych łowców głów. Zanim pierwszy japoński statek kosmiczny oderwie się od Ziemi, Niemcy będą mieli w garści cały Układ Słoneczny. W dawnych i jakże malowniczych czasach przegapili moment, gdy inne państwa europejskie zbudowały swoje imperia kolonialne. Tym razem, snuł rozważania Frink, już nie będą ostatni; lekcja nie poszła na marne.

Potem przypomniał sobie Afrykę i eksperymenty nazistów na tym kontynencie. Na chwilę zdrętwiał cały, wstrząśnięty, lecz w końcu wrócił do swoich rozmyślań.

Ta olbrzymia zdewastowana pustynia.

Radio mówiło:

„…musimy jednak z dumą pamiętać o wadze, jaką nasza wspólnota przywiązuje do podstawowych materialnych potrzeb ludzi niezależnie od ich pozycji, do ich subspirytualnych potrzeb, które muszą być…”

Frink wyłączył radio. Uspokoiwszy się nieco, włączył je z powrotem.

Rany boskie, myślał, Afryka. Duchy wymordowanych plemion. Starte z powierzchni ziemi, żeby zrobić miejsce dla… kogo? Nikt nie wiedział. Może nawet sami wielcy planiści w Berlinie. Zastępy automatów pracują

pełną parą, budują. Budują? Miażdżą raczej. Ludożercy z wystawy paleontologicznej zajęci robieniem naczynia z czaszki wroga, cała rodzina pracowicie wygrzebująca zawartość, aby – w pierwszej kolejności – pożreć surowy mózg. Potem narzędzia z ludzkich kości. Co za oszczędność: nie tylko zjadać ludzi, których się nie lubi, ale jeszcze jeść z ich własnych czaszek. Pierwsi technicy! Prehistoryczny człowiek w sterylnie czystym białym fartuchu w laboratorium berlińskiego uniwersytetu pracujący nad wykorzystaniem czaszek, skóry, włosów, tłuszczu innych ludzi. *Ja, Herr Doktor*. Nowe zastosowanie dla palca od nogi. Widzi pan, można użyć stawu w zapalniczce do papierosów. Jeżeli tylko *Herr* Krupp będzie mógł produkować je w ilości…

Przerażała go ta myśl: pradawny gigantyczny kanibal, który odżył i znowu rządzi światem. Przez milion lat oddalaliśmy się od niego, a on wrócił. I nie jako przeciwnik, lecz władca.

„…możemy ubolewać” – mówiło radio, głos małych żółtków z Tokio. O Boże, myślał Frink, a my ich nazywaliśmy małpami, te cywilizowane krzywonogie krewetki, dla których myśl o komorach gazowych jest równie nieprawdopodobna jak pomysł przetopienia własnych żon na świece. – „… i często ubolewaliśmy w przeszłości nad przerażającym marnotrawstwem istot ludzkich w tych fanatycznych dążeniach, które postawiły całe masy ludzi poza nawiasem systemu prawnego”. – Oni, ci Japończycy, przywiązują taką wagę do prawa. – „…Aby zacytować znanego wszystkim zachodniego świętego: «Bo cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a szkodę by podjął na duszy swojej?»”

Radio ucichło na chwilę. Frink, który zawiązywał krawat, zastygł w bezruchu. Było to poranne oczyszczenie.

Muszę dojść z nimi do porozumienia, uświadomił sobie. Niezależnie od groźby czarnej listy, opuszczenie strefy kontrolowanej przez Japończyków

i znalezienie się na Południu, w Europie, gdziekolwiek pod władzą Rzeszy, oznaczałoby dla mnie śmierć.

Będę musiał dogadać się jakoś z tym Wyndamem-Matsonem.

Siedząc na łóżku z filiżanką wystygłej herbaty pod ręką, Frink wyciągnął swój egzemplarz *I-cing*, Księgi Przemian. Ze skórzanego pokrowca wysypał czterdzieści dziewięć łodyg krwawnika. Skupił rozbiegane myśli, żeby właściwie sformułować pytanie.

Wypowiedział je na głos:

– Jak mam rozmawiać z Wyndamem-Matsonem, żeby dojść z nim do porozumienia? – Zapisał pytanie na tabliczce i zaczął przerzucać łodyżki krwawnika z ręki do ręki, aż uzyskał pierwszą linię, początek. Ósemka. Połowa sześćdziesięciu czterech heksagramów wyeliminowana. Podzielił łodyżki i uzyskał drugą linię. Dzięki wprawie wkrótce znał wszystkie sześć linii. Miał przed sobą cały heksagram i nie musiał szukać go na wykresie. Rozpoznał heksagram piętnasty. *C'ien*. Pokora. No tak. „Maluczcy będą wywyższeni, wielcy – poniżeni, możne rody będą upokorzone"; nie musiał zaglądać do tekstu, znał go na pamięć. Dobry znak. Wyrocznia dawała mu życzliwą radę.

Mimo to czuł się nieco zawiedziony. W heksagramie piętnastym było coś bezmyślnego. To oczywiste, że powinien być pokorny. Może jednak kryła się w tym jakaś myśl. Ostatecznie nie miał żadnej władzy nad tym W-M. Nie mógł go zmusić, żeby go przyjął z powrotem. Jedyne, co mógł zrobić, to skorzystać z rady heksagramu piętnastego; była to chwila, kiedy trzeba prosić, mieć nadzieję, czekać z ufnością. Przyjdzie czas i Niebo przywróci go na dawne stanowisko, a może da mu nawet coś lepszego.

Nie miał dalszych linii do odczytania, żadnych dziewiątek ani szóstek. To był koniec. Bez przejścia do następnego heksagramu.

A zatem następne pytanie. Przyszykowawszy się, spytał na głos:

– Czy zobaczę jeszcze kiedyś Julianę?

Juliana była jego żoną. Właściwie byłą żoną. Rozwiodła się z nim przed rokiem i nie widział jej od miesięcy; prawdę mówiąc, nie znał nawet jej adresu. Wszystko wskazywało na to, że wyjechała z San Francisco, a może nawet z PSA. Wspólni znajomi albo stracili z nią kontakt, albo nie mówili mu prawdy.

Pośpiesznie manipulował łodyżkami krwawnika. Ileż to już razy zapytywał o Julianę na różne sposoby! Wreszcie uzyskał heksagram, rezultat działania ślepego losu na łodyżki roślin. Przypadkowy, a jednak związany z chwilą, w której żył, w której jego życie przeplatało się z życiem wszystkich innych ludzi i ze wszystkimi cząsteczkami wszechświata. Heksagram przedstawiający w swoim układzie ciągłych i przerywanych linii określoną sytuację. On, Juliana, fabryka, rządzące misje handlowe, zdobywanie planet, miliard organicznych kopczyków w Afryce, które teraz nie były już nawet trupami, dążenia tysięcy ludzi gnieżdżących się w norach San Francisco, szaleńcy w Berlinie ze spokojnymi twarzami i obłąkańczymi planami – wszystko to połączyło się w chwili rzucania łodyg krwawnika, żeby wybrać najodpowiedniejszą mądrą sentencję z księgi tkwiącej korzeniami w trzydziestym wieku przed Chrystusem. Z księgi składanej, plewionej, doskonalonej przez chińskich mędrców w ciągu pięciu tysięcy lat, tej wspaniałej kosmologii i nauki, skodyfikowanej, zanim Europa nauczyła się czterech działań.

Heksagram. Serce w nim zamarło. No tak, czterdziesty czwarty. *Kou*. „Czeka cię spotkanie”. I dalej trzeźwy komentarz: „Panna jest potężna. Nie należy żenić się z taką panną”. Znów wyszło mu to w związku z Julianą.

Aj waj, pomyślał, sadowiąc się wygodniej. No więc była dla mnie nieodpowiednia, sam to wiem. Nie o to pytałem. Czy wyrocznia musi mi to

stale przypominać? Mój pech, że ją spotkałem, że ją kochałem, że ją kocham.

Juliana, najpiękniejsza z jego żon. Kruczoczarne brwi i włosy: domieszka krwi hiszpańskiej, która nadała barwę nawet jej wargom. Kauczukowy, bezgłośny chód; nosiła półbuty jeszcze z lat szkolnych. Prawdę mówiąc, cała jej odzież była podniszczona, znać było na niej wiek i wielokrotne pranie. Byli oboje tak długo bez grosza, że przy całej swojej urodzie musiała chodzić w bawełnianym wdzianku, żakiecie na suwak, brązowej tweedowej spódnicy i podkolanówkach. Nienawidziła jego i tego ubrania, bo jak mówiła, wyglądała w nim jak tenisistka albo, co gorsza, jak ktoś wybierający się na grzyby.

Ale najbardziej pociągał go w niej jakiś zbzikowany wyraz twarzy; z niewiadomego powodu witała nieznajomych obiecującym uśmiechem Mony Lizy, który stawiał ich wobec dylematu – czy powiedzieć jej dzień dobry czy nie – a Juliana tymczasem przepływała obok nich obojętnie. Początkowo Frink sądził, że po prostu jest krótkowzroczna, ale w końcu uznał, że to objaw dogłębnej, choć zamaskowanej głupoty. I dlatego ten jej cień uśmiechu, którym witała nieznajomych, zaczął go denerwować, podobnie jak jej roślinopodobny, cichy, sugerujący wykonywanie jakiejś tajemniczej misji sposób zjawiania się i znikania. Ale nawet już pod koniec, gdy tak często się kłócili, traktował ją po prostu jako bezpośredni i dosłowny twór Boga, który z nieodgadnionych powodów znalazł się w jego życiu. I chyba ze względu na ten rodzaj religijnej intuicji czy wiary nie potrafił pogodzić się z jej utratą.

Wydawała mu się tak bliska nawet teraz… jakby wciąż ją miał. Ten duch zawsze obecny w jego życiu, przechodzący przez pokój w poszukiwaniu czegoś… I w jego myślach, ilekroć brał do ręki tomy wyroczni.

Siedząc na łóżku wśród kawalerskiego nieporządku i szykując się do wyjścia, Frank Frink zastanawiał się, kto jeszcze w wielkim i skomplikowanym mieście San Francisco w tej samej chwili zasięga rady wyroczni. I czy wszyscy otrzymują równie niepocieszającą radę? Czy dla wszystkich układ sił jest równie nieprzychylny jak dla niego?

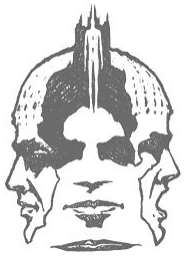

2

Pan Nobusuke Tagomi siedział, radząc się boskiej Piątej Księgi konfucjańskiej mądrości, taoistycznej wyroczni zwanej od wieków *I-cing*. W południe zaczął odczuwać niepokój w związku z wizytą pana Childana, z którym był umówiony za dwie godziny.

Jego biura mieściły się na dwudziestym piętrze budynku Nippon Times przy Taylor Street od strony Zatoki. Przez szklaną ścianę widać było statki przechodzące pod mostem Golden Gate. Teraz też jakiś frachtowiec przepływał za wyspą Alcatraz, ale pana Tagomiego to nie interesowało. Podszedł do ściany, odwiązał sznur i spuścił bambusowe żaluzje. W dużym pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, nie musiał już mrużyć oczu. Mógł teraz spokojniej myśleć.

Uznał, że nie zdoła zadowolić klienta. Niezależnie od tego, co Childan zaproponuje, klient nie będzie zachwycony. Z tym trzeba się pogodzić. Należy jednak zrobić wszystko, żeby nie był niezadowolony.

Należy nie dopuścić do obrażenia go niegodnym prezentem.

Klient wkrótce przybędzie na lotnisko San Francisco nową niemiecką rakietą pasażerską Messerschmitt 9-E. Pan Tagomi nigdy nie leciał takim statkiem; kiedy będzie witał pana Baynesa, musi dołożyć starań, żeby

wyglądać na zblazowanego, choćby rakieta była nie wiem jak potężna. Trzeba to przećwiczyć. Stanął przed lustrem i przywołał na twarz wyraz opanowania i lekkiego znudzenia, sprawdzając, czy mu się to udaje. Tak, są bardzo hałaśliwe. Nie można w nich czytać. Ale za to lot ze Sztokholmu do San Francisco trwa tylko czterdzieści pięć minut. Tutaj może słówko o niemieckich niepowodzeniach technicznych? Zapewne słyszał pan w radio. Ta katastrofa nad Madagaskarem. Muszę powiedzieć, że stare samoloty miały swoje zalety.

Najważniejsze, żeby unikać tematów politycznych, nie zna bowiem poglądów pana Baynesa na najważniejsze aktualne kwestie. A mogą one wyniknąć. Można oczekiwać, że pan Baynes jako Szwed jest neutralny. A jednak wybrał Lufthansę, a nie SAS. Zręczne posunięcie… Szanowny panie Baynes, mówią, że *Herr* Bormann jest bardzo chory. Że jesienią partia ma wybrać nowego kanclerza Rzeszy. Tylko plotki? Niestety, tyle tajemnic między Rzeszą a Pacyfikiem.

W teczce na jego biurku wycinek z „New York Timesa” z ostatnim przemówieniem pana Baynesa. Tagomi studiował je teraz uważnie, pochylony nisko z powodu lekkiej niedoskonałości swoich szkieł kontaktowych. Przemówienie dotyczyło potrzeby poszukiwania – po raz który to już, dziewięćdziesiąty ósmy? – źródeł wody na Księżycu. „Możemy jeszcze rozwiązać ten dręczący dylemat”, miał powiedzieć pan Baynes. „Nasz najbliższy sąsiad, lecz dotychczas zupełnie nie wykorzystany poza celami wojskowymi”. *Sic!* – pomyślał pan Tagomi, używając wytwornego łacińskiego słowa. Wskazówka co do pana Baynesa. Krzywo patrzy na wojskowych. Pan Tagomi odnotował to w pamięci.

Nacisnąwszy guzik interkomu, powiedział:

– Panno Ephreikian, czy mogę prosić o przyniesienie magnetofonu?

Odsunęły się drzwi i weszła panna Ephreikian, mile przystrojona tego dnia błękitnymi kwiatami we włosach.

– Nieco bzu – zauważył pan Tagomi. Kiedyś trudnił się zawodowo hodowlą kwiatów na Hokkaido.

Panna Ephreikian, wysoka ciemnowłosa Ormianka, skłoniła się.

– Czy nasz zip-track speed master gotowy?

– Tak jest, panie Tagomi. – Panna Ephreikian usiadła z przenośnym bateryjnym magnetofonem w pogotowiu.

– Zapytałem wyroczni – zaczął pan Tagomi – czy moje spotkanie z panem Childanem będzie owocne, i ku swojemu przerażeniu uzyskałem nieprzychylny heksagram Przewaga Potężnego. Strop się ugina. Zbyt wielki ciężar pośrodku, brak równowagi. Wyraźnie daleko od *tao*…

Magnetofon szumiał.

Pan Tagomi milczał, zbierając myśli.

Panna Ephreikian wpatrywała się w niego wyczekująco. Szum ucichł.

– Chciałbym prosić na chwilę pana Ramseya – powiedział Tagomi.

– Tak jest, proszę pana. – Odstawiła magnetofon i wyszła, postukując obcasami.

Wkroczył pan Ramsey z teczką pełną listów przewozowych. Młody, uśmiechnięty, ubrany w koszulę w kratę z tasiemką pod szyją i obcisłe dżinsy bez paska, tak cenione przez nowoczesnych elegantów. – Uszanowanie, panie Tagomi! – powiedział. – Piękny mamy dzień.

Pan Tagomi ukłonił się.

Ramsey natychmiast zesztywniał i również pochylił głowę.

– Radziłem się wyroczni – zaczął pan Tagomi, kiedy panna Ephreikian usiadła z magnetofonem na kolanach. – Wie pan, że pan Baynes, który wkrótce przybędzie tu osobiście, stoi na gruncie ideologii nordyckiej w stosunku do tak zwanej kultury Wschodu. Mógłbym postarać się zmienić

jego wyobrażenia za pomocą autentyków chińskiego malarstwa lub ceramiki okresu Tokugawa… ale nie naszą sprawą jest nawracanie.

– Rozumiem – powiedział pan Ramsey i na jego białej twarzy odmalował się wysiłek koncentracji.

– Dlatego dostosujemy się do jego uprzedzeń i wręczymy mu bezcenne dzieło amerykańskie.

– Tak jest.

– Pan jest z pochodzenia Amerykaninem. Mimo że – tu zmierzył spojrzeniem Ramseya – zadał pan sobie trud przyciemnienia skóry.

– Zwykła opalenizna od kwarcówki – powiedział cicho Ramsey. – Dla uzyskania witaminy D. – Ale wyraz upokorzenia na jego twarzy mówił co innego. – Zapewniam pana, że zachowałem autentyczną więź… – Panu Ramseyowi zabrakło słów. – Że nie zerwałem kontaktu z… z tradycyjną kulturą miejscową.

Pan Tagomi zwrócił się do panny Ephreikian:

– Kontynuujmy, proszę. – Znowu zaszumiał magnetofon. – Po konsultacji z wyrocznią i uzyskaniu heksagramu *Ta Kuo*, dwudziestego ósmego, otrzymałem dalej niepomyślny wiersz na piątym miejscu, który brzmi:

Uschnięta topola wypuszcza pąki.
Stara kobieta bierze sobie męża.
Bez żalu. Bez chwały.

Wskazuje to jasno, że pan Childan nie będzie miał nam nic do zaoferowania dziś o drugiej. – Tu pan Tagomi zrobił krótką przerwę. – Bądźmy szczerzy. Nie mogę polegać na własnym osądzie w sprawach sztuki amerykańskiej. Dlatego też – tu zastanowił się nad właściwym

słowem – pan, panie Ramsey, jako Amerykanin z pochodzenia, będzie potrzebny. Musimy w tej sprawie zrobić wszystko, co w naszej mocy.

Pan Ramsey nic nie odpowiedział. Mimo wysiłków, aby to zamaskować, jego twarz zdradzała urazę i gniew; powściągana, milcząca reakcja.

– Dalej – mówił pan Tagomi – radziłem się wyroczni w następnej sprawie. Ze względów politycznych nie mogę ujawnić pytania przy panu, panie Ramsey. – Innymi słowy, jego ton znaczył: taki pinokio jak pan nie może być dopuszczony do ważnych spraw. – Wystarczy powiedzieć, że otrzymałem wielce zastanawiającą odpowiedź. Dała mi bardzo wiele do myślenia.

Pan Ramsey i panna Ephreikian nie spuszczali z niego wzroku.

– Ma to związek z panem Baynesem – powiedział pan Tagomi.

Oboje skinęli głowami.

– Na moje pytanie dotyczące pana Baynesa mocą tajemnego działania *tao* uzyskałem w odpowiedzi heksagram *Szeng*, czterdziesty szósty. Dobry omen. Oraz szóstkę na początku i dziewiątkę na drugim miejscu. – Pytanie pana Tagomiego brzmiało: „Czy uda mi się z powodzeniem załatwić sprawy z panem Baynesem?” Dziewiątka na drugim miejscu zapewniała go, że tak.

Jeżeli jest się szczerym,
Nawet mała ofiara skutkuje.
Nie ma winy.

Wynikało z tego, że pan Baynes będzie zadowolony z każdego prezentu, jaki najwyższa Misja Handlowa wręczy mu za pośrednictwem pana Tagomiego. Ale zadając to pytanie, pan Tagomi miał jeszcze inną, głębszą myśl, którą sam sobie ledwo uświadamiał. Jak to często bywa, wyrocznia

odebrała także to drugie, podświadome pytanie i na nie również dała odpowiedź.

– Jak wiadomo – mówił dalej pan Tagomi – pan Baynes przywozi nam szczegółowy opis nowych form wtryskowych opracowanych w Szwecji. Jeżeli dojdziemy do porozumienia z jego firmą, niewątpliwie będziemy mogli zastąpić wiele deficytowych metali masami plastycznymi.

Od lat Wspólnota Pacyficzna czyniła starania, aby uzyskać od Rzeszy pomoc w dziedzinie tworzyw sztucznych. Jednak wielkie niemieckie kartele chemiczne, zwłaszcza I.G. Farben, zazdrośnie strzegły swoich patentów, utrzymując faktycznie światowy monopol w tej dziedzinie, szczególnie w syntezie poliestrów. Dzięki temu Rzesza miała ważny atut w handlu ze Wspólnotą i wyprzedzała ją w technice co najmniej o dziesięć lat. Międzyplanetarne rakiety startujące z *Festung Europa* zbudowane były głównie z żaroodpornych tworzyw, bardzo lekkich i tak twardych, że wytrzymywały nawet zderzenia z meteorytami. Wspólnota Pacyfiku nie rozporządzała niczym podobnym; używano tu nadal naturalnych materiałów, takich jak drewno i, oczywiście, wszechobecne metale. Pan Tagomi aż kulił się wewnętrznie na myśl o tym; widział na targach niektóre z najnowszych niemieckich osiągnięć, włącznie z całkowicie plastikowym samochodem DSS, *Der Schnelle Spuk*, który w przeliczeniu na walutę PSA kosztował około sześciuset dolarów.

Ale jego ukryte pytanie, to, którego nie mógł pod żadnym pozorem ujawnić pinokiom kręcącym się po biurach misji handlowych, dotyczyło pewnego aspektu działalności pana Baynesa, zasugerowanego przez szyfrogram z Tokio. Po pierwsze, kodowane materiały przychodziły rzadko i zazwyczaj wiązały się ze sprawami bezpieczeństwa, nie zaś handlu. Po drugie, zastosowano szyfr metaforyczny, oparty na aluzjach poetyckich, który opracowano, żeby wyprowadzić w pole niemiecki nasłuch, potrafiący

rozszyfrować najbardziej skomplikowane kody. A więc władze w Tokio miały na myśli Rzeszę, nie zaś na wpół opozycyjne kliki na Wyspach Japońskich. Kluczowa fraza „odciągane mleko w jego diecie” była aluzją do dziwacznej piosenki z operetki *Pinafore* propagującej myśl, że:

Pozory często mylą człowieka,
Śmietankę udaje odciągane mleko.

Konsultacja z *I-cing* potwierdziła podejrzenia pana Tagomiego. Komentarz wyroczni brzmiał:

Należy przypuszczać, że chodzi o człowieka silnego. Prawdą jest, że nie pasuje do swego otoczenia, gdyż jest zbyt szorstki i zwraca zbyt mało uwagi na formy, ale prawy charakter zapewnia mu uznanie…

Podejrzenie polegało na tym, że pan Baynes nie jest tym, za kogo się podaje; że prawdziwym celem jego przyjazdu do San Francisco nie jest zawarcie umowy na formy wtryskowe. Krótko mówiąc, że pan Baynes jest szpiegiem.

Jednak pan Tagomi nie miał najmniejszego pojęcia, jakim szpiegiem jest pan Baynes, dla kogo pracuje i za co.

O pierwszej czterdzieści tegoż popołudnia Robert Childan z największą niechęcią zamknął sklep. Następnie zaciągnął swoje ciężkie walizy na skraj chodnika, przywołał rikszę i kazał zawieźć się do budynku Nippon Times.

Zgarbiony i spocony chińczak o zapadłej twarzy wyjąkał uniżoną formułkę i zaczął ładować bagaże. Potem pomógł panu Childanowi zająć

wyłożone kilimem miejsce, pstryknął licznikiem, wdrapał się na siodełko i popedałował Montgomery Street wśród samochodów i autobusów.

Pan Childan strawił cały dzień, szukając czegoś dla pana Tagomiego, i teraz patrzył na mijane domy pełen gniewu i niepokoju. A jednak – zwycięstwo. Profesjonalne umiejętności niezależne od nastrojów: znalazł odpowiednią rzecz, pan Tagomi będzie udobruchany, a jego podopieczny, kimkolwiek jest, będzie zachwycony. Nigdy nie sprawiam zawodu, myślał Childan. Swoim klientom.

Udało mu się cudem zdobyć prawie nowy pierwszy numer pierwszego rocznika komiksu z Tipem i Topem. Była to jedna z pierwszych książeczek tego typu, cenne americanum z lat trzydziestych, prawdziwy biały kruk poszukiwany przez zbieracza. Oczywiście miał też inne przedmioty, które pokaże najpierw. Będzie stopniowo dochodzić do komiksu, który leżał bezpiecznie na dnie największej walizy w skórzanym etui zawiniętym w miękki papier.

Radio jego rikszy rozbrzmiewało popularnymi melodiami, współzawodnicząc z radiami innych rikszarzy, samochodów i autobusów. Childan ich nie słyszał; przywykł do tego. Nie zwracał też uwagi na olbrzymie neonowe reklamy pokrywające frontony prawie wszystkich większych budynków. Ostatecznie sam też miał swój neon, który wieczorem gasł i zapalał się wraz ze wszystkimi innymi w mieście. Czy ktoś reklamuje się inaczej? Trzeba być realistą.

Prawdę mówiąc, hałas radioodbiorników, szum samochodów, ludzie i reklamy uspokajały go. Zagłuszały jego wewnętrzne niepokoje. I sprawiało mu przyjemność, że wiezie go człowiek, że czuje wysiłek mięśni chińczaka przetransponowany na równomierne drgania rikszy. Jak aparat do masażu, pomyślał Childan. Nie obsługiwać, a być obsługiwanym. I, choćby przez chwilę, zajmować wyższą pozycję.

Ocknął się z poczuciem winy. Zbyt wiele rzeczy do obmyślenia; nie czas na południową drzemkę. Czy jest absolutnie odpowiednio ubrany na tę okazję? A jeżeli zemdleje w szybkościowej windzie? Na szczęście ma pigułki przeciwko chorobie lokomocyjnej, niemiecka produkcja. Różne formy zwracania się do rozmówców… znał je. Wiedział, kogo traktować grzecznie, a kogo z góry. Być szorstkim wobec portiera, windziarza, przewodnika, recepcjonistki, woźnych. Kłaniać się oczywiście każdemu Japończykowi, choćby musiał to robić po stokroć. Tylko ci pinokiowie. Strefa mgławicowa. Kłaniać się, ale patrzeć przez nich na wylot, jakby ich nie było. Czy to załatwia wszystkie sytuacje? A jeżeli spotka cudzoziemca? Na terenie misji handlowych często można spotkać Niemców lub przedstawicieli krajów neutralnych.

Poza tym może też natknąć się na niewolnika.

Niemieckie i południowe statki były stałymi gośćmi w porcie San Francisco i czarnych wypuszczano czasami na krótko na brzeg. Zawsze grupami co najmniej po trzech. I nie wolno im było zostawać po zmroku; nawet pod jurysdykcją Wspólnoty Pacyfiku obowiązywała ich godzina policyjna. Niewolnicy pracowali także w dokach, i ci mieszkali stale przy nabrzeżu, w budach przy magazynach, tuż nad linią wody. Nie było ich w biurach misji handlowej, ale gdyby chodziło o jakieś ciężary… na przykład, czy powinien sam wnieść swój bagaż do biura pana Tagomiego? Oczywiście nie. Musi znaleźć niewolnika, choćby miał czekać godzinę. Nawet gdyby miał się spóźnić. Nie może dopuścić, żeby niewolnik zobaczył, jak coś niesie; na to musi uważać szczególnie. Za błąd tego rodzaju zapłaciłby drogo: straciłby wszelki prestiż w oczach wszystkich, którzy by to widzieli.

Z jednej strony, myślał Childan, byłoby nawet dobrze w biały dzień wnieść samemu swoje bagaże do budynku Nippon Times. Cóż za wspaniały

gest! Właściwie nie jest to prawnie zakazane; nie poszedłbym za to do więzienia. I zademonstrowałbym swoje prawdziwe uczucia, te, których nigdy nie ujawnia się w życiu publicznym. Ale…

Mógłbym to zrobić, myślał, gdyby nie kręcili się tu ci przeklęci czarni niewolnicy; zniósłbym pogardę tych, którzy stoją nade mną – ostatecznie okazują mi pogardę i poniżają mnie codziennie. Ale żeby zobaczyli mnie ci, co stoją poniżej mnie, odczuć ich lekceważenie… Jak ten chińczak pedałujący przede mną. Gdybym nie wziął rikszy, gdyby zobaczył, że *idę* na spotkanie…

Wszystkiemu są winni Niemcy. To ich dążenie, żeby odgryźć więcej, niż mogą przełknąć. Ledwo udało im się z największym trudem wygrać wojnę, natychmiast zabrali się do podboju planet, a zarazem w kraju wydali prawa, które… no cóż, idea była dobra. Przecież udało im się z Żydami, Cyganami i badaczami Pisma Świętego. I Słowianie zostali odepchnięci o dwa tysiące lat wstecz, do swojej kolebki w Azji. Wyparci całkowicie z Europy, ku ogólnemu zadowoleniu. Z powrotem do wypasania jaków i polowania z łukiem. Te wielkie lśniące czasopisma drukowane w Monachium i rozsyłane do wszystkich bibliotek i kiosków… Każdy może zobaczyć na własne oczy całostronicowe kolorowe zdjęcia: błękitnoocy, jasnowłosi aryjscy osadnicy pracowicie siejący, orzący i zbierający na rozległych polach Ukrainy, tego spichlerza świata. Nie ma wątpliwości, że to ludzie szczęśliwi, a ich domy i gospodarstwa uderzają schludnością. Nie widzi się już zdjęć pijanych Polaków siedzących w otępieniu przed walącymi się chałupami lub oferujących kilka nędznych brukwi na wiejskim targu. Wszystko to należy do przeszłości, tak jak rozjeżdżone polne drogi, które jesienne deszcze zmieniały w nieprzejezdną breję.

Ale Afryka… Tutaj dali się ponieść entuzjazmowi i choć trzeba ich za to podziwiać, rozsądek nakazywałby zaczekać nieco, na przykład do

zakończenia Planu Pług. O, tutaj hitlerowcy pokazali, co potrafią, ujawnili w pełni swoją artystyczną duszę. Morze Śródziemne zamknięte, osuszone, przekształcone w pola uprawne dzięki wykorzystaniu energii atomowej: cóż za rozmach! Ależ dali tym po nosie różnym prześmiewcom, na przykład niektórym kpiarzom z Montgomery Street. Co prawda w Afryce prawie się udało… ale w planach tego rodzaju „prawie” jest słowem bardzo ważnym. Po raz pierwszy pojawiło się ono w głośnej broszurze Rosenberga z roku 1958. „Co zaś do ostatecznego rozwiązania problemu afrykańskiego, to prawie udało nam się zrealizować nasze cele”.

A jednak trzeba było dwustu lat, żeby pozbyć się amerykańskich krajowców, Niemcy zaś prawie osiągnęli to w Afryce w ciągu lat piętnastu. Więc do krytyki nie ma podstaw. Childan, nawiasem mówiąc, posprzeczał się niedawno na ten temat podczas obiadu ze znajomymi kupcami. Oczekiwali widocznie cudów, jakby hitlerowcy mogli przekształcać świat za pomocą magii. Tymczasem to nauka, technika oraz ich przysłowiowy talent do pracy; Niemcy do wszystkiego się przykładają. A kiedy coś robią, robią to solidnie.

Zresztą i tak loty na Marsa odwróciły uwagę świata od kłopotów w Afryce. Wszystko sprowadzało się do tego, co powiedział kolegom kupcom: to, co Niemcy mają, a czego nam brakuje, to idealizm. Można ich podziwiać za zamiłowanie do pracy czy gospodarność… ale motorem jest tutaj marzenie. Loty kosmiczne najpierw na Księżyc, potem na Marsa. Czyż to nie jest najstarsze marzenie ludzkości, nasz sen o potędze? A Japończycy? Znam ich dość dobrze; ostatecznie mam z nimi do czynienia codziennie. To są, powiedzmy sobie otwarcie, ludzie Wschodu. Żółci. My, biali, musimy się im kłaniać, bo mają władzę. Ale nasze oczy skierowane są na Niemcy; widzimy, co można osiągnąć tam, gdzie zwyciężyli biali, i to jest coś zupełnie innego.

– Zbliżamy się do budynku Nippon Times, proszę pana – odezwał się chińczak, dysząc ciężko po wjeździe na wzgórze. Zwolnił teraz.

Childan usiłował wyobrazić sobie klienta pana Tagomiego. Oczywiście musiał to być ktoś ogromnie ważny; ton głosu pana Tagomiego w telefonie, jego ogromne podniecenie zdradzały to niedwuznacznie. W myślach Childana pojawił się obraz jednego z jego własnych bardzo ważnych klientów, człowieka, który przyczynił się walnie do stworzenia Childanowi reputacji w najwyższych sferach nad zatoką San Francisco.

Przed czterema laty Childan nie był specjalistą od rzeczy rzadkich i cennych, jak obecnie; prowadził mały, mroczny antykwariat. W sąsiedztwie mieściły się sklepy z używanymi meblami, towarami żelaznymi i pralnie. Nie była to dobra dzielnica. W nocy zdarzały się napady zbrojne, a czasem i gwałty mimo wysiłków policji San Francisco, a nawet jej japońskich szefów, Kempeitai. Wszystkie witryny sklepów miały opuszczone na noc żelazne kraty dla zapobieżenia włamaniom. A jednak pewnego dnia zawędrował do tej dzielnicy starszy Japończyk, były wojskowy, major Ito Humo. Wysoki, szczupły, siwowłosy, zawsze wyprostowany major Humo po raz pierwszy uświadomił Childanowi, co można zrobić w jego branży.

– Jestem kolekcjonerem – wyjaśnił major Humo. Spędził całe popołudnie, grzebiąc w stosach starych czasopism. Swoim łagodnym głosem opowiedział o czymś, czego Childan wówczas nie potrafił jeszcze w pełni ocenić: dla wielu bogatych, kulturalnych Japończyków historyczne wytwory amerykańskiej kultury masowej były równie interesujące jak bardziej tradycyjne antyki. Dlaczego tak się działo, major nie wiedział; jego największą pasją było zbieranie starych czasopism poświęconych amerykańskim mosiężnym guzikom i samych guzików. Było to zjawisko

w rodzaju zbierania znaczków lub monet; próżno by szukać racjonalnego uzasadnienia. Bogaci kolekcjonerzy płacili grube sumy.

– Dam panu przykład. Czy pan wie, co to są karty z okropnościami wojny? – powiedział major z pożądliwym błyskiem w oku.

Po chwili namysłu Childan coś sobie przypomniał. Kiedy był dzieckiem, takie kartki dodawano do gumy do żucia. Po cencie sztuka. Była to cała seria przedstawiająca różne okropności wojny.

– Mój bardzo dobry przyjaciel – ciągnął major – zbiera „Okropności wojny". Brakuje mu teraz tylko jednej: „Zatopienia USS *Panay*". Oferuje znaczną sumę pieniędzy za tę jedną kartę.

– Rzucane karty – powiedział nagle Childan.

– Słucham?

– Rzucaliśmy je. Każda karta miała stronę z obrazkiem i pustą, jak orzeł i reszka. – Miał wtedy chyba z osiem lat. – Każdy z nas trzymał talię takich kart. Staliśmy twarzami do siebie i obaj rzucaliśmy karty tak, żeby obracały się w powietrzu. Chłopak, którego karta upadała licem do góry, zabierał obie. – Jak to miło przypomnieć sobie te dobre czasy, dawne, szczęśliwe dni dzieciństwa!

– Słyszałem, jak mój przyjaciel rozmawiał o swoich kartach – odezwał się major Humo po chwili zastanowienia – ale nigdy o tym nie wspomniał. Przypuszczam, że on nie wie, do czego używano tych kart.

W rezultacie przyjaciel majora zgłosił się do sklepu, żeby usłyszeć historyczną relację Childana z pierwszych ust. Gość, również emerytowany oficer cesarskiej armii, był zafascynowany.

– Kapsle! – krzyknął niespodzianie Childan.

Japończyk zamrugał, nie rozumiejąc.

– Jako dzieciaki zbieraliśmy kapsle z butelek po mleku. Takie krążki z nazwą mleczarni. Musiało być tysiące tych mleczarni w Stanach

Zjednoczonych i każda tłoczyła swoje kapsle.

W oczach oficera błysnęło zainteresowanie.

– Czy posiada pan coś ze swoich dawnych zbiorów?

Childan oczywiście nic takiego nie miał. Ale… może dałoby się zdobyć stare, dawno zapomniane kapsle z czasów, kiedy mleko dostarczano w butelkach, nie zaś w jednorazowych, kartonowych opakowaniach.

W ten sposób, stopniowo, wszedł w swoją nową profesję. Inni też otwierali podobne sklepy, wykorzystując narastające wśród Japończyków zainteresowanie amerykańską kulturą… ale Childan zawsze utrzymywał nad nimi przewagę.

– Płaci pan – powiedział chińczak, wyrywając go z zamyślenia – dolara. – Wyładował już jego bagaże i czekał.

Childan zapłacił mu mechanicznie. Tak, to całkiem prawdopodobne, że klient pana Tagomiego podobny jest do majora Humo; przynajmniej, zażartował w myśli Childan, z mojego punktu widzenia. Stykał się już z tyloma Japończykami… a wciąż miał kłopoty z ich rozróżnianiem. Byli wśród nich niscy, przysadziści, zbudowani jak zapaśnicy. Byli aptekarzopodobni. Potem hodowcy karłowatych drzewek… miał oczywiście swoją klasyfikację. I młodzi, w ogóle jakby nie japońscy. Klient pana Tagomiego będzie zapewne postawnym handlowcem z filipińskim cygarem w zębach.

A potem, stojąc przed budynkiem Nippon Times koło swoich waliz, Childan pomyślał z nagłym przerażeniem: A jeżeli ten klient nie jest Japończykiem? Wszystko, co przywiózł, wybrał z myślą o nich, o ich gustach…

Ale to musiał być Japończyk. Pan Tagomi zamawiał plakat rekrutacyjny z okresu wojny secesyjnej; niewątpliwie tylko Japończykowi mogło zależeć na takim starociu. Typowe dla fascynacji błahostkami, dla ich legalistycznej

obsesji dokumentów, proklamacji, ogłoszeń. Pamiętał jednego, który poświęcił swój wolny czas na zbieranie gazetowych ogłoszeń amerykańskich leków patentowych z początku wieku.

Należało stawić czoło innym, bliższym problemom. Przez wysokie drzwi budynku Nippon Times wchodzili i wychodzili ludzie, wszyscy dobrze ubrani; do uszu Childana dobiegły ich głosy, wyrywając go z bezruchu. Spojrzenie w górę na niebosiężną konstrukcję, najwyższy budynek w San Francisco. Ściana biur, okien, wspaniała sztuka japońskich architektów i otoczenie: ogródki karłowatych, wiecznie zielonych drzew i krzewów, krajobraz *karesansui*, piasek imitujący zastygły strumień opływający korzenie i proste, nieregularne, płaskie głazy…

Dostrzegł czarnego tragarza, który akurat był wolny. Childan natychmiast go przywołał.

Czarny przytruchtał z usłużnym uśmiechem.

– Na dwudzieste – powiedział Childan możliwie najostrzejszym głosem. – Apartament B. Natychmiast. – Wskazał na bagaż, po czym ruszył ku wejściu. Oczywiście nie oglądając się za siebie.

Chwilę później został wciśnięty do jednej z szybkobieżnych wind; wokół niego prawie sami Japończycy, ich czyste twarze połyskują z lekka w ostrym świetle. Potem mdlący skok windy, szybki stukot mijanych pięter; Childan zamknął oczy, wparł stopy w podłogę, marząc, żeby ta jazda się skończyła. Tragarz zaniósł oczywiście walizy do windy towarowej. Było nie do pomyślenia, żeby zabrać go tutaj. Chociaż, prawdę mówiąc… Childan otworzył oczy i rozejrzał się szybko… był w windzie jednym z niewielu białych.

Kiedy winda wypuściła go na dwudziestym piętrze, Childan ćwiczył w myśli ukłon, przygotowując się na wejście do biura pana Tagomiego.

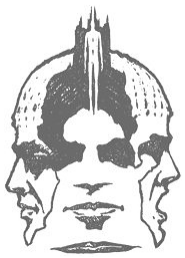

3

Spojrzawszy w górę, Juliana Frink ujrzała świetlisty punkt zataczający łuk na przedwieczornym niebie i niknący na zachodzie. Jeden z tych nazistowskich statków rakietowych, pomyślała. Leci na Wybrzeże. Pełen grubych ryb. A ja jestem tutaj, na dole. Pomachała, chociaż statku oczywiście nie było już widać.

Wydłużały się cienie Gór Skalistych. Na ciemnogranatowych szczytach zapadała noc. Powolny klucz przelotnych ptaków ciągnął równolegle do pasma gór. Tu i ówdzie samochody włączyły już światła; zobaczyła podwójne błyski na autostradzie. Inne światła też. Gazownia. Domy.

Już od kilku miesięcy mieszkała tutaj, w Canon City w Kolorado. Była instruktorką dżudo. Skończyła pracę i szykowała się do wejścia pod prysznic. Czuła zmęczenie. Wszystkie kabiny były zajęte i czekała w chłodzie, na dworze, ciesząc się spokojem i aromatem górskiego powietrza. Jedynym dźwiękiem był lekki szmer dobiegający z baru, znajdującego się niżej, na skraju autostrady. Zaparkowały tam dwie wielkie ciężarówki z silnikami Diesla i w mroku widać było kierowców wciągających skórzane kurtki przed wejściem do pawilonu.

Pomyślała: Diesel, zdaje się, wyskoczył z okna swojej kajuty. Popełnił samobójstwo, topiąc się podczas podróży morskiej. Może i ja powinnam zrobić coś takiego? Tyle że tu nie ma morza. Ale zawsze jest jakiś sposób. Jak u Szekspira. Szpilka wbita przez koszulę i żegnaj, Frink. Dziewczyna, która nie boi się włóczęgów z pustyni. Idzie wyprostowana, świadoma wszystkich wrażliwych punktów na ciele szpakowatego, śliniącego się przeciwnika. Umrzeć, nałykawszy się spalin samochodowych w miasteczku przy autostradzie, na przykład przez długą słomkę.

Nauczyła się tego, pomyślała, od Japończyków. Przejęła ich spokojny stosunek do śmierci wraz z dającą jej teraz zarobek sztuką dżudo. Jak zabijać i jak umierać. *In* i *jang*. Ale to już przeszłość; tu jest kraj protestancki.

Dobrze było widzieć nazistowskie rakiety przelatujące bez zatrzymania nad głową, nie wykazujące najmniejszego zainteresowania Canon City w Kolorado. Ani Utah, ani Wyoming, ani wschodnią częścią Nevady, żadnym z otwartych, pustynnych i pasterskich stanów. Nie mamy żadnej wartości, pomyślała. Możemy żyć swoim małym życiem. Jeżeli chcemy. Jeżeli ma to dla nas jakieś znaczenie.

W jednej z kabin trzask otwieranych drzwi. Jakaś postać – to duża panna Davis skończyła się myć, ubrana, torebka pod pachą.

– Och, pani czekała? Bardzo przepraszam.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Juliana.

– Wie pani, dżudo dało mi bardzo dużo. Więcej niż zen. Chciałam to pani powiedzieć.

– Zen wyszczupli ci biodra – powiedziała Juliana. – Pozbądź się zbytecznych kilogramów, przechodząc bezbolesne satori. Przepraszam, panno Davis. Tak sobie plotę.

– Czy oni sprawili pani dużo bólu? – spytała panna Davis.

– Kto?

– Japończycy. Zanim nauczyła się pani bronić.

– To było straszne – powiedziała Juliana. – Nigdy pani nie była na Wybrzeżu? Tam, gdzie są oni.

– Nigdy nie wyjeżdżałam z Kolorado – odparła panna Davis głosem drżącym z nieśmiałości.

– Może się to zdarzyć i tutaj – powiedziała Juliana. – Mogą się zdecydować na okupację również tego regionu.

– Tak późno?

– Nigdy nie wiadomo, co oni zrobią. Oni ukrywają, co naprawdę myślą.

– Do czego oni panią zmuszali? – Panna Davis, przyciskając oburącz torebkę, zbliżyła się w wieczornych ciemnościach, żeby lepiej słyszeć.

– Do wszystkiego.

– Mój Boże. Ja bym się broniła – powiedziała panna Davis.

Juliana przeprosiła ją i weszła do wolnej kabiny, bo zbliżał się ktoś z ręcznikiem na ramieniu.

Później siedziała przy stoliku u Charleya („Najlepsze hamburgery z rusztu”), apatycznie przeglądając menu. Z szafy grającej rozległa się jakaś ludowa melodia; elektryczna gitara i zdławione emocją pojękiwania… powietrze wypełniał tłusty dym. A jednak było tu ciepło i jasno i nastrój jej się poprawił. Kierowcy ciężarówki przy bufecie, kelnerka, wielki Irlandczyk w białym kitlu wydający resztę przy kasie.

Na jej widok zbliżył się sam Charley, żeby ją obsłużyć.

– Panienka chcieć herbata? – przeciągnął, szczerząc zęby.

– Kawa – powiedziała Juliana, ignorując dowcip kucharza.

– *Ah so*. – Charley się skłonił.

– I gorący sandwicz z pieczenią i sosem.

– Nie chcieć zupa ze szczurzych gniazd? Może kozi mózg smażony na oliwie? – Dwaj kierowcy ciężarówki odwróceni na stołkach słuchali uśmiechnięci. Z tym większą przyjemnością, że musieli zauważyć, jaka jest ładna. Nawet bez żarcików Charleya zwróciliby na nią uwagę. Miesiące intensywnego uprawiania dżudo nadały jej mięśniom niezwykłą prężność; wiedziała, jak to wpływa na jej postawę i figurę.

Wszystko zależy od mięśni ramion, myślała, napotykając ich spojrzenia. Tancerze też to mają. Wzrost nie ma tu nic do rzeczy. Przyślijcie wasze żony do klubu, a my je wytrenujemy. Nie będziecie żałować.

– Trzymajcie się od niej z daleka – ostrzegł kierowców kucharz i zrobił do nich oko. – Bo ockniecie się na podłodze.

– Skąd jesteście? – zwróciła się do młodszego z kierowców.

– Z Missouri – odpowiedzieli obaj.

– Jesteście ze Stanów Zjednoczonych? – spytała.

– Ja jestem ze Stanów – powiedział starszy. – Z Filadelfii. Mam tam trójkę dzieci. Najstarsze ma jedenaście lat.

– Słuchajcie, a czy tam łatwo o dobrą pracę?

– Łatwo – odparł młodszy kierowca. – Jak się ma odpowiedni kolor skóry. – On sam miał czarne, kręcone włosy, a na jego ciemnej, ponurej twarzy utrwalił się wyraz zgorzknienia.

– On jest makaroniarz – wyjaśnił starszy.

– No to co? Przecież Włochy wygrały wojnę. – Juliana uśmiechnęła się do młodszego kierowcy, ale on nie odpowiedział jej uśmiechem. Jego oczy błysnęły zawziętością i nagle się odwrócił.

Przykro mi, pomyślała, ale nic nie powiedziała. Nie mogę uwolnić ciebie ani nikogo innego od koloru skóry. Pomyślała o Franku. Ciekawe, czy jeszcze żyje? Mógł powiedzieć coś niewłaściwego, wychylić się. Nie, pomyślała. Na swój sposób on lubi tych Japończyków. Może identyfikuje

się z nimi dlatego, że są brzydcy. Stale powtarzała Frankowi, że jest brzydki. Rozszerzone pory. Wielki nos. Ona sama miała niezwykle gładką skórę. Czy zginął tam beze mnie? Fink to gatunek ptaka, a ptaki podobno wymierają.

– Czy wyruszacie dzisiaj dalej? – spytała młodego Włocha.

– Jutro.

– Jeżeli jest wam źle w Stanach Zjednoczonych, to czemu nie wyjedziecie stamtąd na stałe? – spytała. – Ja mieszkam w Górach Skalistych od dawna i nie skarżę się. Przedtem mieszkałam na Wybrzeżu, w San Francisco. Tam kolor skóry też się liczy.

Pochylony nad barem młody Włoch obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

– Droga pani – powiedział – wystarczy, że człowiek musi spędzić jeden dzień czy noc w takim miasteczku jak to. Mieszkać tutaj? Chryste, gdybym tylko mógł dostać inną pracę, żebym nie musiał tłuc się po drogach i jadać w takich dziurach jak ta… – Zauważywszy, że właściciel poczerwieniał, kierowca umilkł i zajął się swoją kawą.

– Joe, widzę, że jesteś snob – powiedział do niego starszy kierowca.

– Mógłby pan zamieszkać w Denver – poradziła Juliana. – Tam jest sympatyczniej. – Znam was, Amerykanów ze Wschodu, pomyślała. Lubicie rzeczy wielkie. Snujecie wielkie plany. Góry Skaliste to dla was świat zabity deskami. Nic się tu nie zmieniło od przed wojny. Emeryci, farmerzy, ludzie głupi, leniwi, biedni… każdy co sprytniejszy uciekł na Wschód do Nowego Jorku, legalnie albo przez zieloną granicę. Bo tam są pieniądze, wielki przemysł i duże pieniądze, myślała. Rozwój. Niemieckie inwestycje zrobiły swoje… niewiele czasu potrzebowali, żeby postawić Stany Zjednoczone na nogi.

– Wiesz co? – odezwał się kucharz szorstkim, gniewnym tonem. – Nie kocham Żydów, ale widziałem trochę tych żydowskich uciekinierów

w czterdziestym dziewiątym i powiem ci, co możesz zrobić ze swoimi Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli tam dużo budują i mają dużo pieniędzy, to dlatego, że ukradli je Żydom, kiedy ich wyrzucali z Nowego Jorku. Te cholerne hitlerowskie ustawy norymberskie! Jako chłopak mieszkałem w Bostonie i nie przepadam za Żydami, ale nie myślałem, że kiedyś będą obowiązywać w Stanach Zjednoczonych nazistowskie prawa rasowe, nawet jeżeli przegramy wojnę. Dziwię się, że nie jesteście w wojsku i nie szykujecie się do napaści na jakąś małą południowoamerykańską republikę, żeby utorować drogę Niemcom i znowu odepchnąć dalej Japończyków…

Obaj kierowcy zerwali się z groźnymi minami. Starszy złapał za szyjkę stojącej na barze butelki ketchupu. Kucharz, nie odwracając się, sięgnął do tyłu i znalazłszy po omacku duży widelec, wyciągnął go przed siebie.

– Denver buduje specjalne pasy startowe, żeby przyjmować rakiety Lufthansy – napomknęła Juliana.

Żaden z trzech mężczyzn się nie ruszył, żaden nic nie powiedział. Pozostali goście siedzieli w milczeniu.

Wreszcie odezwał się kucharz:

– Jedna z nich przelatywała nad nami o zachodzie.

– Ta nie leciała do Denver – powiedziała Juliana – tylko na Wybrzeże.

Kierowcy ostrożnie wrócili na swoje stołki.

– Stale zapominam, że oni tu są zarażeni żółtaczką – mruknął starszy.

– Japończycy nie mordowali Żydów, ani w czasie wojny, ani potem – powiedział kucharz. – Japończycy nie budowali pieców.

– Szkoda – warknął starszy z kierowców, ale podniósł filiżankę i wrócił do przerwanego posiłku.

Żółtaczka, pomyślała Juliana. Tak, to chyba prawda. Mamy tu dużo sympatii dla Japończyków.

– Gdzie będziecie nocować? – zwróciła się do młodszego kierowcy imieniem Joe.

– Nie wiem jeszcze – odparł. – Zdążyłem tylko wysiąść z wozu i wszedłem tutaj. Nie podoba mi się cały ten stan. Może będę spał w samochodzie.

– Motel Pod Pszczółką nie jest zły – wtrącił kucharz.

– Dobra – powiedział młody kierowca. – Może tam pójdę. Jeżeli im nie przeszkadza, że jestem Włochem. – Mówił z wyraźnym akcentem, mimo że starał się to ukryć.

To przez swój idealizm tak zgorzkniał, pomyślała Juliana, patrząc na niego. Za wiele żąda od życia. Stale dokądś pędzi, wiecznie niespokojny i niezadowolony. Ja jestem taka sama; nie mogłam wysiedzieć na Zachodnim Wybrzeżu i tutaj też długo nie wytrzymam. Czyż nasi przodkowie nie byli tacy sami? Tyle że nie ma już Dzikiego Zachodu; Dziki Zachód to teraz inne planety.

Moglibyśmy razem zapisać się na jeden z tych statków rakietowych zabierających kolonistów, pomyślała. Ale Niemcy nie dopuściliby jego z powodu skóry, a mnie dlatego, że mam ciemne włosy. Te wyblakłe, chude, nordyckie pedały z SS skoszarowane w bawarskich zamkach. Ten facet, Joe jakiś tam, już samą minę ma nieodpowiednią; powinien mieć taki zimny, a jednocześnie entuzjastyczny wyraz twarzy, jakby w nic nie wierząc, zarazem ślepo wierzył. Tak, tacy oni są. Nie idealiści, jak Joe i ja, ale pełni wiary cynicy. To szczególny defekt mózgu, jakby lobotomia – okaleczenie, którym niemieccy psychiatrzy usiłują zastąpić psychoterapię.

Ich problem to sprawa seksu, stwierdziła. Coś im się tam pokręciło jeszcze w latach trzydziestych, a im dalej, tym było gorzej. Hitler zaczął to z tą… kim ona była? Jego siostrą? Ciotką? Siostrzenicą? Jego rodzina już i tak była zdegenerowana: rodzice Hitlera byli kuzynami. Wszyscy oni

nurzają się w kazirodztwie, poczynając od pierworodnego grzechu pożądania własnych matek. To dlatego te elitarne cioty z SS obnoszą takie angeliczne uśmieszki, taką blond dziecięcą niewinność; zachowują cnotę dla mamusi. Albo dla siebie nawzajem.

A kto jest tą ich mamusią? – zastanowiła się. Führer, *Herr* Bormann, który podobno jest umierający? A może ten chory?

Stary Adolf, przebywający podobno gdzieś w sanatorium, dożywający swoich dni w starczym uwiądzie. Syfilis mózgu jeszcze z czasów, gdy był lumpem w Wiedniu… długi czarny płaszcz, brudna bielizna, domy noclegowe.

Była to wyraźnie sardoniczna kara boska, jak ze starego filmu. Ten straszny człowiek porażony własnym brudem, tradycyjną karą za ludzką złość.

A najstraszniejsze jest to, że obecne imperium niemieckie jest wytworem tego mózgu. Najpierw partia, potem naród, wreszcie pół świata. A przecież naziści sami postawili diagnozę, zidentyfikowali chorobę; ten zwariowany zielarz, który leczył Hitlera, ten doktor Moreli, który go szpikował jakimiś pigułkami doktora Koestera na wzdęcia, był z wykształcenia wenerologiem. Cały świat o tym wiedział, a mimo to bełkot Führera był nadal świętością. Biblią. Jego poglądy zaraziły całą cywilizację, a teraz zaślepione, jasnowłose, nazistowskie pedały jak zarazki roznosiły chorobę na inne planety.

Z kazirodztwa rodzą się: szaleństwo, ślepota, śmierć.

Brr. Otrząsnęła się z tych myśli.

– Charley! – zawołała do kucharza. – Jak tam moje zamówienie?! – Poczuła się absolutnie sama; wstała, podeszła do baru i usiadła blisko kasy.

Nikt nie zwracał na nią uwagi poza tym młodym Włochem kierowcą, który nie spuszczał z niej wzroku. Na imię miał Joe. Ciekawe, jak się

nazywa, pomyślała.

Z bliska zobaczyła, że nie jest tak młody, jak sądziła. Trudno było odgadnąć, otaczające go napięcie zbijało z tropu. Raz po raz przejeżdżał dłonią po włosach, zaczesując je do tyłu zakrzywionymi, sztywnymi palcami. Jest coś szczególnego w tym człowieku, myślała. Jakaś aura śmierci. To ją niepokoiło i jednocześnie pociągało. Starszy kierowca pochylił się i coś mu szepnął na ucho. Teraz przyglądali się jej obaj, ale nie było to zwykłe męskie zainteresowanie.

– Proszę pani – zaczął starszy kierowca. U obu znać było teraz napięcie. – Czy wie pani, co to jest? – Pokazał płaskie białe pudełko, niezbyt duże.

– Wiem – powiedziała Juliana. – Nylonowe pończochy. Ze sztucznego włókna produkowanego wyłącznie przez nowojorski I.G. Farben. Bardzo rzadkie i drogie.

– Monopol to niezły pomysł, trzeba to Niemcom przyznać. – Starszy kierowca podał pudełko koledze, który łokciem popchnął je w stronę Juliany.

– Ma pani wóz? – spytał młodszy kierowca między dwoma łykami kawy.

Z kuchni wyszedł Charley z jej talerzem.

– Mogłaby mnie pani podrzucić do tego miejsca. Do tego motelu, gdzie mam nocować. – Nadal przyglądał jej się badawczo swymi szalonymi oczami, co ją napawało niepokojem i zarazem coraz bardziej fascynowało.

– Tak – odpowiedziała. – Mam wóz, starego studebakera.

Charley spojrzał na nią, potem na młodego kierowcę i postawił talerz przed nią na barze.

Z głośnika na końcu przejścia rozległo się: *Achtung, meine Damen und Herren*. Pan Baynes poruszył się w fotelu, otworzył oczy. Przez okienko po

prawej widział w dole brunatnozielony ląd, a dalej błękit. Pacyfik. Zrozumiał, że rakieta rozpoczęła długie, powolne lądowanie.

Najpierw po niemiecku, potem po japońsku i wreszcie po angielsku głośnik zapowiedział, że nie należy palić ani odpinać pasów bezpieczeństwa. Lądowanie, oświadczył głośnik, potrwa osiem minut.

Silniki hamujące włączyły się tak nagle i głośno, tak zatrzęsły statkiem, że wielu pasażerów aż jęknęło. Pan Baynes uśmiechnął się i siedzący po drugiej stronie przejścia młody, krótko ostrzyżony blondyn odpowiedział mu uśmiechem.

– *Sie furchten das*… – zaczął młody człowiek, ale pan Baynes przerwał mu po angielsku:

– Żałuję, ale nie znam niemieckiego.

Młody Niemiec spojrzał na niego pytająco, więc powtórzył to samo po niemiecku.

– Nie Niemiec? – spytał tamten zdziwiony, łamaną angielszczyzną.

– Jestem Szwedem – odpowiedział Baynes.

– Wsiadł pan na Tempelhof.

– Tak, byłem w Niemczech w interesach. W mojej pracy odwiedza się wiele krajów.

Młody Niemiec wyraźnie nie mógł uwierzyć, że w nowoczesnym świecie ktoś, kto załatwia międzynarodowe interesy i lata, stać go na latanie, najnowszymi rakietami Lufthansy, nie umie albo nie chce mówić po niemiecku. – W czym pan pracuje, *mein Herr*? – zapytał Baynesa.

– W plastikach. Poliestry, żywice. Erzace na użytek przemysłu. Żadnych artykułów konsumpcyjnych.

– To Szwecja ma przemysł *plastikowy*? – Niedowierzanie.

– Tak, i to bardzo dobry. Jeżeli da mi pan swoje nazwisko, każę panu wysłać broszurę naszej firmy. – Pan Baynes wyjął pióro i notes.

– Nie warto. Szkoda dla mnie. Jestem artystą, nie handlowcem. Bez urazy. Może widział pan moje prace na kontynencie? Alex Lotze. – Czekał.

– Niestety, nie jestem znawcą sztuki nowoczesnej. Lubię starych, przedwojennych kubistów i abstrakcjonistów. Lubię, żeby obraz coś znaczył, a nie tylko przedstawiał ideał – powiedział pan Baynes i odwrócił się.

– Ale to jest cel sztuki – zaprotestował Lotze. – Rozwijać ducha, przezwyciężać zmysłowość. Pańska sztuka abstrakcyjna reprezentuje okres duchowej dekadencji, duchowego chaosu związanego z rozpadem starego, plutokratycznego społeczeństwa. Międzynarodowe żydostwo i kapitalistyczni milionerzy popierali dekadencką sztukę, ale te czasy minęły. Sztuka musi się rozwijać, nie może stać w miejscu.

Baynes kiwnął głową, wyglądając przez okno.

– Czy był pan już w Pacyfidzie? – spytał Lotze.

– Wiele razy.

– Ja nie. W San Francisco jest wystawa moich prac, zorganizowana przez urząd doktora Goebbelsa w porozumieniu z władzami japońskimi. Wymiana kulturalna dla pogłębienia zrozumienia i dobrej woli. Musimy łagodzić napięcie między Wschodem i Zachodem, nie sądzi pan? Musimy mieć więcej kontaktów, a sztuka może tu pomóc.

Baynes kiwnął głową. W dole, za pierścieniem ognia z dysz wylotowych, widać było miasto San Francisco i Zatokę.

– Gdzie się jada w San Francisco? – pytał Lotze. – Mam rezerwację w hotelu Palace, ale słyszałem, że można znaleźć dobre jedzenie w dzielnicy międzynarodowej, w Chinatown.

– To prawda – powiedział Baynes.

– Czy w San Francisco ceny są wysokie? Muszę się rozliczyć z tej wycieczki. Ministerstwo jest bardzo skąpe – roześmiał się Lotze.

– Zależy, po jakim kursie pan wymieni. Przypuszczam, że ma pan czeki Reichsbanku. Radzę udać się do Banku Tokijskiego przy Samson Street i tam wymienić.

– *Danke sehr* – powiedział Lotze. – Wymieniłbym w hotelu.

Rakieta była już prawie na ziemi. Baynes widział teraz lotnisko, hangary, parkingi, autobahnę do miasta, domy mieszkalne… Ładny widok, pomyślał. Góry, woda i strzępy mgły unoszące się nad Złotymi Wrotami.

– Co to jest ta ogromna budowla pod nami? – spytał Lotze. – Nie dokończona, otwarta z jednej strony. Kosmodrom? Myślałem, że Japończycy nie mają statków kosmicznych.

– To stadion baseballowy Złoty Mak – wyjaśnił Baynes z uśmiechem.

Lotze roześmiał się.

– Tak, oni kochają baseball – powiedział. – Niewiarygodne. Rozpoczęli tak wielką budowlę dla celów rozrywkowych, dla głupiego sportu…

– Budowla jest skończona – przerwał mu Baynes. – To jest właściwy kształt. Jest z jednej strony otwarta. Nowoczesne rozwiązane. Są z tego bardzo dumni.

– Wygląda – powiedział Lotze, spoglądając w dół – jakby to projektował jakiś Żyd.

Baynes przyglądał mu się uważnie. Przez moment bardzo silnie odczuł jakieś niezrównoważenie, jakiś psychopatyczny feler niemieckiego umysłu. Czy Lotze rzeczywiście tak myśli? Czy to była rzeczywiście szczera uwaga?

– Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w San Francisco – powiedział Lotze, kiedy rakieta dotknęła ziemi. – Będę w kłopocie, nie mogąc porozmawiać z rodakiem.

– Nie jestem pańskim rodakiem – stwierdził Baynes.

– O tak, to prawda. Ale rasowo jesteśmy bardzo sobie bliscy. Można powiedzieć, że należymy do tej samej rasy. – Lotze zaczął się wiercić na fotelu, szykując do uwolnienia ze skomplikowanej uprzęży.

Czy naprawdę jestem bliski rasowo temu człowiekowi? – pomyślał Baynes. Czy rzeczywiście można powiedzieć, że należymy do tej samej rasy? W takim razie we mnie też jest to psychopatyczne pęknięcie. Cały nasz świat jest psychopatyczny. Władza jest w rękach szaleńców. Od jak dawna to wiemy? Żyjemy z tym? I… ilu z nas wie? Na pewno nie Lotze. Widocznie, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że jest niepoczytalny, to nie jest niepoczytalny. Albo wraca do zdrowia. Budzi się. Myślę, że tylko nieliczni zdają sobie z tego sprawę. Pojedynczy ludzie tu i ówdzie. Ale szerokie masy… co one myślą? Setki tysięcy mieszkańców tego miasta. Czy sądzą, że żyją w normalnym świecie? Czy też domyślają się, widzą przebłyski prawdy…?

Zresztą, pomyślał, co to znaczy niepoczytalny? Termin prawniczy. O co mi chodzi? Czuję to, widzę, ale co to jest?

To, co oni robią, czym są. Ta ich nieświadomość. Ich nieznajomość innych ludzi. Ich niewrażliwość na to, co robią z innymi, na zniszczenie, które spowodowali i powodują. Nie, pomyślał. To nie to. Sam nie wiem, wyczuwam to intuicyjnie. Ale… oni są celowo okrutni… czy o to chodzi? Nie. Boże, pomyślał. Nie potrafię tego sformułować. Oni ignorują całe fragmenty rzeczywistości. Tak, ale jest coś jeszcze. Ich plany. Podbój planet. Jest w tym coś obłąkańczego i zwyrodniałego, podobnie jak w ich podboju Afryki, a wcześniej Europy i Azji.

Ich perspektywa, zawsze kosmiczna. Nigdy tu człowiek, tam dziecko, zawsze jakaś abstrakcja: rasa, kraj. *Volk*. *Land*. *Blut*. *Ehre*. Honor nie poszczególnych ludzi, ale całej *Ehre*. Abstrakcja jest dla nich rzeczywistością, a rzeczywistość jest dla nich niewidzialna. *Die Gute*, ale

nie dobrzy ludzie, ten dobry człowiek. To wynika z ich poczucia czasu i przestrzeni. Pomijając „tutaj” i „teraz”, wpatrują się w bezkresną, czarną, niezmienną dal. A to ma katastrofalny wpływ na życie. Bo kiedyś w końcu życia nie będzie; tak jak kiedyś były tylko cząstki rozsiane w kosmosie, gorący wodór i nic więcej. I tak będzie znowu. Teraz jest przerwa, *ein Augenblick*. Kosmiczny proces bez chwili wytchnienia zgniata życie, tworząc granit i metan; czas ucieka dla wszystkich form życia. Wszystko to jest chwilowe. A oni – ci szaleńcy – tęsknią za granitem, za gazem, za tym, co nieożywione; chcą pomóc naturze.

I wiem, pomyślał, dlaczego. Chcą być podmiotem, nie ofiarą historii. Identyfikują się z boskimi mocami i wydaje im się, że są podobni bogom. To jest ich największe szaleństwo. Są opętani jakimś archetypem; ich jaźń rozrosła się psychopatycznie i już sami nie wiedzą, gdzie się zaczynają oni, a gdzie kończy się Bóg. To nie arogancja, nie pycha, ale rozdęcie do ostatecznych granic wyobrażenia o sobie – poplątanie tego, który oddaje cześć, z tym, co się czci. Człowiek nie pożarł Boga, to Bóg pożarł człowieka.

Nie rozumieją ludzkiej bezradności. Jestem słaby, mały, nic nie znaczę we wszechświecie. Wszechświat nie wie o moim istnieniu; żyję niewidzialny. Ale cóż w tym złego? Czy nie lepiej, że jest właśnie tak? Kogo bogowie zauważają, tego niszczą. Bądź mały… a unikniesz zawiści wielkich.

Odpinając swój pas, Baynes powiedział:

– Panie Lotze, nie wspomniałem o tym dotąd. Jestem Żydem. Czy pan rozumie?

Lotze spojrzał na niego z przestrachem.

– Nie można tego poznać – mówił Baynes – ponieważ zewnętrznie nie ma we mnie nic żydowskiego. Zmieniłem sobie kształt nosa, zmniejszyłem

swoje wielkie, tłuste pory, rozjaśniłem chemicznie skórę, zmieniłem kształt czaszki. Słowem, fizycznie nie można mnie zdemaskować. Mogę – i często tak robiłem – poruszać się w najwyższych sferach nazistowskich. Nikt mnie nigdy nie zdemaskuje. – Tu zbliżył się do Lotzego i mówił cicho, żeby tylko on słyszał. – Jest nas takich więcej. Słyszy pan? My nie wyginęliśmy. Żyjemy nadal. Jesteśmy niewidoczni.

– Urząd Bezpieczeństwa… – wyjąkał Lotze po chwili.

– SD może sprawdzać moje akta – powiedział Baynes. – Może mnie pan zadenuncjować, ale mam bardzo mocnych protektorów. Niektórzy to Aryjczycy, inni to Żydzi zajmujący wysokie stanowiska w Berlinie. Pański donos zostanie wyrzucony do kosza, a potem ja zadenuncjuję pana. I dzięki moim koneksjom nałożą na pana areszt zapobiegawczy. – Baynes uśmiechnął się, skinął głową i zostawił Lotzego, dołączając do wysiadających pasażerów.

Wszyscy zeszli po rampie na zimne, wietrzne lotnisko. Na dole Baynes znów znalazł się przez chwilę obok Lotzego.

– Prawdę mówiąc – powiedział Baynes, idąc koło niego – nie podoba mi się pańska gęba, panie Lotze, chyba więc zadenuncjuję pana tak czy owak – i ruszył szybciej, wyprzedzając Niemca.

Na końcu lotniska, przed wejściem na dworzec, czekał spory tłum. Krewni i przyjaciele pasażerów machają, wspinają się na palce, śmieją się, podnieceni przebiegają wzrokiem twarze przybyszów. Masywny starszy Japończyk w eleganckim angielskim płaszczu, spiczastych oxfordach i meloniku stał nieco z przodu w asyście młodszego Japończyka. W klapie płaszcza miał odznakę wszechwładnej Pacyficznej Misji Handlowej Rządu Cesarskiego. To on, domyślił się Baynes. Pan Tagomi sam się pofatygował, żeby mnie powitać.

– *Herr* Baynes! – zawołał Japończyk, robiąc kilka kroków do przodu, i niezdecydowanie pochylił głowę.

– Dobry wieczór, panie Tagomi – powiedział Baynes, wyciągając rękę. Wymienili uścisk dłoni, potem ukłony. Rozpromieniony młodszy Japończyk skłonił się również.

– Nieco chłodno na tym odsłoniętym lotnisku – powiedział pan Tagomi. – Udamy się do śródmieścia helikopterem misji. A może chciałby pan przedtem skorzystać z wygód i tak dalej? – Pan Tagomi z troską zajrzał gościowi w oczy.

– Możemy ruszać natychmiast – odparł Baynes. – Chcę się zarejestrować w hotelu. Mój bagaż…

– Pan Kotomichi się tym zajmie – przerwał mu pan Tagomi. – Przyjedzie później. Widzi pan, na tym dworcu czeka się prawie godzinę na odbiór bagażu. Dłużej, niż trwa sam lot.

Pan Kotomichi uśmiechnął się uprzejmie.

– Bardzo dobrze – zgodził się Baynes.

– Chciałbym panu wręczyć prezent – powiedział pan Tagomi.

– Prezent? – zdziwił się Baynes.

– Żeby zyskać pańską przychylność. – Pan Tagomi sięgnął do kieszeni płaszcza, skąd wyjął niewielkie pudełko. – Wybrany spośród najpiękniejszych okazów sztuki amerykańskiej dostępnych na rynku.

– Cóż – powiedział Baynes. – Dziękuję. – I przyjął pudełko.

– Przez całe popołudnie wybrani urzędnicy rozpatrywali różne możliwości. To jest najbardziej autentyczne dzieło starej, ginącej amerykańskiej kultury, rzadki zachowany okaz otoczony aurą minionych złotych czasów.

Pan Baynes otworzył pudełko. W środku, na czarnym aksamicie, leżał zegarek z Myszką Miki.

Czyżby Tagomi stroił sobie żarty? Podniósł oczy, zobaczył pełne napięcia i niepokoju oblicze pana Tagomiego. Nie, to nie był żart.

– Ogromnie panu dziękuję – powiedział. – To wprost niewiarygodne.

– Na całym świecie jest tylko kilka, może dziesięć, autentycznych zegarków z Myszką Miki z 1938 roku – powiedział pan Tagomi, wpatrując się w gościa w oczekiwaniu jego reakcji, jego zachwytu. – Nikt ze znanych mi kolekcjonerów nie posiada czegoś takiego.

Weszli do budynku dworca i zaczęli wchodzić na górę.

– *Harusame ni nuretsutsu yane no temari kana* – odezwał się za ich plecami pan Kotomichi.

– Co to jest? – spytał Baynes pana Tagomiego.

– Stary wiersz – odpowiedział pan Tagomi. – Środkowa epoka Tokugawa.

– *Wiosenna ulewa, moknie na dachu szmaciana piłka jakiegoś dziecka* – przełożył Kotomichi.

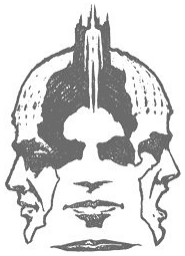

4

Frank Frink patrzył, jak jego były pracodawca kuśtyka korytarzem w kierunku głównej hali produkcyjnej Towarzystwa W-M, i myślał: to dziwne, ale Wyndam-Matson nie wygląda na właściciela fabryki. Wygląda jak obwieś z podejrzanej dzielnicy, jak pijaczyna, którego wykąpano, ostrzyżono, ogolono, któremu dano zastrzyk witamin, nowe ubranie i pięć dolarów, żeby rozpoczął nowe życie. Stary miał niepewny, nerwowy, wręcz przepraszający sposób bycia, jakby traktował wszystkich jako potencjalnych wrogów silniejszych od siebie i starał się ich ułagodzić, wkraść w ich łaski. „Załatwią mnie”, zdawało się mówić jego zachowanie.

A jednak stary W-M to była potęga. Był właścicielem poważnej części akcji różnych przedsiębiorstw i wielu nieruchomości. Nie mówiąc o zakładach Towarzystwa W-M.

Idąc za nim, Frink pchnął wielkie żelazne drzwi do głównej hali produkcyjnej. Hałas maszynerii, który słyszał codziennie przez tyle godzin, widok ludzi i maszyn, powietrze wypełnione błyskami światła, opiłkami, ruchem. Stary wszedł do hali. Frink przyśpieszył kroku.

– Cześć, panie W-M! – zawołał.

Stary zatrzymał się przy owłosionym majstrze nazwiskiem Ed McCarthy. Obaj przyglądali się podchodzącemu Frinkowi.

– Żałuję, Frank – powiedział Wyndam-Matson, oblizując nerwowo wargi – ale nie mogę cię przyjąć z powrotem. Wziąłem już kogoś na twoje miejsce, bo myślałem, że nie wrócisz. Po tym, co mi powiedziałeś. – W jego okrągłych oczkach błysnęło znane Frinkowi chyba dziedziczne zakłamanie. Stary miał je we krwi.

– Przyszedłem po swoje narzędzia – powiedział Frink. – Po nic więcej. – Jego głos, zauważył to z przyjemnością, brzmiał twardo, nawet szorstko.

– Hm, zobaczymy – mruknął niezdecydowanie W-M, zdradzając, że nie bardzo wie, jak to jest z tymi narzędziami. – Myślę, że to twoja sprawa – zwrócił się do Eda. – Załatw to z Frankiem. Ja mam inne sprawy. – Spojrzał na kieszonkowy zegarek. – Dobrze, Ed. Porozmawiamy o tych fakturach później. Teraz muszę już lecieć. – Poklepał Eda po ramieniu i podreptał, nie oglądając się za siebie.

Ed McCarthy i Frink zostali sami.

– Chciałeś wrócić do pracy? – spytał po chwili Ed McCarthy.

– Tak – przyznał Frink.

– Wczoraj byłem z ciebie dumny.

– Ja też – powiedział Frink. – Ale… nie mogę przecież pracować gdzie indzej. – Czuł się pokonany, w sytuacji bez wyjścia. – Sam wiesz. – Nieraz rozmawiali o swoich kłopotach.

– Nie, nie wiem – odrzekł McCarthy. – Na wtryskarce nie ma lepszego od ciebie na całym Wybrzeżu. Widziałem, jak machnąłeś całą sztukę w pięć minut, z pierwszą polerką włącznie. I poza spawaniem…

– Nigdy nie twierdziłem, że umiem spawać – powiedział Frink.

– Nie myślałeś nigdy, żeby założyć własny interes?

– I co niby miałbym robić? – wyjąkał zaskoczony Frink.

– Biżuterię.

– O, daj spokój!

– Oryginalne rzeczy, na zamówienie, nie seryjną tandetę. – McCarthy zaprowadził go w kąt hali, dalej od hałasu. – Za jakieś dwa tysiące dolców mógłbyś urządzić mały warsztat w piwnicy albo w garażu. Kiedyś robiłem projekty kolczyków i wisiorków. Pamiętasz, takie naprawdę nowoczesne? – Wziął kawałek papieru i zaczął rysować, powoli, z namysłem.

Zajrzawszy mu przez ramię, Frink zobaczył projekt bransolety, abstrakcyjny wzór o płynnych liniach.

– Czy będzie zbyt na coś takiego? – zapytał. Zawsze widział tylko rzeczy tradycyjne, nawet antyczne, przedmioty z przeszłości. – Nikt nie chce współczesnej sztuki amerykańskiej, coś takiego nie istnieje od wojny.

– To stwórz zapotrzebowanie – powiedział McCarthy z gniewną miną.

– Mam sam sprzedawać?

– Dostarczaj do sklepów. Takich jak ten… jakże on się nazywa? Ten duży, wykwintny sklep z dziełami sztuki na Montgomery.

– Amerykańskie Rzemiosło Artystyczne – powiedział Frink. Nigdy nie wchodził do takich modnych, drogich sklepów, podobnie jak większość Amerykanów. Tylko Japończycy mieli pieniądze, żeby tam kupować.

– Wiesz, czym handlują takie sklepy? – mówił McCarthy. – I na czym zbijają forsę? Na cholernych srebrnych sprzączkach do pasów robionych przez Indian z Nowego Meksyku. Na cholernej turystycznej tandecie taśmowej produkcji. Rzekoma egzotyka miejscowa.

Przez dłuższą chwilę Frink przyglądał się Edowi.

– Wiem, co tam jeszcze sprzedają. Ty też.

– Ja też – przyznał McCarthy.

Obaj wiedzieli, bo obaj byli z tym bezpośrednio związani, od dawna.

Towarzystwo W-M oficjalnie produkowało żeliwne schody, poręcze, kominki i ozdoby z kutego żelaza do nowych domów, wszystko masowo, ze standardowych wzorów. Do nowego budynku o czterdziestu mieszkaniach wykonywano tę samą rzecz w czterdziestu egzemplarzach. Oficjalnie Towarzystwo W-M było odlewnią żelaza, ale ubocznie prowadziło inny interes, z którego czerpało główne zyski.

Stosując różnorodne skomplikowane narzędzia, materiały i urządzenia, Towarzystwo W-M produkowało nieprzerwany strumień podrabianych przedwojennych antyków, które ostrożnie i fachowo wypuszczano do hurtowego obrotu dziełami sztuki, gdzie mieszały się z autentycznymi przedmiotami zebranymi z całego kontynentu. Podobnie jak w obrocie znaczkami i numizmatami, nikt nie potrafił ocenić, jaki procent przedmiotów na rynku stanowią falsyfikaty. I nikomu, a zwłaszcza handlarzom i samym kolekcjonerom, nie zależało na tym, żeby to wyjaśniać.

Kiedy Frink porzucił pracę, na jego warsztacie leżał nie dokończony colt z czasów Dzikiego Zachodu; on sam przygotował matryce, wykonał odlew i pracował nad ręcznym wykończeniem broni. Zapotrzebowanie na broń krótką z okresu wojny secesyjnej i podboju Dzikiego Zachodu było nieograniczone. Towarzystwo W-M mogło sprzedać tyle towaru, ile Frink wyprodukował. To była jego specjalność.

Frink wolnym krokiem podszedł do swojego warsztatu i wziął do ręki nie oszlifowany wycior do rewolweru. Jeszcze trzy dni i broń byłaby skończona. Dobra robota, pomyślał. Ekspert mógł się na tym poznać, ale japońscy zbieracze nie byli prawdziwymi znawcami, nie mieli punktu odniesienia, materiału porównawczego.

Z tego, co wiedział, nigdy nawet nie przyszło im do głowy, żeby zadać sobie pytanie, czy te tak zwane zabytkowe przedmioty sprzedawane

w sklepach Zachodniego Wybrzeża są autentyczne. Może kiedyś to zrobią… a wtedy bomba pęknie i popyt spadnie nawet na autentyki. Prawo Greshama: fałszerstwa obniżają wartość autentyków. To niewątpliwie było przyczyną milczenia w tej sprawie; ostatecznie wszyscy przecież byli zadowoleni. Fabryczki w różnych miastach, produkujące te rzeczy, dawały zysk. Hurtownicy rozprowadzali towar, a detaliści wystawiali i reklamowali. Zbieracze bulili i uszczęśliwieni dźwigali swoje zakupy do domu, żeby zadziwiać nimi kolegów z pracy, sąsiadów i przyjaciółki.

Podobnie jak powojenne papierowe pieniądze, antyki miały wartość, dopóki się ich nie kwestionowało. Nikomu nie działa się krzywda, aż do dnia ostatecznego rozrachunku. A wtedy wszyscy będą jednakowo zrujnowani. Ale na razie nikt o tym nie wspominał, nawet ci, którzy żyli z produkcji fałszywych antyków; starali się nie myśleć o tym, co robią, skupiając całą uwagę na kwestiach technicznych.

– Kiedy przestałeś projektować rzeczy oryginalne? – spytał McCarthy.

Frink wzruszył ramionami.

– Wiele lat temu. Potrafię diablo dobrze kopiować, ale…

– Wiesz, co ja myślę? Myślę, że zaraziłeś się hitlerowską propagandą. Uwierzyłeś, że Żydzi nie potrafią tworzyć, tylko naśladują i sprzedają. Pośrednicy. – McCarthy zatrzymał na Frinku bezlitosne spojrzenie.

– Możliwe – przyznał Frink.

– Spróbuj. Zrób jakieś oryginalne wzory. Albo pracuj bezpośrednio w metalu. Pobaw się. Bądź jak dziecko.

– Nie – powiedział Frink.

– Brak ci wiary. Straciłeś zupełnie wiarę w siebie. Wielka szkoda, bo wiem, że stać cię na to. – McCarthy odszedł od warsztatu.

Rzeczywiście wielka szkoda, pomyślał Frink. Ale to fakt. Taka jest prawda. Nie potrafię zmusić się do wiary i entuzjazmu dlatego tylko, że tak

trzeba.

Ten McCarthy to diabelnie dobry majster. Potrafi dać człowiekowi ostrogę, sprowokować do największego wysiłku, do dania z siebie wszystkiego nawet wbrew sobie. To urodzony przywódca, na chwilę prawie i mnie przekonał. Ale teraz McCarthy odszedł, jego namowy nie odniosły skutku.

Szkoda, że nie mam przy sobie wyroczni, myślał Frink. Poradziłbym się w tej sprawie, skorzystał z pięciu tysięcy lat jej doświadczenia. Nagle przypomniał sobie, że egzemplarz *I-cing* znajduje się w hallu części administracyjnej Towarzystwa W-M, i czym prędzej pośpieszył tam korytarzem łączącym zakłady z biurami.

W hallu usiadł na metalowo-plastikowym krześle i zapisał pytanie na odwrocie koperty: „Czy powinienem spróbować zająć się własną twórczością, tak jak mi to zaproponowano?”, po czym zaczął rzucać monety.

W dolnej linijce wypadła siódemka, w drugiej i trzeciej też. A zatem dolny trygram to *Ch’ien*. Zapowiadało się dobrze; *Ch’ien* oznacza siłę twórczą. Potem linia czwarta, osiem. *In*. Linia piąta, też osiem. Wielki Boże, pomyślał podniecony; jeszcze jedna linia *in* i będzie heksagram jedenasty. *T’ai*, Pokój. Bardzo przychylne orzeczenie. Albo… ręce mu drżały, gdy potrząsał monetami, linia *jang* i heksagram dwudziesty szósty, *Ta ch’u*, Wielki Karmiciel. Oba znaki bardzo przychylne i musi wypaść jeden z nich, rzucił trzy monety. *In*. Szóstka. A więc Pokój. Otworzył książkę i odczytał orzeczenie.

Pokój. Podłe oddala się, wielkie nadchodzi.
Powodzenie. Sukces.

Powinienem więc zrobić tak, jak radzi Ed McCarthy. Otworzyć własny mały interes. Teraz jeszcze szóstka na górze, jedyna ruchoma linia. Odwrócił stronę. Co mówi tekst? Nie pamiętał, ale powinno to być coś przychylnego, bo cały heksagram jest bardzo przychylny: połączenie nieba i ziemi. Ale pierwsza i ostatnia linia są zawsze poza heksagramem, więc może szóstka na górze…

Jego oczy znalazły właściwy tekst i odczytały błyskawicznie:

> Mur zwalił się do fosy. Nie występuj zbrojnie, ale utrzymuj porządek w mieście. Choć postąpisz słusznie, nie unikniesz oskarżeń.

– Mój nadwerężony kręgosłup! – jęknął przerażony. A potem przeczytał komentarz:

> Zmiana zaznaczająca się w połowie heksagramu zaczyna zachodzić. Mury miasta, waląc się, zasypują fosę. Zbliża się godzina klęski.

Była to niewątpliwie najbardziej złowróżbna ze wszystkich trzech tysięcy linii zawartych w tej księdze. A mimo to orzeczenie było przychylne.

Czym miał się kierować?

Jakim cudem wyroki mogą być tak różne? Nigdy dotąd nie przytrafiło mu się, żeby w orzeczeniu wyroczni pomieszały się powodzenie i klęska; dziwny los, zupełnie jakby wyrocznia wyskrobała dno beczki, wyrzuciła stamtąd wszystkie szmaty, kości i inne świństwa, a potem rozmyśliła się i wrzuciwszy te śmieci z powrotem, zalała je światłem, jak kucharz, który nagle oszalał. Musiałem nacisnąć dwa klawisze naraz, uznał Frink; maszyneria się zacięła i stąd ten pokraczny obraz rzeczywistości. Na szczęście to tylko na chwilę, to nie potrwa długo.

Do diabła, pomyślał, musi być albo jedno, albo drugie. Obie te rzeczy nie mogą występować jednocześnie. Nie można mieć powodzenia i klęski naraz.

A może… można.

Interes z biżuterią przyniesie sukces, orzeczenie odnosi się do tego. Ale ta linia, ta cholerna linia musi się odnosić do czegoś leżącego głębiej, do jakiejś przyszłej katastrofy, może nawet zupełnie nie związanej z produkcją biżuterii. To zły los, który mnie czeka niezależnie od tego, co zrobię…

Wojna! – pomyślał. Trzecia wojna światowa! Całe pieprzone dwa miliardy ludzi zgładzone, cywilizacja starta z powierzchni ziemi, bomby wodorowe sypiące się jak grad.

Oj, gewałt! – pomyślał. Co się dzieje? Czyżbym to ja uruchomił maszynę? Albo ktoś inny coś knuje, ktoś, kogo mogę nawet nie znać? A może to my wszyscy? Przeklęci fizycy i ta ich teoria synchroniczności, zgodnie z którą każda cząstka ma powiązania z pozostałymi; każde pierdnięcie narusza równowagę wszechświata. W ten sposób życie staje się jednym wielkim dowcipem, tyle że nie ma tego, co się śmieje. Otwieram księgę i otrzymuję sprawozdanie z przyszłych wydarzeń, które nawet Pan Bóg chciałby czym prędzej schować do akt i wymazać z pamięci. A kim ja jestem? Jedno jest pewne: to nie na moją głowę.

Powinienem zabrać swoje narzędzia, wziąć od McCarthy’ego silniki, otworzyć swój warsztat i uruchomić swój zafajdany interes, nie bacząc na tę złowieszczą linię. Powinienem do końca pracować twórczo w swojej dziedzinie, żyć najlepiej, jak umiem, jak najaktywniej, dopóki mury nie zwalą się do fosy, grzebiąc nas wszystkich, całą ludzkość. To właśnie wyrocznia chciała mi powiedzieć. Prędzej czy później los wszystkich nas pośle na szafot, ale do tego czasu muszę robić swoje, muszę pracować głową i rękami.

Orzeczenie dotyczyło wyłącznie mnie, mojej pracy, ale ta linia mówiła o nas wszystkich.

Jestem zbyt drobną płotką, pomyślał. Mogę tylko przeczytać to, co jest napisane, a potem schylić głowę i pójść dalej swoją drogą, jakby nigdy nic; wyrocznia nie oczekuje ode mnie, że wybiegnę na ulicę i zacznę krzyczeć, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Czy w ogóle ktoś tu może coś zmienić? Wszyscy razem… albo jeden wielki człowiek… albo ktoś zajmujący kluczowe stanowisko, kto znajdzie się we właściwym czasie we właściwym miejscu? Los szczęścia. Przypadek. I od tego zależy przyszłość nas wszystkich, całego świata.

Frink zamknął książkę i wrócił z hallu do zakładów. Ujrzawszy McCarthy’ego, przywołał go gestem na bok, gdzie mogli wrócić do przerwanej rozmowy.

– Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się twój pomysł podoba – zaczął Frink.

– To dobrze – powiedział McCarthy. – A teraz powiem ci, co masz zrobić. Musisz wyciągnąć pieniądze od Wyndama-Matsona. – Tu zrobił oko, nieśpieszny, mocny skurcz powieki. – Wymyśliłem sposób. Ja też wymówię i zrobię z tobą spółkę. Moje projekty, rozumiesz. Co w tym złego? Wiem, że są dobre.

– Jasne – przyznał nieco oszołomiony Frink.

– Spotkamy się po pracy wieczorem – powiedział McCarthy. – U mnie w domu. Przyjdź koło siódmej, to zjesz z nami kolację, jeżeli wytrzymasz z dzieciakami.

– Dobra – rzucił Frink.

McCarthy klepnął go po ramieniu i odszedł.

Jak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu minut, pomyślał Frink. Ale nie czuł lęku, był teraz ożywiony.

Wszystko zdarzyło się tak nagle, myślał, podchodząc do warsztatu. Zaczął zbierać narzędzia. Chyba tak właśnie zwykle bywa. Kiedy trafia się okazja…

Czekałem na to przez całe życie. Kiedy wyrocznia powiada, że musi się coś osiągnąć, to właśnie o to jej chodzi. Że chwila jest naprawdę sprzyjająca. Więc jaka jest ta chwila? Szóstka na górze w heksagramie jedenastym zmienia wszystko, prowadzi do heksagramu dwudziestego szóstego, Wielkiego Karmiciela. *In* zmienia się w *jang*; linia porusza się i następuje nowy moment, nowy układ. A ja byłem tak wytrącony z równowagi, że tego nie zauważyłem!

Założę się, że dlatego wypadła mi ta feralna linia; jest to jedyny sposób, żeby heksagram jedenasty mógł przejść w dwudziesty szósty. Nie było więc powodu, żeby robić w spodnie ze strachu.

A jednak mimo przypływu optymizmu nie potrafił całkiem zapomnieć o tej linii.

Tak czy owak, pomyślał z ironią, zrobię wszystko, co w mojej mocy, może do siódmej wieczorem uda mi się wyrzucić ją z głowy, jakby nigdy nic.

Mam nadzieję, myślał. Bo to spotkanie z Edem jest ważne. Czuję, że on ma jakiś kapitalny pomysł, i nie chciałbym tego przepuścić.

Teraz jestem zerem, ale jeżeli ten projekt wypali, może uda mi się odzyskać Julianę. Wiem, czego jej potrzeba: chciałaby być żoną człowieka, który cieszy się poważaniem, a nie jakiegoś *meszuge*. Dawniej, jeszcze przed wojną, mężczyźni byli mężczyznami, ale teraz to już historia.

Nic dziwnego, że przenosi się z miejsca na miejsce, od mężczyzny do mężczyzny, że szuka. I sama nawet nie wie czego. Ale ja wiem i dzięki temu wielkiemu interesowi z McCarthym – licho wie, na czym on ma polegać – zdobędę to dla niej.

Robert Childan zamknął swój sklep na przerwę obiadową. Zwykle jadał w barze naprzeciwko i opuszczał sklep nie na dłużej niż pół godziny, a tego dnia był z powrotem już po dwudziestu minutach.

Może zrezygnować z wizyt u klientów, myślał, wracając, załatwiać wszystko w sklepie?

Dwie godziny na demonstrację okazów. O wiele za długo. W sumie cztery godziny; nie warto już otwierać sklepu. Całe popołudnie, żeby sprzedać jeden przedmiot, jeden zegarek z Myszką Miki; droga rzecz, ale jednak… Otworzył sklep, zostawił drzwi szeroko otwarte i poszedł na zaplecze powiesić płaszcz.

Kiedy wrócił, stwierdził, że ma klienta. Białego. No cóż, pomyślał. Niespodzianka.

– Moje uszanowanie panu – powiedział Childan z lekkim ukłonem. Zapewne pinokio. Szczupły, raczej czarniawy, modnie ubrany. Ale nie czuje się zbyt swobodnie. Lekki połysk potu na czole.

– Dzień dobry – odpowiedział przybysz, rozglądając się po gablotach. Potem nagle podszedł do lady. Sięgnął do kieszeni i wyjął małe, lśniące, skórzane pudełeczko z barwnymi, wymyślnie ozdobnymi wizytówkami.

Herb cesarski i insygnia wojskowe. Marynarka. Admirał Harusha. Childan obejrzał wizytówkę z szacunkiem.

– Okręt admiralski – wyjaśnił gość – stoi obecnie w Zatoce San Francisco. Lotniskowiec *Syokaku*.

– Ach tak.

– Admirał Harusha jest po raz pierwszy na Zachodnim Wybrzeżu – ciągnął przybysz. – Jednym z jego pragnień jest osobista wizyta w pańskim

słynnym sklepie. W kraju wciąż tylko słyszał o Amerykańskim Rzemiośle Artystycznym.

Childan skłonił się mile połechtany.

– Jednak – mówił gość – ze względu na nawał zajęć admirał nie może sam odwiedzić pańskiego szacownego sklepu i wysłał mnie. Jestem jego kamerdynerem.

– Czy admirał jest kolekcjonerem? – spytał Childan, podczas gdy jego umysł pracował gorączkowo.

– Admirał jest miłośnikiem sztuki. Koneserem, ale nie zbieraczem. To, czego szuka, ma być prezentem. Krótko mówiąc, admirał pragnie obdarować wszystkich oficerów swojego okrętu cennym zabytkowym przedmiotem, bronią krótką z czasów heroicznej amerykańskiej wojny secesyjnej. – Gość zawiesił głos. – Na okręcie jest dwunastu oficerów.

Dwanaście rewolwerów z okresu wojny secesyjnej, pomyślał Childan. Cena sprzedaży prawie dziesięć tysięcy dolarów. Przeszedł go dreszcz.

– Jak dobrze wiadomo – ciągnął gość – pański sklep sprzedaje takie bezcenne zabytkowe przedmioty z kart amerykańskiej historii. Niestety, zbyt gwałtownie odchodzącej w przeszłość.

Niezwykle ostrożnie dobierając słowa – nie można wypuścić takiej okazji z rąk, ani jednego fałszywego kroku – Childan powiedział:

– Tak, to prawda. Mam w swoim sklepie najpiękniejszy wybór broni z wojny secesyjnej na całym Zachodnim Wybrzeżu. Będę szczęśliwy, mogąc służyć admirałowi. Czy mam zebrać wspaniałą kolekcję i dostarczyć ją na pokład *Syokaku*? Dziś po południu może?

– Nie – odpowiedział przybysz. – Obejrzę broń na miejscu.

Dwanaście. Childan przeprowadził w myślach rachunek. Nie miał dwunastu sztuk, miał zaledwie trzy. Ale przy odrobinie szczęścia mógł

różnymi kanałami zgromadzić dwanaście w ciągu tygodnia. Ekspres lotniczy ze Wschodu, na przykład. I miejscowi dostawcy hurtowi.

– Czy pan sam – spytał Childan – zna się na takiej broni?

– Jako tako – odpowiedział gość. – Mam niewielki zbiór broni krótkiej, łącznie z miniaturowym zakamuflowanym pistoletem wyglądającym jak kostka domina. Rok 1840.

– Wyjątkowy okaz – przyznał Childan, odchodząc do sejfu po broń dla kamerdynera admirała Harushy.

Wróciwszy, stwierdził, że klient wypełnia czek. Gość zatrzymał pióro i powiedział:

– Admirał pragnie zapłacić z góry. Depozyt wysokości piętnastu tysięcy dolarów PSA.

Childan poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp, ale udało mu się opanować i nawet nadać głosowi ton lekkiego znudzenia.

– Jak pan sobie życzy. To nie jest konieczne, zwykła formalność handlowa. – Stawiając na ladzie pudło ze skóry i filcu, dodał: – Oto rzadki colt czterdzieści cztery z roku 1860. – Otworzył pudło. – Czarny proch i kula. Wyposażenie armii Stanów Zjednoczonych. Chłopcy w granatowych mundurach mieli takie na przykład w drugiej bitwie nad Bull Run.

Gość przez dłuższą chwilę oglądał broń, a potem podniósłszy wzrok, powiedział spokojnie:

– To jest imitacja, proszę pana.

– Słucham? – spytał Childan, nie rozumiejąc.

– Ta rzecz ma nie więcej niż sześć miesięcy. Pański towar to falsyfikat. Jestem bardzo zmartwiony. O, proszę. To drewno tutaj. Sztucznie postarzane kwasem. Wielka szkoda. – I odłożył broń.

Childan podniósł broń i stał, trzymając ją w obu dłoniach. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Obracając rewolwer w rękach, wyjąkał wreszcie:

– To niemożliwe.

– Imitacja autentycznej zabytkowej broni. Nic więcej. Obawiam się, że został pan oszukany. Zapewne przez jakiegoś łobuza bez skrupułów. Powinien pan zawiadomić o tym policję. – Gość skłonił się. – To mnie zasmuca. Inne pana rzeczy mogą być także podrabiane. Czy to możliwe, że pan, właściciel sklepu, człowiek zajmujący się handlem antykami, nie potrafi odróżnić falsyfikatu od autentyku?

Cisza.

Gość zgarnął z lady nie wypełniony do końca czek. Włożył go do kieszeni, schował pióro i skłonił się.

– Wielka szkoda, ale niestety nie mogę zawrzeć tej transakcji z Amerykańskim Rzemiosłem Artystycznym. Admirał Harusha będzie rozczarowany. Myślę, że rozumie pan moje stanowisko.

Childan nie odrywał wzroku od broni.

– Do widzenia panu – powiedział gość. – Proszę przyjąć moją nieśmiałą radę i wynająć jakiegoś eksperta do oceny pańskich nabytków. Pańska reputacja… jestem pewien, że sam pan rozumie.

– Gdyby szanowny pan mógł… – wyjąkał Childan.

– Może pan być spokojny. Nie wspomnę o tym nikomu. Powiem admirałowi, że pański sklep był dziś niestety zamknięty. Ostatecznie – gość zatrzymał się w drzwiach – jesteśmy obaj białymi. – Skłonił się jeszcze raz i odszedł.

Childan został sam z rewolwerem w rękach.

To niemożliwe, myślał.

Ale widocznie to prawda. Wielki Boże. Jestem zrujnowany. Straciłem transakcję na piętnaście tysięcy dolarów. I reputację, jeżeli sprawa się wyda. Jeżeli ten kamerdyner admirała Harushy nie zachowa dyskrecji.

Zabiję się, postanowił. Straciłem pozycję. Nie mam po co dłużej żyć.

Z drugiej strony ten człowiek mógł się pomylić.

A może kłamał?

Mógł być nasłany przez Amerykańskie Antyki, żeby mnie zniszczyć. Albo przez Zachodni Salon Sztuki.

W każdym razie przez konkurencję.

Broń jest niewątpliwie autentyczna.

Jak to sprawdzić? Childan myślał gorączkowo. Aha. Dam broń do przebadania na Wydziale Penologii Uniwersytetu Kalifornijskiego. Mam tam kogoś znajomego, w każdym razie miałem. Podobno taka historia kiedyś się już zdarzyła. Rzekoma nieautentyczność starej odtylcówki.

Czym prędzej zadzwonił do jednej z licencjonowanych agencji i zamówił posłańca. Następnie zapakował rewolwer i napisał notatkę do laboratorium uniwersytetu, w której poprosił, żeby natychmiast dokonali fachowej oceny wieku broni i o wyniku zawiadomili go telefonicznie. Przyszedł posłaniec; Childan dał mu list, paczkę, adres i kazał mu lecieć helikopterem. Człowiek odszedł i Childan zaczął chodzić po sklepie i czekał… czekał.

O trzeciej zadzwonili z uniwersytetu.

– Panie Childan – odezwał się głos – życzył pan sobie ekspertyzy wojskowego colta wzór 1860. – Chwila ciszy, Childan ściska słuchawkę z napięciem. – Oto sprawozdanie laboratorium. Jest to imitacja odlana z plastikowych matryc, poza częściami drewnianymi. Numer seryjny fałszywy. Szkielet nie jest hartowany metodą cyjanowania. Zarówno brązowe, jak i błękitne powierzchnie uzyskano za pomocą nowoczesnej obróbki szybkościowej, całą broń sztucznie postarzono, aby nadać jej pozory rzeczy wiekowej i używanej.

– Człowiek, który przyniósł mi ją do oceny… – powiedział Childan przez ściśnięte gardło.

– Niech mu pan powie, że dał się oszukać – przerwał mu technik z uniwersytetu. – I to bardzo. To robota autentycznego fachowca. Widzi pan, prawdziwa broń miała części z tego błękitnego metalu. Wkładano je do pojemnika ze skrawkami skóry, napełniano go cyjankiem i podgrzewano. Dzisiaj to zbyt pracochłonne. Ale tę broń wykonano w dobrze wyposażonym warsztacie. Wykryliśmy cząsteczki różnych środków użytych do polerowania i wykończenia. Niektóre z nich są bardzo ciekawe. Nie możemy tego udowodnić, ale wiemy, że istnieje cały przemysł produkujący takie imitacje. Musi istnieć, bo widzieliśmy zbyt wiele podobnych rzeczy.

– Nie – powiedział Childan. – To tylko plotka. Mogę stwierdzić to z całą pewnością. – Głos Childana podniósł się i załamał zgrzytliwie. – Kto jak kto, ale ja coś wiem na ten temat. Nie myśli pan chyba, że wysłałem to do was przypadkiem? Wyczułem, że to fałszerstwo, dzięki wieloletniej praktyce. Coś takiego jest rzadkością, dziwactwem. Właściwie żartem. – Na chwilę umilkł zdyszany. – Dziękuję za potwierdzenie moich podejrzeń. Proszę mi przysłać rachunek. Jeszcze raz dziękuję. – Odwiesił słuchawkę.

Natychmiast wyciągnął księgi handlowe, żeby odszukać źródło broni. Skąd się u niego wzięła? Od kogo?

Nadeszła, jak stwierdził, od jednego z największych hurtowników w San Francisco. Ray Calvin i Spółka przy Van Ness. Zadzwonił do nich natychmiast.

– Chcę rozmawiać z panem Calvinem – powiedział. Głos mu się już nieco uspokoił.

– Słucham – odezwał się opryskliwie ktoś najwyraźniej bardzo zajęty.

– Tu Bob Childan. Amerykańskie Rzemiosło Artystyczne, Montgomery Street. Ray, mam delikatną sprawę. Muszę z panem porozmawiać w cztery

oczy, u pana w biurze albo gdzie indziej. Proszę mnie posłuchać dla swego własnego dobra. – Stwierdził, że ryczy w słuchawkę.

– Zgoda – powiedział Ray Calvin.

– Proszę nikomu o tym nie mówić. Sprawa absolutnie poufna.

– O czwartej?

– Może być o czwartej – zgodził się Childan. – U pana w biurze. Do widzenia. – Trzasnął słuchawką z taką złością, że aparat spadł na podłogę; pozbierał go i odstawił na miejsce.

Miał pół godziny do wyjścia; całe pół godziny, żeby chodzić z kąta w kąt w bezradnym wyczekiwaniu. Co tu robić? Myśl. Zadzwonił do miejscowej redakcji tokijskiego „Heralda” przy Market Street.

– Chciałbym prosić o informację – odezwał się – czy lotniskowiec *Syokaku* jest obecnie w porcie, a jeżeli tak, to na jak długo. Będę bardzo wdzięczny za tę informację z waszej szacownej redakcji.

Nerwowa chwila wyczekiwania, wreszcie sekretarka wróciła.

– Według naszej kartoteki – powiedziała, chichocząc – lotniskowiec *Syokaku* leży na dnie oceanu koło Filipin. Został zatopiony przez amerykańską łódź podwodną w roku 1945. Czy możemy pomóc panu w czymś jeszcze? – Tam w redakcji wyraźnie spodobał się głupawy kawał, jaki mu zrobiono.

Odłożył słuchawkę. Lotniskowca *Syokaku* nie ma od siedemnastu lat. Zapewne nie ma też admirała Harushy. Nieznajomy był oszustem. A jednak.

A jednak mówił prawdę. Colt był podrobiony.

Wszystko to nie miało sensu.

Może tamten człowiek jest aferzystą, który chce zmonopolizować handel bronią krótką z okresu wojny secesyjnej. Musi też być ekspertem, skoro rozpoznał falsyfikat. Musi być nie lada specjalistą.

Tylko specjalista mógł się na tym poznać. Ktoś z branży, nie zwykły kolekcjoner.

Childan poczuł lekką ulgę. Niewielu jest takich. Może nie ma takiego drugiego. Sprawa się nie wyda.

Nie przejmować się?

Zastanowił się. Nie. Musi to zbadać. Przede wszystkim odzyskać pieniądze, wyegzekwować od Raya Calvina nadpłatę. I posłać całą posiadaną broń do ekspertyzy.

A jeżeli większość to falsyfikaty?

Trudna sprawa.

Jedno jest pewne, postanowił. Czuł przypływ determinacji. Pójdzie do Raya Calvina. Rozmówi się z nim w cztery oczy. Zażąda, żeby sprawdził pochodzenie falsyfikatu. Może on też jest niewinny. A może nie. W każdym razie powie mu, że jeszcze jedno fałszerstwo i już nigdy nic od niego nie kupi.

Calvin będzie musiał sam pokryć stratę, postanowił Childan. Jeżeli się nie zgodzi, skontaktuję się z innymi detalistami, powiem im, zniszczę mu reputację. Dlaczego tylko ja mam być zrujnowany? Przekażę to tym, którzy są za wszystko odpowiedzialni. Niech sobie przerzucają ten gorący kartofel z ręki do ręki.

Ale wszystko musi się odbyć w największej tajemnicy. Sprawa musi pozostać między nami.

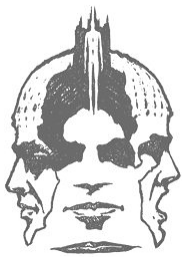

5

Telefon Raya Calvina zaskoczył Wyndama-Matsona. Nie zrozumiał, o co chodzi, częściowo dlatego, że Calvin mówił tak szybko, a częściowo dlatego, że było wpół do dwunastej w nocy i Wyndam-Matson podejmował damę w swoim apartamencie w hotelu Muromachi.

– Posłuchaj, przyjacielu – powiedział Calvin – odsyłamy cały wasz ostatni transport. Odesłałbym też i poprzednie, ale zostały już zapłacone. Data wysyłki osiemnasty maja.

Wyndam-Matson zażądał oczywiście wyjaśnień.

– To są nędzne falsyfikaty – powiedział Calvin.

– Przecież wiedziałeś. – Wyndam-Matson był zdumiony. – Słuchaj, Ray, od początku wiedziałeś, o co chodzi. – Rozejrzał się: dziewczyny nie było, zapewne wyszła do łazienki.

– Wiedziałem, że to są falsyfikaty – powiedział Calvin. – Nie o tym mówię. Mówię, że są nędzne. Nic mnie nie obchodzi, czy rewolwer, który mi przysyłasz, był rzeczywiście używany w wojnie secesyjnej. Chcę tylko, żeby to był colt czterdzieści cztery, zgodny z opisem w katalogu. Słuchaj, czy wiesz, kto to jest Robert Childan?

– Tak. – Coś mu chodziło po głowie, ale w tej chwili nie potrafił skojarzyć nazwiska z osobą. Ktoś ważny.

– Był dziś u mnie. W biurze. Dzwonię do ciebie z biura, nie z domu. Wciąż jeszcze siedzimy nad tą sprawą. W każdym razie przyszedł dziś do mnie z długą opowieścią. Był wściekły jak diabli. Naprawdę. Otóż jakiś jego ważny klient, jakiś japoński admirał, przyszedł czy też przysłał kogoś. Childan wspominał o zamówieniu na dwadzieścia tysięcy dolarów, ale to pewnie przesada. W każdym razie ten Japończyk przyszedł – i nie mam podstaw, żeby wątpić w tę część opowieści – chciał kupić, ale rzucił tylko okiem na jeden z tych coltów czterdzieści cztery waszej roboty i poznał się od razu. Schował forsę z powrotem do kieszeni i wyszedł. Co ty na to?

Wyndam-Matson nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale natychmiast pomyślał, że to robota Frinka i McCarthy’ego. Odgrażali się, że coś zrobią, i to musi być to. Nie rozumiał tylko, jak to zrobili; opowieść Calvina nie bardzo trzymała się kupy.

Poczuł prawie zabobonny lęk. Jak ci dwaj zdołali spreparować broń wyprodukowaną w lutym? Przypuszczał, że mogą pójść na policję, do gazet albo nawet do władz w Sac, i oczywiście wszystko miał tam załatwione. Dziwne. Nie wiedział, co odpowiedzieć Calvinowi; mamrotał coś i miał uczucie, że trwa to nieskończenie długo; wreszcie udało mu się zakończyć rozmowę i odłożyć słuchawkę.

Ze zdziwieniem zauważył, że Rita wróciła z łazienki i wysłuchała całej rozmowy. Chodziła teraz nerwowo po pokoju jedynie w czarnej jedwabnej halce, a jasne włosy opadały na jej obnażone, nieco piegowate ramiona.

– Zawiadom policję – powiedziała.

No cóż, myślał, chyba najtaniej będzie zaoferować im ze dwa tysiące. Powinni się zgodzić; zapewne o to im tylko chodzi. Tacy mali faceci myślą

małymi kategoriami; dla nich będzie to dużo. Zainwestują wszystko w swój nowy interes, stracą i za miesiąc będą znów bez grosza.

– Nie – odpowiedział.

– Dlaczego? Szantaż jest przestępstwem.

Trudno jej to było wyjaśnić. Przywykł płacić ludziom, wliczał to w koszty handlowe, tak jak światło i gaz. Jeżeli suma była niewielka… z drugiej strony Rita miała rację. Namyślał się.

Dam im dwa tysiące, postanowił, ale skontaktuję się też ze znajomym inspektorem policji. Niech przejrzą kartoteki Frinka i McCarthy'ego, może znajdą coś, co się przyda. W razie gdyby pojawili się jeszcze raz, będę mógł sobie z nimi poradzić.

Na przykład, pomyślał, dowiem się, czy Frink jest Żydem. Zmienił sobie nos i nazwisko. Wystarczy, żebym zawiadomił niemieckiego konsula. Prosta sprawa. Konsul zażąda od władz japońskich ekstradycji. Poślą cwaniaka do gazu, jak tylko przekroczy linię demarkacyjną. Zdaje się, że mają jeden z tych swoich obozów w Nowym Jorku. Taki z piecami.

– Jestem zdziwiona – odezwała się dziewczyna – że ktoś może szantażować człowieka z twoją pozycją. – Zmierzyła go spojrzeniem.

– Wiesz, coś ci powiem. Cały szum wokół zabytków to bzdura. Ci Japończycy są stuknięci. Zaraz ci udowodnię. – Wstał, wyszedł do gabinetu i wrócił z dwiema zapalniczkami, które postawił na niskim stoliku. – Spójrz na nie. Wyglądają tak samo, prawda? Ale jedna jest zabytkowa. – Wykrzywił się w uśmiechu. – Weź je do ręki. Śmiało. Jedna z nich jest warta dla kolekcjonerów czterdzieści, może pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Dziewczyna ostrożnie wzięła obie zapalniczki i przyglądała im się z uwagą.

– Nie czujesz – zakpił – zabytkowości?

– Co to jest „zabytkowość"?

– Kiedy przedmiot ma w sobie kawałek historii. Posłuchaj. Jedna z tych zapalniczek znajdowała się w kieszeni Franklina D. Roosevelta, kiedy został zamordowany. A druga nie. Ta pierwsza jest zabytkowa, i to bardzo. Trudno o coś bardziej zabytkowego. A ta druga nie ma w sobie nic. Potrafisz to wyczuć? – Trącił ją łokciem. – Nie potrafisz. Nie możesz ich odróżnić. Żadna nie roztacza „mistycznej aury”.

– Coś takiego – powiedziała dziewczyna z nabożnym szacunkiem. – Czy to prawda? Czy on rzeczywiście miał jedną z nich przy sobie tamtego dnia?

– Oczywiście. I ja wiem, która to jest. Teraz rozumiesz, o co mi chodzi. Wszystko to jedna wielka lipa i oni sami się oszukują. Na przykład jakaś broń zostaje użyta w słynnej bitwie, gdzieś pod Meuse-Argonne, i niczym się nie różni od innych, jeżeli się o tym nie wie. Wszystko jest tutaj. – Stuknął się w czoło. – W głowie, nie w broni. Sam byłem kiedyś zbieraczem. Prawdę mówiąc, tą drogą wszedłem do zawodu. Zbierałem znaczki. Wczesne kolonie angielskie.

Dziewczyna stała teraz przy oknie z założonymi rękami, patrząc na światła centrum San Francisco.

– Moi rodzice mówili, że nie przegralibyśmy wojny, gdyby on żył – powiedziała.

– No dobrze – kontynuował Wyndam-Matson – a teraz przypuśćmy, że w zeszłym roku rząd kanadyjski albo ktoś inny znalazł matryce jakiegoś starego znaczka. A także farbę drukarską i zapas…

– Nie wierzę, że któraś z tych zapalniczek była własnością Roosevelta – przerwała mu dziewczyna.

– O to mi właśnie chodzi! – roześmiał się Wyndam-Matson. – Musiałbym ci to udowodnić jakimś dokumentem. Świadectwem autentyczności. I dlatego wszystko to jest oszustwem, masowym

złudzeniem. Cała wartość tkwi nie w przedmiocie, lecz w dołączonym papierze!

– Pokaż mi ten papier.

– Bardzo proszę. – Zerwał się i wyszedł do gabinetu. Zdjął ze ściany oprawione świadectwo ze Smithsonian Institution; dokument i zapalniczka kosztowały go majątek, ale były tego warte, gdyż stanowiły dowód, że ma rację, że słowo „fałszerstwo” nic w istocie nie znaczy, ponieważ słowo „autentyk” też nic w istocie nie znaczy.

– Colt czterdzieści cztery to colt czterdzieści cztery – mówił, wracając do pokoju. – Wszystko zależy od kalibru i konstrukcji, a nie od tego, kiedy go wyprodukowano. Wszystko zależy od…

Dziewczyna wyciągnęła rękę. Wyndam-Matson podał jej dokument.

– Więc to prawda – odezwała się po chwili.

– Tak. To ta. – Uniósł w palcach zapalniczkę z długą rysą na boku.

– To ja już sobie pójdę – powiedziała dziewczyna. – Spotkamy się znowu kiedyś wieczorem. – Odłożyła dokument i zapalniczkę i poszła do łazienki po ubranie.

– Dlaczego?! – zawołał, biegnąc za nią. – Przecież jesteśmy tu całkiem bezpieczni, żony nie będzie przez kilka tygodni, mówiłem ci przecież. Odklejona rogówka.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Proszę cię, wezwij rikszę, a ja się ubiorę.

– Odwiozę cię do domu – powiedział ponuro.

Ubrała się i w milczeniu chodziła po pokoju, czekając, aż Wyndam-Matson przyniesie jej płaszcz. Była zamyślona, daleka, nawet jakby przygnębiona. Przeszłość nastraja ludzi ponuro, pomyślał. Do licha, co

mnie skusiło, żeby ruszyć ten temat? Ale przecież jest taka młoda… Kto mógł wiedzieć, że to nazwisko coś dla niej znaczy.

Dziewczyna uklękła przy bibliotece.

– Czytałeś to? – spytała, wyjmując książkę.

Zmrużył oczy krótkowidza. Sensacyjna okładka. Powieść.

– Nie – odpowiedział. – To mojej żony. Ona dużo czyta.

– Powinieneś to przeczytać.

Wciąż jeszcze czując gorycz zawodu, wziął książkę. *Utyje szarańcza*.

– Czy to nie jest jedna z tych książek zakazanych w Bostonie? – spytał.

– Zakazana w całej Ameryce. I w Europie oczywiście też. – Podeszła do drzwi w przedpokoju i czekała.

– Słyszałem o tym Hawthornie Abendsenie – skłamał. Jedyne, co w rzeczywistości kojarzyło mu się z tytułem książki, to… co to było? Że jest bardzo popularna. Kolejna moda. Jeszcze jedno masowe szaleństwo. Schylił się i odstawił książkę na półkę. – Nie mam czasu na czytanie popularnej literatury. Jestem zbyt zapracowany. – Sekretarki, pomyślał złośliwie, czytają takie rzeczy do poduszki. To je podnieca. Wolą to od prawdziwego życia. Chciałyby i się boją.

– Jakieś romansidło – powiedział ponuro, otwierając drzwi.

– Nie. Książka o wojnie. – I już na klatce schodowej dodała: – Mówi to samo, co moi rodzice.

– Kto? Ten Abbotson?

– Ma swoją teorię. Gdyby Joe Zangara chybił, Roosevelt wyciągnąłby Amerykę z Wielkiego Kryzysu i uzbroił ją tak, że… – Urwała. Podeszli do windy, gdzie czekali inni ludzie.

Później, kiedy jechali przez nocne miasto mercedesem Wyndama-Matsona, wróciła do tematu.

– Abendsen twierdzi, że Roosevelt byłby ogromnie silnym prezydentem. Na miarę Lincolna. Dowiódł tego w ciągu pierwszego roku swoich rządów, kiedy wprowadził tyle reform. To jest napisane w formie powieści. Roosevelt nie zostaje zamordowany w Miami, działa nadal i powtórnie wybrany w 1936 jest prezydentem aż do wojny. Rozumiesz? Jest prezydentem, kiedy Niemcy napadają na Anglię, Francję i Polskę. Widzi to wszystko i buduje silną Amerykę. Garner był strasznie kiepskim prezydentem. W tym, co się stało, było wiele jego winy. A potem, w 1940, zamiast Brickera wybrano by demokratę…

– Tak twierdzi ten Abelson – wtrącił Wyndam-Matson. Spojrzał na dziewczynę. Boże, przeczyta taką książkę i ma gadania na lata.

– On twierdzi, że w 1940 zamiast izolacjonisty Brickera prezydentem zostałby po Roosevelcie Rexford Tugwell. – Jej gładka twarz, na której igrały refleksy świateł ulicznych, promieniała ożywieniem; oczy miała rozszerzone i mówiąc, gestykulowała. – Tugwell kontynuowałby energicznie antyhitlerowską politykę Roosevelta. Skutkiem tego Niemcy bałyby się przyjść z pomocą Japonii w 1941. Nie dotrzymałyby traktatu. Rozumiesz? – Odwróciła się do niego i schwyciwszy go mocno za ramię, powiedziała: – W konsekwencji Niemcy i Japonia przegrałyby wojnę!

Roześmiał się.

Spojrzała na niego, szukając czegoś w jego twarzy, nie wiedział czego, zresztą i tak musiał obserwować inne samochody, i powiedziała:

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Tak mogło być naprawdę. Stany Zjednoczone mogłyby wygrać z Japonią i…

– W jaki sposób? – przerwał jej.

– On to wszystko wyjaśnia. – Zamilkła na chwilę. – Książka ma formę powieści i oczywiście jest w niej wiele wątków czysto fikcyjnych. Musi być zajmująca, bo inaczej ludzie by jej nie czytali. Jest też wątek

romantyczny: para młodych ludzi, chłopak służy w wojsku, a dziewczyna… Mniejsza o to, dość że prezydent Tugwell ma głowę na karku i rozumie, do czego zmierzają Japończycy. Wolno o tym rozmawiać – zapewniła go skwapliwie. – Japończycy pozwalają sprzedawać książkę w Pacyfidzie, jest też popularna na Wyspach. Wywołała tam spore dyskusje.

– No dobrze – powiedział Wyndam-Matson – a co z Pearl Harbor?

– Prezydent Tugwell jest tak przewidujący, że wysyła wszystkie okręty w morze i flota amerykańska nie zostaje zniszczona.

– Rozumiem.

– A więc nie ma właściwie żadnego Pearl Harbor. Japończycy atakują, ale zatapiają tylko parę mniejszych okrętów.

– I nazywa się to „Szarańcza coś tam”?

– *Utyje szarańcza*. To cytat z Biblii.

– I Japonia przegrywa dlatego, że nie było Pearl Harbor. Posłuchaj. Japonia by i tak wygrała. Nawet bez Pearl Harbor.

– W powieści flota amerykańska nie pozwala im zająć Filipin i Australii.

– Zajęliby je i tak, mieli silniejszą flotę. Znam Japończyków dość dobrze i wiem, że dominacja w strefie Pacyfiku była ich przeznaczeniem. Stany Zjednoczone chyliły się ku upadkowi od pierwszej wojny światowej. Wszystkie kraje alianckie wyszły z tej wojny złamane moralnie i duchowo.

Dziewczyna nie dawała za wygraną:

– I gdyby Niemcy nie zajęli Malty, Churchill pozostałby przy władzy i poprowadził Anglię do zwycięstwa.

– Jak? Gdzie?

– W Afryce Północnej… Churchill pokonałby w końcu Rommla.

Wyndam-Matson parsknął śmiechem.

– A po zwycięstwie nad Rommlem Brytyjczycy mogliby przerzucić swoje wojska przez Turcję do Rosji i wspólnie z Armią Czerwoną stawić

czoło Niemcom. W książce Niemcy zostają zatrzymani w jakimś mieście nad Wołgą. To zupełnie nieznane miasto, ale istnieje naprawdę, bo sprawdziłam w atlasie.

– Jak się nazywa?

– Stalingrad. Tam Anglicy zmieniają losy wojny. I tak w książce Rommel nie połączył się z wojskami niemieckimi, które przyszły z Rosji… pamiętasz, armia von Paulusa? I Niemcy nie zajmują Bliskiego Wschodu z tak potrzebną im naftą i nie mogą połączyć się z Japończykami w Indiach, tak jak to zrobili.

– Żadna strategia świata nie mogła pokonać Erwina Rommla – przerwał jej Wyndam-Matson. – I wszystkie wydarzenia w rodzaju wymyślonej przez tego faceta obrony tego rosyjskiego miasta z bardzo bohaterską nazwą Stalingrad mogły co najwyżej opóźnić nieunikniony koniec. Słuchaj, ja poznałem Rommla osobiście. W Nowym Jorku, kiedy załatwiałem tam sprawy handlowe w 1948. – W rzeczywistości Wyndam-Matson widział tylko wojskowego komisarza USA na zdjęciu w Białym Domu, i to z daleka. – Cóż to za człowiek! Jaka godność i postawa! Tak więc wiem, co mówię – zakończył.

– To było okropne – powiedziała Rita – kiedy generał Rommel został zwolniony ze stanowiska i na jego miejsce przyszedł ten ohydny Lammers. Od tego czasu zaczęły się egzekucje i obozy koncentracyjne.

– Obozy były i za Rommla.

– Ale – zrobiła nieokreślony gest – to nie było oficjalne. Może te zbiry z SS robiły takie rzeczy… ale on się różnił od nich wszystkich, miał w sobie coś z dawnego Prusaka. Był surowy…

– Ja ci powiem, kto zrobił naprawdę dobrą robotę w Stanach – powiedział Wyndam-Matson – komu możemy zawdzięczać odrodzenie gospodarcze. Albertowi Speerowi. Nie Rommlowi i nie Organizacji Todta.

Speer był najlepszym człowiekiem, jakiego NSDAP dała Ameryce. To on uruchomił niezliczone przedsiębiorstwa, spółki i fabryki, wszystko, i to na zdrowych podstawach. Przydałby się nam taki tutaj, bo teraz mamy w każdej dziedzinie po pięć przedsiębiorstw konkurujących ze sobą, co jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Nie ma nic głupszego niż konkurencja gospodarcza.

– Ja bym nie mogła żyć w tych obozach pracy, w tych koszarach, które mają na Wschodzie – powiedziała Rita. – Jedna z moich znajomych tam pracowała. Nie mogła mi o tym napisać, bo listy przechodziły przez cenzurę. Powiedziała mi dopiero, jak się tu przeniosła. Musieli wstawać o szóstej rano przy dźwiękach orkiestry.

– Przyzwyczaiłabyś się. Miałabyś czystą sypialnię, pożywne jedzenie, rozrywki i opiekę lekarską. Czego jeszcze chcesz? Śniadania do łóżka?

Jego wielkie niemieckie auto bezszelestnie poruszało się w chłodnej nocnej mgle San Francisco.

Pan Tagomi siedział na podłodze z podwiniętymi nogami. Miał w ręku czarkę herbaty ulung, w którą dmuchał co jakiś czas, uśmiechając się do pana Baynesa.

– Ma pan urocze mieszkanie – przerwał milczenie Baynes. – Tu na Wybrzeżu jest tak spokojnie. Zupełnie inaczej niż… tam – powiedział ogólnikowo.

– Bóg przemawia do człowieka w znaku Wzrostu – mruknął pan Tagomi.

– Proszę?

– Wyrocznia. Przepraszam. Jestem roztargany i mówię sam do siebie.

Roztargniony, poprawił w myśli Baynes i uśmiechnął się.

– Jesteśmy śmieszni – mówił pan Tagomi – bo żyjemy według książki, która ma pięć tysięcy lat. Zadajemy jej pytania, jakby była żywa. Bo ona jest żywa. Tak jak chrześcijańska Biblia. Wiele książek żyje. Nie w przenośni. Duch je ożywia, rozumie pan? – Pan Tagomi wpatrywał się z uwagą w twarz rozmówcy.

Starannie dobierając słowa, Baynes powiedział:

– Za mało się znam na religii, to nie moja specjalność. Wolę trzymać się tematów, w których mam jakąś orientację. – Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiał, o co chodzi panu Tagomiemu. Muszę być zmęczony, pomyślał. Przez cały wieczór, odkąd tu przyjechałem, wszystko jest jakieś… zmniejszone, z domieszką groteskowości. Co to za książka, co ma pięć tysięcy lat? Zegarek z Myszką Miki, sam pan Tagomi, delikatna czarka w jego dłoni… a na ścianie naprzeciwko olbrzymi łeb bizona, odrażający i groźny.

– Co to za łeb? – spytał nagle.

– To właśnie stworzenie, z którego w dawnych czasach żyli rdzenni mieszkańcy.

– Rozumiem.

– Chętnie zademonstruję sztukę polowania na bizony. – Pan Tagomi odstawił czarkę na stolik i wstał. Tutaj, we własnym domu, miał na sobie jedwabne kimono, miękkie pantofle i biały fular. – Siedzę w wagonie „żelaznego konia”. – Przysiadł na wyimaginowanej ławce. – Na kolanach wierny winchester model 1866 z mojej kolekcji. – Przerwał i spojrzał pytająco na pana Baynesa. – Odczuwa pan trudy podróży?

– Niestety tak – odparł pan Baynes. – Trochę za dużo tego wszystkiego. Kłopoty w interesach… – I gdzie indziej, pomyślał. Bolała go głowa. Zastanawiał się, czy znakomite środki przeciwbólowe produkcji I.G. Farben są dostępne tu na Wybrzeżu; przyzwyczaił się do nich, lecząc swoje katary.

– Wszyscy musimy w coś wierzyć – mówił pan Tagomi. – Sami nie potrafimy znaleźć odpowiedzi, nie umiemy zajrzeć w przyszłość.

Pan Baynes kiwnął głową.

– Może moja żona znajdzie coś na pańską głowę – powiedział pan Tagomi, widząc, że gość zdejmuje okulary i pociera czoło. – Zmęczenie oczu powoduje ból. Pan wybaczy. – Skłonił się i wyszedł z pokoju.

Najlepszym lekarstwem byłby sen, pomyślał Baynes. Dobrze przespana noc. A może to lęk przed trudnym zadaniem? Niechęć do stawienia czoła sytuacji?

Kiedy pan Tagomi wrócił ze szklanką wody i jakąś pigułką, pan Baynes powiedział:

– Naprawdę będę musiał pożegnać się i wrócić do hotelu. Przedtem jednak chciałbym się czegoś dowiedzieć. Szczegóły możemy omówić jutro, jeżeli to panu odpowiada. Czy powiedziano panu o trzeciej osobie, która ma włączyć się do naszych rozmów?

Na twarzy pana Tagomiego przez chwilę odmalowało się zdziwienie; potem zdziwienie znikło i wrócił wyraz beztroski.

– Nic mi na ten temat nie mówiono. Ale jest to oczywiście interesujące.

– Z Wysp.

– Ach tak – powiedział pan Tagomi i tym razem niczym nie zdradził zdziwienia. Zapanował nad nim całkowicie.

– Emerytowany człowiek interesu – ciągnął pan Baynes – który płynie statkiem. Jest w drodze od dwóch tygodni. Ma uprzedzenie do latania.

– Stary dziwak – wtrącił pan Tagomi.

– Dzięki swoim interesom ma dostęp do informacji o rynku japońskim. Będziemy się mogli wiele od niego dowiedzieć, zresztą i tak wybierał się do San Francisco na wakacje. Nie jest to tak bardzo ważne, ale wniesie do naszych rozmów element ścisłości.

– Tak – zgodził się pan Tagomi. – Będzie mógł sprostować błędy co do rynku krajowego. Od dwóch lat nie byłem na Wyspach.

– Czy to jest ta pigułka dla mnie?

Pan Tagomi drgnął, spojrzał w dół i stwierdził, że wciąż jeszcze trzyma pigułkę i szklankę z wodą.

– O, przepraszam. Jest bardzo silna. Nazywa się zarakaina i jest produkowana przez firmę farmaceutyczną w Prowincji Chińskiej. Nie narkotyk – dodał, wyciągając dłoń.

– Ten starszy pan – mówił pan Baynes, przygotowując się do przełknięcia pigułki – skontaktuje się prawdopodobnie bezpośrednio z pańską misją handlową. Zapiszę jego nazwisko, żeby pańscy ludzie go nie odprawili. Nie znam go osobiście, ale wiem, że jest przygłuchy i ma skłonność do dziwactw. Musimy się starać, żeby nie wprawić go w zły humor. – Pan Tagomi rozumiał. – Kocha rododendrony. Będzie szczęśliwy, jeżeli znajdzie pan kogoś, kto porozmawia z nim przez pół godziny o rododendronach przed samym spotkaniem. Zaraz zapiszę jego nazwisko.

Przełknąwszy lekarstwo, wyjął pióro i karteczkę.

– Pan Shinjiro Yatabe – odczytał pan Tagomi i z szacunkiem włożył karteczkę do swego notesu.

– Jeszcze jedno.

Pan Tagomi, słuchając, powoli gładził brzeg swojej filiżanki.

– Delikatna sprawa. Starszy pan… to krępujące. Ma prawie osiemdziesiątkę. Niektóre przedsięwzięcia pod koniec jego kariery nie były zbyt udane. Rozumie pan?

– Nie jest już bogaty – powiedział pan Tagomi. – Zapewne pobiera emeryturę.

– Otóż to. I to wręcz żałosną. Dlatego też uzupełnia ją na różne sposoby.

– Naruszanie jakichś drobnych przepisów – domyślił się pan Tagomi. – Rząd i jego przesadna biurokracja. Rozumiem sytuację. Starszy pan otrzymuje od nas wynagrodzenie za swoją konsultację i nie informuje o tym Urzędu Emerytalnego. Nie powinniśmy więc ujawniać celu jego wizyty. Dla nich przebywa tu na wakacjach.

– Jest pan bardzo przenikliwy – powiedział pan Baynes.

– Takie sytuacje już się zdarzały. W naszym społeczeństwie nie rozwiązaliśmy problemu ludzi starszych, których mamy coraz więcej z powodu postępu medycyny. Chiny uczą nas słusznie szacunku dla starszych, jednak Niemcy sprawiają, że nasze zaniedbanie wygląda prawie na cnotę. O ile wiem, oni mordują swoich starców.

– Niemcy – mruknął Baynes, znów masując czoło. Czy pigułka działała? Czuł jakby senność.

– Będąc Skandynawem, miał pan niewątpliwie obszerne kontakty z *Festung Europa*. Na przykład przyleciał pan z Tempelhof. Czy można mieć taki stosunek? Pan jest neutralny. Czy zechciałby pan podzielić się ze mną swoją opinią?

– Nie rozumiem, o jakim stosunku pan mówi?

– Do starych, chorych, słabych, nienormalnych, bezużytecznych we wszystkich odmianach. „Jaki jest pożytek z nowo narodzonego dziecka?” – spytał podobno pewien anglosaski filozof. To pytanie zapadło mi w pamięć i kontemplowałem je wielokrotnie. Proszę pana, nie ma pożytku. Ogólnie rzecz biorąc.

Pan Baynes wydał nieokreślony dźwięk grzecznościowy, nie zdradzający jednak jego stanowiska.

– Czyż nie jest prawdą – mówił dalej pan Tagomi – że żaden człowiek nie powinien być narzędziem zaspokajania potrzeb innego człowieka? – Tu

pochylił się z napięciem. – Proszę dać mi swoją neutralną, skandynawską opinię.

– Nie wiem – powiedział pan Baynes.

– Podczas wojny byłem drobnym urzędnikiem w Prowincji Chińskiej, w Szanghaju. Tam, w Hongkew, była dzielnica Żydów internowanych przez rząd cesarski. Utrzymywanych przy życiu dzięki pomocy zagranicznej. Hitlerowski minister w Szanghaju zażądał likwidacji Żydów. Pamiętam odpowiedź moich przełożonych. Powiedzieli: „To jest sprzeczne z zasadami humanitaryzmu”. Odrzucili żądanie jako barbarzyńskie. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie.

– Rozumiem – mruknął pan Baynes. Chce mnie sprowokować? – zadał sobie pytanie. Miał się teraz na baczności.

– Żydzi – ciągnął pan Tagomi – byli zawsze przedstawiani przez hitlerowców jako Azjaci i niebiali. Proszę pana, wnioski były oczywiste dla Japończyków, włącznie z członkami gabinetu wojennego. Nigdy nie rozmawiałem o tym z obywatelami Rzeszy, których spotykałem…

Pan Baynes przerwał mu:

– Nie jestem Niemcem i nie mogę mówić w imieniu Niemiec. – Wstawszy, ruszył w stronę drzwi. – Wrócimy do tej rozmowy jutro. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę się skupić. – Prawdę mówiąc, myślał teraz z całkowitą jasnością. Muszę stąd wyjść, uświadomił sobie. Ten człowiek wciąga mnie za daleko.

– Proszę wybaczyć głupotę fanatyzmu – powiedział pan Tagomi, w pośpiechu ruszając ku drzwiom. – Filozoficzne zacietrzewienie zamknęło mi oczy na autentyczną ludzką sprawę. Proszę. – Zawołał coś po japońsku i otworzyły się drzwi frontowe. Stał w nich młody Japończyk, pochylony lekko w ukłonie, i patrzył na pana Baynesa.

Mój szofer, pomyślał Baynes.

Może to te moje donkiszockie uwagi w podróży, pomyślał nagle. Do tego, jakże mu tam… Lotzego. Dotarły jakoś do Japończyków. Jakimiś ich kanałami.

Niepotrzebnie wdałem się w dyskusję z tym Lotzem, pomyślał. Żałuję, ale teraz jest już za późno.

Nie jestem odpowiednim człowiekiem do tej pracy.

Potem jednak pomyślał, że Szwed tak by się właśnie zachował. Wszystko jest w porządku, nic się nie stało. Czepiam się drobiazgów. Przenoszę mechanicznie pewne nawyki z poprzedniej sytuacji. W rzeczywistości o wielu sprawach mogę mówić otwarcie. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Jednocześnie długoletni trening mówił mu, że nie wolno tego robić. Burzyła się przeciw temu krew w żyłach, protestowały kości i wszystkie organy. Otwórzże usta, mówił sobie. Powiedz coś. Cokolwiek. Musisz, jeżeli chcesz tu coś osiągnąć.

– Może powoduje nimi jakiś przemożny podświadomy archetyp. W sensie Jungowskim – powiedział.

Pan Tagomi kiwnął głową.

– Czytałem Junga. Rozumiem.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Zadzwonię do pana jutro rano – powiedział Baynes. – Dobranoc panu. – Skłonił się, pan Tagomi odpowiedział ukłonem.

Młody uśmiechnięty Japończyk zrobił krok do przodu i powiedział coś, czego pan Baynes nie zrozumiał.

– Słucham? – spytał, biorąc płaszcz, już w drzwiach.

– Zwrócił się do pana po szwedzku – wyjaśnił pan Tagomi. – Na Uniwersytecie Tokijskim słuchał wykładów o wojnie trzydziestoletniej i jest zafascynowany waszym wielkim bohaterem Gustawem Adolfem. – Pan Tagomi uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Widać jednak, że jego

próby opanowania tak egzotycznego języka były daremne. Zapewne korzystał z jednego z tych kursów na płytach gramofonowych. Jest studentem, a takie kursy ze względu na taniość są bardzo popularne wśród studentów.

Młody Japończyk, wyraźnie nie znający angielskiego, kłaniał się z uśmiechem.

– Rozumiem – bąknął Baynes. – No cóż, życzę mu powodzenia. – Ja też mam problemy językowe, pomyślał. Jak widać.

Dobry Boże, przecież ten japoński student, wioząc go do hotelu, niewątpliwie będzie usiłował rozmawiać z nim po szwedzku przez całą drogę. W języku, który pan Baynes ledwo rozumiał, i to tylko wtedy, kiedy mówiono bardzo wyraźnie i poprawnie, a już na pewno nie w wykonaniu młodego Japończyka, który usiłował uczyć się z płyt.

Nigdy go nie zrozumiem, myślał pan Baynes, on zaś będzie ponawiał próby, bo to dla niego szansa; może już nigdy nie spotka innego Szweda. Pan Baynes jęknął w duchu. Cóż to będzie za męka dla nich obu.

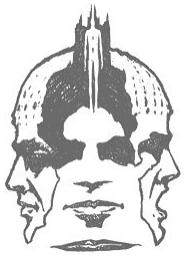

6

Wcześnie rano, ciesząc się rześką, słoneczną pogodą, Juliana Frink wybrała się na zakupy. Szła chodnikiem, niosąc dwie papierowe torby i zatrzymując przed wszystkimi wystawami. Nie śpieszyła się.

Czy nie potrzebowała czegoś z drugstore'u? Weszła do sklepu. Zajęcia w klubie dżudo zaczynała dopiero o dwunastej; tego dnia miała wolne przedpołudnie. Usiadła na stołku przy kontuarze, postawiła torby na podłodze i zaczęła przeglądać czasopisma.

W nowym numerze „Life'u" zobaczyła wielki artykuł zatytułowany *Telewizja w Europie: spojrzenie w przyszłość*. Było tam zdjęcie niemieckiej rodziny oglądającej telewizję w swoim pokoju. Już teraz, stwierdzał autor artykułu, Berlin nadaje cztery godziny programu dziennie. Kiedyś wszystkie wielkie miasta europejskie będą miały swoje stacje telewizyjne. A około roku 1970 zostanie zbudowana stacja w Nowym Jorku.

Zdjęcia pokazywały niemieckich inżynierów elektroników instruujących lokalny nowojorski personel. Niemców można było poznać bez trudu. Wyglądali na zdrowych, czystych, energicznych, pewnych siebie. Amerykanie zaś… zwyczajnie. Jak wszyscy inni ludzie.

Jeden z niemieckich techników coś wskazywał i Amerykanie usiłowali to coś zobaczyć. Chyba mają lepszy wzrok niż my, uznała Juliana. Lepsze odżywianie przez ostatnie dwadzieścia lat. To dlatego mówi się, że oni widzą rzeczy, których nikt inny nie dostrzega. Może to witamina A?

Ciekawe, jak to jest siedzieć w domu, w swoim pokoju, i oglądać cały świat na małym, szarym, szklanym ekranie. Skoro ci naziści potrafią latać w tę i z powrotem na Marsa, to dlaczego nie rozwiną telewizji? Ja w każdym razie wolałabym oglądać programy rozrywkowe, zobaczyć, jak wyglądają Bob Hope i Durante, niż łazić po Marsie.

Może właśnie na tym wszystko polega, pomyślała, odkładając pismo na półkę. Naziści nie mają poczucia humoru, więc po co im telewizja? Zresztą i tak wymordowali większość naprawdę dobrych aktorów. Bo to przeważnie byli Żydzi. Prawdę mówiąc, uświadomiła sobie, wymordowali większość ludzi zajmujących się rozrywką. Aż dziw, że Hope'owi uchodzi na sucho to, co wygaduje. Oczywiście nagrywa to w Kanadzie, a tam jest trochę więcej swobody. Ale on rzeczywiście sobie pozwala. Jak ten kawał o Göringu… co to Göring kupuje Rzym i każe go przenieść do swojej rezydencji w górach. A potem stara się odrodzić chrześcijaństwo, żeby jego lwy miały…

– Czy pani kupuje to pismo? – spytał podejrzliwie mały, wysuszony właściciel drugstore'u.

Zawstydzona odłożyła „Reader's Digest", który właśnie przeglądała. Idąc znów chodnikiem z zakupami, Juliana zastanawiała się, czy Göring będzie nowym Führerem po śmierci Bormanna. Jest jakby nieco inny od reszty. W ogóle to Bormann doszedł do władzy tylko dlatego, że był, gdzie trzeba, kiedy Hitler się kończył, a tylko najbliżsi wiedzieli, jak szybko następuje proces rozpadu. Stary Göring siedział w tym czasie w swojej górskiej rezydencji. To Göring powinien był zostać Führerem po Hitlerze,

bo to jego Luftwaffe zniszczyła angielskie stacje radarowe i rozbiła RAF. Hitler kazałby im zbombardować Londyn, tak jak to zrobili z Rotterdamem.

Ale najprawdopodobniej Führerem zostanie Goebbels, uznała. Wszyscy tak mówią. Byle tylko nie ten straszny Heydrich. Ten by nas wszystkich wymordował. To autentyczny wariat. Jedyny, który mi się podoba, to Baidur von Schirach. Jedyny zresztą, który wygląda na normalnego. Ale on jest bez szans.

Skręciwszy, weszła po schodkach do starego drewnianego domu, w którym mieszkała.

Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, zobaczyła, że Joe Cinnadella nadal leży tak, jak go zostawiła: w poprzek łóżka, na brzuchu, ze zwisającymi rękami. Wciąż jeszcze spał.

Nie, pomyślała. On nie powinien być tutaj; ciężarówka odjechała. Bez niego? Widocznie tak.

Weszła do kuchni i postawiła torby z zakupami na stole wśród brudnych naczyń.

Czy został umyślnie? – zadała sobie pytanie. Ciekawe.

Dziwny człowiek… był taki aktywny prawie przez całą noc, a jednocześnie jakby nieobecny; robił to, ale bez udziału świadomości. Widocznie myślami był gdzie indziej.

Odruchowo zaczęła wstawiać jedzenie do starej lodówki General Electric, później sprzątnęła ze stołu po śniadaniu.

Może on robi to tak często, że stało się to jego drugą naturą; jego ciało wykonuje ruchy, jak moje teraz, kiedy wkładam talerze i sztućce do zlewu. Mógłby robić to nawet po usunięciu trzech piątych mózgu, jak nogi żaby na lekcji biologii.

– Hej! – zawołała. – Obudź się!

Joe poruszył się na łóżku, parsknął.

– Słyszałeś występ Boba Hope’a poprzedniego wieczoru? – spytała głośno. – Opowiedział świetny kawał o niemieckim majorze przesłuchującym pierwszych spotkanych Marsjan. Marsjanie nie potrafią przedstawić dokumentów rasowych stwierdzających, że ich dziadkowie byli Aryjczykami. Więc ten major wysyła do Berlina raport, że Mars jest zamieszkany przez Żydów. – Weszła do pokoju, w którym leżał Joe. – A oni mają trzydzieści centymetrów wzrostu i dwie głowy… wiesz, jak Bob Hope rozwija swoje dowcipy.

Joe otworzył oczy. Nie odezwał się, tylko wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Jego szczęka czarna od zarostu, ciemne, pełne bólu oczy… Juliana umilkła.

– O co chodzi? – spytała po chwili. – Boisz się? – Nie, pomyślała, to Frank się bał. To jest… sama nie wiem co.

– Ciężarówka odjechała – powiedział Joe, siadając.

– Co teraz zrobisz? – Przysiadła na skraju łóżka, wycierając ręce w ścierkę.

– Złapię ją w drodze powrotnej. Kolega mnie nie sypnie. Wie, że ja zrobiłbym dla niego to samo.

– Robiłeś już tak?

Joe nie odpowiedział. Chciał zostać, powiedziała do siebie Juliana. Widzę to, poznałam od razu.

– A jak będzie wracał inną trasą? – spytała.

– Zawsze jeździ Pięćdziesiątką. Nigdy Czterdziestką. Miał kiedyś wypadek na Czterdziestce. Władował się na konie, które wylazły na drogę. W Górach Skalistych. – Wziął z krzesła ubranie i zaczął się ubierać.

– Ile ty masz lat, Joe? – spytała, taksując jego nagie ciało.

– Trzydzieści cztery.

A zatem, pomyślała, musiał być na wojnie. Nie widziała żadnych fizycznych defektów; prawdę mówiąc, miał dobre, szczupłe ciało i długie nogi. Joe, zauważywszy, że jest obserwowany, zmarszczył czoło i odwrócił się.

– Nie mogę popatrzeć? – spytała, zastanawiając się dlaczego. Całą noc razem i nagle taka wstydliwość. – Czy jesteśmy pluskwami, które nie mogą znieść swojego widoku w dziennym świetle, i musimy chować się po kątach?

Mruknąwszy coś z niezadowoleniem, poszedł w skarpetach i kalesonach do łazienki, pocierając brodę.

To jest mój dom, myślała Juliana. Wpuszczam cię tutaj, a ty nie pozwalasz na siebie patrzeć. Dlaczego więc chciałeś tu zostać? Poszła za nim do łazienki; puszczał gorącą wodę do umywalki, żeby się ogolić.

Zobaczyła na jego ręce tatuaż, niebieską literę C.

– Co to jest? – spytała. – Twoja żona? Connie? Corinne?

– Cairo – powiedział, myjąc twarz.

Jakie egzotyczne imię, pomyślała z zazdrością, ale zaraz poczuła, że się czerwieni.

– Głupia jestem – powiedziała. Trzydziestoczteroletni Włoch z niemieckiej części świata… jasne, że był na wojnie. Ale po stronie państw Osi. I walczył pod Kairem; tatuaż był symbolem więzi niemieckich i włoskich weteranów tej kampanii… klęska Brytyjczyków i Australijczyków pod komendą generała Gotta, zwycięstwo Rommla i jego Afrika Korps.

Wyszła z łazienki, wróciła do pokoju i zaczęła słać łóżko; ręce jej drżały.

Rzeczy Joego leżały porządnie ułożone na krześle: ubranie, mała walizeczka, drobiazgi osobiste. Wśród nich zauważyła kryte aksamitem

pudełeczko, trochę jak futerał na okulary; sięgnęła po nie i zajrzała do środka.

Rzeczywiście walczyłeś pod Kairem, pomyślała, patrząc na Krzyż Żelazny drugiej klasy z wygrawerowaną u góry datą 10 czerwca 1945. Nie wszyscy to dostawali; tylko najdzielniejsi. Ciekawe, co zrobiłeś… miałeś zaledwie siedemnaście lat.

Joe stanął w drzwiach łazienki, kiedy wyjmowała krzyż z pudełka; zauważyła go i drgnęła zawstydzona. On jednak nie wyglądał na zagniewanego.

– Tylko obejrzałam – powiedziała Juliana. – Nigdy jeszcze nie widziałam Krzyża Żelaznego. Czy sam Rommel ci go przypinał?

– Generał Bayerlein. Rommel był już wtedy przeniesiony do Anglii, żeby tam zakończyć sprawy. – Głos miał spokojny, ale jego dłoń zaczęła znowu jednostajnie ściskać czoło i przeczesywać włosy palcami, ruchem sprawiającym wrażenie chronicznego tiku nerwowego.

– Opowiesz mi o tym? – spytała Juliana, podczas gdy Joe zabrał się znowu do golenia.

Gdy skończył, wziął gorący prysznic i co nieco jej opowiedział; nic z tych rzeczy, które pragnęłaby usłyszeć. Jego dwaj starsi bracia brali udział w kampanii abisyńskiej, a on, trzynastoletni chłopak, należał do młodzieżowej organizacji faszystowskiej w rodzinnym Mediolanie. Później jego bracia służyli w doborowej baterii majora Ricarda Pardiego i kiedy wybuchła druga wojna światowa, Joe mógł się do nich przyłączyć. Walczyli pod Grazianim. Mieli beznadziejny sprzęt, zwłaszcza czołgi. Brytyjczycy strzelali do nich jak do kaczek. Pokrywy włazów trzeba było w bitwie przyciskać workami z piaskiem, żeby się same nie otwierały. Jednak major Pardi zebrał wybrakowane pociski artyleryjskie, wypolerował je,

nasmarował i strzelał nimi; jego bateria powstrzymała wielką desperacką szarżę czołgów generała Wavella w 1943 roku.

– Czy twoi bracia żyją? – spytała Juliana.

Jego bracia zginęli w 1944, uduszeni drutem przez brytyjskich komandosów z Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu, która działała na tyłach wojsk Osi i wyróżniała się szczególnym fanatyzmem w ostatniej fazie wojny, kiedy stało się już jasne, że alianci nie mogą wygrać.

– Jaki jest teraz twój stosunek do Brytyjczyków? – spytała z wahaniem.

– Chciałbym, żeby Niemcy zrobili z Anglią to, co zrobili z Afryką – powiedział obojętnym tonem.

– Ale to już… osiemnaście lat. Wiem, że zwłaszcza Anglicy robili okropne rzeczy, ale…

– Mówi się o tym, co naziści zrobili z Żydami – powiedział Joe. – Brytyjczycy robili gorsze rzeczy. W bitwie o Londyn. – Umilkł na chwilę. – Ta broń zapalająca, fosfor i ropa naftowa. Widziałem potem niektórych niemieckich żołnierzy. Okręt za okrętem spalone na popiół. Te rury pod wodą zmieniły wodę w ogień. A ludność cywilna i dywanowe bombardowania zapalające, za pomocą których Churchill chciał w ostatniej chwili odwrócić klęskę. Te naloty psychologiczne na Hamburg i Essen.

– Nie mówmy już o tym – przerwała mu Juliana. Zaczęła przysmażać boczek; nastawiła małe, białe, plastikowe radio Emersona, które dostała od Franka na urodziny. – Zrobię ci coś do jedzenia. – Kręciła gałką w poszukiwaniu jakiejś przyjemnej, lekkiej muzyki.

– Coś ci pokażę – powiedział Joe. Siedział w pokoju na łóżku ze swoją walizeczką; otworzył ją i wyjął postrzępioną, wymiętą książkę, która musiała przejść przez wiele rąk. Uśmiechnął się do Juliany. – Chodź tutaj. Czy wiesz, co twierdzi pewien facet? Ten. – Uniósł książkę. – To bardzo zabawne. Siadaj. – Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Chcę ci

poczytać. Przypuśćmy, że oni by zwyciężyli. Jak by to było? Nie musimy łamać sobie głowy, ten facet pomyślał za nas. – Otworzywszy książkę, Joe powoli przewracał kartki. – Imperium Brytyjskie opanowałoby całą Europę. I całe Morze Śródziemne. Włoch nie byłoby wcale. Ani Niemiec. Angielscy bobbies, śmieszne żołnierzyki w bermycach i król aż do Wołgi.

– Czy to byłoby takie złe? – cicho spytała Juliana.

– Czytałaś tę książkę?

– Nie – przyznała, zerkając na okładkę. Słyszała o niej, wiele ludzi ją czytało. – Ale Frank i ja… mój były mąż i ja… często rozmawialiśmy o tym, jak by to było, gdyby alianci wygrali.

Joe jakby jej nie słyszał; wpatrywał się w książkę *Utyje szarańcza*.

– A wiesz, dzięki czemu Anglia u niego wygrywa? Czemu bije państwa Osi?

Potrząsnęła głową, czując, jak w siedzącym obok mężczyźnie narasta napięcie. Broda zaczęła mu drżeć, oblizywał wargi i raz po raz wbijał palce we włosy… mówił ochrypłym głosem:

– U niego Włochy zdradzają, przechodzą na stronę aliantów. Przyłączają się do Anglosasów i odsłaniają to, co on nazywa „miękkim podbrzuszem” Europy. Ale to naturalne, że on tak myśli. Wszyscy znamy tchórzliwe włoskie wojsko, które uciekało na sam widok Brytyjczyków. Popijające wino. Beztroskie, nie stworzone do walki. Ten facet… – Joe zamknął książkę i odwrócił ją, żeby spojrzeć na tylną okładkę – Abendsen. Ja nie mam do niego pretensji. On pisze fantazję, wyobraża sobie, jak wyglądałby świat, gdyby państwa Osi przegrały. A jak inaczej mogłyby przegrać, gdyby nie zdrada Włoch? – mówił zgrzytliwym głosem. – Duce to był błazen, wszyscy o tym wiedzą.

– Muszę odwrócić boczek – powiedziała i wyśliznęła się do kuchni.

Joe poszedł tam za nią z książką w ręku.

– I jeszcze Stany Zjednoczone przychodzą im z pomocą. Jak już dały łupnia Japończykom. A po wojnie Stany Zjednoczone i Brytania dzielą między siebie świat. Tak jak to w rzeczywistości zrobiły Niemcy i Japonia.

– Niemcy, Japonia i Włochy – poprawiła Juliana.

Zmierzył ją spojrzeniem.

– Opuściłeś Włochy. – Patrzyła mu prosto w oczy. Czy ty też zapomniałeś? – dodała w myśli. Jak wszyscy? Małe imperium na Bliskim Wschodzie… operetkowy Nowy Rzym.

Po chwili postawiła przed nim talerz z jajkami na boczku, tost z marmoladą i kawę. Zabrał się skwapliwie do jedzenia.

– Co jadaliście w Afryce? – spytała, kiedy ona też już usiadła.

– Zdechłego osła – powiedział Joe.

– To okropne.

– *Asino Morte* – wyjaśnił z krzywym uśmiechem. – Puszki z wołowiną miały wybite litery AM. Niemcy nazywali je Alter Mann. Stary człowiek. – Joe wrócił z zapałem do jedzenia.

Chciałabym to przeczytać, pomyślała Juliana, wyciągając rękę po książkę, którą Joe trzymał pod pachą. Czy zostanie tu wystarczająco długo? Książka była zatłuszczona, miała luźne kartki. Pełno śladów palców. Czytana przez kierowców ciężarówek na długich trasach. Późno w nocy po małych jadłodajniach… Założę się, że ślęczałeś nad nią tygodniami, jeżeli nie miesiącami.

Otworzywszy książkę na chybił trafił, przeczytała: „…teraz, na starość, kontemplował spokój, państwo, którego starożytni by zazdrościli, ale nie potrafiliby objąć rozumem, okręty od Krymu do Madrytu, i wszystko to jedno Imperium, z tym samym pieniądzem, językiem, sztandarem. Wspaniały stary Union Jack wciągany na maszt od wschodu do zachodu słońca: spełniło się nareszcie to o słońcu i sztandarze…”

– Jedyna książka, którą noszę ze sobą – powiedziała Juliana – to nie jest właściwie książka, tylko wyrocznia. *I-cing*… Frank zaraził mnie nią i korzystam z niej za każdym razem, gdy chcę podjąć decyzję. Zawsze mam ją pod ręką, zawsze. – Zamknęła *Szarańczę*. – Chcesz ją zobaczyć? Chcesz z niej skorzystać?

– Nie – odparł Joe.

Z brodą opartą na złożonych rękach, spoglądając na niego spod oka, spytała:

– Czy przeniosłeś się tu na stałe? I co zamierzasz robić dalej? – Wciąż przeżuwasz zniewagi i oszczerstwa, myślała. Przeraża mnie twoja nienawiść do świata. A jednak… jest w tobie coś. Jesteś jak małe, zmyślne zwierzątko. Obserwując badawczo jego twarz, zastanawiała się, jak mogła pomyśleć, że jest młodszy od niej. Ale w pewnym sensie to nawet prawda: jesteś dziecinny, jesteś wciąż młodszym braciszkiem, ubóstwiającym swoich dwóch starszych braci i swojego majora Pardiego, i generała Rommla, wyrywającym się, żeby bić Anglików. Czy rzeczywiście zadusili twoich braci drutem? Słyszeliśmy relacje o zbrodniach wojennych i widzieliśmy fotografie opublikowane po wojnie… Wzdrygnęła się. Ale przecież brytyjscy komandosi zostali postawieni przed sądem i już dawno temu ukarani.

W radiu ucichła muzyka; nadawano chyba wiadomości, słychać było zgiełk europejskich stacji nadających na falach krótkich. Głos stał się niewyraźny i zanikł. Długa pauza, nic, tylko cisza. Potem spiker z Denver, bardzo wyraźnie, z bliska. Sięgnęła, żeby przekręcić gałkę, ale Joe powstrzymał jej rękę.

„…wiadomość o śmierci kanclerza Bormanna spadła jak grom z jasnego nieba na Niemców, których nie dalej jak wczoraj zapewniano…”

Juliana i Joe zerwali się na równe nogi.

„…wszystkie stacje Rzeszy przerwały nadawanie programów i rozległy się uroczyste dźwięki hymnu partyjnego *Horst Wessel Lied* w wykonaniu chóru dywizji SS *Das Reich*. Później z Drezna, gdzie spotkali się sekretarz partii oraz kierownictwo Sicherheitsdienst, państwowej policji bezpieczeństwa, która zastąpiła Gestapo po…”

Joe nastawił radio głośniej.

„…reorganizacji rządu z inicjatywy zmarłego Reichsführera Himmlera, Alberta Speera i innych, ogłoszono dwutygodniową ogólnonarodową żałobę i, jak donoszą, natychmiast wiele sklepów i instytucji zostało zamkniętych. Jak dotychczas brak wiadomości na temat spodziewanego zwołania Reichstagu, parlamentu Trzeciej Rzeszy, który musi zaaprobować…”

– Będzie Heydrich – powiedział Joe.

– Ja bym chciała, żeby został kanclerzem ten wysoki blondyn, Schirach. Boże, więc nareszcie umarł. Czy myślisz, że Schirach ma szanse?

– Nie – odparł krótko Joe.

– Może teraz wybuchnąć wojna domowa – powiedziała. – Ale wszyscy oni są teraz tacy starzy. Göring, Goebbels i cała reszta tych partyjniaków.

„…dosięgła go w jego alpejskiej rezydencji koło Brenner…”, mówiło radio.

– To o grubym Hermannie – wtrącił Joe.

„…stwierdził, że jest wstrząśnięty stratą nie tylko jako żołnierz, patriota i wierny członek partii, lecz także, jak to wielokrotnie podkreślał, jako osobisty przyjaciel zmarłego, którego, jak wszyscy pamiętają, poparł w dyskusji tuż po wojnie, kiedy się przez pewien czas wydawało, że elementy przeciwne objęciu przez Martina Bormanna najwyższego stanowiska…”

Juliana wyłączyła radio.

– To bełkot – powiedziała. – Dlaczego używają takich słów? Mówią o tych straszliwych mordercach tak, jakby byli zwykłymi ludźmi.

– Bo są zwykłymi ludźmi – stwierdził Joe. Poprawił się na krześle i wrócił do śniadania. – Zrobili tylko to, co każdy z nas zrobiłby na ich miejscu. Uratowali świat przed komunizmem. Gdyby nie oni, żylibyśmy dziś pod władzą czerwonych.

– Pleciesz trzy po trzy – powiedziała Juliana. – Jak to radio. Gadanie!

– Żyłem pod nazistami i wiem, co to znaczy. Czy to jest gadanie: dwanaście, trzynaście, więcej, prawie piętnaście lat życia? Mam kartę pracy z OT. Pracowałem w Organizacji Todta od 1947, najpierw w Afryce Północnej, potem w Stanach. Posłuchaj. – Podniósł wskazujący palec. – Mam włoski talent do prac ziemnych, OT przyznała mi wysoką grupę. Nie lałem asfaltu i nie mieszałem betonu przy autobahnach, ja pomagałem projektować, byłem technikiem. Któregoś dnia sam doktor Todt przyjechał na inspekcję naszego zespołu. Powiedział do mnie: „Masz złote ręce”. To jest wielka chwila, Juliano. Godność pracy, oni nie tylko gadają. Zanim przyszli, wszyscy odnosili się z lekceważeniem do pracy fizycznej, ja też. Arystokratyzm. Front Pracy położył temu kres. Po raz pierwszy zobaczyłem swoje własne ręce. – Mówił tak szybko, że ujawnił się jego obcy akcent; miała trudności z rozumieniem go. – Mieszkaliśmy wszyscy w lesie, w górnym stanie Nowy Jork, jak bracia. Maszerowaliśmy ze śpiewem do pracy. Duch bojowy, tylko że w dziele odbudowy, a nie zniszczenia. To były najlepsze czasy, powojenna odbudowa: całe szeregi porządnych, czystych, solidnych budynków, ulica za ulicą, całe nowe śródmieścia, Nowy Jork i Baltimore. Teraz to już przeszłość. Teraz rej wodzą wielkie kartele, jak New Jersey Krupp and Söhnen. Ale to nie naziści. To stara europejska plutokracja. Gorsi, słyszysz? Naziści tacy jak Rommel i Todt są milion razy lepsi niż przemysłowcy w rodzaju Kruppa i bankierzy.

Wszystkich tych Prusaków, wszystkich tych panów w kamizelkach powinno się posłać do gazu.

Ale, pomyślała Juliana, ci panowie w kamizelkach są tu na zawsze. A twoi bogowie, Rommel i doktor Todt, przybyli po działaniach wojennych, żeby uprzątnąć gruzy, zbudować autobahny i uruchomić przemysł. Pozostawili nawet przy życiu Żydów, cóż za niespodzianka, amnestia, żeby Żydzi też mogli włączyć się do roboty. Do 1949 w każdym razie… a potem do widzenia, panowie Todt i Rommel, na emeryturę, na grzybki.

A czy ja nie wiem? – myślała Juliana. Mało to nasłuchałam się od Franka? Nie ma co opowiadać mi o życiu pod nazistami; mój mąż był… jest… Żydem. Ja wiem, że doktor Todt był najskromniejszym, najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem; wiem, że jego celem było dostarczenie pracy, uczciwej, godnej pracy, milionom otępiałych, załamanych Amerykanów snujących się wśród powojennych ruin. Wiem, że chciał zapewnić opiekę zdrowotną, ośrodki wypoczynkowe i przyzwoite mieszkania dla wszystkich, niezależnie od rasy; był budowniczym, nie filozofem… i w większości udało mu się zrealizować to, co zaplanował. Rzeczywiście dopiął swego. Ale…

Nie sformułowana dotąd myśl teraz wypłynęła z głębi umysłu.

– Joe. Ta książka o szarańczy… czy ona nie jest zakazana na Wschodnim Wybrzeżu?

Kiwnął głową.

– Jak więc mogłeś ją czytać? – Coś tu budziło w niej niepokój. – Czyżby już nie groziło za to rozstrzelanie?

– To zależy od przynależności rasowej. Od dobrej starej opaski na ramieniu.

To prawda. Słowianie, Polacy, Portorykańczycy mieli najbardziej ograniczone prawa czytania, działania, słuchania. Anglosasom pozwalano na znacznie więcej. Mogli chodzić do bibliotek, muzeów i na koncerty, ich dzieci korzystały z oświaty publicznej. Mimo to… *Utyje szarańcza* nie miała ograniczonego zasięgu, była wręcz zakazana dla wszystkich.

– Czytałem to w ustępie. Chowałem w poduszce. Prawdę mówiąc, czytałem ją dlatego, że jest zakazana.

– Jesteś bardzo odważny.

– Mówisz to z ironią? – spytał zbity z tropu.

– Nie.

Odprężył się nieco.

– Wam tutaj jest łatwo, żyjecie sobie bezpiecznie, bez celu, poza biegiem wydarzeń. Żadnych zmartwień, żadnych kłopotów, rezerwat przeszłości.

– Zabijasz sam siebie tym cynizmem – powiedziała. – Pozabierano ci twoich idoli, jednego za drugim, i teraz nie masz komu ofiarować swojej miłości. – Podała mu widelec. Jedz, pomyślała, albo zrezygnuj nawet z tego procesu biologicznego.

Jedząc, Joe kiwnął głową w stronę książki i powiedział:

– Ten Abendsen mieszka, według informacji na okładce, gdzieś w okolicy. W Cheyenne. Patrzy na świat z bezpiecznego miejsca, wpadłabyś na to? Przeczytaj, co tam piszą, przeczytaj na głos.

Wzięła książkę i przeczytała tekst na okładce.

– Były żołnierz. Służył w amerykańskiej piechocie morskiej podczas drugiej wojny światowej, raniony w Anglii przez niemiecki czołg typu Tygrys. Sierżant. Mówią, że miejsce, w którym pisze, to istna forteca najeżona bronią. – Odłożywszy książkę, dodała: – Tu o tym nie piszą, ale słyszałam, jak ktoś mówił, że to u niego prawie paranoja; dom jest

w górach, otoczony drutem kolczastym pod napięciem. Niełatwo się tam dostać.

– Może wie, co robi – powiedział Joe – żyjąc w ten sposób po napisaniu takiej książki. Niemieckich bonzów krew zalała, kiedy to przeczytali.

– On tak żył już przedtem, tam napisał tę książkę. Ta jego posiadłość nazywa się… – zerknęła na okładkę książki – Wysoki Zamek. Tak ją nazwał.

– Nie będą mogli się do niego dobrać – mówił Joe, żując pośpiesznie. – Jest czujny. Spryciarz.

– Uważam, że wykazał wielką odwagę, pisząc tę książkę. Gdyby państwa Osi przegrały wojnę, moglibyśmy mówić i pisać wszystko, co chcemy, jak dawniej. Bylibyśmy jednym krajem i mielibyśmy sprawiedliwy system prawny, jednakowy dla wszystkich.

Ku jej zdziwieniu skinął głową.

– Nie rozumiem cię – powiedziała. – Jakie ty masz przekonania? Czego chcesz? Najpierw bronisz tych potworów, tych zboczeńców, którzy wymordowali Żydów, a potem… – W desperacji chwyciła go za uszy; zamrugał z bólu i zdziwienia, kiedy wstała, pociągając go za sobą.

Stali twarzą w twarz, sapiąc i nie mogąc przemówić słowa.

– Pozwól mi skończyć to śniadanie, które mi sama przygotowałaś – odezwał się wreszcie Joe.

– Nie odpowiesz? Nie chcesz mi powiedzieć? Ty dobrze wiesz, rozumiesz, tylko udajesz, że nie masz pojęcia, o co mi chodzi, i jesz dalej. – Puściła jego uszy, zgniotła je tak, że były teraz jaskrawoczerwone.

– Pusta gadanina – powiedział Joe. – Bez znaczenia. Jak to radio, o którym mówiłaś. Wiesz, jak brunatne koszule określają kogoś, kto bawi się w filozofię? *Eierkopf*. Jajogłowy. Dlatego, że wielkie, baniaste, puste głowy takich ludzi łatwo pękają… w ulicznych zamieszkach.

– Skoro tak o mnie myślisz, to dlaczego sobie nie pójdziesz? Po co tu siedzisz?

Zagadkowy grymas, który pojawił się na jego twarzy, przejął ją chłodem.

Żałuję, że go do siebie wpuściłam, pomyślała. A teraz jest już za późno. Wiem, że nie potrafię się go pozbyć, jest za silny.

Dzieje się coś okropnego, myślała. On jest tego źródłem i wygląda na to, że ja mu pomagam.

– Co się z tobą dzieje? – Wziął ją pod brodę, pogłaskał po karku, wsunął dłoń pod bluzkę i z czułością gładził jej ramię. – Zły nastrój. Powiedz, co cię dręczy, zrobię ci psychoanalizę gratis.

– Nazwą cię żydowskim psychoanalitykiem. – Uśmiechnęła się blado. – Chcesz wylądować w krematorium?

– Masz lęk przed mężczyznami. Czy tak?

– Nie wiem.

– To się dało odczuć zeszłej nocy. Tylko dzięki temu, że ja… – Urwał w pół zdania. – Dzięki temu, że starałem się niczym cię nie urazić…

– Dlatego, że byłeś w łóżku z tyloma kobietami. To chciałeś powiedzieć.

– Ale wiem, że mam rację. Posłuchaj, Juliano, nigdy cię nie skrzywdzę. Przysięgam na grób mojej matki. Będę szczególnie uważny, a jeżeli już chcesz mówić o moim doświadczeniu, to możesz z niego w pełni korzystać. Pozbędziesz się swoich lęków. Potrafię cię odprężyć i niejednego nauczyć, i to bardzo szybko. Po prostu dotąd nie miałaś szczęścia do mężczyzn.

Kiwnęła głową nieco podniesiona na duchu. Ale nadal czuła chłód i smutek, i nadal nie wiedziała dlaczego.

Pan Nobusuke Tagomi zaczął dzień pracy od chwili samotności. Siedział w swoim gabinecie w budynku Nippon Times i medytował.

Jeszcze zanim wyszedł z domu do biura, otrzymał od Ito raport o panu Baynesie. Młody student nie miał wątpliwości: pan Baynes nie był Szwedem. Pan Baynes był z całą pewnością narodowości niemieckiej.

Ale ani Misja Handlowa, ani japońska tajna policja Tokkoka nie miały zbyt wielkiego wyobrażenia o niemczyźnie pana Ito. Głupiec, prawdopodobnie nie wywąchał nic godnego uwagi, myślał pan Tagomi. Nadgorliwość połączona z romantycznymi doktrynami. Demaskować, wiecznie podejrzewać.

W każdym razie spotkanie z panem Baynesem i starszą osobą z Wysp rozpocznie się wkrótce, zgodnie z planem, niezależnie od narodowości pana Baynesa, który spodobał się panu Tagomiemu. To jest, uznał, prawdopodobnie najważniejszy talent u osób na wysokich stanowiskach, takich jak on. Intuicja co do ludzi. Umiejętność poznania dobrego człowieka. Przebić się przez wszystkie ceremonie i zewnętrzne formy. Przeniknąć do serca.

Serce zamknięte między dwiema liniami *in*, liniami czarnej namiętności. Zduszone czasem, lecz nawet wtedy światło *jang*, płomyk w środku. Podoba mi się, powiedział do siebie pan Tagomi. Niemiec czy Szwed. Mam nadzieję, że zarakaina pomogła mu na ból głowy. Muszę pamiętać, żeby go o to spytać, zaraz na wstępie.

Odezwał się interkom na jego biurku.

– Nie teraz – powiedział szorstko – nie czas na rozmowy. Chwila wewnętrznej prawdy. Introwersja.

Mimo to z małego głośnika odezwał się głos pana Ramseya:

– Proszę szanownego pana, przed chwilą nadeszła wiadomość z sekcji informacyjnej na dole. Kanclerz Rzeszy Martin Bormann nie żyje. – Pan Ramsey urwał. Cisza.

Odwołać wszystkie sprawy na dzisiaj, pomyślał pan Tagomi. Wstał zza biurka i zaczął chodzić szybkim krokiem po gabinecie, zaciskając dłonie. Trzeba się zastanowić. Wysłać natychmiast kondolencje do konsula Rzeszy. Prosta sprawa; może to zrobić podwładny. Głęboki żal itd. Cała Japonia łączy się z narodem niemieckim w tej smutnej chwili. Co potem? Największa czujność. Być w pogotowiu na natychmiastowe przyjęcie informacji z Tokio.

Nacisnąwszy guzik interkomu, powiedział:

– Panie Ramsey, proszę się upewnić, czy mamy połączenie z Tokio. Zechce pan postawić telefonistki w stan pogotowia. Komunikat musi być odebrany natychmiast.

– Tak jest, proszę pana.

– Od tej chwili będę w swoim gabinecie. Odłożyć wszystkie bieżące sprawy. Odprawiać wszystkich interesantów.

– Słucham?

– Muszę mieć wolne ręce, w razie gdyby trzeba było działać natychmiast.

– Tak jest, proszę pana.

Pół godziny później, o dziewiątej, nadeszła wiadomość od najwyższego rangą przedstawiciela Rządu Cesarskiego na Zachodnim Wybrzeżu, ambasadora Japonii w Pacyficznych Stanach Ameryki, czcigodnego barona L.B. Kaelemakule. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwoływało nadzwyczajne posiedzenie w gmachu ambasady przy Sutter Street i każda z misji handlowych miała tam przysłać odpowiedzialnego urzędnika. W tym wypadku oznaczało to samego pana Tagomiego.

Nie było czasu na zmianę stroju. Pan Tagomi pośpieszył do windy ekspresowej, zjechał na parter i chwilę później siedział już w limuzynie misji, czarnym cadillacu 1940 prowadzonym przez doświadczonego chińskiego szofera w liberii.

Przed gmachem ambasady ujrzał wozy innych ważnych osobistości. Było ich kilkanaście. Różni dygnitarze, niektórzy znajomi, inni nie, wchodzili po szerokich schodach budynku. Szofer otworzył drzwiczki i pan Tagomi wysiadł pośpiesznie, ściskając rączkę teczki; była pusta, bo nie miał żadnych papierów na konferencję… ale należało za wszelką cenę stwarzać pozory, że nie jest się tylko widzem. Szedł po schodach w sposób sugerujący, że ma do odegrania istotną rolę na konferencji, choć w rzeczywistości nie poinformowano go nawet, co będzie jej tematem.

Dygnitarze zbierali się w małe grupki; przyciszone dyskusje w hallu. Pan Tagomi przyłączył się do kilku znajomych osób, wymieniając ukłony i zachowując się, tak jak i oni, z uroczystą powagą.

Po chwili pojawił się urzędnik ambasady i skierował ich do dużej sali zastawionej składanymi krzesłami. Wszyscy weszli i zajęli miejsca. Rozmowy ucichły, słychać było tylko pokasływania i szuranie nogami.

Na przedzie jakiś dżentelmen z papierami w ręku przeciska się do stojącego na podwyższeniu stolika. Sztuczkowe spodnie: przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Lekkie zamieszanie. Inne osoby wymieniają półgłosem uwagi; głowy pochylone ku sobie.

– Panowie – odezwał się człowiek z ministerstwa donośnym, rozkazującym głosem. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. – Jak wiecie, śmierć bohatera Rzeszy jest potwierdzona. Oficjalny komunikat z Berlina. Spotkanie nasze, które nie potrwa długo – wkrótce będziecie mogli wrócić do swoich biur – ma na celu poinformowanie was o naszej ocenie kilku współzawodniczących frakcji w niemieckim życiu politycznym, które, jak można tego obecnie oczekiwać, przystąpią do bezpardonowej walki o stanowisko zwolnione przez *Herr* Bormanna.

W skrócie, najważniejsze osobistości. Przede wszystkim Hermann Göring. Wybaczcie, proszę, że podaję dobrze znane fakty.

Zwany popularnie Grubym ze względu na tuszę, pierwotnie odważny as lotnictwa z pierwszej wojny światowej, utworzył Gestapo i zajmował ważne stanowisko w rządzie pruskim. Jeden z najbardziej bezwzględnych starych nazistów, jednak później jego sybaryckie ekscesy stworzyły mylący obraz sympatycznego hulaki, któremu wedle zaleceń naszego rządu ufać nie należy. Ten człowiek, chociaż mówi się o nim, że ma kłopoty ze zdrowiem, może nawet jest chory na skutek swojej żarłoczności, przypomina raczej żądnych uciech rzymskich cezarów, których władza rosła z wiekiem, nie słabła. Sensacyjny obraz tego człowieka w todze, z oswojonymi lwami, władającego olbrzymim zamkiem wypełnionym trofeami i dziełami sztuki, jest niewątpliwie prawdziwy. Towarowe pociągi wiozące zrabowane bogactwa do jego siedziby miały pierwszeństwo przed transportami wojskowymi nawet podczas wojny. Nasza ocena: ten człowiek ma nieograniczony apetyt na władzę i może ją zdobyć. Najbardziej rozpustny ze wszystkich nazistów w przeciwieństwie do zmarłego Himmlera, który żył ubogo z mizernej pensji. *Herr* Göring reprezentuje mentalność łupieżcy, korzystającego z władzy, żeby samemu się wzbogacić. Mentalność prymitywna, nawet wulgarna, ale spora inteligencja, może najinteligentniejszy ze wszystkich nazistowskich przywódców. Cel jego dążeń: gloryfikacja własnej osoby w stylu rzymskich imperatorów.

Następny. *Herr* Joseph Goebbels. W młodości przeszedł chorobę Heinego-Medina. Pierwotnie katolik. Wybitny mówca i pisarz, umysł elastyczny i fanatyczny, dowcipny, kulturalny, kosmopolityczny. Żywo interesuje się damami. Elegancki. Wykształcony. Bardzo zdolny. Dużo pracuje; wręcz gorączkowa potrzeba organizowania. Mówią, że nigdy nie odpoczywa. Cieszy się szacunkiem. Potrafi być ujmujący, ale jest w nim rys

zaciekłości, silniejszy niż u innych nazistów. Orientacja ideologiczna przypominająca jezuityzm pogłębiony postromantycznym niemieckim nihilizmem. Uważany za jedynego autentycznego intelektualistę w partii. W młodości miał ambicje dramatopisarza. Niewielu przyjaciół. Nie lubiany przez podwładnych, jest mimo wszystko wysublimowanym produktem wielu najlepszych elementów europejskiej kultury. Celem jego dążeń nie jest żądza uciech, ale władza dla samej władzy. Postawa organizacyjna w klasycznym sensie pruskiej państwowości.

Herr Reinhard Heydrich…

Urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych przerwał, podniósł wzrok i powiódł nim po zgromadzonych. Po chwili podjął wątek:

– Osobnik znacznie młodszy od wymienionych, którzy uczestniczyli w rewolucji 1932 roku. Związany zawodowo z elitą SS. Podwładny Himmlera, mógł mieć związek z jego nie wyjaśnioną do końca śmiercią w 1948. Oficjalnie wyeliminował konkurentów w aparacie policji, takich jak Eichmann, Schellenberg i inni. Mówią, że wielu funkcjonariuszy partii żywi do niego lęk. Odpowiedzialny za kontrolę Wehrmachtu po zamieszkach w słynnym starciu między policją a wojskiem, które doprowadziło do reorganizacji aparatu rządowego, z czego NSDAP wyszła zwycięsko. Konsekwentnie popierał Martina Bormanna. Produkt elitarnego szkolenia, jednak przed tak zwanym systemem zamkowym SS. Mówi się o nim, że jest pozbawiony uczuciowości w tradycyjnym sensie. Zagadkowy w kwestii motywacji. Być może widzi społeczeństwo w kategoriach teorii gier; szczególne quasi-naukowe podejście spotykane w pewnych kręgach technokratów. Nie bierze udziału w dysputach ideologicznych. Podsumowanie: można go uważać za najbardziej nowoczesnego pod względem mentalności. Typ postoświeceniowy, rezygnujący z tak zwanych niezbędnych iluzji w rodzaju wiary w Boga. Socjologowie z Tokio nie

potrafią zgłębić tej tak zwanej realistycznej mentalności, trzeba więc uznać go za zagadkę. Należy jednak zwrócić uwagę na podobieństwo do zaniku uczuciowości w posuniętej schizofrenii.

Słuchając tego, pan Tagomi poczuł się niedobrze.

– Baidur von Schirach. Były szef Hitlerjugend. Uważany za idealistę. Prywatnie ujmujący, nie ma jednak opinii zbyt doświadczonego ani kompetentnego. Szczerze wierzy w cele partii. Odpowiedzialny za osuszenie Morza Śródziemnego i uzyskanie olbrzymich terenów uprawnych. Hamował bezwzględną politykę rasowej eksterminacji na terenach słowiańskich w początkach lat pięćdziesiątych. Zwrócił się bezpośrednio do narodu niemieckiego z projektem pozostawienia resztek ludów słowiańskich w zamkniętych rezerwatach. Wzywał do zakończenia pewnych form eutanazji i doświadczeń lekarskich, lecz bez powodzenia.

Doktor Seyss-Inquart. Były nazista austriacki, obecnie odpowiedzialny za obszary kolonialne Rzeszy i politykę kolonialną. Prawdopodobnie najbardziej znienawidzony człowiek na terytoriach należących do Rzeszy. Mówi się, że był inspiratorem większości, jeżeli nie wszystkich represji w stosunku do ludów podbitych. Opracowywał wraz z Rosenbergiem plany olbrzymich triumfalnych kampanii ideologicznych, niezwykle niepokojących, jak sterylizacja całej ludności rosyjskiej ocalałej z działań wojennych. Brak ścisłych danych, ale uważa się go za jedną z osób, które odpowiadają za rzucenie na pastwę eksperymentów całego kontynentu afrykańskiego i stworzenie ludobójczych warunków dla ludności murzyńskiej. Prawdopodobnie najbliższy temperamentem pierwszemu Führerowi, Adolfowi Hitlerowi.

Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych zakończył swoją suchą, powolną recytację.

Chyba zaraz oszaleję, pomyślał pan Tagomi. Muszę się stąd wydostać, mam atak. Mój organizm chce wyrzucić z siebie wszystko, umieram. Wstał chwiejnie i zaczął się przepychać między ludźmi i krzesłami. Ledwo widział. Do toalety. Przyśpieszył kroku.

Odwróciło się kilka głów. Zobaczyli go. Wstyd. Choruje na ważnym zebraniu. Utrata prestiżu. Wybiegł przez drzwi, które otworzył pracownik ambasady.

Natychmiast ustąpiła panika. Świat przestał wirować, znowu widział przedmioty. Nieruchoma podłoga, ściany.

Zawroty głowy. Niewątpliwie coś z uchem środkowym.

Diencephalon, pradawna część mózgu, daje o sobie znać, pomyślał.

Jakieś chwilowe organiczne zaburzenie.

Myśleć o rzeczach pokrzepiających. Odwołać się do porządku świata. Do czego sięgnąć? Religia? Myślał: *A teraz gawot w spokojnym wykonaniu. Oboje znakomicie, oboje znakomicie, chwytacie to bardzo ładnie. To jest właśnie ten styl.* Mała formułka rozpoznawalnego świata. *Gondolierzy*. Gilbert i Sullivan. Zamknął oczy, wyobrażając sobie zespół D'Oyly Carte Company, tak jak go oglądał podczas jego tournée po wojnie. Realny, realny świat.

Pracownik ambasady, tuż obok, pyta:

– Czy mogę szanownemu panu w czymś pomóc?

Pan Tagomi kłania się.

– Już czuję się dobrze.

Twarz tamtego spokojna, zatroskana. Bez szyderstwa. Może wszyscy śmieją się ze mnie? – myślał pan Tagomi. W głębi serca.

Zło istnieje. Jest realne, jak beton.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę tego znieść. Zło to nie tylko punkt widzenia. Snuł się po hallu, słysząc szum ruchu ulicznego i głos

przedstawiciela ministerstwa prowadzącego zebranie. Cała nasza religia jest niesłuszna. Co robić? – zapytywał sam siebie. Podszedł do głównego wejścia, pracownik otworzył drzwi i pan Tagomi zszedł po schodach na ulicę. Zaparkowane samochody. Jego wóz. Kierowcy czekają.

To jest część nas. Składnik świata. Otacza nas, przenika nasze ciała, umysły, serca.

Dlaczego?

Jesteśmy ślepi jak krety. Ryjemy w ziemi po omacku, obmacując świat nosem. Nie wiemy nic. Odczułem to… teraz nie wiem, dokąd iść. Tylko wyć ze strachu. Uciekać.

Budzę politowanie.

Śmieją się ze mnie, myślał, mijając szoferów, którzy przyglądali mu się, gdy szedł do swego auta. Zapomniałem teczki. Zostawiłem ją tam, przy moim krześle. Wszystkie oczy skierowane na niego, kiedy kiwa na szofera. Otwarte drzwiczki, wpełznął do środka.

Zawieź mnie do szpitala, pomyślał. Nie, zawieź mnie z powrotem do biura.

– Budynek Nippon Times – powiedział na głos. – Proszę jechać wolno. – Patrzył na miasto, samochody, sklepy, wysokie budownictwo, bardzo nowoczesne. Ludzie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, zajęci własnymi sprawami.

Gdy przyszedł do biura, polecił panu Ramseyowi porozumieć się z jedną z pozostałych misji handlowych, z Misją Rud Nieżelaznych, i poprosić, żeby ich przedstawiciel na konferencję w ambasadzie skontaktował się z nim po powrocie.

Telefon zadzwonił tuż przed dwunastą.

– Pewnie zauważył pan, co mi się przytrafiło na konferencji – powiedział pan Tagomi do telefonu. – Niewątpliwie bardzo rzucało się to w oczy,

zwłaszcza moje pośpieszne wyjście.

– Nic nie zauważyłem – powiedział Nieżelazny. – Ale nie widziałem pana po spotkaniu i zastanawiałem się, co się z panem dzieje.

– Jest pan wielce taktowny – zauważył posępnie pan Tagomi.

– Wcale nie. Jestem pewien, że wszyscy byli tak pochłonięci wystąpieniem przedstawiciela ministerstwa, że nie zwracali uwagi na inne sprawy. Jeżeli zaś chodzi o to, co działo się po pańskim odejściu… czy był pan do końca listy pretendentów do władzy? To było na samym początku.

– Słuchałem do miejsca o doktorze Seyss-Inquarcie.

– Następnie mówca przedstawił tamtejszą sytuację gospodarczą. Nasze władze stoją na stanowisku, że zredukowanie przez Niemców ludności Europy i Azji Północnej do poziomu niewolników oraz wymordowanie wszystkich intelektualistów, elementów burżuazyjnych, patriotycznej młodzieży i tak dalej było katastrofą z ekonomicznego punktu widzenia. Jedynie wspaniałe osiągnięcia technologiczne nauki i przemysłu uratowały Niemców. *Wunderwaffe*, że tak powiem.

– Tak – wtrącił pan Tagomi. Siedząc za biurkiem i trzymając słuchawkę, jedną ręką nalał sobie filiżankę gorącej herbaty. – Tak jak ich cudowna broń V-l, V-2 i odrzutowe myśliwce w czasie wojny.

– To jest żonglerka – mówił człowiek od Rud Nieżelaznych. – Wszystko trzyma się głównie dzięki wykorzystaniu energii atomowej. I propagandowemu cyrkowi rakietowych podróży na Marsa i Wenus. Mówca wskazał, że mimo całego ich oddziaływania na wyobraźnię podróże te mają zerową wartość ekonomiczną.

– Ale są widowiskowe – wtrącił pan Tagomi.

– Jego przewidywania były ponure. Uważa, że najwyżej postawieni naziści nie chcą spojrzeć w oczy rzeczywistości gospodarczej i coraz bardziej przeważają szalę w stronę spektakularnych awantur, kosztem

bezpieczeństwa i ogólnej równowagi. Cykl maniakalnego entuzjazmu, potem strachu, potem rozpaczliwych decyzji partyjnych… a w każdym razie wykazywał, że wszystko to wynosi do góry najbardziej lekkomyślnych i nieodpowiedzialnych polityków.

Pan Tagomi kiwnął głową.

– Musimy zatem zakładać, że zostanie dokonany najgorszy, nie zaś najlepszy wybór. Trzeźwe i odpowiedzialne elementy wyjdą z obecnej rozgrywki pokonane.

– Kto według niego jest najgorszy?

– Heydrich. Seyss-Inquart i Göring. W opinii Rządu Cesarskiego.

– A najlepszy?

– Zapewne Baldur von Schirach i doktor Goebbels. Ale tutaj był mniej precyzyjny.

– Czy coś jeszcze?

– Powiedział nam, że w tej chwili musimy wierzyć cesarzowi i rządowi bardziej niż kiedykolwiek. Że możemy spoglądać ku pałacowi z ufnością.

– Czy zapadła chwila pełnej szacunku ciszy?

– Tak.

Pan Tagomi podziękował człowiekowi z Rud Nieżelaznych i odłożył słuchawkę.

Siedział, popijając herbatę, kiedy odezwał się interkom. Głos panny Ephreikian:

– Chciał pan wysłać depeszę do konsula niemieckiego. – Chwila milczenia. – Czy życzy pan sobie podyktować ją teraz?

Racja, przypomniał sobie pan Tagomi. Zapomniałem.

– Proszę przyjść do gabinetu – powiedział.

Po chwili sekretarka weszła.

– Czy czuje się pan już lepiej? – spytała, uśmiechając się z nadzieją.

– Tak. Zastrzyk witamin pomógł. – Zastanowił się. – Proszę mi przypomnieć, jak brzmi nazwisko niemieckiego konsula.

– Mam je tutaj, proszę pana. *Freiherr* Hugo Reiss.

– *Mein Herr* – zaczął pan Tagomi. – Dotarła do nas wstrząsająca wiadomość, że Wasz Wódz, *Herr* Martin Bormann, odszedł. Łzy napływają mi do oczu, kiedy piszę te słowa. Kiedy wspominam śmiałe czyny *Herr* Bormanna dokonane dla zabezpieczenia narodu niemieckiego od wrogów, zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych, a także wstrząsające, surowe środki zastosowane wobec opornych i zdrajców, którzy chcieli sprzeniewierzyć marzenie całej ludzkości o kosmosie, w który teraz jasnowłosi, błękitnoocy nordycy wdarli się po tysiącleciach… – Zatrzymał się. Tego zdania w żaden sposób nie uda się zakończyć.

Panna Ephreikian wyłączyła magnetofon i czekała.

– Żyjemy we wspaniałych czasach – powiedział.

– Czy mam to zapisać? Czy to należy do tekstu? – Z wahaniem puściła maszynę w ruch.

– Powiedziałem to do pani.

Uśmiechnął się.

– Proszę puścić moją wypowiedź.

Szpula zaczęła się obracać, potem usłyszał swój głos, słaby i metaliczny, wydobywający się z małego głośnika.

– „…*Herr* Bormanna dokonane dla zabezpieczenia narodu…” – Słuchał dalej owadopodobnych popiskiwań. Bełkot i makulatura, pomyślał.

– Mam zakończenie – powiedział, kiedy szpula przestała się obracać – … zdecydowani, składając ofiarę ze swego życia, sięgnąć ku gwiazdom, by w ten sposób zapewnić sobie w historii miejsce, którego żadne istoty nie będą mogły im odebrać, jakkolwiek potoczą się losy. – Zrobił przerwę. – Wszyscy jesteśmy owadami – powiedział do panny Ephreikian. –

Zmierzamy po omacku ku czemuś strasznemu lub boskiemu. Nie sądzi pani? – Skłonił się.

Panna Ephreikian, trzymając magnetofon, odpowiedziała lekkim ukłonem.

– Proszę to wysłać – powiedział. – Podpis i tak dalej. Jeżeli pani zechce, proszę poprawić zdania, tak żeby coś znaczyły. – A kiedy już wychodziła z gabinetu, dodał: – Albo żeby nic nie znaczyły. Jak pani woli.

Otwierając drzwi gabinetu, obejrzała się na niego ze zdziwieniem.

Po jej wyjściu pan Tagomi zajął się codziennymi sprawami biura, ale prawie natychmiast odezwał się w interkomie pan Ramsey:

– Proszę pana, dzwoni pan Baynes.

To dobrze, pomyślał pan Tagomi. Teraz możemy przystąpić do poważnych rozmów.

– Proszę go połączyć – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Czy pan Tagomi? – rozległ się głos pana Baynesa.

– Dobry wieczór. Z powodu wiadomości o śmierci kanclerza Bormanna niespodziewanie opuściłem dziś rano swoje biuro. Jednak…

– Czy pan Yatabe skontaktował się z panem?

– Jeszcze nie – odpowiedział pan Tagomi.

– Czy powiedział pan swoim pracownikom, żeby go oczekiwali? – spytał pan Baynes. W jego głosie był niepokój.

– Tak – odparł pan Tagomi. – Wprowadzą go natychmiast, gdy tylko przybędzie. – Odnotował sobie w myśli, że ma to powiedzieć panu Ramseyowi; dotąd nie miał na to czasu. Czyżbyśmy więc nie mogli zacząć rozmów, dopóki nie pojawi się starszy pan? Poczuł zawód. – Proszę pana – zaczął – z niecierpliwością oczekuję spotkania. Czy zademonstruje nam pan wasze matryce? Mimo że powstało dziś zamieszanie…

– Nastąpiła zmiana – powiedział pan Baynes. – Zaczekamy na pana Yatabe. Czy jest pan pewien, że jeszcze nie przybył? Proszę mi obiecać, że da mi pan znać natychmiast po jego przybyciu. Proszę, niech się pan zmobilizuje, panie Tagomi. – Głos pana Baynesa był pełen napięcia, urywany.

– Obiecuję panu. – Teraz on również czuł podniecenie. Śmierć Bormanna; to spowodowało zmianę. – Tymczasem – dodał pośpiesznie – byłoby mi przyjemnie spożyć w pańskim towarzystwie obiad. Jeszcze nie miałem okazji zjeść obiadu. – Improwizując, brnął dalej: – W oczekiwaniu na szczegóły być może moglibyśmy poprzeżuwać ogólną sytuację światową, a zwłaszcza…

– Nie – przerwał mu pan Baynes.

Nie? – pomyślał pan Tagomi.

– Proszę pana – powiedział – nie czuję się dziś dobrze. Miałem przykry wypadek. Spodziewałem się, że pan mnie wysłucha.

– Przepraszam – rzucił pan Baynes. – Zadzwonię do pana później. – Rozległ się trzask. Pośpiesznie odłożona słuchawka.

Obraziłem go, pomyślał pan Tagomi. Musiał się słusznie domyślić, że przez opieszałość nie uprzedziłem mojego personelu o starszym panu. Ale to drobiazg. Przycisnął guzik interkomu i powiedział:

– Pan Ramsey, proszę do mojego gabinetu. – Mogę to natychmiast naprawić. Na pewno chodzi o coś więcej, uznał. Śmierć Bormanna była dla niego wstrząsem.

Drobiazg, a jednak dowodzi mojego niedbalstwa i głupoty. Pan Tagomi czuł wyrzuty sumienia. To nie jest dobry dzień. Należało poradzić się wyroczni, dowiedzieć się, co to za chwila. Jedno jest jasne, bardzo się oddaliłem od *tao*.

Pod którym z sześćdziesięciu czterech heksagramów działam? – zastanawiał się. Otworzywszy szufladę biurka, wyjął *I-cing*, oba tomy. O tyle rzeczy chciałoby się spytać mędrców. Jest we mnie tyle pytań, których nie potrafię do końca sformułować…

Kiedy przyszedł pan Ramsey, znał już heksagram.

– Niech pan spojrzy, panie Ramsey. – Pokazał mu książkę.

Heksagram czterdziesty siódmy. Prześladowanie. Wyczerpanie.

– Zły znak, zazwyczaj – powiedział pan Ramsey. – Jakie było pańskie pytanie, jeżeli nie jestem niedelikatny?

– Pytałem o obecną chwilę – odparł pan Tagomi. – O chwilę dla nas wszystkich. Żadnych linii ruchomych. Statyczny heksagram. – Zamknął książkę.

O trzeciej godzinie tegoż popołudnia Frank Frink, wciąż czekając wraz ze swoim wspólnikiem na decyzję Wyndama-Matsona w sprawie pieniędzy, postanowił zasięgnąć rady wyroczni. Jak się potoczą sprawy? – zapytał i rzucił monety.

Otrzymał heksagram czterdziesty siódmy z jedną linią ruchomą, dziewiątka na piątym miejscu.

Nos i stopy obcięte.
Prześladowanie z rąk człowieka w purpurowych podwiązkach.
Radość przychodzi po cichu.
Korzystnie jest składać ofiary.

Od dłuższego czasu, co najmniej od półgodziny, studiował tę linię i związany z nią komentarz, usiłując zrozumieć, co to może znaczyć. Cały

heksagram, a zwłaszcza ta ruchoma linia, niepokoił go. W końcu wywnioskował niechętnie, że pieniędzy nie dostaną.

– Za bardzo na tym polegasz – powiedział Ed McCarthy.

O czwartej przybył goniec z Towarzystwa W-M i przyniósł Frinkowi i McCarthy'emu brązową kopertę. Kiedy ją otworzyli, znaleźli wewnątrz uwierzytelniony czek na dwa tysiące dolarów.

– Widzisz, nie miałeś racji! – zawołał McCarthy.

Zatem, myślał Frink, wyroczni chodziło o jakieś dalsze konsekwencje tego zdarzenia. To jest cały kłopot; potem, kiedy rzecz się zdarzy, można się cofnąć myślą i zrozumieć, co dokładnie wyrocznia miała na myśli. Ale teraz…

– Możemy zacząć urządzać warsztat – powiedział McCarthy.

– Dzisiaj? Zaraz teraz? – Frink czuł się zmęczony.

– A dlaczego nie? Zamówienia już wypisaliśmy, trzeba tylko włożyć je do kopert. Im wcześniej, tym lepiej. A to, co można dostać na miejscu, kupimy sami. – Ed, wkładając marynarkę, ruszył do drzwi pokoju Frinka.

Namówili właściciela domu, żeby im wynajął piwnicę. Teraz używali jej na skład. Po usunięciu tekturowych pudeł będą mogli wstawić warsztat, przeciągnąć instalację, zacząć montować silniki i pasy transmisyjne. Przygotowali projekty, specyfikacje, wykaz części. Właściwie to już zaczęli.

Prowadzimy interes, uświadomił sobie Frank Frink. Uzgodnili nawet nazwę firmy.

EDFRANK. WYTWORNA BIŻUTERIA

– Jedyne, co możemy zrobić na dzisiaj – powiedział – to kupić drewno na warsztat i może elementy instalacji. Ale nic z rzeczy jubilerskich.

Udali się zatem do składu drewna w południowej części San Francisco. W niecałą godzinę mieli to, czego potrzebowali.

– Co cię gryzie? – spytał Ed McCarthy, kiedy wchodzili do sklepu żelaznego.

– Pieniądze. To mnie gnębi. Finansowanie spraw w ten sposób.

– Stary W-M rozumie – rzekł McCarthy.

Wiem, pomyślał Frink. I to mnie właśnie gnębi. Dołączyliśmy do jego świata. Jesteśmy tacy jak on. Czy to przyjemna myśl?

– Nie oglądaj się za siebie – powiedział McCarthy. – Patrz w przyszłość. Myśl o naszym interesie.

Ja patrzę w przyszłość, pomyślał Frink. Myślał o heksagramie. Jakie ofiary mam złożyć? I komu?

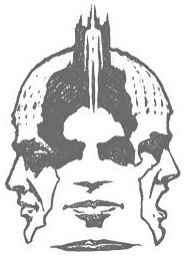

7

Państwo Kasoura, młoda, ładna japońska para, która wstąpiła do sklepu Roberta Childana, zatelefonowali do niego pod koniec tygodnia i zaprosili go do siebie na kolację. Oczekiwał od nich jakiejś wiadomości i był uszczęśliwiony.

Zamknął swój sklep nieco wcześniej i pojechał do eleganckiej dzielnicy, gdzie mieszkali państwo Kasoura. Znał tę dzielnicę, chociaż nikt z białych tam nie mieszkał. Jadąc rikszą krętymi ulicami wzdłuż trawników i wierzb płaczących, Childan przyglądał się nowoczesnym budynkom mieszkalnym i podziwiał ich wdzięczną architekturę. Balkony z kutego żelaza, strzeliste, a jednak nowoczesne kolumny, pastelowe kolory, kontrasty różnorodnej faktury składały się na dzieło sztuki. Pamiętał czasy, kiedy nie było tu nic prócz ruin i gruzów.

Japońskie dzieci bawiące się przed domami przyglądały mu się bez słowa, a potem wracały do gry w baseball lub futbol amerykański. Ale, pomyślał sobie, co innego dorośli; dobrze ubrani młodzi Japończycy, parkujący swoje samochody albo wchodzący do budynków, patrzyli na niego z żywszym zainteresowaniem. Zapewne zastanawiali się, czy tu mieszka. Młodzi japońscy biznesmeni wracający ze swoich biur…

mieszkali tu nawet szefowie misji handlowych. Zauważył zaparkowane cadillaki. W miarę jak riksza zbliżała się do celu, był coraz bardziej podenerwowany.

Wkrótce potem, wchodząc po schodach do mieszkania państwa Kasoura, myślał: Oto, gdzie zostałem zaproszony nie w interesach, lecz na przyjęcie. Oczywiście ubrany był ze szczególną starannością; przynajmniej mógł być pewien swego wyglądu. Mój wygląd, pomyślał. Tak, w tym rzecz. Jak ja wyglądam? Nikogo nie da się oszukać, ja tu nie pasuję. Na tej ziemi, którą biały człowiek wykarczował, by zbudować jedno z najpiękniejszych miast. Jestem intruzem we własnym kraju.

Wysłany dywanem korytarz zaprowadził go do właściwych drzwi. Zadzwonił i po chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich młoda pani Kasoura w jedwabnym kimonie i *obi*, z długimi czarnymi włosami spływającymi na ramiona. Uśmiechała się zapraszająco. Za jej plecami w salonie mąż ze szklaneczką w ręku, kiwający głową.

– Pan Childan. Proszę wejść.

Ukłonił się i wszedł.

W najwyższym stopniu gustownie. I… tak ascetycznie. Niewiele sprzętów. Lampa, stół, biblioteka, drzeworyt na ścianie. Niewiarygodne japońskie poczucie *wabi*. Nie można tego pomyśleć po angielsku. Umiejętność znalezienia w prostych przedmiotach piękna przekraczającego to, co mogą dać rzeczy wypracowane i ozdobne. Coś, co wiąże się z ich rozmieszczeniem.

– Co do picia? – spytał pan Kasoura. – Whisky z wodą sodową?

– Panie Kasoura… – zaczął.

– Paul – przerwał mu młody Japończyk. I wskazując żonę, dodał: – Betty. A pan…?

– Robert – powiedział cicho Childan.

Usiadłszy ze swoimi szklankami na miękkim dywanie, słuchali nagrania *koto*, japońskiej trzynastostrunowej harfy. Było to nowe nagranie, ostatnio bardzo popularne. Childan zauważył, że wszystkie części gramofonu były ukryte, nawet głośnik. Nie potrafił określić, skąd dochodzi dźwięk.

– Nie znając pana upodobań gastronomicznych – powiedziała Betty – postawiliśmy na pewny numer. W piecyku elektrycznym w kuchni smaży się stek z kością. Do tego pieczony kartofel z sosem lub śmietaną i szczypiorkiem. Maksyma powiada: Nie można zbłądzić, podając nowemu gościowi na pierwszy raz stek.

– Bardzo mi miło – powiedział Childan. – Ogromnie lubię stek. – I niewątpliwie mówił prawdę. Rzadko go jadał. Wielcy hodowcy bydła ze Środkowego Zachodu nie wysyłali już wiele na Zachodnie Wybrzeże. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni jadł dobry stek.

Nadeszła chwila, żeby wręczyć podarunek.

Z kieszeni marynarki wyjął mały przedmiot zawinięty w bibułkę i położył go dyskretnie na niskim stoliku. Oboje natychmiast to zauważyli, należało wobec tego powiedzieć:

– Drobiazg dla państwa. Żeby okazać choć w części radość i przyjemność, jaką sprawia mi ta wizyta.

Odwinął bibułkę, demonstrując im prezent. Kawałek kości słoniowej wyrzeźbiony przed stu laty przez wielorybników z Nowej Anglii. Miniaturowe dzieło sztuki zwane scrimshaw. Ich twarze rozjaśnione wiedzą o tych przedmiotach, które dawni żeglarze wykonywali w wolnych chwilach. Nic innego nie mogło lepiej uosobić starej amerykańskiej kultury.

Cisza.

– Dziękujemy – powiedział Paul.

Robert Childan skłonił się.

W jego sercu na chwilę zapanował spokój. Ten prezent, ta – jak to nazwała *I-cing* – ofiara spełniła swoje zadanie. Niepokój i przygnębienie, które go ostatnio dręczyły, zaczęły ustępować.

Ray Calvin zwrócił mu gotówkę za colta .44 i dał mu pisemne zapewnienie, że to się nie powtórzy. Ale wszystko to nie przyniosło mu ulgi. Dopiero teraz, w sytuacji nie związanej z tamtą sprawą, stracił na chwilę poczucie, że wszystko stacza się nieuchronnie po równi pochyłej. *Wabi* wokół niego, atmosfera harmonii… to musi być przyczyna, uznał. Proporcja. Równowaga. Oni są tak bliscy *tao*, tych dwoje młodych Japończyków. To dlatego wywarli na mnie takie wrażenie za pierwszym razem. Wyczułem w nich *tao*. Sam dostrzegłem jego przebłysk.

Jak by to było, zastanowił się, gdyby rzeczywiście znał *tao*. *Tao*, które najpierw tworzy światłość, a potem ciemność. Rodzi grę dwóch podstawowych sił, dzięki czemu zawsze następuje odnowienie i nie dochodzi do zużycia świata. Wszechświat nigdy nie zginie, bo kiedy wydaje się, że ciemność zdusiła wszystko, w samym jej jądrze rodzi się nowe ziarno światła. To jest właśnie Droga. Kiedy ziarno upada, upada w ziemię, w glebę. I tam, niewidoczne, budzi się do życia.

– Zakąski – powiedziała Betty. Uklękła, żeby podać talerz, na którym leżały małe krakersy z serem. Z przyjemnością wziął dwa.

– Ostatnio w centrum uwagi wiadomości międzynarodowe – odezwał się Paul, pociągając ze szklanki. – Jadąc dzisiaj do domu, słyszałem bezpośrednią transmisję z wielkiego, teatralnego pogrzebu państwowego w Monachium, z wiecem pięćdziesięciu tysięcy, sztandarami i tak dalej. Dużo śpiewania. *Ich hatte einen Kamerad*. Ciało teraz wystawione do oglądania przez wszystkich wiernych.

– Tak, to było przygnębiające – powiedział Robert Childan. – Ta nagła wiadomość na początku tygodnia.

– Dzisiejszy „Nippon Times” pisze, że, jak donoszą z dobrze poinformowanych źródeł, von Schirach przebywa w areszcie domowym – powiedziała Betty. – Na polecenie SD.

– Niedobrze – rzucił Paul, kręcąc głową.

– Niewątpliwie władze pragną zachować porządek – powiedział Childan. – Von Schirach znany z samowolnych, pochopnych, a nawet nieprzemyślanych decyzji. Bardzo podobny do Rudolfa Hessa swego czasu. Pamiętna szaleńcza wyprawa do Anglii.

– Co jeszcze donosi „Nippon Times”? – zwrócił się Paul do żony.

– Wielkie zamieszanie i intrygi. Jednostki wojskowe przerzucane z miejsca na miejsce. Urlopy odwołane. Przejścia graniczne zamknięte. Reichstag obraduje. Wszyscy przemawiają.

– To mi przypomina wspaniałe przemówienie doktora Goebbelsa, które słyszałem w radiu – powiedział Childan. – Jakiś rok temu. Bardzo inteligentne i agresywne. Trzymał audytorium w garści, jak zwykle. Zastosował pełną gamę emocji. Nie ma wątpliwości, odkąd Adolf Hitler zszedł ze sceny, doktor Goebbels jest wśród nazistów mówcą numer jeden.

– To prawda – zgodzili się Paul i Betty, kiwając głowami.

– Doktor Goebbels ma również udane dzieci i żonę – kontynuował swój wywód Childan. – Wszystko wybitne indywidualności.

– To prawda – przytaknęli Paul i Betty. – Człowiek rodzinny w przeciwieństwie do wielu innych tamtejszych wielkich bonzów o wątpliwych obyczajach seksualnych – dodał Paul.

– Nie ufałbym zbytnio plotkom – powiedział Childan. – Masz na myśli Roehma i podobnych? Zamierzchłe czasy. Dawno po nich nie ma śladu.

– Myślałem raczej o Göringu – wyjaśnił Paul, sącząc powoli alkohol i przyglądając się szklance. – Opowieści o najróżniejszych fantastycznych orgiach na wzór rzymski. Od samego słuchania skóra cierpnie.

– Kłamstwa – stwierdził Childan.

– Cóż, sprawa niewarta dyskusji – wtrąciła taktownie Betty, spoglądając na nich obu.

Wypili to, co mieli, poszła więc powtórnie napełnić szklanki.

– Dużo złej krwi powstaje w politycznych dyskusjach – powiedział Paul. – Wszędzie dokoła. Ważne, żeby zachować spokój.

– Tak – zgodził się Childan. – Spokój i porządek. A wtedy wszystko wróci do równowagi.

– Okres po śmierci wodza zawsze krytyczny w społeczeństwie totalitarnym – mówił Paul. – Brak tradycji oraz instytucji reprezentujących klasę średnią… – Urwał w pół zdania. – Może lepiej zostawmy politykę. – Uśmiechnął się. – Jak za dawnych studenckich czasów.

Robert Childan poczuł, że się czerwieni, i pochylił się nad szklanką, żeby ukryć to przed gospodarzem. Cóż za okropny początek. Głupio i hałaśliwie dyskutował o polityce, wykazał brak manier, sprzeczając się, i tylko takt i zręczność gospodarza uratowały sytuację. Jak wiele muszę się nauczyć, myślał Childan. Oni są tacy uprzejmi i pełni wdzięku. A ja – biały barbarzyńca. To prawda.

Na pewien czas ograniczył się do popijania alkoholu i utrzymywania na twarzy sztucznego wyrazu zadowolenia. Muszę ich we wszystkim naśladować, powtarzał sobie. Zawsze potakiwać.

Jednak w przypływie paniki pomyślał: Umysł mam osłabiony alkoholem. Do tego zmęczenie i nerwy. Czy potrafię? Zresztą i tak już mnie więcej nie zaproszą, przepadło. Ogarnęła go rozpacz.

Betty wróciła z kuchni i znów usiadła na dywanie. Jaka piękna, myślał Childan. Wiotkie ciało. Mają o tyle lepsze figury, bez tłuszczu, bez wypukłości. Nie potrzebują biustonoszy ani gorsetów. Muszę maskować swoje tęsknoty, za wszelką cenę. Mimo to co jakiś czas pozwalał sobie na

ukradkowe spojrzenia w jej stronę. Zachwycająco ciemna barwa jej skóry, oczu, włosów. W porównaniu z nimi jesteśmy niedopieczeni. Przedwcześnie wyjęci z pieca. Stara ludowa przypowieść mówi prawdę.

Muszę czymś zająć myśli. Jakiś temat społeczny, wszystko jedno co. Błądził wokół oczami, szukając punktu zaczepienia. Zapanowało ciężkie milczenie, doprowadzając jego napięcie do stanu wrzenia. Nieznośna sytuacja. Co tu, u diabła, powiedzieć? Coś neutralnego. Dostrzegł książkę leżącą na niskiej, czarnej, tekowej szafce.

– Widzę, że czytasz *Utyje szarańcza* – powiedział. – Słyszałem o niej z wielu ust, ale nawał pracy nie pozwala mi zapoznać się z nią samemu. – Wstał i wziął książkę do ręki, czujnie obserwując reakcję gospodarzy; wyglądało na to, że aprobują ten towarzyski gest. – Kryminał? Proszę wybaczyć moją bezdenną ignorancję. – Przewrócił kilka kartek.

– To nie kryminał – sprostował Paul. – Przeciwnie, interesująca forma beletrystyki, zapewne mieszcząca się w gatunku fantastyki naukowej.

– O, nie – zaprotestowała Betty. – Nie ma w niej nauki i nie dzieje się w przyszłości. Fantastyka naukowa przedstawia przyszłość, zwłaszcza taką, w której nauka poczyniła postępy w stosunku do obecnej. Ta książka nie spełnia żadnego z tych warunków.

– Ale – powiedział Paul – mówi o alternatywnej teraźniejszości. Jest wiele znanych powieści fantastycznonaukowych tego rodzaju. Proszę się nie dziwić, że się upieram przy swoim – wyjaśnił Childanowi – ale, jak moja żona wie, byłem przez długie lata entuzjastą fantastyki naukowej. Stała się moim hobby bardzo wcześnie, kiedy miałem dwanaście lat. Na początku wojny.

– Rozumiem – odezwał się uprzejmie Robert Childan.

– Chciałbyś pożyczyć *Szarańczę*? My ją wkrótce skończymy, jutro, najdalej pojutrze. Moje biuro mieści się w centrum, niedaleko od twego

znakomitego sklepu, i chętnie ci ją przyniosę podczas przerwy obiadowej. – Zamilkł na chwilę, a potem, możliwe, pomyślał Childan, że na znak Betty, dodał: – Moglibyśmy przy tej okazji zjeść razem obiad, Robercie.

– Dziękuję – rzekł Childan. To było wszystko, co mógł z siebie wydobyć. Obiad w jednej z modnych restauracji w śródmieściu, miejscu spotkań biznesmenów. On i ten elegancki, wysoko postawiony młody Japończyk. Tego już było za wiele. Poczuł, że mąci mu się wzrok, ale nadal oglądał książkę i kiwał głową. – Tak – powiedział – to wygląda interesująco. Bardzo chciałbym ją przeczytać. Staram się orientować w nowościach, o których się mówi. – Czy dobrze to powiedział? Przyznał, że jego zainteresowanie wynika z mody. Może to było nie na miejscu? Nie wiedział, ale miał uczucie, że jednak nie. – Nie można sądzić książki na podstawie tego, że jest bestsellerem – dodał. – Wszyscy o tym wiemy. Wiele bestsellerów to okropna tandeta. To jednak… – zająknął się.

– Bardzo słusznie – powiedziała Betty. – Przeciętny gust naprawdę godny politowania.

– Podobnie jak w muzyce – dodał Paul. – Nie ma, na przykład, zainteresowania autentycznym amerykańskim jazzem. Czy lubisz, dajmy na to, Bunka Johnsona, Kida Ory’ego i innych? Wczesny dixieland? Mam zbiór płyt z taką dawną muzyką, oryginalne nagrania Geneta.

– Obawiam się, że niewiele wiem o murzyńskiej muzyce – powiedział Robert. Wyglądało na to, że jego uwaga nie zrobiła dobrego wrażenia. – Wolę klasyczną. Bach i Beethoven. – W tym nie mogło być nic złego. Czuł się lekko urażony. Czy oczekiwano, że wyprze się wielkich mistrzów europejskiej muzyki, nieśmiertelnych klasyków na rzecz nowoorleańskiego jazzu z podejrzanych lokali i knajp murzyńskiej dzielnicy?

– Może jeżeli puszczę ci coś w wykonaniu New Orleans Rhythm Kings… – zaczął Paul, wstając, ale Betty spojrzała na niego ostrzegawczo.

Zawahał się i wzruszył ramionami.

– Kolacja prawie gotowa – powiedziała.

Paul wrócił na miejsce. Lekko niezadowolony, jak zauważył Childan, mruknął:

– Jazz z Nowego Orleanu to najbardziej autentyczna amerykańska muzyka, jaka istnieje. Zrodzona na tym kontynencie. Wszystko inne przyszło z Europy, jak te łzawe ballady w staroangielskim stylu.

– Stała przyczyna sporów między nami – wtrąciła Betty, uśmiechając się do Childana. – Nie podzielam jego zamiłowania do klasycznego jazzu.

Nadal trzymając w ręku egzemplarz *Szarańczy*, Childan spytał:

– Jakiego rodzaju alternatywną wersję teraźniejszości przedstawia ta powieść?

– Taką, w której Niemcy i Japonia przegrały wojnę.

Zapadło milczenie.

– Czas do stołu – powiedziała Betty, powstając z wdziękiem. – Proszę za mną, dwaj głodni dżentelmeni biznesmeni. – Pociągnęła Roberta i Paula do stołu nakrytego już białym obrusem, srebrem, porcelaną, z wielkimi, szorstkimi serwetkami w czymś, co Childan rozpoznał jako wczesnoamerykańskie kościane pierścienie. Dobre amerykańskie srebra. Filiżanki i spodeczki Royal Albert, ciemnogranatowe z żółtym. Bardzo rzadkie; nie mógł się powstrzymać i spojrzał na nie z zawodowym podziwem.

Talerze nie były amerykańskie. Wyglądały na japońskie, ale nie miał pewności, bo to nie była jego specjalność.

– To porcelana *imari* – wyjaśnił Paul, zauważywszy jego zainteresowanie. – Z Arity. Uważana za produkt wysokiej klasy. Japonia.

Usiedli za stołem.

– Kawa? – spytała Betty.

– Tak – powiedział. – Chętnie.

– Pod koniec posiłku – dodała, udając się po tacę na kółkach.

Wkrótce wszyscy jedli. Robert uważał, że jedzenie jest wspaniałe. Gospodyni była nieprzeciętną kucharką. Szczególnie przypadła mu do gustu sałatka. Awokado, serca karczochów, wszystko posypane jakimś pleśniowym serem… Bogu dzięki, że nie podjęli go kolacją po japońsku, tymi mieszankami mięsa i warzyw, które tak często jadał od wojny.

I te wieczne owoce morza. Nie mógł już patrzeć na krewetki czy inne skorupiaki.

– Ciekaw jestem – odezwał się Robert – jak on sobie wyobraża świat, w którym Niemcy i Japonia przegrały wojnę.

Przez chwilę ani Paul, ani Betty nie odpowiadali. Wreszcie Paul przerwał milczenie.

– Bardzo skomplikowane różnice. Lepiej przeczytać książkę. Wyjaśnienie mogłoby popsuć przyjemność.

– Mam zdecydowane poglądy w tej sprawie – powiedział Robert. – Często się nad tym zastanawiałem. Świat wyglądałby znacznie gorzej. – Usłyszał w swoim głosie mocny, prawie ostry ton. – Znacznie gorzej.

Robili wrażenie zdziwionych. Pewnie to ten jego ton.

– Wszędzie zapanowałby komunizm – kontynuował Robert.

– Autor, pan Abendsen, rozważa sprawę niepowstrzymanego rozprzestrzeniania się Rosji Sowieckiej. Ale podobnie jak w pierwszej wojnie światowej, mimo znalezienia się po zwycięskiej stronie, drugorzędna, chłopska Rosja przegrywa. Wielkie pośmiewisko, kiedy się wspomni wojnę rosyjsko-japońską…

– Musieliśmy swoje wycierpieć, słono zapłacić – powiedział Robert. – Ale było to w dobrej sprawie. Aby powstrzymać słowiański zalew.

– Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę w żadne historyczne opowieści o „zalewie” świata przez kogokolwiek, Słowian, Chińczyków czy Japończyków – cicho powiedziała Betty, spokojnie przyglądając się Robertowi. Panowała całkowicie nad sobą, nie dając się ponieść emocjom, chciała jednak wyrazić swoją opinię. Na policzkach miała teraz wypieki.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu.

Znów to zrobiłem, uświadomił sobie Robert Childan. Nie sposób uniknąć tego tematu. Bo jak wszędzie, książka, którą przypadkiem wezmę do ręki, płyty z muzyką, te kościane pierścienie do serwetek: łupy zagrabione przez zwycięzców. Dziedzictwo mojego narodu.

Spójrzmy faktom w oczy. Próbuję udawać, że ci Japończycy i ja jesteśmy tacy sami. Ale cóż: nawet kiedy wysilam się i wyrażam zadowolenie, że oni wygrali wojnę, że mój kraj przegrał, nawet wtedy nie znajdujemy wspólnego języka. Słowa, które dla mnie znaczą jedno, dla nich znaczą coś odmiennego, wręcz przeciwnego. Ich mózgi są inne. Dusze też. Popatrzcie, jak piją z angielskiej porcelany, jedzą amerykańskimi srebrnymi sztućcami, słuchają murzyńskiej muzyki. Ale wszystko to jest tylko powierzchowne. Władza i bogactwo sprawiają, że mogą sobie na to pozwolić, ale to czysty erzac.

Nawet ta *I-cing*, którą nam wtłoczyli do gardła, przecież to chińskie. Zapożyczone licho wie kiedy. Kogo oni chcą oszukać? Siebie samych? Kradną obyczaje na lewo i prawo, ubranie, jedzenie, sposób mówienia i chodzenia; zajadają się na przykład pieczonymi kartoflami ze śmietaną i szczypiorkiem, tradycyjnym amerykańskim daniem, które włączyli do swoich łupów. Ale nikt nie daje się na to nabrać, możecie mi wierzyć, a już ja najmniej.

Jedynie biała rasa obdarzona jest zdolnościami twórczymi, pomyślał. A jednak ja, człowiek tej rasy, muszę bić czołem przed tą parą. Pomyśleć

tylko, jak by to było, gdybyśmy to my wygrali! Zmietlibyśmy ich z powierzchni ziemi. Po Japonii nie byłoby śladu i Stany Zjednoczone byłyby jedyną, ogromną, olśniewającą potęgą na całym bożym świecie.

Muszę przeczytać tę *Szarańczę*, pomyślał. Choćby z patriotycznego obowiązku.

– Robert, ty nic nie jesz. Czy jedzenie jest źle przyrządzone? – cicho spytała Betty.

Natychmiast nabrał na widelec sałatki.

– Nie – powiedział – od lat nie jadłem nic równie smakowitego.

– Dziękuję. – Betty była wyraźnie zadowolona. – Staram się, żeby wszystko było autentyczne… robię zakupy uważnie w małych amerykańskich sklepikach przy Mission Street. Wiem, że tam nie ma lipy.

Doskonale przygotowujecie miejscowe potrawy, myślał Robert Childan. To prawda, co się mówi – wasze zdolności naśladowcze są olbrzymie. Szarlotka, coca-cola, przechadzka po kinie, Glenn Miller… potrafilibyście sklecić z blachy i papieru ryżowego całą sztuczną Amerykę. Papierowa mama w kuchni, papierowy tatuś czyta gazetę, papierowy piesek na podłodze. Wszystko.

Paul przyglądał mu się w milczeniu. Childan, zauważywszy to nagle, przerwał rozmyślania i zajął się jedzeniem. Czyżby potrafił czytać w myślach? – przemknęło mu przez głowę. – Poznać, co naprawdę myślę? Wiem, że nic po sobie nie pokazałem. Cały czas zachowywałem stosowny wyraz twarzy, nie mógł się domyślić.

– Robercie – odezwał się Paul – ponieważ jesteś tu urodzony i wychowany i znasz amerykańskie wyrażenia, może mógłbym skorzystać z twojej pomocy przy książce, która sprawiła mi pewną trudność. Powieść z lat trzydziestych amerykańskiego autora.

Robert skłonił się z lekka.

– Książka dość rzadka, ale której egzemplarz posiadam, jest pióra Nathanaela Westa. Nazywa się *Miss Lonelyhearts*. Czytałem ją z przyjemnością, ale nie całkiem rozumiałem, o co autorowi chodziło. – Spojrzał z nadzieją na Roberta.

– Ja… nie znam tej książki – wyznał po chwili Robert Childan. Nigdy nawet o niej nie słyszałem, pomyślał.

Na twarzy Paula odmalowało się rozczarowanie.

– Szkoda. To cienka książka. O człowieku, który prowadzi w gazecie dział porad i otrzymuje stale listy z problemami sercowymi, aż wreszcie ludzkie cierpienie doprowadza go do szaleństwa i zdaje mu się, że jest Chrystusem. Przypominasz sobie? Może dawno temu?

– Nie – powiedział Robert.

– Wyraża dziwny pogląd na cierpienie – mówił Paul. – Wielce oryginalne spojrzenie na cierpienie bez powodu, problem, którym zajmują się wszystkie religie. Takie religie jak chrześcijaństwo często twierdzą, że przyczyną cierpienia musi być grzech. West daje bardziej przekonujący pogląd. Może rozumiał, że może istnieć cierpienie bez powodu, ponieważ był Żydem?

– Gdyby Niemcy i Japonia przegrały wojnę, Żydzi rządziliby dziś światem. Z Moskwy i Wall Street – powiedział Robert.

Dwoje Japończyków, mąż i żona, jakby się skulili. Jakby poblakli, skurczyli się, zapadli w sobie. Nawet w pokoju powiało chłodem. Robert Childan poczuł, że jest sam. Jadł sam, już nie w ich towarzystwie. Co zrobił tym razem? Czego nie zrozumieli? Ta ich tępota i brak zdolności do języków, do pojmowania zachodniej myśli. Coś im umknęło, więc się obrazili. To tragiczne, myślał, nie przestając jeść. Ale cóż tu można poradzić?

Należało za wszelką cenę przywrócić pogodny nastrój, jaki panował jeszcze przed chwilą. Dopiero teraz można go w pełni docenić. Ale Robert Childan nie czuł się tak źle jak za pierwszym razem, ponieważ bezsensowne mrzonki zaczęły mu wietrzeć z głowy. Przyszedłem tu, drżąc z emocji, przypomniał sobie. Wchodziłem po schodach z romantycznym, prawie sztubackim uniesieniem. Ale nie można ignorować rzeczywistości, trzeba dorosnąć.

Wszystko tutaj to lipa. Ci ludzie nie są w pełni ludźmi. Ubrali się, ale są jak poprzebierane małpy w cyrku. Są sprytni i potrafią naśladować, ale to wszystko.

Dlaczego więc im nadskakuję? Czy tylko dlatego, że wygrali?

To spotkanie ujawniło wielką rysę na moim charakterze. Ale tak to już jest. Mam śmieszną skłonność do… no, powiedzmy, bezbłędnego wybierania mniejszego zła. Jak krowa, która dostrzegłszy żłób, galopuje bez zastanowienia.

Zawsze robiłem wszystko co trzeba, bo tak jest bezpieczniej; ostatecznie to są zwycięzcy, oni tu rozkazują. I chyba nadal będę tak robić, bo dlaczegóż miałbym ściągać sobie na głowę kłopoty? Czytają amerykańską książkę i chcą, żebym im ją objaśnił; spodziewają się, że potrafię odpowiedzieć na ich pytania, bo jestem biały. I ja chciałbym! Ale w tym wypadku nie mogę, chociaż gdybym czytał książkę, pewnie bym potrafił.

– Może któregoś dnia zajrzę do *Miss Lonelyhearts* – zwrócił się do Paula. – I wtedy będę ci mógł przekazać, o co w niej chodzi.

Paul z lekka skinął głową.

– Obecnie jednak jestem zbyt przeciążony pracą – dodał Childan. – Może później… Jestem pewien, że nie zajmie mi to zbyt wiele czasu.

– Nie – powiedział cicho Paul. – Bardzo krótka książka.

Oboje z Betty wyglądają na zasmuconych, pomyślał Robert Childan. Zastanawiał się, czy oni także wyczuli, jaka przepaść go od nich dzieli. Mam nadzieję, że tak, pomyślał. Zasługują na to. Wielka szkoda, muszą sami doszukać się znaczenia powieści.

Jadł teraz ze zdwojoną przyjemnością.

Reszta wieczoru przeszła bez dalszych spięć. Wychodząc o dziesiątej z mieszkania państwa Kasoura, Robert Childan kroczył z pewnością siebie, która go opanowała podczas kolacji.

Szedł schodami w dół, nie troszcząc się o przypadkowych japońskich mieszkańców domu, którzy idąc lub wracając ze wspólnej łaźni, mogliby zwrócić na niego uwagę. Potem ciemna, wieczorna ulica, na której zatrzymał przejeżdżającą rikszę, i już był w drodze do domu.

Zawsze się zastanawiałem, jak by to było, gdyby spotkać niektórych klientów na gruncie towarzyskim. Nie najgorzej. I takie doświadczenie może się też przydać w interesach, pomyślał.

To dobrze robi, kiedy człowiek się spotyka w takich okolicznościach z ludźmi, którzy budzą w nim lęk. Odkrywa, jacy oni są naprawdę, i lęk przechodzi.

Tak rozmyślając, dotarł do swojej dzielnicy i wreszcie do swojego domu. Zapłacił chińczakowi i wszedł na dobrze znane schody.

W jego frontowym pokoju był nieznajomy mężczyzna. Biały mężczyzna w płaszczu siedział na kanapie i czytał gazetę. Robert Childan stał zdumiony na progu, a mężczyzna odłożył gazetę, leniwie wstał i sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął portfel i otworzył go.

– Kempeitai.

A więc pinokio. Funkcjonariusz policji państwowej z Sacramento ustanowionej przez japońskie władze okupacyjne. Przerażające!

– Robert Childan?

– Tak jest, proszę pana – odpowiedział. Serce waliło mu jak młotem.

– Ostatnio – mówił policjant, zerkając do papierów, które wyjął z teczki leżącej na kanapie – zjawił się u pana mężczyzna, biały, podający się za kamerdynera oficera Marynarki Cesarskiej. Późniejsze poszukiwania wykazały, że to nie była prawda. Nie ma takiego oficera, nie ma takiego okrętu. – Przyjrzał się badawczo Childanowi.

– To prawda – powiedział Childan.

– Mamy doniesienie – ciągnął policjant – o serii wymuszeń w strefie Zatoki. Ten osobnik jest najwidoczniej z nimi związany. Czy może go pan opisać?

– Niski, raczej smagły… – zaczął Childan.

– Żyd?

– Tak! – zawołał Childan. – Teraz widzę, że tak, chociaż wtedy to przeoczyłem.

– Tu jest zdjęcie. – Funkcjonariusz Kempeitai pokazał je Childanowi.

– To on – potwierdził Childan z całkowitą pewnością. Był cokolwiek przerażony wszechwiedzą Kempeitai. – Jak go znaleźliście? Ja nie złożyłem skargi, ale zatelefonowałem do mojego dostawcy, Raya Calvina, i powiedziałem mu…

Policjant uciszył go ruchem ręki.

– Mam tu papier, który pan podpisze, i to będzie wszystko. Nie będzie pan musiał stawać w sądzie, to jest formalność kończąca pański udział w sprawie. – Podał Childanowi dokument i pióro. – Oświadczenie, że ten osobnik naszedł pana i usiłował oszukać, podając się za kogoś innego, i tak dalej. Proszę przeczytać. – Policjant odsunął mankiet i wpatrywał się

w swój zegarek, podczas gdy Robert Childan czytał dokument. – Czy to jest zasadniczo zgodne z prawdą?

Było to zgodne z prawdą… zasadniczo. Robert Childan nie miał czasu przestudiować dokumentu z należytą uwagą, a poza tym nie do końca rozumiał, co się właściwie wtedy zdarzyło. Wiedział tylko, że ten osobnik fałszywie się przedstawił i że wiązało się to z jakimś oszustwem; oraz że, jak powiedział funkcjonariusz Kempeitai, tamten człowiek był Żydem. Childan spojrzał na nazwisko pod fotografią. Frank Frink. Urodzony jako Frank Fink. Tak, niewątpliwie Żyd. Każdy by poznał, z takim nazwiskiem jak Fink. I zorientowałby się, że je zmienił.

Childan podpisał papier.

– Dziękuję – powiedział policjant. Zebrał swoje rzeczy, uchylił kapelusza, życzył Childanowi dobrej nocy i odszedł. Wszystko razem trwało chwilę.

Chyba go mają, pomyślał Childan. Cokolwiek tam knuł.

Wielka ulga. Trzeba przyznać, że szybko działają.

Żyjemy w społeczeństwie porządku i prawa, gdzie Żydzi nie mogą gnębić swoimi sztuczkami spokojnych ludzi. Jesteśmy bezpieczni. Nie wiem, dlaczego nie poznałem, jakiej jest rasy, kiedy stał przede mną. Widocznie łatwo mnie podejść.

Jestem po prostu niezdolny do oszustwa i przez to bezbronny, uznał. Bez ochrony prawa byłbym zdany na ich łaskę. Mógł we mnie wmówić wszystko, co chciał. To jakaś forma hipnozy. Mogą tak opanować całe społeczeństwo.

Jutro będę musiał pójść i kupić tę książkę o szarańczy, postanowił. Ciekawe będzie zobaczyć, jak autor opisuje świat rządzony przez Żydów i komunistów, z Rzeszą w ruinach, Japonią niewątpliwie podporządkowaną Rosji, która rozciąga się od Atlantyku do Pacyfiku. Ciekawe, czy autor,

jakżeż on się nazywa, przedstawia wojnę między Stanami i Rosją? Interesująca książka, myślał. Dziwne, że nikt wcześniej nie pomyślał o napisaniu czegoś takiego.

To powinno pomóc nam zrozumieć, ile mamy szczęścia. Mimo oczywistych minusów… Moglibyśmy wylądować znacznie gorzej. Ta książka daje nam wielką lekcję moralną. To prawda, rządzą tu Japończycy, a my jesteśmy narodem pokonanym. Ale trzeba patrzeć przed siebie, trzeba budować. Rodzą się z tego wielkie rzeczy, takie jak kolonizacja planet.

Przyszło mu do głowy, że w radiu powinien być dziennik. Usiadł i włączył odbiornik. Może wiadomo już, kto jest kanclerzem Rzeszy. Czuł podniecenie i ciekawość. Ten Seyss-Inquart wydaje mi się najbardziej dynamiczny. Daje największą szansę realizacji śmiałych planów.

Szkoda, że nie mogę tam być, myślał. Może któregoś dnia będę dość bogaty, żeby wybrać się do Europy i zobaczyć wszystko, co tam zrobiono. Żal byłoby to przegapić i tkwić tu na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie nic się nie dzieje. Historia nas omija.

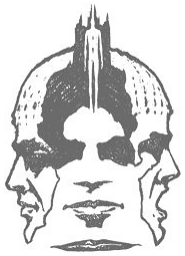

8

O ósmej rano *Freiherr* Hugo Reiss, konsul Rzeszy w San Francisco, wysiadł ze swego mercedesa-benza 220E i wszedł dziarsko po schodach konsulatu. Towarzyszyli mu dwaj młodzi pracownicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Drzwi były już otwarte przez innych urzędników ambasady i Reiss wszedł do środka, podniesioną ręką odpowiadając na pozdrowienia dwóch telefonistek, wicekonsula *Herr* Franka i potem, już w biurze, swojego sekretarza *Herr* Pferdehufa.

– *Freiherr* – powiedział Pferdehuf – właśnie odbieramy szyfrogram z Berlina. Jedynka.

Znaczyło to, że wiadomość jest pilna.

– Dziękuję – rzucił Reiss, zdejmując płaszcz i podając go sekretarzowi do powieszenia.

– Dziesięć minut temu dzwonił *Herr* Kreuz vom Meere. Prosi o telefon.

– Dziękuję. – Reiss usiadł przy małym stoliku pod oknem, zdjął pokrywę z tacy ze śniadaniem, zobaczył talerz z bułką, jajecznicą i kiełbasą, nalał sobie gorącej czarnej kawy ze srebrnego dzbanka i rozłożył poranną gazetę.

Kreuz vom Meere był szefem Sicherheitsdienst na Pacyficzne Stany Ameryki; jego biuro mieściło się, pod innym szyldem, na dworcu

lotniczym. Stosunki między Reissem a nim były raczej napięte. Ich prerogatywy zazębiały się w niezliczonych sprawach: niewątpliwie celowa polityka przełożonych w Berlinie. Reiss miał honorowy stopień majora w SS, co technicznie czyniło go podwładnym Kreuza vom Meere. Nominację otrzymał kilka lat temu i od razu zorientował się, o co chodzi, ale nic nie mógł na to poradzić. Do dzisiaj aż się gotował na myśl o tym.

Gazeta, przywożona o szóstej rano przez Lufthansę, „Frankfurter Zeitung". Reiss uważnie przeczytał pierwszą stronę. Von Schirach w areszcie domowym, pewnie już nie żyje. To niedobrze. Göring zaszył się w bazie szkoleniowej Luftwaffe, otoczony doświadczonymi weteranami wojennymi, lojalnymi wobec swego Grubego. Nikt się do niego nie prześliźnie. Żaden morderca z SD. A co z doktorem Goebbelsem?

Zapewne w samym sercu Berlina. Polega jak zawsze na własnym sprycie i zdolności do wykręcania się z każdej sytuacji. Jeżeli Heydrich wyśle oddział egzekucyjny z zadaniem załatwienia go, pomyślał Reiss, Mały Doktor nie tylko im to wyperswaduje, ale pewnie jeszcze przeciągnie ich na swoją stronę. Zatrudni ich w Ministerstwie Propagandy i Oświecenia Publicznego.

Mógł sobie wyobrazić doktora Goebbelsa w tej chwili, w mieszkaniu jakiejś olśniewającej gwiazdy filmowej, lekceważącego oddziały Wehrmachtu wybijające krok na ulicach w dole. Nic nie mogło przestraszyć tego karła. Goebbels uśmiecha się jak to on, ironicznie, nie przestając gładzić lewą ręką biustu czarującej damy, podczas gdy prawą pisze codzienny artykuł do Angriff…

Rozmyślania Reissa przerwało pukanie sekretarza.

– Przepraszam. Dzwoni znowu Kreuz vom Meere.

Reiss wstał, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Reiss. Słucham.

Ciężki bawarski akcent miejscowego szefa SD.

– Są jakieś wiadomości o tym facecie z Abwehry?

Zaskoczony Reiss usiłował się domyślić, o kim mówi Kreuz vom Meere.

– Hmmm – mruknął. – O ile wiem, na Wybrzeżu Pacyfiku przebywają obecnie trzej lub czterej „faceci” z Abwehry.

– Chodzi o tego, który przyleciał Lufthansą w zeszłym tygodniu.

– Aha – powiedział Reiss. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, wyjął pudło z papierosami. – Nigdy się tu nie zgłosił.

– Co on robi?

– Bóg mi świadkiem, że nie wiem. Niech pan spyta Canarisa.

– Chciałbym, żeby pan zadzwonił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby zadzwonili do Urzędu Kanclerskiego, żeby ktoś stamtąd zwrócił się do Admiralicji i zażądał, żeby Abwehra albo zabrała stąd swoich ludzi, albo informowała nas, co oni tu robią.

– A pan nie może tego zrobić?

– Panuje teraz zamieszanie.

Zgubili ślad agenta Abwehry, uznał Reiss. Ktoś ze sztabu Heydricha kazał tutejszemu SD mieć go na oku, a on im się wymknął. A teraz chcą, żebym ich ratował.

– Jeżeli się tu pojawi – powiedział – każę komuś się nim zaopiekować. Może pan na to liczyć. – Oczywiście szansa, że tu przyjdzie, była znikoma. Obaj o tym wiedzieli.

– Niewątpliwie używa fałszywego nazwiska – ciągnął Kreuz vom Meere. – My go naturalnie nie znamy. Ma arystokratyczny wygląd. Około czterdziestki. Kapitan. Prawdziwe nazwisko Rudolf Wegener. Jedna z tych starych monarchistycznych rodzin z Prus Wschodnich. Prawdopodobnie popierał von Papena w Systemzeit. – Reiss rozsiadł się wygodniej za biurkiem, słuchając monotonnego głosu Kreuza vom Meere. – Według mnie

jedyny sposób na tych monarchistycznych pasożytów to obcięcie budżetu Marynarki Wojennej, żeby nie mogli sobie pozwalać…

W końcu Reissowi udało się odłożyć słuchawkę. Kiedy wrócił do śniadania, okazało się, że bułka wystygła. Na szczęście kawa była jeszcze gorąca. Popijając ją, wrócił do lektury prasy.

Nie ma temu końca, pomyślał. Ci z SD pracują na trzy zmiany. Dzwonią o trzeciej nad ranem.

Sekretarz Pferdehuf wsunął głowę do gabinetu, zobaczył, że konsul już nie telefonuje, i powiedział:

– Dzwonili z Sacramento, bardzo podnieceni. Twierdzą, że jakiś Żyd grasuje po ulicach San Francisco.

Obaj się roześmiali.

– W porządku – odezwał się Reiss. – Niech im pan powie, żeby się uspokoili i przysłali nam normalne dokumenty. Coś jeszcze?

– Czytał pan depesze kondolencyjne?

– Są jakieś nowe?

– Kilka. Będą na moim biurku, gdyby zechciał je pan przejrzeć. Wysłałem już odpowiedzi.

– Mam dzisiaj wystąpić na spotkaniu z tymi biznesmenami. O pierwszej.

– Przypomnę panu – powiedział Pferdehuf.

Reiss odchylił się na oparcie krzesła.

– Chce się pan założyć?

– Nie o wyniki partyjnych dyskusji, jeżeli to miał pan na myśli.

– Będzie oprawca.

– Heydrich zaszedł tak daleko, jak mógł – powiedział z ociąganiem Pferdehuf. – Ci ludzie nigdy nie przejmą otwarcie kontroli nad partią, ponieważ wszyscy się ich boją. Partyjne grube ryby dostają dreszczy na samą myśl o tym. W ciągu dwudziestu minut miałby pan koalicję, jak tylko

pierwszy samochód SS wyruszyłby z Prinzalbrechtstrasse. Mieliby wszystkich tych wielkich przemysłowców z Kruppem i Thyssenem… – Urwał, bo wszedł jeden z kryptografów z kopertą.

Reiss wyciągnął rękę. Sekretarz podał mu kopertę.

Był to ten pilny radiogram, rozszyfrowany i przepisany na maszynie.

Kiedy skończył czytać, zobaczył, że Pferdehuf czeka. Reiss zmiął kopertę, włożył do wielkiej ceramicznej popielniczki i podpalił.

– Podobno ma tu podróżować incognito japoński generał – powiedział. – Tedeki. Niech pan lepiej pójdzie do biblioteki publicznej i zdobędzie któreś z oficjalnych japońskich czasopism wojskowych z jego zdjęciem. Oczywiście dyskretnie. Nie sądzę, żebyśmy znaleźli coś o nim tutaj. – Zrobił krok w stronę zamykanej kartoteki, ale się rozmyślił. – Niech pan zdobędzie wszelkie możliwe informacje. Dane statystyczne. Powinny być dostępne w bibliotece. Ten generał Tedeki był kilka lat temu szefem sztabu. Czy pan coś o nim pamięta?

– Niewiele – powiedział Pferdehuf. – Twardy staruszek. Powinien mieć teraz koło osiemdziesiątki. Zdaje się, że propagował jakiś przyśpieszony program kosmiczny dla Japonii.

– Bez powodzenia – zauważył Reiss.

– Nie byłbym zdziwiony, gdyby przybywał tu w celach leczniczych – powiedział Pferdehuf. – Przyjeżdża tu niemało starych japońskich wojskowych do wielkiego U.C. Hospital. W ten sposób mogą skorzystać z niemieckiej techniki medycznej niedostępnej u nich w kraju. Oczywiście nie rozgłaszają tego. Względy patriotyczne, rozumie pan. Może więc ktoś z naszych ludzi powinien czuwać w tym szpitalu, jeżeli Berlin chce mieć go na oku.

Reiss skinął głową. Stary generał może też być zamieszany w spekulacje handlowe, których pełno w San Francisco. Znajomości porobione na jego

stanowisku mogą mu być bardzo pomocne teraz, gdy przeszedł na emeryturę. Czy przeszedł? W szyfrogramie nazywano go generałem, nie zaś generałem w stanie spoczynku.

– Jak tylko zdobędzie pan zdjęcie – powiedział – proszę rozesłać odbitki naszym ludziom na lotnisku i w porcie. Może on tu już jest. Wie pan, ile czasu upływa, zanim taka rzecz do nas dotrze. Naturalnie, gdyby generał już wylądował w San Francisco, Berlin miałby pretensje do konsulatu. Konsulat powinien był go przechwycić, zanim jeszcze Berlin wysłał polecenie.

Pferdehuf powiedział:

– Podstempluję ten szyfrogram z Berlina. W razie gdyby potem były jakieś problemy, będziemy mogli dowieść, kiedy go otrzymaliśmy. Dokładnie co do godziny.

Reiss podziękował. Ci z Berlina byli wielkimi specjalistami od przerzucania odpowiedzialności na innych, a on miał już dosyć wrabiania. Za często się to zdarzało.

– Na wszelki wypadek – powiedział – niech pan wyśle odpowiedź na ten szyfrogram. Powiedzmy: „Wasza instrukcja ogromnie spóźniona. Ta osoba już przebywa w strefie. Możliwość przechwycenia znikoma”. Niech pan sformułuje coś w tym sensie i wyśle. Żeby to było dobre i mgliste. Rozumie pan.

Pferdehuf skinął głową.

– Wyślę to natychmiast. I odnotuję datę i dokładną godzinę wysłania. – Zamknął za sobą drzwi.

Trzeba się mieć na baczności, myślał Reiss, bo można z dnia na dzień wylądować jako konsul wśród bandy czarnuchów na jakiejś wyspie u wybrzeży Afryki Południowej. I zanim się człowiek obejrzy, ma czarną

kochanicę i dziesięcioro albo jedenaścioro małych murzyniaków, które biegają za nim, wołając „tata”.

Siadł z powrotem przy stoliku, zapalił egipskiego simona arzta numer 70 i starannie zamknął metalowe pudełko.

Wyglądało na to, że przez jakiś czas nikt go nie będzie niepokoić, wyjął więc z teczki książkę, którą obecnie czytał, otworzył w założonym miejscu, poprawił się w fotelu i podjął lekturę tam, gdzie mu ostatnio przerwano.

…Czy rzeczywiście spacerował po ulicach z cichymi samochodami? Spokój niedzielnego przedpołudnia w Tiergarten jest tak odległy. Inne życie. Lody, smak, który może nigdy nie istniał. Teraz gotowali pokrzywy i byli zadowoleni, jak je mieli. Boże! zawołał. Czy oni nigdy nie przestaną? Olbrzymie brytyjskie czołgi nacierały. Jeszcze jeden budynek, może dom mieszkalny, a może sklep, szkoła, biuro; ściany zwaliły się, rozpadły. W dole, pod gruzami, jeszcze jedna garstka zasypanych, nawet bez odgłosu śmierci. Śmierć rozpościerała się wszędzie równomiernie, nad żywymi, okaleczonymi, nad stosami trupów, które już zaczynały cuchnąć. Gnijący, rozsypujący się trup Berlina, wyciągający jeszcze w niebo ślepe wieże, znikające bez protestu, jak ta bezimienna budowla, kiedyś z dumą wznoszona.

Chłopiec zauważył, że jego ręce pokrywa nalot szarego popiołu, częściowo nieorganicznego, częściowo ze spalonej i złuszczonej tkanki, finalnego produktu życia. Wszystko się teraz zmieszało, pomyślał i otrzepał się. Chłopiec nie zastanawiał się dalej; inna myśl zajmowała jego umysł, jeżeli można mówić o myśleniu wśród krzyków i wybuchów. Głód. Od sześciu dni żywił się wyłącznie pokrzywą, a teraz i jej zabrakło. Pole zielska zmieniło się w jeden wielki lej. Inne niewyraźne, wynędzniałe

postacie pojawiły się na jego skraju, jak chłopiec postały w milczeniu i odeszły. Stara kobieta z chustką na szarej głowie, z koszykiem… pustym… na ręku. Jednoręki człowiek z oczami pustymi jak koszyk. Dziewczyna. Znikli w chaosie poszatkowanych drzew, w których ukrywał się chłopiec.

A jednak wąż pełznął.

Czy to się kiedyś skończy? – pytał chłopiec sam siebie.

A jeżeli tak, to co dalej? Czy tamci napełnią ich żołądki?

– *Freiherr* – rozległ się głos Pferdehufa. – Przepraszam, że przerywam. Tylko jedno słowo.

Reiss podskoczył i zamknął książkę.

– Oczywiście.

Jak ten człowiek umie pisać, pomyślał. Całkowicie mnie wciągnął. Zajęcie Berlina przez Brytyjczyków opisał tak plastycznie, jakby się naprawdę zdarzyło. Brrr. Przebiegł go dreszcz.

Zadziwiająca jest ta zdolność literatury, nawet taniej, popularnej literatury, do działania na wyobraźnię. Nic dziwnego, że książka jest zakazana w obrębie Rzeszy; sam bym jej zakazał. Żałuję, że zacząłem ją czytać, ale teraz już za późno, muszę skończyć. Jego sekretarz powiedział:

– Jacyś marynarze z niemieckiego okrętu. Mają obowiązek zameldować się u pana.

– Dobrze. – Reiss energicznie wstał i wyszedł do pokoju sekretarza. Byli tam trzej marynarze w grubych szarych swetrach, wszyscy blondyni o mocnych rysach, nieco podenerwowani.

– *Heil Hitler!* – Reiss uniósł prawą rękę i obdarzył ich krótkim, przyjaznym uśmiechem.

– *Heil Hitler* – wyjąkali i zaczęli mu podtykać swoje dokumenty.

Potwierdziwszy ich wizytę w konsulacie, czym prędzej wrócił do swojego gabinetu.

Tam, w samotności, powtórnie otworzył książkę *Utyje szarańcza*.

Jego wzrok natrafił na scenę z Hitlerem. Nie mógł się oderwać; zaczął czytać od tego miejsca z płonącymi uszami.

Proces Hitlera, zorientował się. Po zakończeniu wojny. Hitler w ręku aliantów, dobry Boże. Także Goebbels, Göring i cała reszta. W Monachium. Hitler widocznie odpowiadał amerykańskiemu prokuratorowi.

…czarny, płomienny duch dawnych czasów przez chwilę, zdawało się, zapłonął znów. Drżące, oklapłe ciało wyprężyło się, uniosła się głowa. Spomiędzy nieustannie śliniących się warg ochrypłe pół szczeknięcie, pół szept. *„Deutsche, hier steh Ich”*. Poruszenie wśród tych, którzy patrzyli i słuchali, słuchawki przyciśnięte do uszu, napięte twarze Rosjan, Amerykanów, Anglików i Niemców. Tak, pomyślał Karl. Oto staje przed nami… zwyciężyli nas i, co więcej, obnażyli tego nadczłowieka, pokazali, ile jest wart naprawdę. Tylko…

– *Freiherr*.

Reiss uświadomił sobie, że sekretarz wszedł do gabinetu.

– Jestem zajęty – rzucił gniewnie. Zatrzasnął książkę. – Usiłuję przeczytać tę książkę, na Boga!

Wiedział, że to beznadziejne.

– Odbieramy nowy szyfrogram z Berlina – powiedział Pferdehuf. – Rzuciłem okiem, kiedy zaczęli go rozszyfrowywać. Dotyczy sytuacji

politycznej.

– Co w nim było? – mruknął Reiss, pocierając palcami czoło.

– Doktor Goebbels niespodziewanie wystąpił przez radio. Ważne przemówienie. – Sekretarz był wyraźnie podniecony. – Mamy wziąć jego tekst i upewnić się, że zostanie przedrukowany w tutejszej prasie.

– Dobrze, dobrze – przytaknął Reiss.

Gdy tylko za sekretarzem zamknęły się drzwi, Reiss ponownie otworzył książkę. Zajrzał jeszcze raz, mimo postanowienia… przerzucił przeczytaną część.

…Karl w milczeniu kontemplował okrytą sztandarem trumnę. Leżał tam i teraz odszedł, naprawdę odszedł. Żadne piekielne moce nie mogą go już przywrócić do życia. Człowiek (a może to jednak był *Ubermensch*?), któremu ślepo wierzył, którego ubóstwiał… aż do grobu. Adolf Hitler odszedł, ale Karl żył. Nie pójdę za nim, szepnęło coś w jego mózgu. Będę żyć dalej. I odbudowywać. Wszyscy będziemy odbudowywać. Musimy.

Jak daleko, jak straszliwie daleko zaprowadziła go magia Wodza. I cóż to było, teraz, kiedy została postawiona ostatnia kropka w tym niewiarygodnym życiorysie, tej podróży z zabitej deskami austriackiej mieściny, z zatęchłej nędzy w Wiedniu, z koszmarnego doświadczenia okopów, przez polityczne intrygi, założenie partii, urząd kanclerski, aż do czegoś, co przez jakiś czas wydawało się prawie panowaniem nad światem?

Karl wiedział. Blef. Adolf Hitler ich okłamywał. Prowadził za pomocą pustych słów.

Nie jest jeszcze za późno. Odkryliśmy twój blef, Adolfie. Widzimy cię wreszcie w twojej prawdziwej postaci. A także partię nazistowską, straszną

epokę mordu i megalomańskich mrzonek, widzimy, jaka jest naprawdę. Jaka była.

Karl odwrócił się i odszedł od niemej trumny…

Reiss zamknął książkę i siedział przez chwilę bez ruchu. Wbrew sobie był wzburzony. Należy wywrzeć większą presję na Japończyków, pomyślał, żeby zakazali tej przeklętej powieści. W gruncie rzeczy jest to z ich strony wyraźnie rozmyślne działanie. Mogliby dawno aresztować tego… jak mu tam… Abendsena. Mają wystarczająco duże wpływy na Środkowym Zachodzie.

Co go tak wzburzyło? Śmierć Adolfa Hitlera, porażka i upadek Hitlera, partii i całych Niemiec w przedstawieniu Abendsena… wszystko to było w jakiś sposób bardziej okazałe, bardziej w dawnym stylu niż świat rzeczywisty. Świat niemieckiej hegemonii.

Jak to jest możliwe? – zadawał sobie pytanie Reiss. Czy to tylko sprawa talentu pisarskiego tego człowieka?

Ci powieściopisarze znają tysiące sztuczek. Weźmy doktora Goebbelsa; on też zaczynał od pisania powieści. Odwołują się do najniższych instynktów tkwiących w każdym z nas pod najbardziej nawet szacowną powłoką. Tak, pisarz zna ludzi, wie, jacy są podli, jak myślą jądrami, ulegają tchórzostwu, zdradzają każdą sprawę z chciwości; wystarczy, żeby taki walnął w bęben, i efekt murowany. A on się śmieje w cichości ducha.

Jak zagrał choćby na moich uczuciach, rozmyślał *Herr* Reiss, nie na moim intelekcie; oczywiście nie pozostanie bez zapłaty, muszą być za tym pieniądze. Nie ulega wątpliwości, że ten *Hundsfott* został do tego namówiony, że ktoś pouczył go, co ma pisać. Za pieniądze oni napiszą wszystko, wysmażą każdy stek kłamstw, a potem publika rzeczywiście

bierze tę cuchnącą mieszankę poważnie, kiedy jej się ją podaje. Gdzie to wydano? *Herr* Reiss obejrzał książkę. Omaha w stanie Nebraska. Ostatnia placówka dawnego plutokratycznego przemysłu wydawniczego USA, niegdyś skupionego w centrum Nowego Jorku i utrzymywanego za żydowskie i komunistyczne pieniądze…

Może ten Abendsen jest Żydem?

Oni nie dają za wygraną, nadal usiłują nas zatruć. *Judische Buch*. Zatrzasnął gwałtownie książkę. Prawdziwe nazwisko na pewno Abendstein. Niewątpliwie SD zajęło się już tą sprawą.

Nie ma dwóch zdań, powinniśmy wysłać kogoś w Góry Skaliste, żeby złożył *Herr* Abendsteinowi wizytę. Ciekawe, czy Kreuz vom Meere otrzymał instrukcje w tej sprawie. Zapewne nie, przy całym tym zamieszaniu w Berlinie. Wszyscy są zbyt zajęci sprawami wewnętrznymi.

Jednak ta książka, myślał Reiss, jest niebezpieczna.

Gdyby tego Abendsteina znaleziono pewnego pięknego poranka dyndającego na lampie, podziałałoby to otrzeźwiająco na wszystkich, którzy mogliby ulec wpływowi tej książki. Ostatnie słowo należałoby do nas. Dopisalibyśmy postscriptum.

Musiałby tego oczywiście dokonać biały człowiek. Ciekawe, co teraz porabia Skorzeny.

Reiss pogrążył się w rozmyślaniach, przeczytał na nowo tekst na obwolucie. Żydłak zabarykadował się w tym Wysokim Zamku. Nikt nie jest szalony. Ten, kto się tam dostanie i sprzątnie go, nie będzie miał drogi odwrotu.

Może to głupie. Ostatecznie książka została już wydrukowana. Za późno. I jest to strefa dominacji japońskiej… te małe żółtki podniosłyby straszny krzyk.

Mimo wszystko, gdyby rzecz przeprowadzić zręcznie… gdyby można nią właściwie pokierować…

Freiherr Hugo Reiss zrobił uwagę w swoim notatniku. Przedstawić sprawę generałowi SS Ottonowi Skorzenemu albo jeszcze lepiej Ottonowi Ohlendorfowi z Reichssicherheitshauptamtu, Amt III. Czy to nie Ohlendorf kierował Einsatzgruppe D?

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, poczuł przypływ wściekłości. Myślałem, że z tym już koniec, powiedział sam do siebie. Czy to będzie się ciągnąć bez końca? Wojna dawno się skończyła i myśleliśmy wtedy, że będziemy mieli spokój. A tu afrykańskie fiasko, ten szalony Seyss-Inquart realizujący pomysły Rosenberga.

Ten Hope ma rację, myślał. W tym kawale o Marsie. Mars zamieszkany przez Żydów. Znajdziemy ich i tam. Choćby mieli po dwie głowy i trzydzieści centymetrów wzrostu.

Mam swoje codzienne obowiązki, uznał. Nie mam czasu na żadne szaleńcze awantury, żadne wysyłanie Einsatzkommanda po Abendsena. Mam pełne ręce roboty z witaniem niemieckich marynarzy i odpowiadaniem na szyfrogramy; niech ktoś wyżej zajmie się tym projektem… to ich sprawa.

Zresztą, uznał, gdybym to ja był inicjatorem i sprawa zakończyłaby się skandalem, można sobie wyobrazić, gdzie bym się znalazł: w areszcie zapobiegawczym gdzieś w Generalnym Gubernatorstwie, jeżeli nie w komorze gazowej, posypywany cyklonem B.

Starannie wymazał zapis w notatniku, a potem spalił kartkę w popielniczce.

Ktoś zapukał i otworzyły się drzwi do gabinetu. Wkroczył sekretarz z dużym stosem papieru.

– Przemówienie doktora Goebbelsa. W całości. – Pferdehuf położył arkusze na biurku. – Niech pan przeczyta. Bardzo dobre, jedno z jego najlepszych.

Zapaliwszy następnego simona arzta numer 70, Reiss wziął się do czytania przemówienia doktora Goebbelsa.

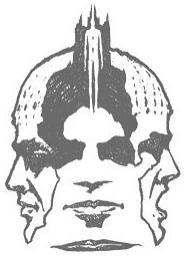

9

Po dwóch tygodniach prawie nieprzerwanej pracy firma Edfrank. Wytworna Biżuteria wyprodukowała pierwszą partię towaru. Ich wyroby leżały na dwóch deseczkach pokrytych czarnym aksamitem, mieszczących się w kwadratowym koszyku japońskiej roboty. Ed McCarthy i Frank Frink zrobili też sobie wizytówki. Nazwę firmy wycięli w dużej gumce do wycierania i odbili na czerwono, a resztę wykonali za pomocą dziecięcej drukarenki. Użyli do tego luksusowego kolorowego kartonu na życzenia gwiazdkowe i efekt był znakomity.

Ich praca nosiła charakter profesjonalny pod każdym względem. Oglądając swoją biżuterię, wizytówki i wystawkę, nie mogli dostrzec żadnych śladów amatorszczyzny. Zresztą nic dziwnego, pomyślał Frank Frink. Obaj jesteśmy specjalistami; wprawdzie nie od biżuterii, ale od pracy w metalu.

Ich kolekcja obejmowała różnorodne przedmioty. Spinki do mankietów z mosiądzu, miedzi, brązu, a nawet z oksydowanego żelaza. Wisiorki, przeważnie z mosiądzu zdobionego srebrem. Srebrne kolczyki. Srebrne lub mosiężne broszki. Na srebro sporo wydali; sama lutownica do srebra była dużym obciążeniem. Kupili też trochę półszlachetnych kamieni do

oprawienia w broszkach: perły barokowe, spinele, nefryty, usiane ognistymi okruchami opale. Jak wszystko pójdzie dobrze, spróbują złota i może małych diamentów.

Dopiero złoto miało im przynieść prawdziwe zyski. Zaczęli już szukać źródeł złomu, przetopionych starych wyrobów bez wartości artystycznej, znacznie tańszego niż nowe złoto. Ale i tak wiązało się to z ogromnymi kosztami. Jednak ze sprzedaży jednej złotej broszki mieli więcej niż z czterdziestu mosiężnych. Mogli dostać prawie każdą cenę w detalu za naprawdę dobry projekt i dobre wykonanie złotej broszki… pod warunkiem, jak przypomniał Frink, że ich towar w ogóle pójdzie.

Dotąd nie próbowali jeszcze nic sprzedać. Rozwiązali, jak się wydawało, podstawowe zagadnienia techniczne: mieli warsztat z silnikami, wtryskarkę, szlifierkę i polerkę. Rozporządzali pełnym zestawem narzędzi do wykańczania wyrobów, od szczotek z drutu stalowego i mosiężnego po tarcze polerskie wyłożone filcem, płótnem, skórą i zamszem, do których można było stosować proszki od szmergla i pumeksu do najdelikatniejszych tlenków żelaza. Oczywiście mieli też palnik acetylenowy, butle, zawory, przewody i maski.

Także znakomite narzędzia jubilerskie. Niemieckie i francuskie szczypce, mikrometry, diamentowe wiertła, piłki, cęgi, pęsety, podstawki do spawania, imadła, materiały do polerowania, nożyce, ręcznie kute małe młoteczki… cały zestaw precyzyjnych narzędzi. Mieli zapas drutu do lutowania na twardo różnej średnicy, blachę, nakrętki na szpilki, ogniwa, klipsy. Niewiele im zostało z dwóch tysięcy dolarów; firma Edfrank miała teraz na koncie w banku zaledwie dwieście pięćdziesiąt dolarów. Ale byli legalnie zarejestrowani, mieli nawet licencję PSA. Pozostawało tylko sprzedawać.

Żaden kupiec, myślał Frank, studiując ich wystawkę, nie przejrzy tego uważniej niż my. Niewątpliwie te ich wybrane artykuły prezentowały się dobrze, każdy drobiazgowo sprawdzony, czy nie ma złych spawów, szorstkich lub ostrych krawędzi, podbarwień… kontrolę jakości mieli bez zarzutu. Najmniejsze zmatowienie lub zadraśnięcie wystarczało, żeby rzecz wróciła do warsztatu. Nie możemy sobie pozwolić na pokazanie czegoś niechlujnego lub nie dopracowanego; wystarczy przeoczyć jedną czarną plamkę na srebrnym naszyjniku – i jesteśmy skończeni.

Na ich liście sklep Roberta Childana figurował na pierwszym miejscu. Ale tylko Ed mógł pójść, Childan na pewno pamiętał Franka Frinka.

– Musisz zająć się sprzedażą – powiedział Ed, ale pogodził się z myślą, że do Childana pójdzie on. Kupił porządny garnitur, nowy krawat i białą koszulę, żeby wywrzeć należyte wrażenie. Mimo to czuł się niepewnie. – Wiem, że jesteśmy dobrzy – powtarzał po raz milionowy. – Ale diabli wiedzą.

Większość wzorów była abstrakcyjna, spirale i pętle z drutu, kształty, które w pewnej mierze przybrał sam płynny metal. Niektóre były zwiewne jak pajęczyna, inne sprawiały wrażenie masywnych, niemal barbarzyńsko ciężkich. Zadziwiająca różnorodność kształtów, zważywszy na to, jak niewiele sztuk leżało na aksamitnych tackach; a jednak, pomyślał Frink, jeden sklep mógłby kupić wszystko, co tu wyłożyliśmy. Jeżeli nam się nie powiedzie, odwiedzimy każdy sklep tylko raz. Ale jeżeli nam się uda, jeżeli przekonamy ich do swoich wyrobów, będziemy mieli zamówienia do końca życia.

Wspólnie ułożyli obciągnięte aksamitem tacki w koszu. W najgorszym wypadku, mówił sam do siebie Frink, moglibyśmy odzyskać część wkładu za metal. Także za wyposażenie i narzędzia; możemy pozbyć się ich ze stratą wprawdzie, ale przynajmniej mielibyśmy coś.

To jest odpowiednia chwila, żeby poradzić się wyroczni. Spytać, jak powiedzie się Edowi pierwsza sprzedaż? Był na to zbyt zdenerwowany. Wróżba może być niepomyślna, a on nie czuł się na siłach, żeby temu stawić czoło. Tak czy inaczej, kości zostały rzucone: warsztat zorganizowany, biżuteria zrobiona. Niezależnie od tego, co *I-cing* mogłaby teraz z siebie wydusić.

Nie może za nas sprzedać naszych wyrobów… nie może zapewnić nam powodzenia.

– Najpierw zabiorę się do Childana – powiedział Ed. – Lepiej mieć to za sobą. A potem ty możesz spróbować kilku miejsc. Pojedziesz chyba ze mną? Zaparkuję za rogiem.

Kiedy wsiedli ze swoim koszem do furgonetki, Frink myślał: Bóg wie, jakim sprzedawcą okaże się Ed albo ja. Childana można przekonać, ale trzeba wiedzieć, jak towar przedstawić.

Gdyby tu była Juliana, pomyślał, mogłaby tam wejść i załatwić sprawę bez mrugnięcia okiem; jest piękna, potrafi rozmawiać z każdym na świecie i jest kobietą. Przecież to jest damska biżuteria. Mogłaby prezentować ją na sobie. Zamknąwszy oczy, usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądałaby w jednej z ich bransolet. Albo w dużym srebrnym naszyjniku. Z czarnymi włosami, jasną cerą, poważnym, badawczym spojrzeniem… w szarym, nieco zbyt ciasnym swetrze, srebro na nagiej skórze, metal wznosi się i opada w rytm jej oddechu…

Boże, ależ ona była żywa w jego wyobraźni, jeszcze teraz. Jej długie, silne palce ujmują, obracają każdą zrobioną przez nich sztukę; odrzucając do tyłu głowę, Juliana wysoko podnosi biżuterię, jak zawsze będąc świadkiem wszystkich jego poczynań.

Uznał, że najodpowiedniejsze dla niej byłyby kolczyki. Najlepiej długie, mosiężne. Z włosami podpiętymi z tyłu albo krótko obciętymi, żeby

odsłonić szyję i uszy. Moglibyśmy zrobić jej zdjęcia dla celów reklamowych. Zastanawiali się z Edem nad katalogiem, żeby móc uruchomić sprzedaż wysyłkową do innych części świata. Wyglądałaby wspaniale… ma piękną skórę, bardzo zdrową, bez śladu zmarszczek, o ładnym odcieniu. Czy zgodziłaby się, gdybym ją odnalazł? Niezależnie od tego, co o mnie myśli; nie miałoby to nic wspólnego z naszym życiem osobistym. Sprawa czysto handlowa.

Co tam, nawet nie ja robiłbym zdjęcia. Wzięlibyśmy zawodowego fotografa. To by jej sprawiło przyjemność. Pewnie jest próżna jak dawniej. Zawsze lubiła, żeby ludzie na nią patrzyli, podziwiali ją, wszystko jedno kto. Chyba większość kobiet jest taka. Chcą, żeby stale na nie zwracano uwagę. Są pod tym względem jak małe dzieci.

Juliana nie znosiła samotności, myślał. Musiałem być zawsze pod ręką, żeby jej prawić komplementy. Dzieci też są takie; uważają, że jeżeli rodzice nie patrzą na to, co robią, to wówczas nie jest to rzeczywiste. Na pewno i teraz ma kogoś, kto ją podziwia. Mówi jej, jaka jest piękna. Jej nogi. Gładki, płaski brzuch…

– Co się z tobą dzieje? – spytał Ed, spojrzawszy na niego. – Strach cię obleciał?

– Nie.

– Nie będę tam stał jak kołek – mówił Ed. – Mam kilka pomysłów. I powiem ci coś jeszcze: nie boję się. Nie jestem zastraszony tylko dlatego, że to jest takie wytworne miejsce i musiałem wbić się w ten garnitur. Przyznaję, że nie lubię się stroić. Przyznaję, że nie czuję się w tym najlepiej. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. I tak pójdę tam i zatrajluję tego bufona.

No i bardzo dobrze, pomyślał Frink.

– Do diabła – ciągnął Ed – jeżeli ty mogłeś tam pójść i wcisnąć mu tę historię, że jesteś służącym japońskiego generała, to ja chyba potrafię powiedzieć mu prawdę, że to jest rzeczywiście dobra, oryginalna, ręcznie robiona biżuteria, że…

– Ręcznie *kuta* – poprawił Frink.

– Tak. Ręcznie kuta. No więc pójdę tam i nie wrócę, dopóki nie powiem wszystkiego, co mam do powiedzenia. Powinien to kupić. Jeżeli tego nie zrobi, to znaczy, że jest ciężki frajer. Rozglądałem się i takich rzeczy jak nasze nie ma nigdzie. Boże, jak sobie pomyślę, że on może to obejrzeć i nie kupić, to krew mnie zalewa i mógłbym zacząć bić.

– Nie zapomnij mu powiedzieć – wtrącił Frink – że to nie jest mosiądzowane, tylko lita miedź i mosiądz.

– Pozwól mi spróbować mojego własnego podejścia – powiedział Ed. – Mam kilka dobrych pomysłów.

Już wiem, co zrobię, myślał Frink. Wezmę parę sztuk, Ed nie będzie miał nic przeciwko temu, zapakuję i wyślę Julianie. Żeby mogła zobaczyć, co robię. Poczta ją odnajdzie; wyślę przesyłkę poleconą na jej ostatni adres. Co powie, kiedy otworzy pudełko? Muszę załączyć list wyjaśniający, że to moja własna robota, że jestem wspólnikiem w nowym małym interesie produkującym biżuterię artystyczną. Rozpalę jej wyobraźnię, napiszę tak, że będzie chciała wiedzieć więcej, zaciekawi się. Napiszę o kamieniach i metalach, o tym, gdzie sprzedajemy, o eleganckich sklepach…

– Czy to nie gdzieś tutaj? – spytał Ed, zwalniając. Jechali w gęstym śródmiejskim ruchu, domy przesłaniały niebo. – Lepiej stanę.

– Jeszcze pięć przecznic – powiedział Frink.

– Masz papierosa z marihuaną? – spytał Ed. – To by mnie teraz uspokoiło.

Frink podał mu paczkę papierosów *T'ien-lais*, czyli Niebiańska Muzyka, które przyzwyczaił się palić, pracując w Towarzystwie W-M.

Ja wiem, że ona żyje z jakimś facetem, myślał Frink. Sypia z nim. Jakby była jego żoną. Znam Julianę. Nie mogłaby inaczej; wiem, co się z nią dzieje po zmroku. Kiedy robi się zimno i ciemno i wszyscy siedzą w domu w największym pokoju. Nie jest stworzona do samotnego życia. Ja też, uświadomił sobie.

Może ten facet jest naprawdę miły. Jakiś nieśmiały student. Byłaby dobrą kobietą dla jakiegoś młodego faceta, który nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby zbliżyć się do kobiety. Nie jest twarda ani cyniczna. To by było dla niego bardzo dobre. Mam nadzieję, do diabła, że nie jest z jakimś starszym facetem. Tego bym nie zniósł. Jakiś doświadczony drań, z wykałaczką sterczącą z gęby, który ją traktuje z góry.

Poczuł, że ma przyśpieszony oddech. Obraz atletycznego, włochatego faceta pastwiącego się nad Julianą, zatruwającego jej życie… Wiem, że to doprowadziłoby ją do samobójstwa, myślał. Czeka ją to, jak amen w pacierzu, jeżeli nie znajdzie odpowiedniego mężczyzny, to znaczy naprawdę czułego, wrażliwego, łagodnego intelektualisty, który potrafiłby docenić zalety jej umysłu.

Ja byłem dla niej zbyt nieokrzesany, myślał. A przecież nie jestem jeszcze najgorszy, jest cała kupa facetów gorszych ode mnie. Potrafiłem zupełnie dobrze odgadnąć, co jej chodzi po głowie i czego chce, kiedy czuła się samotna i przygnębiona. Często myślałem o niej i przejmowałem się jej zmartwieniami. Ale to wszystko było mało. Zasługiwała na więcej. Ona zasługuje na dużo więcej, pomyślał.

– Parkuję tutaj – odezwał się Ed. Znalazł miejsce i cofał furgonetkę, oglądając się przez ramię.

– Słuchaj – powiedział Frink. – Czy mogę wysłać kilka sztuk mojej żonie?

– Nie wiedziałem, że jesteś żonaty. – Ed, zajęty parkowaniem, przeciągnął odpowiedź. – Jasne, byle nie srebrne.

Ed wyłączył silnik.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział. Wydmuchnął kłąb dymu z marihuany, potem zgniótł niedopałek na tablicy rozdzielczej i rzucił na podłogę. – Życz mi szczęścia.

– Powodzenia.

– Hej, popatrz. Na papierosach jest jeden z tych japońskich wierszy *waka*. – Ed przeczytał go na głos wśród odgłosów ulicy:

Słysząc kukułkę,
Spojrzałem tam,
Skąd dobiegał głos.
I cóż ujrzałem ?
Tylko blady księżyc na niebie przedświtu.

Oddał paczkę *T'ien-lais* Frinkowi, klepnął go po plecach, uśmiechnął się, otworzył drzwiczki samochodu i chwyciwszy koszyk, wysiadł.

– Pozwalam ci wrzucić dziesiątkę do parkometru – powiedział na odchodnym i w jednej chwili zniknął w tłumie przechodniów.

Juliano, pomyślał Frink, czy ty też jesteś tak samotna?

Wysiadł z samochodu i włożył dziesięć centów do automatu na skraju chodnika.

Strach. Całe to przedsięwzięcie z biżuterią. A jeżeli się nie uda? A jeżeli się nie uda? Tak ujęła to wyrocznia. Łzy, zawodzenia, tłuczenie garnków.

Człowiek staje przed gęstniejącymi ciemnościami swego życia. Drogą do grobu. Gdyby tu była ona, nie byłoby to takie straszne. Wcale nie byłoby

straszne.

Boję się, uświadomił sobie. Przypuśćmy, że Ed nic nie sprzeda. Przypuśćmy, że nas wyśmieją. Co wtedy?

Na prześcieradle rozłożonym na podłodze w jej pokoju Juliana leżała przytulona do Joego Cinnadelli. W pokoju było ciepło i duszno od popołudniowego słońca. Ciała mieli wilgotne od potu. Kropla ściekająca z czoła Joego zawisła przez chwilę na jego policzku i spadła na jej szyję.

– Wciąż z ciebie kapie – szepnęła.

Nie odpowiedział. Jego oddech, długi, wolny, regularny… Jak ocean, pomyślała. Wewnątrz nas nie ma nic prócz wody.

– Jak ci było? – spytała.

Mruknął, że dobrze.

Tak też mi się zdawało, pomyślała Juliana. To się czuje. Teraz oboje musimy wstać, pozbierać się. A może to źle? Oznaka podświadomej niechęci?

Joe poruszył się.

– Wstajesz? – Przycisnęła go mocno obiema rękami. – Nie, jeszcze nie.

– Nie musisz iść na zajęcia?

Nie pójdę na zajęcia, postanowiła Juliana. Nie wiesz tego? Pójdziemy gdzieś razem, nie będziemy tutaj długo siedzieć. Ale będzie to miejsce, w którym nigdy nie byliśmy. Już czas.

Poczuła, że Joe zaczyna się podnosić, jej ręce ześliznęły się po jego wilgotnych, śliskich plecach. Potem słyszała, jak odchodzi, odgłos bosych stóp po podłodze. Do łazienki zapewne. Żeby wziąć prysznic.

Skończyło się, pomyślała. No cóż. Westchnęła.

– Słyszę cię – odezwał się Joe z łazienki. – Jak jęczysz. Wiecznie przygnębiona, co? Zmartwienia, obawy i podejrzliwość w stosunku do mnie i do wszystkiego na świecie. – Wychylił się na chwilę, ociekając wodą z mydłem, z ożywieniem na twarzy. – Co sądzisz o wycieczce?

Serce jej zabiło.

– Dokąd?

– Do jakiegoś dużego miasta. Może na północ, do Denver? Wypuścimy się razem, wezmę cię na jakieś występy, dobra restauracja, taksówka, kupię ci wieczorową suknię albo coś innego. Zgoda?

Nie mogła mu uwierzyć, ale chciała, starała się.

– Czy ten twój stude zniesie taką podróż? – zawołał Joe.

– No pewnie.

– Oboje sprawimy sobie jakieś eleganckie ubrania – powiedział. – Zabawimy się może po raz pierwszy w życiu. To cię podtrzyma na duchu.

– Skąd weźmiemy pieniądze?

– Ja mam – powiedział Joe. – Zajrzyj do mojej walizki. – Zamknął drzwi od łazienki, szum wody zagłuszył dalsze słowa.

Otworzywszy szafę, wyjęła jego poobijaną, poplamioną walizeczkę. Rzeczywiście w jednym rogu znalazła kopertę z banknotami Reichsbanku o dużej wartości i wszędzie akceptowanymi. Możemy więc jechać, dotarło do niej. Może on mnie wcale nie nabiera. Chciałabym móc wejść do niego, do środka, i zobaczyć, co tam w nim siedzi, pomyślała, przeliczając pieniądze…

Pod kopertą zobaczyła duże cylindryczne wieczne pióro lub coś, co wyglądało na wieczne pióro; w każdym razie miało zatrzask do noszenia w kieszonce. Ale było za ciężkie. Ostrożnie je rozkręciła. Tak, miało złotą stalówkę. Ale…

– Co to jest? – spytała Joego, kiedy wyszedł z łazienki.

Wyjął jej pióro z dłoni, odłożył do walizeczki. Jak ostrożnie się z nim obchodził… zauważyła zaintrygowana.

– Znów chorobliwa podejrzliwość? – zapytał. Był ożywiony jak nigdy, odkąd go spotkała; z okrzykiem entuzjazmu objął ją w talii, potem porwał w ramiona, kołysał, huśtał, zaglądając jej z bliska w twarz, aż czuła jego ciepły oddech, ściskał ją, aż jęknęła.

– Nie – odparła. – Ja tylko… zmieniam się powoli. – Wciąż trochę się ciebie boję, pomyślała. Tak się boję, że nawet nie mogę ci o tym powiedzieć.

– Przez okno! – zawołał Joe, niosąc ją przez pokój. – Hej, siup!

– Proszę cię – powiedziała.

– Żartowałem. Słuchaj, zbieramy się do marszu, takiego jak Marsz na Rzym. Pamiętasz, Duce ich prowadził, mojego wuja Carla na przykład. Teraz my zrobimy sobie mały marsz, mniej ważny, taki, który nie trafi do podręczników historii. Zgoda? – Pochylił głowę i pocałował ją w usta tak mocno, że zderzyli się zębami. – Wiesz, jak fajnie będziemy wyglądać w nowych ubraniach? A ty mi będziesz mówić, jak mam się wyrażać i zachowywać, dobrze? Będziesz mnie uczyć manier, dobrze?

– Wyrażasz się dobrze – powiedziała Juliana. – Lepiej nawet niż ja.

– To nieprawda. – Joe nagle spochmurniał. – Mówię źle, z makaroniarskim akcentem. Nie zauważyłaś przy pierwszym spotkaniu w barze?

– Może tak – przyznała; nie wydawało jej się to szczególnie ważne.

– Jedynie kobiety znają się na konwenansach – powiedział Joe, odnosząc ją z powrotem na łóżko; rzucił ją na nie, aż podskoczyła przestraszona. – Bez kobiet gadalibyśmy o samochodach wyścigowych i koniach albo opowiadalibyśmy świńskie kawały. Nie byłoby kultury.

Jesteś w dziwnym nastroju, myślała Juliana. Niespokojny i zamyślony, dopóki nie zdecydowałeś się wyjechać; potem wpadasz w euforię. Czy naprawdę mnie potrzebujesz? Możesz mnie rzucić, zostawić tutaj; to się już zdarzało. Ja bym cię zostawiła na lodzie, pomyślała, gdybym wyjeżdżała.

– Czy to twoja wypłata? – spytała, podczas gdy on się ubierał. – Zaoszczędziłeś? – Było tego tak dużo. Oczywiście na Wschodzie mają dużo pieniędzy. – Rozmawiałam z innymi kierowcami ciężarówek, ale żaden nie miał tyle…

– Mówisz, że jestem kierowcą – przerwał jej Joe. – Słuchaj, ja jechałem w tej ciężarówce nie jako kierowca, ale dla ochrony przed porywaczami. – Udając kierowcę drzemiącego w kabinie, opadł na krzesło w rogu pokoju, odchylił się na oparcie, usta otwarte, ciało bezwładne. – Widzisz?

Początkowo nie zobaczyła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Joe ma w ręku nóż, długi i cienki. O rety, pomyślała. Skąd on się wziął? Z rękawa czy może z powietrza?

– Dlatego właśnie Volkswagen mnie zatrudnił. Przebieg służby. Potrafiliśmy się obronić przed komandosami Haseldena. – Czarne oczy rozbłysły, uśmiechnął się krzywo do Juliany. – Zgadnij, kto załatwił samego pułkownika. Na końcu, kiedy otoczyliśmy ich nad Nilem, jego i czterech z Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu w kilka miesięcy po zakończeniu kampanii kairskiej. Napadli nas którejś nocy, żeby zdobyć benzynę. Stałem akurat na warcie. Haselden podkradł się cały umazany na czarno, twarz, nawet ręce. Tym razem nie mieli drutu, tylko granaty i pistolety automatyczne. Za dużo hałasu. Chciał zmiażdżyć mi krtań, ale to ja go załatwiłem. – Joe rzucił się na nią ze śmiechem. – Zbierajmy się. Powiedz im w klubie, że bierzesz kilka dni wolnego, zadzwoń do nich.

Jego opowieść po prostu jej nie przekonała. Może wcale nie był w Afryce Północnej, może nawet nie walczył po stronie państw Osi, może w ogóle

nie był na wojnie? Jacy porywacze? – zastanawiała się. Nigdy nie słyszała, żeby jakaś ciężarówka przejeżdżająca przez Canon City ze Wschodniego Wybrzeża była konwojowana przez zawodowca, byłego żołnierza. Może on wcale nie mieszka w USA i zmyślił wszystko od samego początku; sposób, żeby ją poderwać, zainteresować, wydać się romantycznym.

Może to szaleniec, pomyślała. Ironia losu… może będę musiała zrobić naprawdę to, co tyle razy robiłam na niby: użyć swojego dżudo do samoobrony. Żeby bronić… swojej cnoty? Może życia, pomyślała. Ale najprawdopodobniej jest pospolitym makaroniarzem, popychadłem z manią bycia kimś; chce zadać szyku, wydać wszystkie pieniądze, udając pana… a potem wrócić do swojej jednostajnej egzystencji. I do tego potrzebna mu jest kobieta.

– Dobrze – powiedziała. – Zadzwonię do klubu. – Idąc w stronę hallu, myślała: kupi mi drogą suknię, a potem zabierze mnie do jakiegoś luksusowego hotelu. Każdy mężczyzna marzy, żeby mieć choć raz w życiu dobrze ubraną kobietę, nawet gdyby musiał jej sam to ubranie kupić. Ten wyskok to pewnie życiowe marzenie Joego Cinnadelli. Ale bystry to on jest. Założę się, że ma rację w tym, co powiedział o mnie: mam nerwicowy lęk przed męskością. Frank też o tym wiedział. Dlatego się rozstaliśmy, dlatego odczuwam teraz ten niepokój, brak zaufania.

Kiedy wróciła od automatu telefonicznego, zastała Joego, jak ze zmarszczonym czołem, nie pamiętając o świecie, znów czytał *Szarańczę*.

– Miałeś to dać mnie – powiedziała.

– Może kiedy będę prowadził – odparł Joe, nie podnosząc głowy.

– Ty będziesz prowadził? Przecież to mój samochód!

Nie odpowiedział, czytał dalej.

Stojąc przy kasie, Robert Childan uniósł wzrok i zobaczył wchodzącego do sklepu wysokiego, szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę. Miał on na sobie niezbyt modny garnitur i niósł duży wiklinowy kosz. Komiwojażer. Tyle że nie uśmiechał się radośnie; jego ogorzała twarz miała ponury, zacięty wyraz. Bardziej jak hydraulik albo elektryk, pomyślał Childan.

Załatwiwszy klienta, zwrócił się do przybysza:

– Kogo pan reprezentuje?

– Biżuteria Edfrank – mruknął człowiek i postawił swój kosz na ladzie.

– Nigdy nie słyszałem. – Childan zbliżył się, podczas gdy mężczyzna rozwiązał przykrywę koszyka i z wahaniem ją otworzył.

– Ręcznie kute. Każda sztuka unikatowa. Każda oryginalna. Mosiądz, miedź, srebro. Nawet oksydowane żelazo.

Childan zajrzał do kosza. Metal na czarnym aksamicie, dość niezwykłe.

– Nie, dziękuję. To nie moja specjalność.

– To reprezentuje amerykańskie rzemiosło artystyczne, współczesne.

Potrząsnąwszy głową, Childan wrócił do kasy.

Przez chwilę mężczyzna stał, dłubiąc przy aksamitnych tacach i koszu. Ani nie wyjmował wystawki, ani jej nie chował; wyglądał, jakby nie bardzo wiedział, co robić. Childan obserwował go z założonymi rękami, myśląc o różnych problemach dnia. O drugiej miał spotkanie, na którym chciał pokazać stare kubki. Potem o trzeciej następna partia przedmiotów wraca z uniwersyteckiego laboratorium po próbach na autentyczność. W ostatnich tygodniach wysyłał tam coraz więcej rzeczy. Od czasu tej paskudnej historii z coltem .44.

– To nie jest miedziowane – powiedział człowiek z wiklinowym koszem, pokazując spinkę do mankietu. – Lita miedź.

Childan kiwnął głową bez słowa. Facet posterczy jeszcze chwilę, będzie przekładał swoje próbki z miejsca na miejsce, ale w końcu sobie pójdzie.

Zadzwonił telefon. Childan podniósł słuchawkę. Klient dopytujący się o stary fotel bujany, bardzo cenny, który Childan obiecał dla niego odrestaurować. Nie był gotowy i Childan musiał wymyślić przekonującą historię. Patrząc przez witrynę na południowy ruch, uspokajał i upewniał. W końcu klient, nieco udobruchany, dał za wygraną.

Co do tego nie ma dwóch zdań, pomyślał, odkładając słuchawkę. Afera z coltem była dla niego wstrząsem. Nie traktował już swoich nabytków z takim zaufaniem jak dawniej. Ile może narobić jedna taka informacja. Podobne to do pierwszego dziecięcego uświadomienia. Co świadczy, filozofował, że odczuwamy więź ze swoimi początkami: w grę wchodzi nie tylko historia Stanów Zjednoczonych, ale i nasza osobista. To tak, jakby ktoś zakwestionował autentyczność naszej metryki. Albo naszą pamięć o ojcu.

Może nie pamiętam dobrze na przykład Roosevelta. Jakiś syntetyczny obraz wydestylowany z wielu rozmów. Mit subtelnie wsączony w tkankę mózgu. Jak mit Heppelwhite'a. Mit Chippendale'a. Lub raczej zjawisko typu „tu jadł Abraham Lincoln". Używał tego starego srebrnego noża, widelca, łyżki. Nie można tego zobaczyć, ale to fakt.

Przy drugiej ladzie, wciąż manipulując swoimi okazami i koszem, komiwojażer powiedział:

– Możemy również robić rzeczy na zamówienie. Jeżeli ktoś z pańskich klientów ma własne pomysły. – Głos miał jakby zduszony; odchrząknął, patrząc na Childana, potem przeniósł wzrok na okaz, który trzymał w ręce. Wyraźnie nie wiedział, jak odejść.

Childan uśmiechnął się bez słowa.

Nie moja sprawa. To on musi stąd odejść, czy zachowa twarz czy nie.

Z drugiej strony wielce krępująca sytuacja. Ale przecież nie musi być komiwojażerem. Wszyscy cierpimy w tym życiu. Weźmy mnie. Muszę się

płaszczyć cały dzień przed Japończykami, takimi jak Tagomi. Samym tonem potrafią człowieka upokorzyć, zatruć mu życie.

Wtem zaświtał mu pomysł. Facet jest wyraźnie niedoświadczony. Wystarczy na niego spojrzeć. Może uda mi się zdobyć trochę towaru w komis. Warto spróbować.

– Halo – odezwał się Childan.

Mężczyzna pośpiesznie uniósł głowę, wpił się w niego wzrokiem.

Zbliżywszy się do niego, wciąż z założonymi rękami, Childan powiedział:

– Wygląda na to, że mamy chwilę spokoju. Nic nie obiecuję, ale może pan wyłożyć trochę z tych rzeczy. Niech pan odsunie te stojaki z krawatami – dodał, wskazując je.

Kiwnąwszy głową, mężczyzna zaczął sobie robić miejsce na ladzie. Ponownie otworzył swój kosz, znowu manipulował aksamitnymi tackami.

Wyłoży wszystko, pomyślał Childan. Będzie to układał pieczołowicie przez następne pół godziny. Będzie się tym bawić, przekładać, dopóki wszystkiego nie ułoży jak trzeba. Mając nadzieję. Modląc się. Obserwując mnie przez cały czas kątem oka. Sprawdzając, czy okazuję zainteresowanie. Choćby cień zainteresowania.

– Jak pan skończy – powiedział Childan – a ja będę wolny, to rzucę okiem.

Mężczyzna pracował gorączkowo.

Do sklepu weszło kilka osób, które Childan powitał. Całą jego uwagę pochłonęli teraz klienci i ich życzenia, o wędrownym sprzedawcy, wykładającym swoje okazy, zapomniał. Komiwojażer, zorientowawszy się w sytuacji, zaczął poruszać się ostrożnie, starając się zejść wszystkim z oczu. Childan sprzedał miseczkę do golenia, prawie sprzedał szydełkowy kilim, wziął zadatek na afgański dywan. Czas mijał. Wreszcie kupujący

wyszli. W sklepie był znowu tylko on i komiwojażer, który wreszcie zakończył swoją pracę. Cała kolekcja biżuterii była wyłożona na czarnym aksamicie na ladzie.

Robert Childan podszedł leniwie i zapaliwszy Krainę Uśmiechu, stał kołysząc się i nucąc pod nosem. Komiwojażer zastygł w oczekiwaniu. Żaden z nich nie naruszał milczenia.

W końcu Childan wyciągnął dłoń i wskazał broszkę.

– To mi się podoba.

– Piękna sztuka – potwierdził skwapliwie komiwojażer. – Nie znajdzie pan najmniejszego zadrapania. Wszystko polerowane pastą. I nie ściemnieje. Jest pokryta trwałym lakierem plastikowym, najlepszym, jaki jest na rynku.

Childan lekko kiwnął głową.

– Zastosowaliśmy – mówił komiwojażer – wypróbowaną technologię przemysłową do wyrobu biżuterii. O ile wiem, nikt dotychczas tego nie robił. Żadnych odlewów. Wszystko metal łączony z metalem, spawanie i lutowanie na twardo. – Zrobił krótką przerwę. – Spody też są lutowane na twardo.

Childan wybrał dwie bransolety. Potem broszkę. Jeszcze jedną broszkę. Trzymał je przez chwilę i odłożył na bok.

Twarz komiwojażera drgnęła. Nadzieja.

Oglądając kartonik z ceną przy naszyjniku, Childan zapytał:

– Czy to jest…?

– Detaliczna. Pańska cena jest o pięćdziesiąt procent niższa. A jeżeli pan kupi za, powiedzmy, sto dolarów, dostanie pan dodatkowo dwa procent.

Childan wybrał kolejno jeszcze kilka sztuk. Przy każdej następnej podniecenie sprzedawcy rosło; mówił coraz szybciej, aż doszedł do tego, że zaczął się powtarzać, a nawet w rozgorączkowaniu bełkotać niezrozumiale

pod nosem. Doszedł do przekonania, że teraz już sprzeda, domyślił się Childan. On sam niczym się nie zdradził, kontynuował zabawę w wybieranie wzorów.

– Ten jest szczególnie udany – ględził komiwojażer, kiedy Childan wyłowił duży wisior i przestał przebierać w biżuterii. – Myślę, że wybrał pan nasze najlepsze wzory. Same najlepsze. – Mężczyzna roześmiał się. – Ma pan dobry gust. – Oczy mu biegały. Dodawał w myśli to, co Childan wybrał. Ogólną cenę.

– Naszą zasadą – powiedział Childan – jest brać nie sprawdzony towar wyłącznie w komis.

Przez kilka sekund komiwojażer wyglądał, jakby tego nie rozumiał. Umilkł i patrzył przed siebie nieprzytomnie.

Childan uśmiechnął się do niego.

– W komis – powtórzył wreszcie sprzedawca.

– Czy woli pan nie zostawiać?

Mężczyzna, jąkając się, powiedział:

– To znaczy, że mam zostawić towar, a pan zapłaci później, kiedy…

– Otrzyma pan dwie trzecie od ceny sprzedaży. W ten sposób zarobi pan znacznie więcej. Oczywiście musi pan czekać, ale… – Childan wzruszył ramionami. – Pan decyduje. Mógłbym ewentualnie wystawić część tego w witrynie. I jeżeli pójdzie, to może później, za jakiś miesiąc, przy następnym zamówieniu, moglibyśmy pomówić o transakcji gotówkowej.

Komiwojażer stracił już przeszło godzinę na demonstrowanie swoich wyrobów. I wyłożył wszystko, co miał. Cała wystawka przewrócona do góry nogami. Kolejna godzina pracy, żeby ją przygotować do następnego pokazu. Panowało milczenie. Przez chwilę żaden z mężczyzn się nie odzywał.

– Czy te rzeczy, które pan odłożył – spytał cicho komiwojażer – pana interesują?

– Tak. Może je pan zostawić. – Childan wyszedł do biura na zaplecze sklepu. – Wypiszę pokwitowanie, żeby pan miał dowód, co pan zostawił. – Wróciwszy z kwitariuszem, dodał: – Wie pan, że kiedy towar oddaje się w komis, sklep nie ponosi odpowiedzialności w razie kradzieży lub uszkodzenia. – Dał mężczyźnie do podpisania mały druczek. Sklep nie będzie odpowiadał za żaden z pozostawionych przedmiotów. Kiedy nie sprzedane rzeczy będą zwracane i którejś zabraknie, uzna się ją za ukradzioną, stwierdził Childan w myśli. Kradzieże są w sklepach nieuniknione. Zwłaszcza drobnych przedmiotów, takich jak biżuteria.

Dzięki temu Robert Childan nic nie ryzykował. Nie musiał płacić temu człowiekowi za biżuterię i nie zamrażał gotówki. Jeżeli coś z tego sprzeda, będzie miał zysk, jeżeli nie, to po prostu zwróci wszystko, albo to, co zostanie, w jakimś bliżej nie określonym terminie.

Childan wystawił pokwitowanie, wymieniając przedmioty, podpisał i dał komiwojażerowi.

– Może pan do mnie zadzwonić za jakiś miesiąc – powiedział. – Dowie się pan, czy coś zeszło.

Z wybraną przez siebie biżuterią Childan poszedł na zaplecze, zostawiając komiwojażera, który zaczął pakować resztę swojego towaru.

Nie spodziewałem się, że on na to pójdzie, pomyślał. Nigdy nie wiadomo. Dlatego zawsze warto próbować.

Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył, że komiwojażer jest gotów. Kosz miał pod pachą i biżuteria z lady była sprzątnięta. Mężczyzna zbliżył się, trzymając coś w dłoni.

– Tak? – spytał Childan, który przeglądał korespondencję.

– Chcę zostawić naszą wizytówkę. – Komiwojażer położył przed Childanem dziwnie wyglądający czerwono-szary kartonik. – „Edfrank. Wytworna biżuteria”. Jest tu nasz adres i telefon, w razie gdyby zechciał się pan z nami skontaktować.

Childan skinął głową, uśmiechnął się i wrócił do swojej pracy.

Kiedy następnym razem uniósł głowę, sklep był pusty. Komiwojażer wyszedł.

Włożywszy pięciocentówkę do ściennego dystrybutora, Childan wyjął kubek gorącej herbaty, którą popijał w zamyśleniu.

Ciekawe, czy to znajdzie nabywców, zastanawiał się. Mało prawdopodobne. Ale robota jest dobra. I nie spotyka się podobnych rzeczy. Obejrzał jedną z broszek. Oryginalny wzór. Widać, że to nie amatorzy.

Zmienię metki. Dam znacznie wyższe ceny. Będę podkreślał ręczne wykonanie i unikatowość tych wyrobów. Że to oryginały, małe rzeźby. Dzieła sztuki do noszenia. Ekskluzywna kreacja na ręku lub w klapie.

Inna jeszcze myśl krążyła i rosła na granicy świadomości Childana. Przy tych rzeczach nie ma problemu autentyczności. A to jest problem, który pewnego dnia może zrujnować handel amerykańskimi antykami. Nie dzisiaj i nie jutro, ale kto wie, co będzie dalej.

Lepiej nie trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku. Tamta wizyta żydowskiego oszusta może być ostrzeżeniem. Jeżeli po cichu zgromadzę zapas niezabytkowych przedmiotów, współczesnych wyrobów nie pretendujących do historyczności, może się okazać, że zdobędę przewagę nad konkurencją. A dopóki nic mnie to nie kosztuje…

Odchyliwszy się na krześle, aż oparło się o ścianę, Childan popijał herbatę i rozmyślał.

Przychodzi Zmiana. Trzeba być przygotowanym i zmieniać się wraz z nią. Bo w przeciwnym razie zostanie się na lodzie. Przystosowanie.

Prawo przetrwania, pomyślał. Mieć nieustannie oko na sytuację wokół siebie. Poznawać jej wymagania. I zaspokajać je. Być w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu i robić odpowiednią rzecz.

Być *in*. Ludzie Wschodu wiedzą. Sprytne, czarne oczy, z których wyziera *in*…

Nagle wpadł na dobry pomysł; aż go podrzuciło na krześle. Dwa zające za jednym strzałem. Podniecony zerwał się na równe nogi. Starannie opakować najlepsze okazy biżuterii, po zdjęciu ceny oczywiście. Broszkę, wisior albo bransoletę. W każdym razie coś ładnego. Potem zamknąć sklep o drugiej i pójść do domu państwa Kasoura. Pan Kasoura, to jest Paul, będzie w pracy. Ale pani Kasoura, Betty, najprawdopodobniej będzie w domu.

Te nowe oryginalne wyroby rzemiosła artystycznego to prezent reklamowy. Ode mnie osobiście, żeby poznać reakcję wyższych sfer. W ten sposób wprowadzamy na rynek nowości. Czy to nie piękne? W sklepie mamy duży wybór, proszę zajrzeć itd. To dla ciebie, Betty.

Zadrżał. Sami w mieszkaniu po południu. Mąż w pracy. A jednocześnie wszystko w porządku; znakomity pretekst.

Bezbłędne!

Robert Childan wziął pudełeczko, papier do pakowania oraz wstążkę i zaczął opakowywać prezent dla pani Kasoura. Ciemnowłosa, piękna kobieta, wysmukła w swoim jedwabnym wschodnim stroju, w pantoflach na wysokim obcasie i tak dalej. A może dziś w granatowej bawełnianej piżamie, bardzo lekkiej, wygodnej i swobodnej. Hm, pomyślał.

A może to zbyt śmiałe? Paul wpadnie w gniew. Zwęszy pismo nosem i zareaguje negatywnie. Może spróbować ostrożniej: zanieść prezent do

niego, do biura. Opowiedzieć tę samą historyjkę, ale jemu. Niech on jej wręczy prezent; żadnych podejrzeń. A ja, pomyślał Robert Childan, zadzwonię do Betty następnego dnia, żeby dowiedzieć się, jak to przyjęła.

To będzie jeszcze lepsze!

Kiedy Frank Frink zobaczył swojego wspólnika wracającego chodnikiem, odgadł, że sprawy nie poszły dobrze.

– Co się stało? – spytał, odbierając od Eda kosz i wstawiając go do furgonetki. – Jezu Chryste, nie było cię półtorej godziny. Tyle czasu potrzebował, żeby powiedzieć nie?

– Nie powiedział nie – odparł Ed. Był zmęczony. Wsiadł do samochodu.

– Więc co powiedział? – Frink otworzył kosz i zobaczył, że brak wielu rzeczy. Wielu najlepszych. – Wziął dużo. O co chodzi?

– Komis – rzucił Ed.

– Zgodziłeś się? – Nie mógł w to uwierzyć. – Ustaliliśmy przecież…

– Sam nie wiem, jak to się stało.

– Jezu Chryste.

– Przepraszam cię. Wyglądało na to, że kupi. Dużo wybrał. Myślałem, że kupuje.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

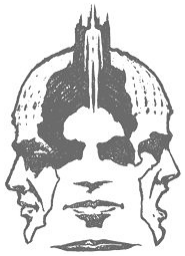

10

To były bardzo ciężkie dwa tygodnie dla pana Baynesa. Ze swojego pokoju hotelowego codziennie w południe telefonował do Misji Handlowej, żeby spytać, czy stary pan się zjawił. Odpowiedź była niezmiennie przecząca. Głos pana Tagomiego z dnia na dzień stawał się chłodniejszy i bardziej oficjalny. Przygotowując się do szesnastego z kolei telefonu, pan Baynes pomyślał: Prędzej czy później powiedzą mi, że pan Tagomi wyszedł. Że nie przyjmuje już moich telefonów i koniec.

Co się stało? Gdzie jest pan Yatabe?

Domyślał się z grubsza. Śmierć Martina Bormanna wywołała konsternację w Tokio. Pan Yatabe niewątpliwie znajdował się w drodze do San Francisco, kiedy dotarły do niego nowe instrukcje: wrócić do kraju celem dalszych konsultacji.

Pech, uświadomił sobie pan Baynes. Może nawet tragedia.

Musiał jednakże pozostać na miejscu, w San Francisco, starając się nadal zorganizować spotkanie, z powodu którego tu przybył. Czterdzieści pięć minut rakietą Lufthansy z Berlina, a teraz to. W dziwnych czasach żyjemy. Możemy podróżować wszędzie, gdzie zechcemy, nawet na inne planety. I po co? Żeby siedzieć dzień za dniem, tracąc ducha i nadzieję. Popadając

w prostrację. A tymczasem inni nie próżnują. Nie siedzą w bezradnym oczekiwaniu.

Pan Baynes rozwinął południowe wydanie „Nippon Times” i jeszcze raz przejrzał nagłówki.

DOKTOR GOEBBELS NOMINOWANY
NA KANCLERZA RZESZY

Zaskakujące rozwiązanie problemu przywództwa przez komisję partyjną. Przemówienie radiowe decydującym czynnikiem. Berliński tłum wiwatuje. Oczekuje się deklaracji. Pogłoski o mianowaniu Göringa szefem policji na miejsce Heydricha.

Przeczytał ponownie cały artykuł. Potem znów odłożył gazetę, podniósł słuchawkę telefonu i podał numer Misji Handlowej.

– Tu pan Baynes. Czy mogę prosić pana Tagomiego?

– W tej chwili, proszę pana.

Bardzo długa chwila.

– Pan Tagomi przy telefonie.

Pan Baynes głęboko zaczerpnął powietrza.

– Proszę wybaczyć, ta sytuacja jest przykra dla nas obu…

– A, pan Baynes.

– Pańska gościnność jest niezrównana. Wiem, że któregoś dnia pozna pan powody zmuszające mnie do odkładania naszej konferencji do czasu przyjazdu starego pana…

– Niestety, jeszcze nie przybył.

Pan Baynes zamknął oczy.

– Myślałem, że może od wczoraj…

– Niestety nie. – Ton na granicy grzeczności. – Proszę wybaczyć, panie Baynes. Pilne sprawy.

– Do widzenia panu.

Telefon szczęknął. Pan Tagomi zakończył dziś rozmowę bez pożegnania. Pan Baynes powoli odwiesił słuchawkę.

Muszę przystąpić do działania. Nie mogę dłużej czekać.

Przełożeni dali mu bardzo jasno do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie wolno mu kontaktować się z Abwehrą. Miał po prostu czekać, aż uda mu się nawiązać łączność z przedstawicielem armii japońskiej, miał odbyć konferencję z Japończykiem i wracać do Berlina. Ale nikt nie przewidział, że Bormann umrze w takiej właśnie chwili. Zatem…

Rozkazy należy obejść. Kierować się zdrowym rozsądkiem. Swoim własnym, gdyż nie ma nikogo, z kim mógłby się skonsultować.

W PSA działało przynajmniej dziesięciu przedstawicieli Abwehry, ale niektórzy z nich, a możliwe, że wszyscy, znani byli miejscowemu SD i jego wytrawnemu regionalnemu szefowi nazwiskiem Bruno Kreuz vom Meere. Przed laty spotkał go przelotnie na zjeździe partii. Bruno cieszył się swego rodzaju złą sławą w kręgach policyjnych, ponieważ to on w 1943 roku odkrył angielsko-czeski spisek na życie Heydricha i uratował oprawcę przed śmiercią. W każdym razie Bruno Kreuz vom Meere już wtedy robił karierę w SD. Nie był to zwykły policyjny biurokrata.

Był, prawdę mówiąc, niebezpiecznym człowiekiem.

Istniała nawet możliwość, że przy wszystkich środkach ostrożności podjętych przez Abwehrę w Berlinie i Tokkoka w Tokio SD dowiedziało się o zamierzonym spotkaniu w San Francisco, w biurze Misji Handlowej. Niemniej był to jednak kraj pod administracją japońską. SD nie miało oficjalnie prawa do interwencji. Mogło się tylko postarać, żeby przedstawiciel strony niemieckiej, w tym wypadku on, został aresztowany, gdy tylko postawi nogę na terytorium Rzeszy; nie mogło jednak podjąć żadnych działań wobec przedstawiciela Japonii ani zapobiec samemu spotkaniu.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Czy było możliwe, że SD udało się zatrzymać starego pana gdzieś na trasie? Z Tokio do San Francisco jest daleka droga, zwłaszcza dla kogoś starego i osłabionego, kto nie może latać.

Muszę się dowiedzieć od przełożonych, uznał pan Baynes, czy pan Yatabe ma przyjechać. Będą wiedzieli. Jeżeli SD przechwyciło go albo władze tokijskie go odwołały, będą o tym wiedzieć.

A jeżeli udało im się dobrać do starego pana, uświadomił sobie, to na pewno dobiorą się i do mnie.

Jednak nawet wówczas sytuacja nie była beznadziejna. Wyczekując całymi dniami w pokoju hotelu Abhirati, pan Baynes wpadł na pewien pomysł.

Lepiej będzie przekazać moją informację panu Tagomiemu, niż wracać do Berlina z pustymi rękami. Tak przynajmniej będzie szansa, choć nikła, że wiadomość w końcu dotrze do odpowiednich osób. Ale pan Tagomi mógł tylko słuchać; to była słaba strona tego pomysłu. W najlepszym razie mógł usłyszeć, zapamiętać i możliwie szybko udać się w podróż służbową na Wyspy. Podczas gdy pan Yatabe miał prawo decyzji. Mógł nie tylko słuchać, ale i mówić.

Mimo wszystko lepsze to niż nic. Czas naglił. Zaczynać wszystko od nowa, ponownie całymi miesiącami organizować starannie, z ostrożnością delikatny kontakt pomiędzy grupą w Niemczech i grupą w Japonii…

Pan Tagomi byłby niewątpliwie zaskoczony, pomyślał zjadliwie. Nagle poczuć na barkach ciężar takiej wiedzy. To nie to, co informacje o matrycach wtryskowych…

Może nawet załamać się psychicznie. Wygadać się przed kimś albo zamknąć się w sobie; udawać nawet przed sobą, że nic nie słyszał. Po

prostu nie chcieć mi uwierzyć. Wstać, skłonić się i wyjść z pokoju, gdy tylko zacznę.

Brak dyskrecji. Może spojrzeć na sprawę w ten sposób. Nie powinien słyszeć o takich rzeczach.

Bardzo łatwe, pomyślał pan Baynes. Pan Tagomi ma takie proste, oczywiste wyjście. Jakże mu zazdroszczę!

A jednak w ostatecznym rachunku pan Tagomi też nie ma wyjścia. Nie różnimy się od siebie. Może zamknąć uszy na wiadomość pochodzącą ode mnie, na to, co powiem. Ale potem, gdy to już nie będzie kwestia słów… Jeżeli tylko potrafię mu to wytłumaczyć. Albo temu, z kim będę ostatecznie rozmawiać…

Pan Baynes wyszedł z pokoju i zjechał windą do hallu. Kazał portierowi przywołać rikszę i wkrótce energicznie pedałujący chińczak wiózł go po Market Street.

– Tutaj – powiedział do rikszarza, kiedy dostrzegł znak, którego wypatrywał. – Zjedź na bok.

Riksza zatrzymała się przy hydrancie. Pan Baynes zapłacił i zwolnił rikszarza. Chyba nikt go nie śledził. Pan Baynes ruszył dalej pieszo. Wkrótce wraz z wieloma innymi przechodniami skręcił do wielkiego śródmiejskiego domu towarowego Fuga.

Wszędzie było pełno kupujących. Przy każdej ladzie. Sprzedawczynie przeważnie białe, tu i ówdzie japońscy kierownicy działów. Panował okropny hałas.

Po chwili dezorientacji pan Baynes odnalazł dział odzieży męskiej. Zatrzymał się przy stojaku ze spodniami i zaczął je przeglądać. Zaraz podszedł do niego młody biały ekspedient.

– Wróciłem po te ciemnobrązowe wełniane spodnie, które oglądałem wczoraj – powiedział pan Baynes. Napotkawszy wzrok ekspedienta, dodał:

– To nie z panem rozmawiałem. Tamten był wyższy. Rude wąsy. Raczej szczupły. Na marynarce miał imię Larry.

– Wyszedł na obiad, ale wkrótce wróci – odparł sprzedawca.

– Pójdę do kabiny przymierzyć tę parę – powiedział pan Baynes, biorąc spodnie ze stojaka.

– Bardzo proszę. – Ekspedient wskazał wolną przymierzalnię i poszedł obsługiwać następnego klienta.

Pan Baynes wszedł do kabiny, zamknął drzwi, usiadł na jednym z dwóch krzeseł i czekał.

Po kilku minutach usłyszał pukanie. Drzwi kabiny otworzyły się i wszedł niski Japończyk w średnim wieku.

– Pan jest zza granicy? – zwrócił się do pana Baynesa. – Chciałbym potwierdzić pański kredyt. Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty? – Zamknął za sobą drzwi.

Pan Baynes wyjął portfel. Japończyk usiadł, wziął portfel i zaczął przeglądać jego zawartość. Zatrzymał się przy fotografii dziewczyny.

– Bardzo piękna – stwierdził.

– Moja córka, Martha.

– Ja też mam córkę imieniem Martha – powiedział Japończyk. – Studiuje teraz pianistykę w Chicago.

– Moja córka wkrótce wychodzi za mąż.

Japończyk zwrócił panu Baynesowi portfel i czekał.

– Jestem tutaj od dwóch tygodni – rzekł pan Baynes – a pan Yatabe się nie zgłosił. Chcę się dowiedzieć, czy on w ogóle przyjedzie. A jeżeli nie, to co mam robić.

– Proszę przyjść jutro po południu – odparł Japończyk. Wstał i pan Baynes także się podniósł. – Do widzenia.

– Do widzenia – powiedział pan Baynes. Wyszedł z kabiny, odwiesił spodnie na stojak i opuścił dom towarowy Fuga.

Nie trwało to zbyt długo, pomyślał, idąc śródmiejskim chodnikiem w tłumie przechodniów. Czy on rzeczywiście może zdobyć informacje do tego czasu? Skontaktować się z Berlinem, przekazać moje pytania, każdą rzecz zaszyfrować i odszyfrować?

Widocznie tak.

Teraz żałuję, że nie zwróciłem się do naszego agenta wcześniej. Zaoszczędziłbym sobie dużo zmartwień i nerwów. I jak widać nie wiązało się to z wielkim ryzykiem; chyba wszystko poszło gładko. Faktycznie zajęło nie więcej niż pięć–sześć minut.

Pan Baynes szedł przed siebie, oglądając wystawy. Czuł się teraz znacznie lepiej. Wreszcie znalazł się przed witryną podrzędnego kabaretu z wypłowiałymi, upstrzonymi przez muchy zdjęciami całkowicie nagich białych kobiet, których piersi zwisały jak na wpół nadmuchane piłki. Rozbawiło go to i gapił się przez chwilę potrącany przez przechodniów śpieszących do swoich zajęć.

Nareszcie coś zrobił, nareszcie.

Co za ulga!

Juliana czytała oparta wygodnie o drzwiczki samochodu. Joe prowadził jedną ręką spoczywającą swobodnie na kierownicy, z łokciem wystawionym za okno i papierosem przyklejonym do dolnej wargi; był dobrym kierowcą i pokonali już niemałą część drogi z Canon City.

Z radia rozlegała się ckliwa ludowa muzyczka piwiarni, zespół akordeonistów grał taniec szkocki albo jedną z nielicznych polek; Juliana nigdy nie potrafiła ich rozróżnić.

– Licz – powiedział Joe, kiedy muzyka ucichła. – Wiesz, ja się znam na muzyce. Powiem ci, kto był wielkim dyrygentem. Pewnie go nie pamiętasz. Arturo Toscanini.

– Nie znam – odparła, nie przestając czytać.

– Był Włochem. Ale hitlerowcy nie dali mu po wojnie dyrygować ze względu na jego poglądy polityczne. Już nie żyje. Nie lubię tego von Karajana, stałego dyrygenta Filharmonii Nowojorskiej. Musieliśmy chodzić na jego koncerty całym hotelem robotniczym. A co ja, Włoch, lubię, chyba wiesz. – Spojrzał na nią. – Podoba ci się ta książka?

– Bardzo wciąga.

– Lubię Verdiego i Pucciniego. A w Nowym Jorku mamy wciąż tylko bombastycznego niemieckiego Wagnera albo Orffa i musimy co tydzień chodzić na te głupie przedstawienia Amerykańskiej Partii Nazistowskiej w Madison Square Garden, ze sztandarami, bębnami, trąbami i płonącymi zniczami. Historia plemion germańskich albo inne oświatowe bzdury, które deklamują, zamiast zwyczajnie mówić, żeby móc to nazwać sztuką. Byłaś kiedyś w Nowym Jorku przed wojną?

– Byłam – odpowiedziała, usiłując czytać.

– Mieli wtedy fajne teatry, prawda? Tak słyszałem. Teraz jest to samo co z przemysłem filmowym. Wszystko jeden kartel w Berlinie. Jestem w Nowym Jorku trzynaście lat i nie wystawili przez ten czas ani jednej dobrej sztuki czy musicalu, tylko wciąż te…

– Daj mi czytać – powiedziała Juliana.

– I to samo z książkami – ciągnął Joe jakby nigdy nic. – Jeden kartel z centralą w Monachium. W Nowym Jorku tylko drukują, po prostu wielkie drukarnie. A przed wojną Nowy Jork był centrum światowego przemysłu wydawniczego, tak w każdym razie mówią.

Zatkawszy palcami uszy, Juliana skupiała się na książce, którą trzymała na kolanach. Doszła do opisu fantastycznej telewizji i była oczarowana, zwłaszcza fragmentem o tanich małych odbiornikach dla zacofanych regionów Afryki i Azji.

> …Jedynie jankeska zmyślność i system masowej produkcji (magiczne słowa: Detroit, Chicago, Cleveland!) mogły dokonać tej sztuki, wysyłać ten nieprzerwany i prawie obłędnie szlachetny strumień tanich, jednodolarowych (mowa o chińskim dolarze) zestawów elementów odbiorników telewizyjnych do każdej wioski, do najbardziej zapadłej dziury Wschodu. A kiedy odbiornik został złożony przez jakiegoś wychudzonego wioskowego zapaleńca, który nie dojadał, żeby zdobyć to, co proponowali szczodrzy Amerykanie, mały aparat z wbudowanym miniaturowym źródłem energii zaczynał odbierać. I co odbierał? Przykucnięta przed ekranem młodzież wioski, a często i starsi, patrzyła i wsłuchiwała się w słowa. Wskazówki. Najpierw, jak czytać. Potem reszta. Jak wykopać głębszą studnię. Zaorać głębszą bruzdę. Jak oczyszczać wodę i leczyć chorych. W górze krążył amerykański sztuczny księżyc, nadając sygnał, wysyłając go wszędzie… do spragnionych, wyczekujących mas Wschodu.

– Czytasz wszystko jak leci – spytał Joe – czy tylko przeglądasz?

– To wspaniałe – odparła. – U niego wysyłamy żywność i oświatę do milionów Azjatów.

– Pomoc społeczna na skalę światową.

– Tak. Nowy Ład prezydenta Tugwella, podniesienie poziomu mas. Posłuchaj – i zaczęła czytać na głos.

> …Czym były Chiny? Jednym wielkim spragnionym organizmem spoglądającym z nadzieją ku Zachodowi, z wielkim demokratycznym prezydentem Czang Kaj-szekiem, który prowadził naród chiński przez lata wojny i teraz w lata pokoju, Dekadę Odbudowy. Ale dla Chin nie była to odbudowa, gdyż ten niemal nienaturalnie rozległy, płaski kraj wciąż jeszcze spoczywał pogrążony w wiekowym

śnie. Przebudzenie; tak, ta istota, ten olbrzym musiał wreszcie odzyskać pełnię świadomości, ocknąć się do życia w nowoczesnym świecie z jego odrzutowcami, energią atomową, autostradami, fabrykami i lekarstwami. A skąd rozlegnie się grom, który zbudzi olbrzyma? Czang wiedział jeszcze podczas walk o wyzwolenie z Japończykami. To przyjdzie ze Stanów Zjednoczonych. I do roku 1950 amerykańscy technicy i inżynierowie, nauczyciele, lekarze, agronomowie zaroili się niczym jakiś nowy rodzaj istot w każdej prowincji, w każdym…

– Wiesz, co on robi? – przerwał jej Joe. – Bierze to, co najlepsze z nazizmu, jego socjalistyczną część, Organizację Todta i postęp gospodarczy, który zawdzięczamy Speerowi. I komu przyznaje zasługi? Nowemu Ładowi. A wszystko złe, SS, eksterminację i segregację rasową, opuszcza. Toż to utopia! Czy wyobrażasz sobie, że gdyby alianci wygrali, Nowy Ład ożywiłby gospodarkę i doszłoby do tych wszystkich socjalistycznych przeobrażeń społecznych, o których on pisze? Diabła tam! Opisuje formę państwowego syndykalizmu, państwo korporacyjne, jakie stworzył Duce. Obiecuje same dobre strony bez…

– Pozwól mi czytać – powiedziała ze złością.

Wzruszył ramionami, ale przestał gadać. Juliana czytała dalej, już po cichu.

…Nowe rynki, niezliczone miliony Chińczyków napędzały fabryki w Detroit i Chicago; olbrzymiej paszczy nie można było zaspokoić, ci ludzie nawet za sto lat nie będą mieć dość ciężarówek, cegieł, stali, ubrań, maszyn do pisania, konserw, zegarków, radioodbiorników i kropel do nosa. Amerykański robotnik miał w roku 1960 najwyższą na świecie stopę życiową, a wszystko dzięki temu, co oględnie nazywano klauzulą największego uprzywilejowania we wszystkich transakcjach handlowych ze Wschodem. USA nie okupowały już Japonii i nigdy nie okupowały Chin, a jednak fakt pozostawał faktem: Kanton, Tokio i Szanghaj nie kupowały u Anglików, tylko u Amerykanów. A każda transakcja oznaczała wzrost zamożności robotnika w Baltimore, Los Angeles czy Atlancie.

Ludziom patrzącym w przyszłość, planistom z Białego Domu, wydawało się, że już prawie osiągnęli swój cel. Wkrótce rakietowe statki zaczną ostrożnie badać kosmos wokół świata, który nareszcie przestały trapić odwieczne biedy: głód, choroby, wojna, ciemnota. W Imperium Brytyjskim podobne kroki w kierunku społecznego i gospodarczego postępu przyniosły podobną ulgę masom w Indiach, Birmie, Afryce i na Bliskim Wschodzie. Fabryki Ruhry, Manchesteru, Saary, ropa naftowa Baku, wszystko płynęło i splatało się w skomplikowanej, ale skutecznej harmonii; narody Europy cieszyły się czymś, co przypominało…

– Myślę, że oni powinni rządzić – powiedziała Juliana, przerwawszy lekturę. – Zawsze byli w tym najlepsi. Myślę o Anglikach.

Joe nic na to nie odpowiedział, choć czekała. Po chwili wróciła do książki.

…realizację napoleońskiej wizji: racjonalna jedność różnorodnych grup etnicznych, które gryzły się między sobą i balkanizowały Europę od upadku Rzymu. Wizja przyświecająca też Karolowi Wielkiemu: zjednoczone chrześcijaństwo całkowicie pogodzone nie tylko wewnętrznie, lecz także ze zrównoważonym światem. Wciąż jednak pozostawało jedno chore miejsce.

Singapur.

Państwa malajskie zamieszkiwała liczna mniejszość chińska, składająca się głównie z kupców i przedsiębiorców, i ta prężna, ruchliwa burżuazja uważała, że amerykańska administracja w Chinach reprezentuje bardziej sprawiedliwe podejście do tak zwanych krajowców. Pod władzą brytyjską przedstawiciele ciemniejszych ras nie mieli wstępu do eleganckich klubów i hoteli, do lepszych restauracji; jak w dawnych czasach mieli wydzielone miejsca w pociągach i autobusach i, co najgorsze, ograniczony wybór miejsca zamieszkania w obrębie miast. Ci „krajowcy” spostrzegli i odnotowali (zarówno w rozmowach prywatnych, jak i w swoich publikacjach), że koło roku 1950 problem kolorowych został w Stanach Zjednoczonych rozwiązany. Biali i czarni mieszkali, pracowali i jedli razem nawet na głębokim Południu; druga wojna światowa położyła kres dyskryminacji…

– Czy będą kłopoty? – spytała Juliana Joego.

Stęknął tylko, nie odrywając oczu od drogi.

– Powiedz mi, co jest dalej – prosiła. – Nie doczytam do końca, zaraz będziemy w Denver. Czy wybuchnie wojna angielsko-amerykańska i zwycięzca będzie rządził światem?

Po chwili Joe powiedział:

– Pod pewnym względem to nie jest zła książka. Autor dopracował szczegóły. Amerykanie mają Pacyfik, trochę podobnie jak obecny Pacyficzny Sojusz dla Dobrobytu. Rosję podzielono. Wszystko działa przez jakieś dziesięć lat. Potem oczywiście zaczynają się konflikty.

– Dlaczego oczywiście?

– Natura ludzka – dodał Joe. – Natura państw. Podejrzliwość, strach, chciwość. Churchill myśli, że Stany Zjednoczone podważają brytyjskie panowanie w Azji Południowej, wykorzystując w tym celu chińskie mniejszości, które dzięki Czang Kaj-szekowi są oczywiście proamerykańskie. Anglicy zaczynają organizować – Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu – coś, co nazywają chronionymi rezerwatami. Innymi słowy, obozy koncentracyjne. Dla tysięcy potencjalnie nielojalnych Chińczyków. Oskarża się ich o sabotaż i propagandę. Churchill jest tak…

– To znaczy, że on wciąż jeszcze rządzi? Miałby chyba pod dziewięćdziesiątkę?

– Na tym właśnie polega przewaga systemu angielskiego nad amerykańskim – powiedział Joe. – Stany co osiem lat wykopują swoich przywódców, choćby mieli najwyższe kwalifikacje, a Churchill pozostaje. Ameryka po Tugwellu nie ma podobnych przywódców. Same zera. A on, to znaczy Churchill, im jest starszy, tym większym staje się autokratą, coraz sztywniejszy, aż gdzieś koło roku 1960 zaczyna przypominać starego

wodza z Azji Środkowej, którego nikt nie może już wywieść w pole. Utrzymuje się przy władzy od dwudziestu lat.

– Dobry Boże – powiedziała, przerzucając końcową część książki i szukając potwierdzenia słów Joego.

– Co do tego się zgadzam – mówił Joe. – Churchill był jedynym dobrym przywódcą, jakiego Anglicy mieli podczas wojny. Gdyby go zachowali, wyszliby na tym lepiej. Powiadam ci, jaki przywódca, takie państwo. Zasada wodzostwa, *Führerprinzip*, jak mówią naziści. I mają rację. Nawet ten Abendsen musi to przyznać. Pewnie, że Stany rozwijają się gospodarczo po wygranej wojnie z Japonią, bo mają olbrzymi azjatycki rynek, który wydarły Japonii. Ale to nie wystarczy, brak im ducha. Co nie znaczy, że Anglicy go mają. Jedni i drudzy są w rękach plutokracji. Gdyby wygrali, myśleliby tylko o tym, jak zarobić więcej pieniędzy. Abendsen się myli, nie byłoby reform społecznych, żadnych socjalnych projektów, robót publicznych. Anglosascy plutokraci nigdy by na to nie pozwolili.

Mówi jak żarliwy faszysta, pomyślała Juliana.

Joe widocznie poznał po wyrazie jej twarzy, co myśli, bo zwolnił i zwrócił się ku niej, jednym okiem patrząc na nią, drugim na szosę.

– Słuchaj, nie jestem intelektualistą, faszyzm tego nie potrzebuje. Ważny jest czyn. Teoria rodzi się z działania. Nasze korporacyjne państwo żąda od nas zrozumienia sił społecznych, zrozumienia historii. Tak jest, wiem to na pewno, Juliano. – Jego ton był szczery, prawie błagalny. – Te stare, zgniłe, oparte na pieniądzu imperia, Anglia, Francja, USA… to ostatnie jakby odmieniec z nieprawego łoża, ale też podporządkowane pieniądzom… wszystkie one nie mają ducha i dlatego też nie mają przyszłości. Żadnych perspektyw. Naziści to banda ulicznych opryszków, zgadzam się. Ty się zgadzasz? Mam rację?

Musiała się uśmiechnąć. W tej próbie jednoczesnego prowadzenia samochodu i perorowania ujawnił się cały jego włoski charakter.

– Abendsen pisze tak, jakby to było strasznie ważne, czy ostatecznie zwycięży Stany Zjednoczone, czy Anglia. Guzik prawda! Nie ma w tym sensu, nie ma historii. Czytałaś kiedyś Duce? Natchnione. Wspaniały człowiek, wspaniałe słowa. Wyjaśnia rzeczywiste podłoże każdego zdarzenia. To, o co rzeczywiście w tej wojnie szło, to była walka nowego ze starym. Pieniądze (to dlatego naziści błędnie wyciągali sprawę żydowską) przeciwko zjednoczonej woli mas, temu, co Niemcy nazywają *Gemeinschaft*, idea narodowa.

Bandytyzm nazistów to tragedia – ciągnął podniecony Joe, wyprzedzając wolno jadącą ciężarówkę. – Ale zmiana jest zawsze bolesna dla przegrywającego. Nic nowego. Weź poprzednie rewolucje, takie jak francuska albo Cromwellowska. W niemieckim charakterze jest za dużo filozofii. I za dużo teatru. Te wszystkie zjazdy. Prawdziwy faszysta nie gada, tylko działa, tak jak ja.

Juliana roześmiała się.

– Boże, przecież gadasz jak nakręcony.

– Wyjaśniałem faszystowską teorię działania! – krzyknął podniecony.

Nie mogła odpowiedzieć, to było zbyt śmieszne.

Ale siedzący obok niej mężczyzna nie uważał, że to śmieszne; zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, twarz miał czerwoną. Żyły nabrzmiały mu na czole i znów zaczął się trząść. I znów przejechał palcami po czaszce w przód i w tył, bez słowa, wlepiając w Julianę wzrok.

Przez chwilę myślała, że ją uderzy; cofnął ramię… ale on stęknął i wyciągnął rękę, żeby włączyć radio.

Jechali dalej. Marszowa muzyka z radia, szum zakłóceń. Juliana po raz któryś spróbowała skupić się na książce.

– Masz rację – odezwał się Joe po dłuższej przerwie.

– W jakiej sprawie?

– Tandetne imperium. Błazen wodzem. Nic dziwnego, że nic nie zyskaliśmy w tej wojnie.

Poklepała go po ręce.

– Wszystko jest ciemnością, Juliano – powiedział Joe. – Nie ma nic pewnego ani prawdziwego. Czy nie tak?

– Możliwe – zgodziła się mechanicznie, nadal usiłując czytać.

– Anglia wygrywa – ciągnął Joe, wskazując książkę. – Zaoszczędzę ci trudu. Ameryka traci na znaczeniu, Anglia intryguje, naciska i rozrasta się, utrzymuje inicjatywę. Możesz więc to odłożyć.

– Mam nadzieję, że w Denver się zabawimy – powiedziała Juliana, zamykając książkę. – Powinieneś się odprężyć. Chcę, żebyś się odprężył. – Jeżeli nie, pomyślała, to rozsypiesz się na milion kawałeczków. Jak pęknięta sprężyna. A co wtedy będzie ze mną? Jak wrócę? I… czy mam cię zwyczajnie zostawić?

Chcę się zabawić, tak jak mi obiecałeś, myślała. Nie chcę być oszukana. Byłam w życiu oszukiwana zbyt często przez zbyt wielu ludzi.

– Zabawimy się – powiedział Joe. – Posłuchaj. – Przyglądał się jej badawczo z dziwnym wyrazem twarzy. – Bardzo sobie wzięłaś tę książkę do serca. Zastanawiam się, czy myślisz, że człowiek, który napisał bestseller, pisarz taki jak ten Abendsen, dostaje dużo listów. Założę się, że dużo ludzi pisze do niego listy z gratulacjami, może nawet przyjeżdża do niego.

Zrozumiała od razu.

– Joe, to tylko sto mil dalej!

Oczy mu zabłysły, uśmiechnął się do niej. Znikło przygnębienie i napięcie, znów był wesoły.

– Moglibyśmy tam podjechać! – zawołała. – Ty tak dobrze prowadzisz, dla ciebie to nic.

– Cóż – powoli powiedział Joe – wątpię, czy sławny człowiek przyjmuje odwiedzających. Pewnie jest ich zbyt wielu.

– Dlaczego nie spróbować? Joe – chwyciła go za ramię i ścisnęła podniecona – najwyżej nas odeśle. Proszę cię.

Po długim namyśle Joe powiedział:

– Jak zrobimy zakupy i będziemy w nowych ubraniach, wystrojeni… to bardzo ważne, żeby wywrzeć dobre wrażenie. Może nawet wynajmiemy nowy samochód w Cheyenne. Chyba możesz to zrobić?

– Mogę. A ty musisz pójść do fryzjera. I pozwól, że ci wybiorę ubranie, bardzo cię proszę. Kiedyś wybierałam ubrania dla Franka. Mężczyzna nie potrafi sam się ubrać.

– Masz dobry gust, gdy chodzi o stroje – powiedział Joe, kierując wzrok z powrotem na szosę; patrzył przed siebie ponuro. – W innych sprawach też. Lepiej, jeżeli ty do niego zadzwonisz. I umówisz się.

– Pójdę do fryzjera – dodała.

– Dobrze.

– Nie boję się przyjść i zadzwonić do drzwi. Co tam, raz kozie śmierć. Czego tu się bać? Jest tylko człowiekiem, jak i my. Na pewno z przyjemnością dowiedziałby się, że ktoś jechał tak daleko tylko po to, żeby mu powiedzieć, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim jego książka. Możemy go poprosić o autograf, tak jak się to robi. Kupmy lepiej nowy egzemplarz, ten jest cały zasmarowany. Nie wyglądałoby to dobrze.

– Wszystko, co chcesz – powiedział Joe. – Zostawiam ci decyzję co do szczegółów. Wiem, że zrobisz to dobrze. Ładna dziewczyna działa na każdego. Jak cię zobaczy, będzie pod takim wrażeniem, że otworzy drzwi na oścież. Tylko bez kawałów.

– O co ci chodzi?

– Powiesz, że jesteśmy małżeństwem. Nie chcę, żeby się coś między wami zaczęło. To byłoby okropne. Wszyscy mielibyśmy zrujnowane życie. Niezła nagroda dla niego za wpuszczanie nieznajomych, niezła ironia. Więc uważaj na siebie.

– A ty możesz z nim podyskutować – powiedziała Juliana. – O tym kawałku, gdzie zdrada Włoch decyduje o wojnie. Powiedz mu to, co mnie powiedziałeś.

Joe kiwnął głową.

– Słusznie. Możemy przedyskutować całą tę sprawę.

Nadal mknęli po szosie.

Następnego ranka o siódmej czasu pacyficznego pan Nobusuke Tagomi wstał z łóżka i ruszył w stronę łazienki, ale rozmyślił się i poszedł prosto do wyroczni.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w saloniku, zaczął manipulować czterdziestoma dziewięcioma łodyżkami krwawnika. Dręczyło go poczucie, że sprawa jest pilna, toteż robił to w gorączkowym tempie i wkrótce miał wszystkie sześć linii przed sobą.

Szok! Heksagram pięćdziesiąty pierwszy!

Bóg ukazuje się w znaku Wzrastania. Grom i błyskawica. Dźwięki, mimo woli zatkał palcami uszy. Ha-ha! Ho-ho! Wielkie eksplozje, od których krzywił się i mrugał. Gad się skrada, tygrys ryczy i pojawia się Bóg we własnej osobie!

Co to ma znaczyć? Rozejrzał się po swoim saloniku. Przybycie, ale czego? Zerwał się na równe nogi i stał, ciężko dysząc w oczekiwaniu.

Nic. Serce wali. Oddychanie i wszystkie procesy fizjologiczne włącznie z różnorodnymi autonomicznymi reakcjami na zagrożenie: adrenalina, puls, działalność gruczołów, skurcz krtani, wytrzeszcz oczu, rozluźnienie stolca itd. Żołądek poruszony, instynkt płciowy stłumiony.

A tymczasem nic nie widać; ciało nie wie, co robić. Uciekać? Pełna mobilizacja do panicznej ucieczki. Ale dokąd i przed czym? – zadawał sobie pytanie pan Tagomi. Najmniejszej wskazówki. A zatem niemożliwe. Problem człowieka cywilizowanego: ciało gotowe, ale niebezpieczeństwo niesprecyzowane.

Poszedł do łazienki i namydlił twarz do golenia.

Telefon.

– Szok – odezwał się, odkładając brzytwę. – Bądź w pogotowiu. – Szybkim krokiem wyszedł z łazienki z powrotem do saloniku. – Jestem gotów – powiedział i podniósł słuchawkę. – Tu Tagomi. – Musiał odchrząknąć, bo głos mu skrzypiał.

Chwila ciszy. A potem słaby, szeleszczący głos, prawie jak suche liście:

– Mówi Shinjiro Yatabe. Przybyłem do San Francisco.

– Witam w imieniu Misji Handlowej – odpowiedział pan Tagomi. – Ogromnie się cieszę. Czy jest pan w dobrym zdrowiu i nastroju?

– Tak, panie Tagomi. Kiedy możemy się spotkać?

– Bardzo szybko. Za pół godziny. – Pan Tagomi zerknął na zegar w sypialni, usiłując odczytać godzinę. – Trzeci uczestnik, pan Baynes. Muszę się z nim skontaktować. Możliwe opóźnienie, ale…

– Powiedzmy za dwie godziny? – przerwał mu pan Yatabe.

– Tak jest – powiedział z ukłonem pan Tagomi.

– W pańskim biurze w budynku Nippon Times.

Pan Tagomi skłonił się ponownie.

Trzask. Pan Yatabe odłożył słuchawkę.

Radość pana Baynesa, pomyślał pan Tagomi. Ucieszył się, jak kot, któremu rzucono kawałek łososia, piękny, tłusty ogon na przykład. Przycisnął widełki i pośpiesznie wybrał numer hotelu Abhirati.

– Męka skończona – powiedział, kiedy dobiegł go zaspany głos pana Baynesa.

Głos natychmiast przestał być zaspany.

– On tu jest?

– U mnie w biurze. Dziesiąta dwadzieścia. Do widzenia. – Pan Tagomi odłożył słuchawkę i pośpieszył do łazienki dokończyć golenia. Nie ma czasu na śniadanie; po przyjściu do biura pogonić w tej sprawie pana Ramseya. Może wszyscy trzej mogliby zaspokajać głód jednocześnie; goląc się, planował wytworne śniadanie na trzy osoby.

Pan Baynes stał w piżamie przy telefonie, pocierając czoło i myśląc. Jaka szkoda, że nie wytrzymałem i nawiązałem kontakt z agentem. Gdybym zaczekał tylko o jeden dzień dłużej…

Ale może nie stało się nic złego. Miał dzisiaj ponownie udać się do domu towarowego. A gdybym się tam nie pokazał? Mogłoby to wywołać reakcję łańcuchową: pomyślą, że zostałem zamordowany albo coś takiego, i zaczną mnie szukać.

Wszystko nieważne. Grunt, że on tu jest. Nareszcie. Skończyło się wyczekiwanie.

Pan Baynes pośpieszył do łazienki i przystąpił do golenia.

Nie wątpię, że pan Tagomi go rozpozna, gdy tylko go zobaczy, pomyślał. Możemy teraz zrezygnować z maski „pana Yatabe”. Właściwie możemy odrzucić wszystkie maski, wszelkie udawanie.

Ogoliwszy się, pan Baynes wskoczył pod natrysk. Wśród szumu wody śpiewał na cały głos:

Wer reitet so spät,
Durch Nacht und Wind?
Das ist der Vater
Mit seinem Kind.

Zapewne jest już za późno, żeby SD mogło coś zrobić, pomyślał. Nawet gdyby się dowiedzieli. Chyba więc mogę zapomnieć o strachu; w każdym razie o tym mniej ważnym. O małym, prywatnym strachu o własną skórę.

A co do reszty, tu możemy dopiero zacząć.

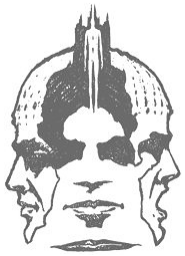

11

Pierwsza sprawa, jaka czekała tego dnia na konsula Rzeszy w San Francisco, *Freiherr* Hugona Reissa, była nieoczekiwana i nieprzyjemna. Kiedy przybył do biura, czekał już na niego barczysty mężczyzna w średnim wieku, z ciężką szczęką i dziobatą twarzą ściągniętą w grymas niezadowolenia. Mężczyzna wstał i podniósł rękę w partyjnym pozdrowieniu, burknąwszy jednocześnie *„Heil”*.

– *Heil* – odpowiedział Reiss i jęknął w duchu, zachowując służbowy uśmiech. – *Herr* Kreuz vom Meere. Cóż za niespodzianka. Zechce pan wejść? – Otworzył drzwi do swojego gabinetu, zastanawiając się, gdzie jest wicekonsul i kto wpuścił szefa SD. W każdym razie już tu był. Nic nie można było na to poradzić.

Idąc za nim z rękami w kieszeniach ciemnego wełnianego płaszcza, Kreuz vom Meere mówił:

– Zlokalizowaliśmy tego faceta z Abwehry. Tego Rudolfa Wegenera. Zgłosił się na stary punkt kontaktowy Abwehry, który mamy pod obserwacją. – Kreuz vom Meere zaśmiał się, ukazując wielkie złote zęby. – A potem zaprowadził nas do swojego hotelu.

– Doskonale – powiedział Reiss, zauważając, że poczta leży na biurku. A więc Pferdehuf jest gdzieś w pobliżu. Niewątpliwie specjalnie zostawił gabinet zamknięty, żeby uniemożliwić szefowi SD małą nieformalną rewizję.

– To jest ważne – powiedział Kreuz vom Meere. – Zawiadomiłem Kaltenbrunnera. Sprawa najwyższej wagi. Zapewne lada moment odezwie się do pana Berlin. Chyba że te *Unratfressers* w kraju coś pokręciły. – Rozsiadł się na biurku konsula, wyjął plik złożonych kartek z kieszeni marynarki i rozłożył je starannie, poruszając wargami. – Występuje pod nazwiskiem Baynes. Podaje się za szwedzkiego przemysłowca, handlowca lub kogoś związanego z produkcją. Dziś rano o ósmej dziesięć odebrał telefon od japońskiego urzędnika w sprawie spotkania w biurze u tego żółtka o dziesiątej dwadzieścia. Staramy się teraz ustalić, skąd dzwoniono. Powinniśmy znać wynik za jakieś pół godziny. Dadzą mi znać tutaj.

– Ach tak – powiedział Reiss.

– Otóż możliwe, że zgarniemy tego faceta – kontynuował Kreuz vom Meere. – Jeżeli tak, to oczywiście odeślemy go do Reichu najbliższą maszyną Lufthansy. Jednak żółtki albo Sacramento mogą zaprotestować i usiłować nas powstrzymać. W takim razie protest wpłynie do pana. Faktycznie mogą wywrzeć bardzo silną presję. I wysłać ciężarówkę swoich zbirów z Tokkoki na lotnisko.

– Nie może pan zrobić tak, żeby się nie dowiedzieli?

– Za późno. Właśnie jest w drodze na to spotkanie. Możemy być zmuszeni zabrać go już stamtąd. Wpaść, złapać go i wybiec.

– To mi się nie podoba – powiedział Reiss. – Przypuśćmy, że jest to spotkanie z jakimiś bardzo ważnymi japońskimi osobistościami? Właśnie teraz w San Francisco może przebywać osobisty przedstawiciel cesarza. Doszły mnie ostatnio słuchy…

– To nie ma znaczenia – przerwał mu Kreuz vom Meere. – Jest obywatelem niemieckim i podlega prawom Rzeszy.

A my wiemy, jakie są prawa Rzeszy, pomyślał Reiss.

– Mam w pogotowiu grupę komandosów – kontynuował Kreuz vom Meere. – Pięciu dobrych ludzi. – Roześmiał się. – Wyglądają jak skrzypkowie. Piękne, ascetyczne twarze. Uduchowione. Może jak u studentów teologii. Wejdą do środka. Żółtki pomyślą, że to kwartet smyczkowy…

– Kwintet – poprawił Reiss.

– No tak. Dojdą do samych drzwi, są odpowiednio ubrani. – Zmierzył wzrokiem konsula. – Bardzo podobnie jak pan.

Dziękuję, pomyślał Reiss.

– Na oczach wszystkich. W biały dzień. Prosto do tego Wegenera. Otoczą go. Będzie wyglądało, że z nim rozmawiają. Bardzo ważna wiadomość. – Kreuz vom Meere ciągnął monotonnie i konsul zaczął otwierać listy. – Żadnej przemocy. Tylko „*Herr* Wegener, proszę z nami. Rozumie pan”. I mała strzykawka między kręgi. Psyk. Górna część ciała sparaliżowana.

Reiss kiwnął głową.

– Pan słucha?

– *Ganz bestimmt*.

– Wtedy wychodzą. Do samochodu. I do mojego biura. Żółtki robią wielki szum, ale do końca są grzeczni. – Kreuz vom Meere zsunął się ociężale z biurka, żeby zademonstrować japoński ukłon. – „Wielce wulgarne, *Herr* Kreuz vom Meere, tak nas oszukać. Mimo to do widzenia, *Herr* Wegener…”

– Baynes – poprawił Reiss. – Używa przecież fałszywego nazwiska.

– Baynes. „Wielce przykro, że pan odjeżdża. Dużo do pomówienia może następnym razem”. – Zadzwonił telefon na biurku Reissa i Kreuz vom

Meere przestał błaznować. – To może być do mnie. – Wyciągnął rękę, ale Reiss go wyprzedził i sam podniósł słuchawkę.

– Reiss przy telefonie.

Odezwał się nieznajomy głos:

– Panie konsulu, tu Auslandfernsprechamt w Nowej Szkocji. Telefon do pana. Z Berlina, pilny.

– Słucham.

– Chwileczkę, panie konsulu. – Słaby szum, trzaski. Potem inny głos, kobiecy. – *Kanzlei*.

– Auslandfernsprechamt w Nowej Szkocji. Telefon do konsula Rzeszy Reissa w San Francisco, konsul na linii.

– Zaczekajcie. – Długa chwila ciszy, podczas której Reiss nadal, jedną ręką, otwierał pocztę. Kreuz vom Meere obserwował go leniwie.

– *Herr* konsul, przepraszam, że zabieram czas. – Głos mężczyzny. Krew natychmiast zastygła w żyłach Reissa. Dobrze znany niski, wyrobiony, gładki głos. – Doktor Goebbels.

– Tak, *Kanzler*. – Kreuz vom Meere uśmiechnął się powoli. Szczęka już mu nie opadała.

– Generał Heydrich prosił mnie przed chwilą, żebym do pana zadzwonił. W San Francisco znajduje się agent Abwehry nazwiskiem Rudolf Wegener. Musi pan w jego sprawie ściśle współpracować z policją. Nie ma czasu wprowadzać pana w szczegóły. Po prostu niech pan odda swoje biuro do ich dyspozycji. *Ich danke Ihnen sehr dafür*.

– Rozumiem, *Herr Kanzler* – powiedział Reiss.

– Do widzenia. – Kanclerz Rzeszy przerwał połączenie. Kreuz vom Meere obserwował Reissa z zainteresowaniem, kiedy ten odkładał słuchawkę.

– Miałem rację? – spytał.

Reiss wzruszył ramionami.

– Nikt temu nie przeczy.

– Proszę o upoważnienie dla nas na odesłanie tego Wegenera do Niemiec siłą.

Reiss wziął pióro, napisał upoważnienie, podpisał i podał szefowi SD.

– Dziękuję. A teraz, kiedy władze japońskie zwrócą się ze skargą…

– Jeżeli się zwrócą.

Kreuz vom Meere zmierzył go wzrokiem.

– Zrobią to. Będą tutaj kwadrans po tym, jak porwiemy tego Wegenera. – Zgubił gdzieś swój żartobliwy, błazeński ton.

– Nie w postaci kwintetu smyczkowego.

Kreuz vom Meere nie zareagował.

– Wpadnie w nasze ręce dziś przed południem, niech pan więc będzie przygotowany. Może pan powiedzieć żółtkom, że to zboczeniec, fałszerz lub coś takiego. Poszukiwany za poważne przestępstwo. Niech pan nie mówi, że jest ścigany za przestępstwa polityczne. Wie pan, że oni nie uznają dziewięćdziesięciu procent naszego narodowosocjalistycznego prawa.

– Wiem – powiedział Reiss. – I wiem, co mam robić. – Był zirytowany, czuł się oszukany. Załatwili to za moimi plecami, pomyślał. Jak zwykle. Zwrócili się do kanclerza. Łobuzy.

Trzęsły mu się ręce. Telefon od doktora Goebbelsa. Czy to dlatego? Lęk przed władzą? Czy może uraza, poczucie, że został wymanewrowany… niech szlag trafi tych policjantów. Są coraz silniejsi. Teraz już sam Goebbels dla nich pracuje, trzęsą całą Rzeszą.

Ale co mogę na to poradzić? Co ktokolwiek może na to poradzić?

Lepiej z nimi współpracować, pomyślał z rezygnacją. To nie jest odpowiednia chwila, żeby być po przeciwnej stronie niż ten facet. Zapewne

potrafi w kraju załatwić wszystko, co zechce, łącznie z dymisją każdego, kto mu jest niewygodny.

– Widzę – powiedział na głos – że pan nie przesadzał co do wagi tej sprawy, *Herr Polizeiführer*. Najwyraźniej bezpieczeństwo całych Niemiec zależy od tego, żeby pan szybko ujął tego szpiega, zdrajcę, czy kim on tam jest. – Skrzywił się w duchu, słuchając własnych słów.

Jednak Kreuz vom Meere wyglądał na zadowolonego.

– Możliwe, że uratował pan nas wszystkich.

– No cóż, jeszcze go nie złapaliśmy – rzucił ponuro Kreuz vom Meere. – Zaczekajmy do tego czasu. Dlaczego nie ma jeszcze tego telefonu?

– Z Japończykami dam sobie radę – powiedział Reiss. – Jak pan wie, mam w tym spore doświadczenie. Ich skargi…

– Niech pan będzie cicho – przerwał mu Kreuz vom Meere. – Muszę pomyśleć. – Widocznie telefon kanclerza i jego wyprowadził z równowagi, on też czuł brzemię odpowiedzialności.

A może tamten facet się wymknie i ty za to wylecisz z posady, pomyślał Hugo Reiss. Ja wylecę, ty wylecisz; obaj możemy w każdej chwili znaleźć się na bruku. Nie jesteś bezpieczniejszy niż ja.

Prawdę mówiąc, pomyślał, może warto by zobaczyć, jak mała zwłoka tu i tam krzyżuje pańskie plany, *Herr Polizeiführer*. Coś, czego nigdy nie da się udowodnić. Na przykład, kiedy Japończycy przyjdą tu z protestem, mógłbym zrobić aluzję do maszyny Lufthansy, do której zaciągną tego faceta… albo chociaż podsycić nieco ich gniew, za pomocą, powiedzmy, lekkiego grymasu pogardy, sugerującego, że Reiss jest tym wszystkim rozbawiony, nie traktuje małych żółtych ludzików poważnie. Łatwo im dopiec. A kiedy się dostatecznie rozzłoszczą, mogą udać się z tym do samego Goebbelsa.

Najróżniejsze możliwości. SD nie może wywieźć tego człowieka z Pacyficznych Stanów Ameryki bez mojej aktywnej współpracy. Jeżeli tylko uda mi się trafić w odpowiedni guzik…

Nienawidzę ludzi, którzy robią coś za moimi plecami, powiedział sobie w duchu *Freiherr* Reiss. To mnie wyprowadza z równowagi. To mnie tak denerwuje, że nie mogę spać, a kiedy jestem niewyspany, nie mogę wykonywać swoich obowiązków. A więc naprawienie tego stanu rzeczy jest moim obowiązkiem wobec Niemiec. Byłbym na przykład znacznie spokojniejszy zarówno w nocy, jak i w dzień, gdyby ten pospolity bawarski opryszek siedział w kraju i pisał raporty policyjne w jakiejś zabitej deskami mieścinie.

Problem polega na tym, że nie ma czasu. Podczas gdy ja namyślam się, jak…

Zadzwonił telefon.

Tym razem Kreuz vom Meere sięgnął po słuchawkę i konsul Reiss go nie ubiegł.

– Halo – odezwał się Kreuz vom Meere. Przez chwilę słuchał w milczeniu.

Już? – pomyślał Reiss.

Ale szef SD oddał mu słuchawkę.

– Do pana.

Odetchnąwszy w duchu z ulgą, Reiss wziął słuchawkę.

– To jakiś nauczyciel – powiedział Kreuz vom Meere. – Pyta, czy może dostać od pana plakaty z widokami Austrii dla swojej klasy.

Dochodziła jedenasta przed południem, kiedy Robert Childan zamknął sklep i udał się pieszo do biura pana Kasoury.

Na szczęście Paul nie był zajęty. Grzecznie powitał Childana i poczęstował go herbatą.

– Nie zajmę ci wiele czasu – powiedział Childan, gdy już obaj popijali z filiżanek. Gabinet Paula, choć mały, urządzony był nowocześnie i z prostotą. Na ścianie jedna znakomita grafika: tygrys Mokkeia, arcydzieło z końca trzynastego wieku.

– Jesteś zawsze mile widziany, Robercie – powiedział Paul tonem, w którym, jak pomyślał Childan, była nuta powściągliwości.

A może to tylko jego wyobraźnia. Childan zerknął ostrożnie znad filiżanki. Japończyk niewątpliwie sprawiał przyjazne wrażenie. A jednak… Childan wyczuwał zmianę.

– Twoja żona – odezwał się Childan – zapewne była rozczarowana moim prymitywnym podarunkiem. Może obrażona. Gdy jednak chodzi o coś tak nowego i nie sprawdzonego, jak wyjaśniłem, kiedy ci to dawałem, nie można dokonać właściwej i ostatecznej oceny… w każdym razie nie może tego zrobić ktoś, kto jest tylko sprzedawcą. Niewątpliwie ty i Betty lepiej się na tym znacie niż ja.

– Betty nie była rozczarowana, Robercie – powiedział Paul. – Nie dałem jej tej broszki. – Sięgnąwszy do biurka, wyjął białe pudełeczko. – Nie opuściła tego pokoju.

On wie, pomyślał Childan. Przenikliwy człowiek. Nawet jej nie powiedział. Trudno. Teraz, myślał Childan, miejmy nadzieję, że nie rzuci się na mnie. Z oskarżeniami, że usiłowałem uwieść jego żonę lub coś w tym rodzaju.

Mógłby mnie zrujnować, myślał Childan. Nadal uważnie popijał herbatę z obojętnym wyrazem twarzy.

– Tak? To interesujące – powiedział spokojnie.

Paul otworzył pudełko, wyjął broszkę i zaczął ją oglądać. Trzymał ją pod światło i obracał w palcach.

– Pozwoliłem sobie pokazać to kilku znajomym – powiedział Paul – ludziom, którzy podzielają moje zainteresowanie amerykańskimi przedmiotami zabytkowymi oraz innymi dziełami o wartościach artystycznych i estetycznych. – Spojrzał znacząco na Childana. – Naturalnie nikt z nich nie widział czegoś podobnego. Jak wyjaśniłeś, nikt dotąd nie robił podobnych nowoczesnych rzeczy. Mówiłeś też, zdaje się, że masz wyłączne przedstawicielstwo.

– Tak, to prawda.

– Czy chcesz wiedzieć, jak zareagowali?

Childan skłonił głowę.

– Te osoby – powiedział Paul – śmiały się.

Childan milczał.

– I ja też zasłoniłem dłonią uśmiech tego dnia, kiedy przyszedłeś mi to pokazać. Naturalnie, żeby cię nie denerwować, ukryłem rozbawienie. Jak zapewne pamiętasz, moja zewnętrzna reakcja była raczej niezobowiązująca.

Childan skinął głową.

Oglądając broszkę, Paul mówił dalej:

– Łatwo można zrozumieć taką reakcję. Oto kawałek metalu, który stopiono, aż zatracił kształt. Nie wyobraża nic. Nie odtwarza żadnego zamierzonego wzoru. Jest po prostu bezkształtny. Można powiedzieć, że to sama treść, pozbawiona formy.

Childan kiwnął głową.

– A jednak – mówił Paul – oglądam tę rzecz od kilku dni i bez żadnego logicznego powodu czuję do niej jakiś pociąg. Dlaczego tak jest? mógłbym spytać. Nie przenoszę nawet na tę bryłkę metalu swojej psychiki, jak to się dzieje w niemieckich testach psychologicznych. Nadal nie dostrzegam

w niej żadnych kształtów ani form. Ale to ma w sobie coś z *tao*. Widzisz? – Skinął na Childana. – W tym jest harmonia. Siły w obrębie tego przedmiotu są ustabilizowane. W stanie spoczynku. Można powiedzieć, że ten przedmiot jest pogodzony z wszechświatem. Oddzielił się od niego, ale zdołał odnaleźć równowagę.

Childan kiwnął głową, oglądając broszkę, ale już od chwili nie słuchał.

– Nie ma w tym *wabi* – mówił Paul – i nie może być. Ale – tu dotknął broszki paznokciem – ten przedmiot ma *wu*.

– Chyba masz rację – powiedział Childan, usiłując przypomnieć sobie, co to jest *wu*; to nie japońskie słowo, chińskie. Mądrość, zdecydował wreszcie. Albo zrozumienie. W każdym razie coś bardzo dobrego.

– Ręce rzemieślnika – ciągnął Paul – miały *wu* i przekazały je tej broszce. Może on sam tylko wie, że ta rzecz zadowala. Jest skończona. Kontemplując ją, sami zyskujemy *wu*. Doznajemy spokoju związanego nie ze sztuką, a z rzeczami świętymi. Przypomina mi się świątynia w Hiroszimie, gdzie można oglądać piszczel jakiegoś średniowiecznego świętego. Jednak tamto było relikwią, tu zaś mamy do czynienia z dziełem rąk ludzkich. To żyje teraz, a tamto po prostu pozostało. Medytując w ten sposób przez długie godziny od twojej ostatniej wizyty, doszedłem do wniosku, że wartość tego przedmiotu jest przeciwieństwem zabytkowości. Jestem, jak widzisz, głęboko poruszony.

– Tak – powiedział Childan.

– Przedmiot, który nie jest zabytkiem ani dziełem sztuki, a jednak ma w sobie jakąś ulotną wartość, to coś zdumiewającego. Ta rzecz właśnie dlatego posiada *wu*, że jest nędzną, małą, na oko bezwartościową bryłką. Ponieważ *wu* najłatwiej jest odnaleźć w najbardziej niepozornych miejscach, jak w chrześcijańskim aforyzmie o kamieniach odrzuconych przez budowniczego. Obecność *wu* uderza nas w takich bezwartościowych

przedmiotach jak stara laska lub zardzewiała puszka po piwie na poboczu drogi. Jednak w takich przypadkach *wu* jest w sercu patrzącego. Jest to przeżycie religijne. Tutaj natomiast rzemieślnik zawarł *wu* w przedmiocie, nie zaś odnalazł go w rzeczy gotowej. – Paul uniósł wzrok. – Czy to, co mówię, jest zrozumiałe?

– Tak – odparł Childan.

– Innymi słowy, to otwiera całą nową dziedzinę. Nie jest to ani sztuka, bo nie ma formy, ani religia. Co to jest? Medytowałem nad tą broszką bez ustanku, ale nie mogę jej zgłębić. Wyraźnie brak nam słowa na określenie takiego przedmiotu. Masz więc rację, Robercie. Jest to autentyczna nowość na skalę światową.

Autentyczna, pomyślał Childan. Tak, niewątpliwie. Rozumiem, o co chodzi. Ale co do reszty…

– Doszedłszy do tego przekonania – mówił Paul – zaprosiłem tych samych znajomych. Pozwoliłem sobie, podobnie jak to zrobiłem przed chwilą przy tobie, zrobić im nietaktowną wymówkę. Ten przedmiot ma w sobie władzę, zmuszającą do porzucenia etykiety, tak wielka jest potrzeba wyrażenia prawdy. Zażądałem od tych osób, żeby mnie wysłuchały.

Childan wiedział, że dla Japończyka, takiego jak Paul, narzucanie swoich poglądów innym jest czymś niesłychanym.

– Rezultat był pozytywny – ciągnął Paul. – Wobec takiego nacisku przyjęli mój punkt widzenia. Zrozumieli to, co im przedstawiłem. Więc warto było. Osiągnąwszy cel, uspokoiłem się. To wszystko, Robercie. Jestem wyczerpany. – Włożył broszkę z powrotem do pudełka. – Moja rola jest skończona. Jestem wolny. – Przysunął pudełko w stronę Childana.

– Jest twoja – rzekł Childan, czując się niezręcznie, sytuacja bowiem nie pasowała do żadnego ze znanych mu modeli. Zajmujący wysoką pozycję Japończyk wychwala pod niebiosa otrzymany prezent… i zwraca go.

Childan poczuł słabość w kolanach. Nie miał pojęcia, jak się zachować; stał, skubiąc rękaw, z zaczerwienioną twarzą.

– Robercie, musisz odważniej stawić czoło rzeczywistości – powiedział Paul chłodno, nawet szorstko.

– Jestem zbity z tropu… – wyjąkał Childan, blednąc.

Paul wstał i zbliżył się do niego.

– Posłuchaj, co ci powiem. Sprawa jest w twoich rękach. Masz wyłączność na ten przedmiot i jemu podobne. Jesteś też profesjonałem. Wycofaj się na jakiś czas w odosobnienie. Medytuj, może poradź się Księgi Przemian. Potem zastanów się nad swoimi witrynami i ogłoszeniami, nad swoim stylem pracy.

Childan patrzył na niego zdumiony.

– Znajdziesz swoją drogę. Zrozumiesz, w jaki sposób masz wprowadzić te przedmioty na rynek w wielkim stylu.

Childan był oszołomiony. Ten człowiek mówi mi, że sprzedaż biżuterii Edfranka jest moim moralnym obowiązkiem! Zwariowane japońskie podejście do świata: Paul Kasoura domaga się ode mnie najwyższego napięcia duchowego w podejściu do biżuterii.

A najgorsze było to, że Paul niewątpliwie mówił z przekonaniem, płynącym z samego serca japońskiej kultury i tradycji.

Zobowiązanie, pomyślał z goryczą. Raz przyjęte może przylgnąć do człowieka na resztę życia. Aż do grobu. Paul pozbył się swojego z wielką ulgą. Ale zobowiązanie jego, Childana, miało wszystkie cechy zobowiązania dożywotniego.

Oni są pomyleni, pomyślał Childan. Przykład: nie udzielą pomocy poszkodowanemu na ulicy ze względu na zobowiązania, jakie to za sobą pociąga. Jak to nazwać? Ja uważam, że to typowe: czego można się

spodziewać po rasie, która, chcąc skopiować angielski niszczyciel, odmalowała nawet takie same paski na kotle, nie mówiąc o…

Paul wpatrywał się w niego z napięciem. Na szczęście długie przyzwyczajenie nauczyło Childana tłumić automatycznie wszelkie przejawy uczuć. Przybrał uprzejmy, trzeźwy wyraz twarzy, stosowny do sytuacji. Odczuwał tę maskę wręcz fizycznie.

To okropne, uświadomił sobie Childan. Katastrofa. Już lepiej, żeby Paul pomyślał, że chciałem uwieść mu żonę.

Betty. Teraz już nie ma szans, żeby zobaczyła podarek; jego pierwotny plan legł w gruzach. *Wu* było nie do pogodzenia z myślą o seksie; było, jak powiedział Paul, uroczyste i święte, jak relikwia.

– Dałem każdej z tych osób jedną z twoich wizytówek – powiedział Paul.

– Słucham? – spytał zamyślony Childan.

– Dałem im twoje wizytówki. Żeby mogli przyjść i obejrzeć inne eksponaty.

– Rozumiem.

– Jeszcze coś. Jedna z tych osób chce omówić z tobą całą sprawę w swoim biurze. Zanotowałem nazwisko i adres. – Paul wręczył Childanowi złożony kawałek papieru. – Chce, żeby jego współpracownicy byli przy tym obecni – dodał Paul. – On jest handlowcem. Zajmuje się importem i eksportem na wielką skalę. Zwłaszcza do Ameryki Południowej. Radia, aparaty fotograficzne, lornetki, magnetofony i temu podobne.

Childan zerknął na kartkę papieru.

– Oczywiście on operuje wielkimi ilościami – ciągnął Paul. – Może dziesięć tysięcy z każdego wzoru. Jego spółka kontroluje różne przedsiębiorstwa, wszystkie usytuowane w Azji, gdzie jest tania siła robocza.

– Dlatego on… – zaczął Childan.

– Rzeczy takie jak ta – Paul podniósł broszkę, tym razem na moment, i zamknąwszy wieczko, oddał pudełko Childanowi – mogą być produkowane masowo. Z metalu albo plastiku. Z matryc. W dowolnej ilości.

Po chwili Childan odezwał się:

– A co będzie z *wu*? Zostanie zachowane?

Paul nie odpowiedział.

– Radzisz mi, żebym się z nim zobaczył?

– Tak – powiedział Paul.

– Dlaczego?

– Talizmany.

Childan patrzył, nie rozumiejąc.

– Talizmany na szczęście. Do noszenia. Przez stosunkowo biednych ludzi. Seria amuletów do rozprowadzenia w całej Ameryce Południowej i Azji. Większość mas nadal wierzy w magię. Uroki. Czarodziejskie napoje. Słyszałem, że to wielki interes. – Twarz Paula była drewniana, głos bezbarwny.

– Wygląda na to – powiedział Childan – że w tym mogą być wielkie pieniądze.

Paul kiwnął głową.

– Czy to był twój pomysł? – spytał Childan.

– Nie – powiedział Paul i zamilkł.

Twój szef, pomyślał Childan. Pokazałeś broszkę swojemu przełożonemu, który zna tego importera. Twój szef albo ktoś wpływowy, wyżej od ciebie postawiony, ktoś ważny i bogaty, od kogo zależysz, porozumiał się z tym importerem.

To dlatego oddajesz mi broszkę, uświadomił sobie Childan. Nie chcesz mieć z tym nic wspólnego. Ale wiesz to samo, co ja: że pójdę pod ten adres

i zobaczę się z tamtym człowiekiem. Muszę. Nie mam wyboru. Wypożyczę mu wzory albo sprzedam za udział w zyskach; w każdym razie dojdziemy do porozumienia.

Zupełnie niezależnie od ciebie. Byłoby w złym guście, gdybyś mnie usiłował powstrzymać lub wdał się w spór.

– Jest to dla ciebie szansa, żeby się ogromnie wzbogacić. – Paul niewzruszenie wpatrywał się wprost przed siebie.

– Pomysł wydaje mi się dziwny – powiedział Childan. – Robić amulety z takich artystycznych przedmiotów… nie wyobrażam sobie tego.

– Bo to jest nietypowa dla ciebie branża. Jesteś przywiązany do rzeczy wybranych i rzadkich. Ja też jestem taki. I takie też są osoby, o których wspomniałem i które wkrótce odwiedzą twój sklep.

– A ty co byś zrobił na moim miejscu? – spytał Childan.

– Nie lekceważ możliwości wysuniętej przez szanownego importera. To człowiek obrotny. Tacy jak ty i ja nie uświadamiają sobie, jak ogromne są rzesze niewykształconych. Masowo produkowane identyczne przedmioty mogą im dostarczyć radości nam niedostępnej. My musimy uważać, że posiadamy coś unikatowego lub przynajmniej rzadkiego, dostępnego nielicznym. I oczywiście coś autentycznego, nie model czy kopię. – Paul nadal wpatrywał się w przestrzeń, obok Childana. – Nie coś odbijanego w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Czyżby doszedł do słusznego wniosku, zastanawiał się Childan, że pewne zabytkowe przedmioty w takich sklepach jak mój (nie wspominając o wielu okazach z jego własnych zbiorów) to imitacje? W jego głosie zabrzmiała jakby aluzja. Jakby w ironicznym podtekście mówił mi coś zupełnie innego, niż sugerują jego słowa. Dwuznaczność, którą napotykamy w wyroczni… cecha, jak powiadają, wschodniej umysłowości.

W rzeczywistości, myślał Childan, on mnie pyta: Kim jesteś, Robercie? Czy tym, kogo wyrocznia nazywa człowiekiem pospolitym, czy tym drugim, do którego skierowane są wszystkie dobre rady? Musisz wybrać. Możesz iść jedną drogą lub drugą, ale nie dwiema. Teraz jest czas na decyzję.

Którą drogę powinien wybrać człowiek szlachetny? – zadawał sobie pytanie Robert Childan. W każdym razie według Paula? A przecież nie mamy przed sobą tysiące lat liczącej sublimacji natchnionej mądrości – to tylko opinia jednego śmiertelnika, jednego młodego japońskiego biznesmena.

A jednak jest w tym *wu*, jak by powiedział Paul. *Wu* tej sytuacji jest następujące: niezależnie od naszej prywatnej niechęci rzeczywistość zmierza w kierunku importera, co do tego nie ma wątpliwości. Tym gorzej, jeżeli chcieliśmy postąpić inaczej, musimy się podporządkować, jak stwierdza wyrocznia.

Zresztą oryginały mogą być nadal sprzedawane w moim sklepie. Koneserom takim jak na przykład znajomi Paula.

– Walczysz z sobą – zauważył Paul. – W takiej sytuacji człowiek na pewno woli być sam. – Zrobił ruch w stronę drzwi.

– Już się zdecydowałem.

Paul zatrzepotał powiekami.

Childan skłonił się i powiedział:

– Posłucham twojej rady. Natychmiast udam się na spotkanie z importerem. – Pokazał złożoną kartkę papieru.

Dziwne, ale Paul nie wyglądał na zadowolonego; chrząknął tylko i wrócił za biurko. Ukrywają swoje uczucia do końca, pomyślał Childan.

– Ogromnie dziękuję za pomoc w interesach – powiedział, szykując się do wyjścia. – Może któregoś dnia będę mógł się zrewanżować. Zapamiętam

to sobie.

Ale młody Japończyk nadal nie okazał żadnej reakcji. Święta prawda, pomyślał Childan, to, co się kiedyś o nich mówiło: są zagadkowi.

Odprowadzając go do drzwi, Paul wyglądał na głęboko zamyślonego. Wreszcie wyrzucił z siebie:

– Amerykańscy rzemieślnicy wykonali ten przedmiot osobiście, prawda? Dzieło ich własnych rąk?

– Tak, od pomysłu do ostatecznego wykończenia.

– Czy ci artyści się zgodzą? Przypuszczam, że wymarzyli sobie inny los dla swoich wyrobów.

– Podejrzewam, że dadzą się przekonać – powiedział Childan. Dla niego nie był to poważny problem.

– Tak – zgodził się Paul. – Przypuszczam, że tak.

Coś w tonie jego głosu zwróciło nagle uwagę Childana. Jakiś niejasny, szczególny nacisk. Nagle Childan doznał olśnienia. Bez wątpienia przebił się przez wieloznaczność… przejrzał.

To jasne. Cała sprawa jest okrutnym zlekceważeniem amerykańskich wysiłków na jego oczach. Cynizm, ale przecież, na Boga, połknąłem haczyk wraz z przynętą. Zmusił mnie, żebym mu przyznał rację, prowadził mnie krok za krokiem do jednego wniosku: wytwory amerykańskich rzemieślników nie nadają się na nic lepszego jak wzory tandetnych amuletów.

Tak właśnie rządzą Japończycy, nie brutalnie, lecz subtelnie, przemyślnie, z odwiecznym sprytem.

Wielki Boże! W porównaniu z nimi jesteśmy barbarzyńcami, pomyślał Childan. W zestawieniu z taką bezlitosną logiką wychodzimy na zwykłych durniów. Paul nie powiedział, że nasza sztuka jest bezwartościowa, ale doprowadził do tego, że ja to powiedziałem za niego. I na domiar ironii był

zasmucony, kiedy to zrobiłem. Subtelny, kulturalny wyraz żalu, kiedy usłyszał z moich ust prawdę.

On mnie załamał, powiedział Childan niemal na głos; na szczęście jednak udało mu się w ostatniej chwili zatrzymać tę myśl dla siebie, w swoim prywatnym i tajnym świecie. Poniżył mnie i moją rasę, a ja jestem bezbronny. Na odwet nie ma szans; zostaliśmy pokonani i nasze klęski są właśnie takie – tak subtelne, ulotne, że wręcz uchodzą naszej uwagi. W gruncie rzeczy musimy wznieść się na wyższy szczebel ewolucji, żeby sobie uświadomić, co się stało.

Jakich jeszcze trzeba dowodów, że Japończycy są stworzeni do rządzenia? Miał ochotę roześmiać się z podziwem. Tak, tak to jest, myślał, czując się tak, jakby usłyszał znakomity dowcip. Muszę to zapamiętać, wspominać, nawet opowiedzieć. Tylko komu? O to właśnie chodzi. Zbyt osobiste do opowiadania.

W rogu gabinetu Paula kosz na śmieci. To jest odpowiednie miejsce! – pomyślał Robert Childan – dla tej bryłki metalu, tej przesyconej *wu* ozdóbki.

Czy potrafiłbym to zrobić? Wyrzucić ten przedmiot? Zakończyć sprawę na oczach Paula?

Nie potrafię tego nawet wyrzucić, stwierdził, ściskając pudełko. Nie wolno mi, jeżeli mam się jeszcze kiedyś spotkać z tym Japończykiem.

Do diabła z nimi, nie mogę się uwolnić spod ich wpływu, nie potrafię pójść za odruchem. Wszelka spontaniczność zdławiona… Paul przygląda mi się i nie musi nic mówić; sama jego obecność wystarcza. Usidlił moje sumienie, przeciągnął niewidoczną nić od tej bryłki, którą trzymam w ręku, do mego serca.

Widocznie za długo mam z nimi do czynienia. Za późno już, żeby uciec, wrócić do świata białych ludzi.

– Paul – wychrypiał Robert Childan. Głos go zawiódł w tym niezdrowym porywie: żadnej kontroli, żadnej modulacji.

– Słucham, Robercie.

– Paul… jestem… upokorzony.

Pokój zawirował.

– Dlaczego, Robercie? – Ton zainteresowania, ale z dystansem. Ponad zaangażowanie.

– Jedną chwilę, Paul. – Obracał w palcach broszkę, która stała się śliska od potu. – Ja… jestem dumny z tego przedmiotu. Nie może być mowy o żadnych tandetnych amuletach. Nie zgadzam się.

Znów nie potrafił odczytać żadnej reakcji młodego Japończyka, tylko sam słuch, sam odbiór.

– W każdym razie dziękuję – dodał Childan.

Paul skłonił się.

Childan również się skłonił.

– Ludzie, którzy to zrobili, są dumnymi amerykańskimi artystami. Ze mną włącznie. Propozycja robienia jarmarcznych amuletów to dla nas obraza. Żądam przeprosin.

Nieprawdopodobnie długa cisza.

Paul mu się przygląda. Jedna brew lekko uniesiona i drgnięcie cienkich warg. Uśmiech?

– Żądam – powtórzył Childan. To wszystko, na co go stać. Teraz po prostu czekał.

Nic się nie działo.

Proszę, myślał. Pomóż mi.

– Wybacz mi moją arogancję – powiedział Paul i wyciągnął dłoń.

– W porządku – zgodził się Childan.

Podali sobie ręce.

Serce Childana wypełnił spokój. Jakoś to przeżyłem, myślał. Przeszło. Opatrzność czuwała nade mną właśnie w tej chwili. W innej chwili mogło być inaczej. Czy odważę się jeszcze kiedyś tak kusić los? Chyba nie.

Posmutniał. Jeden przebłysk, jakbym wypłynął na powierzchnię i widział wszystko bez przeszkód.

Życie jest krótkie, pomyślał. Sztuka, coś innego niż życie, jest długa, ciągnie się bez końca, jak betonowy robak. Płaska, biała, nie wygładzona krokami wzdłuż ani w poprzek. Tu jest moje miejsce. Ale to przeszło. Włożył pudełko z dziełem Edfranka do kieszeni marynarki.

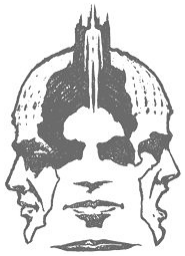

12

– Panie Tagomi, to jest pan Yatabe – powiedział pan Ramsey, usuwając się w róg pokoju, i drobny stary człowiek zrobił krok do przodu.

– Miło mi pana poznać – odezwał się pan Tagomi, wyciągając rękę. Drobna, krucha, starcza dłoń wsunęła się do jego dłoni. Ujął ją, nie ściskając, i natychmiast wypuścił. Mam nadzieję, że nic mu nie złamałem, pomyślał. Twarz starego pana robiła dobre wrażenie. Wyraz surowego skupienia. Ani śladu osłabienia umysłu. Niewątpliwie czysta kontynuacja wszystkich trwałych, starych tradycji. Uosobienie tego, co najlepsze w starym pokoleniu… i nagle stwierdził, że stoi przed generałem Tedekim, byłym szefem cesarskiego sztabu.

Pan Tagomi skłonił się nisko.

– Panie generale – powiedział.

– Gdzie jest trzecia strona? – spytał generał Tedeki.

– Śpieszy tu co tchu. Poinformowany przeze mnie w pokoju hotelowym. – Pan Tagomi był zupełnie roztrzęsiony i cofał się w ukłonie, nie mogąc się zdecydować na wyprostowanie.

Generał usiadł. Pan Ramsey, niewątpliwie nie zdając sobie jeszcze sprawy, z kim ma do czynienia, podsunął mu krzesło, ale bez specjalnej

czołobitności. Pan Tagomi z wahaniem usiadł naprzeciwko.

– Trwonimy czas – rzucił generał. – Szkoda, ale nic na to nie poradzimy.

– To prawda – przyznał pan Tagomi.

Minęło dziesięć minut. Nikt nie naruszał milczenia.

– Przepraszam pana – odezwał się znudzony pan Ramsey. – Oddalę się, jeżeli nie jestem potrzebny.

Pan Tagomi skinął głową i pan Ramsey wyszedł.

– Herbaty, panie generale? – zaproponował pan Tagomi.

– Nie, dziękuję.

– Panie generale – powiedział pan Tagomi – przyznaję, że czuję lęk. Przeczuwam w tym spotkaniu coś groźnego.

Generał pochylił głowę.

– Pan Baynes, którego spotkałem i przyjąłem u siebie w domu, podaje się za Szweda. Jednak wnikliwa obserwacja skłania do wniosku, że jest on w rzeczywistości jakimś wysoko postawionym Niemcem. Mówię to, ponieważ…

– Proszę mówić dalej.

– Dziękuję. Panie generale, podniecenie, z jakim pan Baynes odnosi się do tego spotkania, każe mi podejrzewać związek z politycznymi wstrząsami w Rzeszy. – Pan Tagomi nie wspomniał o jeszcze jednym: Baynes był poinformowany, że generał nie przybył na czas.

– Teraz pan nie informuje, tylko wypytuje – powiedział generał. Jego szare oczy połyskiwały po ojcowsku. Bez gniewu.

Pan Tagomi przyjął naganę.

– Panie generale, czy moja obecność na tym spotkaniu jest tylko formalnością, żeby zmylić niemieckich szpiegów?

– Oczywiście – odparł generał – zależy nam na utrzymaniu pewnych pozorów. Pan Baynes reprezentuje firmę Tor-Am ze Sztokholmu, zwykły

biznesmen. A ja jestem Shinjiro Yatabe.

A ja jestem Tagomi, pomyślał pan Tagomi. Ta część jest prawdziwa.

– Niewątpliwie naziści śledzą pana Baynesa – kontynuował generał. Oparł dłonie na kolanach, siedząc sztywno… Jakby węszył daleki zapach mocnej herbaty, pomyślał pan Tagomi. – Ale pozbawić nas tych pozorów mogą wyłącznie w ramach prawa. To jest prawdziwy cel. Nie chodzi o to, żeby oszukać, ale żeby żądać formalności prawnych w razie zdemaskowania. Nie mogą na przykład zwyczajnie zastrzelić pana Baynesa… co mogliby zrobić, gdyby podróżował jako… gdyby podróżował bez swojego słownego parawanu.

– Rozumiem – powiedział pan Tagomi. Wygląda to na zabawę, pomyślał, ale oni znają mentalność nazistów, więc może to ma jakiś sens.

Rozległ się brzęczyk interkomu. Głos pana Ramseya.

– Proszę pana, jest tu pan Baynes. Czy mam go wprowadzić?

– Tak! – krzyknął pan Tagomi.

Otworzyły się drzwi i wkroczył pan Baynes, elegancki, w nienagannie skrojonym i odprasowanym garniturze, z opanowanym wyrazem twarzy.

Generał Tedeki wstał na jego powitanie. Pan Tagomi również. Wszyscy trzej skłonili się.

Pan Baynes zwrócił się do generała.

– Jestem kapitan Wegener z kontrwywiadu Marynarki Rzeszy. Zgodnie z umową nie reprezentuję żadnych władz ani organów Rzeszy, a jedynie siebie i kilka jeszcze prywatnych osób, których nazwiska nie zostaną wymienione.

– *Herr* Wegener – odpowiedział generał – rozumiem, że nie reprezentuje pan oficjalnie rządu Rzeszy. Ja też jestem tutaj jako czysto prywatna osoba, o której można powiedzieć, że dzięki swojemu dawnemu stanowisku

w Armii Cesarskiej ma dostęp do pewnych kół w Tokio pragnących usłyszeć, co pan ma do powiedzenia.

Dziwny sposób rozmowy, pomyślał pan Tagomi. Ale nie przykry. Ma w sobie coś prawie muzycznego. Odświeżający, w gruncie rzeczy przynoszący ulgę.

Usiedli.

– Bez wstępów – zaczął pan Baynes. – Chciałbym poinformować pana i tych, do których ma pan dostęp, że w Rzeszy w zaawansowanym stadium znajduje się plan *Löwenzahn*. Dmuchawiec.

– Tak. – Generał kiwnął głową, jakby już o tym słyszał, ale, myślał pan Tagomi, wygląda na to, że czeka niecierpliwie na dalszy ciąg.

– Dmuchawiec – mówił pan Baynes – polega na wywołaniu incydentu zbrojnego na granicy między Stanami Zjednoczonymi a Stanami Gór Skalistych.

Generał skinął głową, uśmiechając się z lekka.

– Oddziały Stanów Zjednoczonych zostaną zaatakowane, na co odpowiedzą przekroczeniem granicy i natarciem na stacjonujące w okolicy regularne oddziały Stanów Gór Skalistych. Armia Stanów Zjednoczonych rozporządza szczegółowymi mapami z dyslokacją wojsk na Środkowym Zachodzie. To jest etap pierwszy. Etap drugi polegać będzie na zaangażowaniu się w konflikt Niemiec. Na pomoc Stanom Zjednoczonym zostanie wysłany ochotniczy oddział spadochroniarzy Wehrmachtu. To jednak tylko kolejny kamuflaż.

– Tak – powiedział generał, słuchając z napięciem.

– Głównym elementem planu Dmuchawiec – ciągnął pan Baynes – jest zmasowany atak nuklearny na Wyspy Japońskie bez żadnego ostrzeżenia.

Pan Baynes skończył.

– Z celem zniszczenia Rodziny Cesarskiej, Wojsk Obrony Terytorialnej, większości Marynarki Wojennej, ludności cywilnej, przemysłu i zasobów – powiedział generał Tedeki. – Umożliwi to Rzeszy wchłonięcie terytoriów zamorskich Japonii.

Pan Baynes milczał.

– Co jeszcze? – spytał generał.

Pan Baynes nie zrozumiał.

– Data, proszę pana – wyjaśnił generał.

– Wszystko zmienione. Z powodu śmierci kanclerza Bormanna. Przynajmniej tak sądzę. Nie mam obecnie kontaktu z Abwehrą.

Po chwili generał naruszył milczenie:

– Proszę mówić dalej, *Herr* Wegener.

– Proponujemy, żeby rząd japoński wpłynął na sytuację wewnętrzną Rzeszy. W każdym razie z taką propozycją przybyłem. Niektóre koła w Rzeszy popierają plan Dmuchawiec, inne nie. Istniała nadzieja, że przeciwnicy planu dojdą do władzy po śmierci kanclerza Bormanna.

– Ale podczas gdy pan był tutaj – powiedział generał – *Herr* Bormann zmarł i sytuacja polityczna rozwinęła się w określonym kierunku. Kanclerzem Rzeszy jest teraz doktor Goebbels. Walka skończona. – Chwila milczenia. – Jaki jest stosunek tej frakcji do planu Dmuchawiec?

– Doktor Goebbels popiera plan.

Nie zauważany przez nich pan Tagomi przymknął oczy.

– Kto jest przeciwny? – spytał generał Tedeki.

Pan Tagomi usłyszał odpowiedź pana Baynesa:

– Generał SS Heydrich.

– Jestem zaskoczony – powiedział generał Tedeki. – Nie mogę uwierzyć. Czy to informacja oparta na faktach, czy tylko pogląd pana i pańskich przyjaciół?

– Administracja Wschodem, to jest obecnymi terytoriami japońskimi, należałaby do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Do ludzi Rosenberga pracujących bezpośrednio z Urzędem Kanclerskim. W zeszłym roku był to przedmiot zażartych sporów na wielu spotkaniach przywódców. Mam fotokopie stenogramów. Policja domagała się zarządu tych ziem, ale spotkała się z odmową. Ona ma być odpowiedzialna za kolonizację kosmiczną, Mars, Luna, Wenus. To ma być jej dziedzina. Odkąd ustalono ten podział kompetencji, policja wszelkimi środkami popiera program kosmiczny i przeciwstawia się planowi Dmuchawiec.

– Rywalizacja – powiedział generał Tedeki. – Jedna grupa wygrywana przeciw drugiej. Przez wodza. Żeby nikt nie mógł mu zagrozić.

– To prawda – przyznał pan Baynes. – Dlatego przysłano mnie tutaj z prośbą o waszą interwencję. Jeszcze nie jest za późno, sytuacja wciąż jest płynna. Miną miesiące, zanim doktor Goebbels umocni swoją pozycję. Będzie musiał podporządkować sobie policję, może zlikwidować Heydricha wraz z czołówką SS i SD. Kiedy to załatwi…

– Mamy udzielić poparcia Sicherheitsdienst? – przerwał mu generał Tedeki. – Najbardziej zwyrodniałej części niemieckiego społeczeństwa?

– Tak jest – potwierdził pan Baynes.

– Cesarz nigdy nie zaaprobuje takiej polityki. Uważa on doborowe formacje Rzeszy, wszystkie, które noszą czarny mundur, zarówno trupie główki, jak i System Zamkowy, za wcielenie zła.

Zło, pomyślał pan Tagomi. Tak, to prawda. Czy mamy pomóc mu zdobyć władzę, żeby ratować życie? Czyżby to był największy paradoks naszej sytuacji globalnej?

Nie potrafię stawić czoła temu wyborowi. Dlaczego człowiek musi działać wśród takich moralnych dwuznaczności? Nie widać tutaj Drogi; wszystko jest wymieszane. Chaos światła i ciemności, cienia i substancji.

– Wehrmacht, wojska lądowe – mówił pan Baynes – jest w Rzeszy jedynym dysponentem bomby wodorowej. Tam, gdzie jej użyły czarne koszule, robiły to wyłącznie pod jego nadzorem. Kanclerz Bormann nigdy nie pozwolił, żeby broń jądrowa dostała się w ręce policji. Cały plan Dmuchawiec będzie realizowany przez OKW. Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział generał Tedeki.

– Praktyki czarnych koszul przerastają okrucieństwem to, co robi Wehrmacht, ale ich władza jest mniejsza. Musimy brać pod uwagę wyłącznie rzeczywistość, faktyczną siłę, nie zaś intencje etyczne.

– Tak, musimy być realistami – odezwał się pan Tagomi.

Pan Baynes i generał Tedeki spojrzeli na niego. Generał zwrócił się do pana Baynesa:

– Co pan więc proponuje? Żebyśmy nawiązali kontakt z SD tutaj, w Stanach Pacyficznych? Nawiązali bezpośredni kontakt z… nie wiem, kto jest tu szefem SD. Jakiś odrażający osobnik, jak sądzę.

– Miejscowe SD nic nie wie – powiedział pan Baynes. – Jego tutejszy szef, Bruno Kreuz vom Meere, to stary partyjny sługus. *Ein Altparteigenosse*. Kretyn. Nikomu w Berlinie nie przyszłoby do głowy, żeby mu coś powiedzieć. To tylko tępy wykonawca.

– Więc co? – W głosie generała pobrzmiewała irytacja. – Tutejszy konsul lub ambasador Rzeszy w Tokio?

Ta rozmowa nic nie da, pomyślał pan Tagomi. Bez względu na to, ile od niej zależy. Nie potrafimy wniknąć w monstrualne, obłąkańcze bagno nazistowskich intryg wewnętrznych; nasze umysły nie są w stanie tego pojąć.

– Należy to rozegrać delikatnie – powiedział pan Baynes. – Przez kilku pośredników. Kogoś zbliżonego do Heydricha, kto urzęduje poza Rzeszą,

w neutralnym kraju. Albo kogoś kursującego na trasie Berlin–Tokio.

– Czy ma pan na myśli kogoś konkretnego?

– Włoskiego ministra spraw zagranicznych, hrabiego Ciano. Inteligentny, solidny, bardzo dzielny człowiek, całkowicie oddany sprawie porozumienia międzynarodowego. Niestety, nie ma zupełnie kontaktów z aparatem SD. Mógłby działać za pośrednictwem kogoś w Niemczech, przedstawicieli przemysłu, jak Kruppowie, przez generała Speidla lub może nawet jakichś osobistości w Waffen SS. Waffen SS jest mniej fanatyczna, bliższa centrum społeczeństwa niemieckiego.

– A pańska instytucja, Abwehra… Czy nie ma szans dotarcia do Heydricha przez was?

– Czarne koszule zieją do nas nienawiścią. Od dwudziestu lat usiłują uzyskać zgodę partii na naszą likwidację.

– Czy nie jest pan osobiście skrajnie zagrożony? – spytał generał Tedeki. – O ile wiem, są tu na Wybrzeżu bardzo aktywni.

– Aktywni, ale nieudolni – odparł pan Baynes. – Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Reiss, jest zręczny, ale to przeciwnik SD. – Wzruszył ramionami.

– Chciałbym dostać od pana te fotokopie – powiedział generał Tedeki. – Celem przekazania mojemu rządowi. Oraz wszelkie materiały dotyczące sporów wewnętrznych w Niemczech, jakimi pan rozporządza. I jakiś dowód – dodał po chwili namysłu – o charakterze obiektywnym.

– Oczywiście – rzekł pan Baynes. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął płaską srebrną papierośnicę. – Stwierdzi pan, że każdy papieros zawiera mikrofilm. – Podał papierośnicę generałowi.

– A co z samą papierośnicą? – spytał generał, przyjrzawszy się jej. – To zbyt wartościowy przedmiot, żeby go oddawać. – Zaczął wyjmować papierosy.

– Papierośnica też – wyjaśnił z uśmiechem pan Baynes.

– Dziękuję. – Generał, również z uśmiechem, schował papierośnicę.

Rozległ się brzęczyk interkomu. Pan Tagomi przycisnął guzik.

Głos pana Ramseya:

– Proszę pana, w hallu na dole jest grupa ludzi z SD. Usiłują opanować budynek. Strażnicy z „Timesa” toczą z nimi walkę. – Daleki głos syreny z ulicy pod oknem pana Tagomiego. – Żandarmeria i Kempeitai są w drodze.

– Dziękuję, panie Ramsey. Postąpił pan chwalebnie, informując tak rzeczowo.

Pan Baynes i generał Tedeki słuchali w napięciu.

– Panowie – zwrócił się do nich pan Tagomi – niewątpliwie zabijemy opryszków z SD, zanim dotrą na nasze piętro. – A do pana Ramseya powiedział: – Proszę odciąć dopływ prądu do wind.

– Tak jest, panie Tagomi. – Pan Ramsey rozłączył się.

– Zaczekamy – powiedział pan Tagomi i otworzył szufladę biurka, skąd wyjął pudło z tekowego drewna. Z pudła wydobył idealnie zachowanego colta .44 z czasów amerykańskiej wojny secesyjnej, który mógłby być ozdobą każdej kolekcji. Ustawiwszy obok pudełko z prochem, kulami i spłonkami, zaczął ładować rewolwer. Pan Baynes i generał Tedeki przyglądali się temu szeroko otwartymi oczami.

– Część prywatnych zbiorów – wyjaśnił pan Tagomi. – W wolnych chwilach przez próżność dużo ćwiczeń na szybkie wyciągnięcie i strzał. Przyznaję, że porównanie korzystne z innymi entuzjastami zawodów na czas. Ale prawdziwe użycie dotąd nie wypróbowane. – Trzymając z wprawą rewolwer, wymierzył go w drzwi. I czekał.

Frank Frink siedział w warsztacie przy hałasującej polerce. Przyciskał prawie gotowy srebrny kolczyk do wojłokowej tarczy; drobiny pasty szlifierskiej upstrzyły jego okulary, wżarły się pod paznokcie i w skórę dłoni. Kolczyk w kształcie spiralnej muszli rozgrzał się wskutek tarcia, ale Frank z determinacją przyciskał go jeszcze mocniej.

– Nie poleruj go za bardzo – odezwał się Ed McCarthy. – Tylko wypukłości, wklęsłe miejsca możesz zostawić.

Frank Frink stęknął w odpowiedzi.

– Srebrne wyroby mają większe powodzenie, jeżeli nie są zbyt wypolerowane – ciągnął Ed. – Srebro powinno mieć posmak starości.

Powodzenie, pomyślał Frink.

Dotychczas nic nie sprzedali. Z wyjątkiem tego, co zostawili w komis w Amerykańskim Rzemiośle Artystycznym, nikt nie wziął ani sztuki, a odwiedzili pięć sklepów.

Nie zarabiamy ani grosza, myślał Frink. Robimy tylko coraz więcej biżuterii, w której toniemy po uszy.

Przykrętka kolczyka zaczepiła o wojłok, kolczyk wyskoczył z palców Frinka, odbił się od osłony polerki i spadł na podłogę. Frink wyłączył silnik.

– Uważaj trochę – rzucił McCarthy pracujący palnikiem.

– Chryste, przecież to jest wielkości ziarnka fasoli. Nie ma za co trzymać.

– W każdym razie poszukaj tego.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Frink.

– O co chodzi? – spytał McCarthy, widząc, że Frink nie rusza się, żeby podnieść kolczyk.

– Pakujemy w to pieniądze na darmo – powiedział Frink.

– Nie możemy sprzedać biżuterii, jeżeli jej wpierw nie zrobimy.

– Nie możemy sprzedać nawet tej, którą zrobiliśmy.

– Pięć sklepów. Kropla w morzu.

– Wystarczy.

– Nie oszukuj się.

– Ja się nie oszukuję – powiedział Frink.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że czas szukać nabywców na złom.

– Dobrze – odparł McCarthy. – Możesz się wycofać.

– Chętnie.

– Będę dalej pracował sam. – McCarthy wrócił do spawania.

– Jak podzielimy to wszystko?

– Nie wiem. Ale znajdziemy jakiś sposób.

– Wykup mnie – zaproponował Frink.

– Ani myślę.

Frink obliczył w myślach.

– Oddaj mi sześćset dolarów.

– Nie, możesz wziąć połowę tego, co jest.

– Pół silnika?

Obaj zamilkli.

– Jeszcze trzy sklepy – powiedział McCarthy. – Potem porozmawiamy. – Opuściwszy maskę, zaczął spawać mosiężną spinkę do mankietu.

Frank Frink wstał z ławki. Znalazł na podłodze kolczyk w kształcie spirali i włożył go do pudełka z rzeczami do wykończenia.

– Wyjdę na papierosa – oznajmił i wyszedł na schody.

Chwilę później stał na ulicy przed domem, z papierosem *T’ien-lai* w palcach.

Wszystko skończone, rozmyślał. Nie potrzebuję wyroczni, żeby to wiedzieć, czuję nastrój Chwili. To zapach klęski.

I trudno właściwie powiedzieć dlaczego. Może, teoretycznie, powinniśmy próbować dalej. Od sklepu do sklepu. W innych miastach. Ale… Coś jest nie tak. I żadne wysiłki ani pomysłowość tego nie zmienią.

Chcę wiedzieć dlaczego, myślał.

Ale nigdy się nie dowiem.

Co należało zrobić? Gdzie popełniliśmy błąd?

Nie wyczuliśmy Chwili. Nie wyczuliśmy *tao*. Pod prąd, w złym kierunku. I teraz upadek. Rozkład.

In zwyciężyło. Światłość odwróciła się do nas dupą i poszła w drugą stronę.

Nie pozostało nic innego, jak się ugiąć.

Kiedy tak stał pod ścianą domu, szybkimi pociągnięciami paląc papierosa z marihuaną i bezmyślnie obserwując ruch uliczny, podszedł do niego niczym się nie wyróżniający mężczyzna w średnim wieku.

– Czy pan Frink? Frank Frink?

– Zgadł pan – powiedział Frink.

Mężczyzna wyjął złożony dokument i legitymację.

– Jestem z Departamentu Policji San Francisco. Mam nakaz aresztowania pana. – Trzymał Frinka za ramię; sprawa była już załatwiona.

– Za co? – spytał Frink.

– Oszustwo. Pan Childan, Amerykańskie Rzemiosło Artystyczne. – Policjant poprowadził Frinka chodnikiem; dołączył do nich drugi tajniak, miał ich teraz po obu stronach. Popchnęli go w kierunku zaparkowanego toyopeta bez napisów.

Oto, czego czasy od nas wymagają, pomyślał Frink, kiedy go wrzucali na tylne siedzenie między dwóch innych gliniarzy. Trzasnęły drzwi; samochód prowadzony przez jeszcze innego policjanta, tym razem w mundurze, włączył się do ruchu. To są bydlaki, które nami rządzą.

– Ma pan adwokata? – spytał jeden z policjantów.

– Nie.

– W komendzie dadzą panu listę nazwisk.

– Dziękuję – powiedział Frink.

– Co zrobiłeś z forsą? – spytał drugi policjant, kiedy podjeżdżali do komendy przy Kearny Street.

– Wydałem – powiedział Frink.

– Wszystko?

Nie odezwał się.

Jeden z policjantów roześmiał się i potrząsnął głową.

Kiedy wysiadali z samochodu, któryś z nich spytał Frinka:

– Tak naprawdę nazywasz się Fink?

Frink poczuł strach.

– Fink – powtórzył gliniarz. – Jesteś Żyd. – Wyjął dużą szarą teczkę. – Uciekinier z Europy.

– Urodziłem się w Nowym Jorku – powiedział Frank Frink.

– Uciekłeś od nazistów – oświadczył policjant. – Wiesz chyba, co to znaczy.

Frank Frink wyrwał się i rzucił do ucieczki z podziemnego parkingu. Policjanci podnieśli krzyk, drogę zagrodziło mu auto i inni uzbrojeni policjanci. Uśmiechali się, a jeden z nich, trzymając broń w pogotowiu, zrobił krok do przodu i zatrzasnął kajdanki na nadgarstku Frinka.

Szarpnąwszy kajdankami, które werżnęły się w ciało aż do kości, gliniarz odprowadził go tam, skąd uciekł.

– Z powrotem do Niemiec – powiedział jeden z policjantów, przyglądając mu się ciekawie.

– Jestem Amerykaninem.

– Jesteś Żydem.

Kiedy go prowadzono na górę, jeden z policjantów spytał:

– Czy będą go sądzić tutaj?

– Nie – odpowiedział mu drugi. – Zatrzymamy go dla konsula niemieckiego. Chcą go postawić przed sądem niemieckim.

Okazało się, że nie będzie żadnej listy adwokatów.

Przez dwadzieścia minut pan Tagomi siedział bez ruchu za swoim biurkiem z rewolwerem wycelowanym w drzwi, pan Baynes zaś chodził po pokoju. Stary generał po krótkim namyśle podniósł słuchawkę i zatelefonował do ambasady japońskiej w San Francisco. Nie udało mu się jednak porozmawiać z ambasadorem; baron Kaelemakule, powiedział urzędnik, wyjechał z miasta.

Teraz generał Tedeki załatwiał transoceaniczny telefon do Tokio.

– Porozmawiam z Radą Wojenną – wyjaśnił panu Baynesowi – a oni skontaktują się z cesarskimi siłami zbrojnymi stacjonującymi najbliżej nas. – Nie wyglądał na zaniepokojonego.

Zostaniemy więc uwolnieni najdalej za kilka godzin, pomyślał pan Tagomi. Prawdopodobnie przez japońską piechotę morską z lotniskowca, uzbrojoną w broń maszynową i moździerze.

Działanie drogą służbową jest bardzo pewne pod względem końcowych rezultatów… ale niestety wymaga czasu. Tam, na dole, chuligani w czarnych koszulach masakrują sekretarki i urzędników.

Cóż jednak mógł zrobić?

– Zastanawiam się, czy nie warto zwrócić się do konsula niemieckiego – odezwał się pan Baynes.

Pan Tagomi wyobraził sobie, jak wzywa pannę Ephreikian z magnetofonem i dyktuje jej ostry protest do *Herr* Reissa.

– Mogę zadzwonić do *Herr* Reissa z drugiej linii – zaofiarował się pan Tagomi.

– Bardzo proszę – powiedział pan Baynes.

Nie wypuszczając swego zabytkowego colta, pan Tagomi przycisnął guzik na biurku. Odezwała się nie zarejestrowana linia, zainstalowana specjalnie do rozmów szczególnej wagi.

Wybrał numer konsulatu niemieckiego.

– Dzień dobry, kto mówi? – Energiczny męski głos z obcym akcentem. Niewątpliwie niższy funkcjonariusz.

– Z jego ekscelencją *Herr* Reissem proszę. Pilne. Tu pan Tagomi z Cesarskiej Misji Handlowej, najważniejsza osoba – powiedział pan Tagomi, używając twardego, nie znoszącego sprzeciwu tonu.

– Tak jest, proszę pana. Proszę uprzejmie zaczekać. – Długa chwila. Żadnego dźwięku w telefonie, ani jednego trzasku. Stoi tam po prostu i trzyma słuchawkę, uznał pan Tagomi. Zwodzi za pomocą typowej nordyckiej sztuczki.

– Zbywają mnie, oczywiście – powiedział do generała Tedekiego, czekającego przy drugim aparacie, i do pana Baynesa, który przechadzał się po gabinecie.

Wreszcie znowu głos funkcjonariusza:

– Przepraszam, że pan czekał, panie Tagomi.

– Nie szkodzi.

– Konsul jest na konferencji. Jednak…

Pan Tagomi odłożył słuchawkę.

– Strata czasu, mówiąc oględnie – oznajmił, czując się pokonany. Do kogo jeszcze się zwrócić? Tokkoka jest poinformowane, jednostka żandarmerii w porcie również. Nie ma po co do nich dzwonić. Bezpośredni

telefon do Berlina? Do kanclerza Goebbelsa? Na Cesarskie Lotnisko Wojskowe w Napie, z prośbą o ratunek drogą powietrzną?

– Zatelefonuję do szefa SD, *Herr* Kreuza vom Meere – postanowił na głos. – Z ostrą skargą. Podniesiony głos, krzyk, inwektywy. – Zaczął wybierać numer formalnie i eufemistycznie opisany w książce telefonicznej San Francisco jako „Lufthansa. Dworzec lotniczy. Wydział ochrony przesyłek wartościowych". Czekając na połączenie, dodał: – Stek obelg histerycznym głosem.

– Niech pan da dobre przedstawienie – powiedział z uśmiechem generał Tedeki.

– Kto mówi? – odezwał się z niemiecka głos w uchu pana Tagomiego. Bardziej nie znoszący sprzeciwu niż mój, pomyślał pan Tagomi. Ale nie miał zamiaru rezygnować. – Proszę się pośpieszyć – żądał głos.

Pan Tagomi zaczął krzyczeć:

– Rozkazuję aresztować i postawić przed sądem waszą bandę nożowników i degeneratów, która wpadła w szał jak wściekłe blond bestie nie nadające się nawet do opisania! Znasz mnie, *Kerl*? Tu Tagomi, doradca rządu cesarskiego. Pięć sekund albo odrzucam drogę prawną i każę doborowej jednostce piechoty morskiej zacząć masakrę zapalającymi bombami fosforowymi! Obraza cywilizacji!

Na drugim końcu sługus SD zabełkotał pośpiesznie.

– …nic o tym nie wiemy – mówił.

– Kłamca! – wrzasnął pan Tagomi. – W takim razie nie mamy wyboru. – Trzasnął słuchawką. – Niewątpliwie to tylko gest – powiedział do pana Baynesa i generała Tedekiego – ale nie może zaszkodzić. Zawsze jest szansa, że pewien nerwowy element znajdzie się nawet w SD.

Generał Tedeki chciał coś powiedzieć, ale rozległ się straszliwy hałas za drzwiami gabinetu. Generał umilkł, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Stali w nich dwaj krzepcy biali ludzie uzbrojeni w pistolety z tłumikami. Dostrzegli pana Baynesa.

– *Da ist er?* – powiedział jeden z nich i ruszyli w jego stronę.

Siedząc za biurkiem, pan Tagomi wycelował ozdobę swojej kolekcji, colta .44, i nacisnął na spust. Jeden z ludzi SD zwalił się na podłogę. Drugi błyskawicznie zwrócił swój pistolet z tłumikiem i strzelił w stronę pana Tagomiego. Pan Tagomi nie słyszał huku, zobaczył tylko cienką smużkę dymu z lufy i usłyszał gwizd pocisku. On sam, z oszałamiającą szybkością odciągając kurek swojego colta, oddawał strzał za strzałem.

Szczęka zbira z SD wybuchła. Fragmenty kości, ciała, zębów rozleciały się na wszystkie strony. Trafiony w usta, uświadomił sobie pan Tagomi. Straszne miejsce, zwłaszcza przy wznoszącym się torze pocisku. W oczach człowieka bez szczęki tliło się jeszcze życie, coś jakby życie. On mnie wciąż jeszcze widzi, pomyślał pan Tagomi. Po chwili oczy zmąciły się i człowiek z SD upadł, wypuszczając pistolet i wydając nieludzki, gulgocący odgłos.

– Obrzydliwe – powiedział pan Tagomi.

W otwartych drzwiach nie pojawili się następni napastnicy.

– Może to już koniec – rzucił po chwili generał Tedeki.

Pan Tagomi przerwał żmudną, wymagającą trzech minut pracę przy powtórnym ładowaniu rewolweru i nacisnął guzik interkomu.

– Przysłać natychmiast pomoc lekarską – polecił. – Jest tu odrażająco ranny zbir.

Żadnej odpowiedzi, tylko szum.

Schyliwszy się, pan Baynes podniósł pistolety obu Niemców, jeden podał generałowi, drugi zatrzymał dla siebie.

– Teraz ich skosimy – powiedział pan Tagomi, siadając ze swoim coltem w poprzedniej pozycji. – Wspaniały triumwirat w tym pokoju.

– Niemieckie zbiry, poddajcie się! – rozległ się głos na korytarzu.

– Już załatwione – odpowiedział pan Tagomi. – Leżą martwi albo umierający. Wkroczcie i przekonajcie się empirycznie.

Ostrożnie weszła grupa pracowników Nippon Times uzbrojonych w siekiery, karabiny i granaty z gazem łzawiącym.

– *Cause célèbre* – powiedział pan Tagomi. – Rząd Pacyficznych Stanów Ameryki w Sacramento może bez wahania wypowiedzieć Rzeszy wojnę. – Rozebrał swój rewolwer. – W każdym razie skończmy z tym.

– Zaprzeczą, że mieli z tym coś wspólnego – odezwał się pan Baynes. – Wypróbowana metoda. Stosowana setki razy. – Położył przed panem Tagomim pistolet z tłumikiem. – Wyprodukowany w Japonii.

Nie żartował. To była prawda. Pan Tagomi rozpoznał znakomity japoński pistolet sportowy.

– A to nie są obywatele niemieccy. – Pan Baynes wyjął portfel jednemu z napastników, temu zabitemu. – Obywatel PSA. Zamieszkały w San Jose. Nic, co by wskazywało na związek z SD. Nazywa się Jack Sanders. – Rzucił portfel na podłogę.

– Napad rabunkowy – zauważył pan Tagomi. – Motyw: nasza kasa pancerna. Żadnych aspektów politycznych. – Wstał nieco chwiejnie.

W każdym razie próba morderstwa lub porwania została udaremniona. Przynajmniej ta pierwsza. Ale to jasne, że wiedzieli, kto to jest pan Baynes, a zapewne także, po co tu przybył.

– Perspektywy są ponure – zauważył pan Tagomi.

Zastanawiał się, czy w tej sytuacji wyrocznia mogłaby pomóc. Może potrafi ich obronić, osłonić dobrą radą.

Wciąż jeszcze roztrzęsiony zaczął rozkładać czterdzieści dziewięć łodyg krwawnika. Cała sytuacja niejasna i anormalna, uznał. Żaden człowiek nie zdoła jej rozszyfrować; tylko liczący pięć tysięcy lat umysł zbiorowy może

tu coś zdziałać. Niemieckie społeczeństwo totalitarne przypomina jakąś zdegenerowaną formę życia, gorszą od form naturalnych. Gorszą we wszystkich swoich przerostach, w istnym potpourri nonsensów.

Tutaj, myślał, lokalne SD prowadzi politykę całkowicie przeciwstawną polityce swojego kierownictwa w Berlinie. Gdzie mieści się rozum tego skomplikowanego zwierzęcia? Kto naprawdę reprezentuje Niemcy? Czy ktoś je kiedykolwiek reprezentował? Prawie jak odbicie codziennego życia w krzywym zwierciadle nocnego koszmaru.

Wyrocznia przeniknie przez to. Nawet tak niesamowite zwierzę jak hitlerowskie Niemcy jest zrozumiałe dla *I-cing*.

Pan Baynes, widząc, jak pan Tagomi z roztargnieniem manipuluje garścią patyczków, zrozumiał, że ten człowiek musi być w głębokiej rozterce. Dla niego, myślał pan Baynes, to, że musiał zabić i okaleczyć tych dwóch ludzi, jest nie tylko straszne, ale i niezrozumiałe.

Co mogę powiedzieć, żeby go pocieszyć? Strzelał z mojego powodu; moralna odpowiedzialność za te dwie śmierci spada zatem na mnie i ja to akceptuję. Tak to widzę.

Generał Tedeki podszedł do pana Baynesa i powiedział szeptem:

– Patrzy pan na człowieka zrozpaczonego. Został on niewątpliwie wychowany jako buddysta. Jeżeli nawet nie formalnie, to w tym duchu. W kulturze, w której nie wolno zabijać, w której każde życie jest święte.

Pan Baynes skinął głową.

– Wróci do równowagi – ciągnął generał Tedeki. – Z czasem. Chwilowo brak mu jakiegoś zewnętrznego punktu odniesienia. Ta księga pomoże mu ujrzeć to, co zrobił, w szerszej perspektywie.

– Rozumiem – powiedział pan Baynes. A w myśli dodał: Mogłaby mu też pomóc doktryna grzechu pierworodnego. Ciekawe, czy kiedyś o niej słyszał. Jesteśmy wszyscy skazani na popełnianie czynów okrutnych,

gwałtownych i złych; tak zdecydowały pradawne wydarzenia. Nasza karma.

Ratując jedno życie, pan Tagomi musiał zniszczyć dwa. Logiczny, zrównoważony umysł nie znajduje w tym sensu. Człowieka wrażliwego, takiego jak pan Tagomi, implikacje podobnej rzeczywistości mogą doprowadzić do obłędu.

Mimo to, myślał pan Baynes, rozstrzygający moment to nie teraźniejszość, nie śmierć moja czy tych dwóch wysłanników SD, lecz coś, co hipotetycznie zdarzy się w przyszłości. To, co się stało tutaj, będzie usprawiedliwione albo nie usprawiedliwione, w zależności od tego, co zdarzy się później. Czy uda nam się uratować życie milionom ludzi, w gruncie rzeczy całej Japonii?

Ale człowiek manipulujący łodygami krwawnika nie myślał o przyszłości; zbyt dotkliwa była dla niego teraźniejszość: dwaj ludzie, jeden zabity, drugi konający, na podłodze jego gabinetu.

Generał Tedeki miał słuszność: czas pozwoli to ujrzeć panu Tagomiemu w szerszej perspektywie. A jeżeli nie, to może się schronić w mrok choroby umysłowej, odwrócić spojrzenie na zawsze od beznadziejnie pogmatwanej rzeczywistości.

My też właściwie nie różnimy się od niego, myślał pan Baynes. Stoimy przed tymi samymi problemami i niestety nie możemy nic zrobić dla pana Tagomiego. Możemy tylko czekać, żywiąc nadzieję, że nie podda się i w końcu wróci do równowagi.

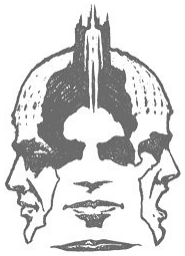

13

W Denver znaleźli modne, nowoczesne sklepy. Ubrania wydały się Julianie szokująco drogie, lecz Joe nie dbał o to, nawet jakby tego nie zauważał; po prostu płacił za wszystko, co ona wybrała, i szli do następnego sklepu.

Głównego zakupu, po wielu przymiarkach i długotrwałych deliberacjach, dokonała pod koniec dnia. Była to niebieska włoska sukienka z krótkimi bufiastymi rękawami i oszałamiająco głębokim dekoltem. W jednym z europejskich żurnali widziała modelkę w takiej właśnie sukni; była uważana za ostatni krzyk mody i kosztowała Joego prawie dwieście dolarów.

Do tego dodatki: trzy pary butów, kilka par nylonowych pończoch, kilka kapeluszy i czarna skórzana torebka ręcznej roboty. Odkryła też, że dekolt jej włoskiej sukni wymaga nowego biustonosza, przykrywającego tylko dolną część piersi. Przeglądając się w dużym lustrze w sklepie, czuła się obnażona i niepewna, czy może się pochylić, ale ekspedientka zapewniła ją, że nowe półbiustonosze trzymają się dobrze mimo braku ramiączek.

Dokładnie do sutek i ani milimetra wyżej, myślała Juliana, oglądając się w zaciszu przymierzalni. Biustonosz również kosztował niemało; też importowany, wyjaśniała ekspedientka, i ręcznie robiony. Potem

sprzedawczyni pokazała jej stroje sportowe, szorty, kostiumy kąpielowe i frotowe płaszcze kąpielowe, ale Joe zaczął się niecierpliwić, i wyszli.

– Czy nie uważasz, że będę wyglądać bombowo? – spytała, kiedy ładował sprawunki do samochodu.

– Tak – odparł wyrwany z zamyślenia. – Zwłaszcza w tej niebieskiej sukience. Włóż ją, kiedy pójdziemy do tego Abendsena, słyszysz? – Ostatnie słowo zabrzmiało ostro, jak rozkaz; była zdziwiona tonem jego głosu.

– Noszę rozmiar dwanaście albo czternaście – powiedziała, kiedy weszli do następnego sklepu z odzieżą. Ekspedientka uśmiechnęła się wdzięcznie i poprowadziła ich do stojaków z odzieżą. Czego jeszcze potrzebuję? – zastanawiała się Juliana. Lepiej kupić, ile się tylko da, korzystając z okazji; jej oczy widziały wszystko naraz: bluzki, spódnice, sweterki, spodnie, płaszcze. Racja, płaszcz. – Joe – powiedziała – potrzebne mi jest jakieś okrycie, ale nie z materiału.

Zgodzili się na niemieckie sztuczne futro; było tańsze i bardziej trwałe niż naturalne, ale czuła się nieco rozczarowana. Żeby sobie poprawić humor, zaczęła oglądać biżuterię, ale była to wszystko tandeta bez polotu i wyobraźni.

– Muszę mieć jakąś biżuterię – tłumaczyła Joemu. – Przynajmniej kolczyki. Albo broszkę, do tej niebieskiej sukienki. – Zaprowadziła go do sklepu jubilerskiego. – A ubranie dla ciebie! – przypomniała sobie z poczuciem winy. – Musimy kupić też coś dla ciebie.

Podczas gdy rozglądała się za biżuterią, Joe wstąpił do fryzjera. Kiedy wyszedł stamtąd po półgodzinie, była zaskoczona; nie tylko ostrzygł się najkrócej, jak to było możliwe, ale i ufarbował włosy. Z trudem mogła go poznać: był teraz blondynem. Dobry Boże, pomyślała, patrząc na niego. Dlaczego?

– Znudziło mi się być makaroniarzem – stwierdził Joe, wzruszając ramionami. To było wszystko, co miał do powiedzenia; odmówił dalszej dyskusji na ten temat, kiedy weszli do męskiego sklepu z odzieżą.

Kupili mu dobrze skrojony garnitur z nowego syntetycznego włókna Du Ponta, dakronu. Także nowe skarpetki, bieliznę i parę modnych spiczastych półbutów. Co teraz? – pomyślała Juliana. Koszule. I krawaty. Wybrali z ekspedientem dwie białe koszule z mankietami, kilka krawatów importowanych z Francji i parę srebrnych spinek do mankietów. Wszystko to zajęło im zaledwie czterdzieści minut; była zdumiona, że to takie proste w porównaniu z jej zakupami.

Uważała, że jego garnitur wymaga poprawek, ale Joe znowu się zniecierpliwił; zapłacił banknotami Reichsbanku. Wiem, co jeszcze, uświadomiła sobie Juliana. Nowy portfel. Razem ze sprzedawcą wybrali czarny portfel z krokodylej skóry i zakupy, przynajmniej jeśli chodzi o Joego, były skończone.

– Nie uważasz, że trzeba zebrać trochę w talii? – spytała Joego, kiedy jechali już przez śródmieście Denver. – Twój garnitur…

– Nie. – Jego głos, ostry i obcy, przestraszył ją.

– Co się stało? Czy za dużo nakupiłam? – Wiem, to jest przyczyna, powiedziała sobie w duchu. Za dużo wydałam. – Mogę jeszcze zwrócić te spódnice.

– Chodźmy jeść – powiedział.

– O Boże! – zawołała. – Już wiem, czego zapomniałam. Koszule nocne.

Joe spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

– Nie chcesz, żebym sobie kupiła jakąś ładną nową koszulę nocną? – spytała. – Żebym cała była świeża i…

– Nie. – Potrząsnął głową. – Skończ z tym. Poszukaj miejsca, gdzie zjemy obiad.

Juliana odpowiedziała stanowczo:

– Najpierw zameldujemy się w hotelu. Żebyśmy mogli się przebrać. A potem pójdziemy jeść. – I niech to będzie naprawdę elegancki hotel, pomyślała, bo inaczej wszystko skończone, mimo że sprawy zaszły tak daleko. A w hotelu spytamy, gdzie jest najlepsza restauracja w Denver. I dobry nocny klub, w którym można obejrzeć światowe atrakcje, nie jakichś tam miejscowych artystów, ale wielkie nazwiska z Europy, jak Eleonora Perez albo Willie Beck. Wiem, że takie gwiazdy UFA przyjeżdżają do Denver, bo widziałam ogłoszenia. Na nic podrzędnego się nie zgodzę.

Podczas gdy szukali dobrego hotelu, Juliana zerkała na siedzącego obok niej mężczyznę. Z krótkimi jasnymi włosami i w nowym ubraniu wygląda jak nie ten sam człowiek, myślała. Czy tak podoba mi się bardziej? Trudno powiedzieć. A ja… kiedy pójdę sobie zrobić fryzurę, będziemy oboje prawie innymi ludźmi. Stworzonymi z niczego albo raczej z pieniędzy. Muszę koniecznie iść do fryzjera, pomyślała.

Znaleźli w centrum Denver duży, okazały hotel z portierem w liberii, który zajął się samochodem. To było to, o co jej chodziło. Boy hotelowy, właściwie był to dorosły mężczyzna w brązowej liberii, podszedł i zabrał ich bagaż oraz wszystkie pakunki, więc z pustymi rękami weszli po szerokich, wysłanych dywanem stopniach pod markizą, przez mahoniowe drzwi do hallu.

Po obu stronach hallu małe sklepiki, kwiaciarnia, upominki, słodycze, stoiska telegrafu i rezerwacji biletów lotniczych, rój gości przy recepcji i windach, wielkie donice z roślinami, a pod nogami dywan, gruby i puszysty… czuła zapach hotelu, ludzi, ruchu. Neony wskazywały drogę do hotelowej restauracji, koktajlbaru, baru z zakąskami, saloniku. Ledwie nadążała to wszystko oglądać, kiedy szli przez hall do lady recepcji.

Była tu nawet księgarnia.

Kiedy Joe wpisywał się do książki, przeprosiła i poszła zobaczyć, czy mają *Utyje szarańcza*. Tak, była tam, stos kolorowych książek z plakacikiem reklamowym mówiącym, jaka to poczytna i ważna powieść, z podkreśleniem oczywiście, że jest zakazana w strefie niemieckiej. Podeszła do niej uśmiechnięta, starsza wiekiem sprzedawczyni, bardzo dobrotliwa, książka kosztowała prawie cztery dolary, co wydawało się Julianie drogo, ale zapłaciła markami niemieckimi ze swojej nowej torebki i wróciła do Joego.

Boy niosący bagaże poprowadził ich do windy, a potem cichym, ciepłym, wyłożonym dywanem korytarzem do luksusowego, oszałamiającego pokoju. Boy otworzył drzwi, wniósł wszystko do środka, włączył oświetlenie i zasłonił okna; Joe dał mu napiwek i mężczyzna wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi.

Wszystko rozwijało się dokładnie tak, jak sobie wymarzyła.

– Jak długo zostaniemy w Denver? – spytała Joego, który zaczął rozpakowywać sprawunki. – Zanim pojedziemy do Cheyenne?

Nie odpowiedział; był pochłonięty przeglądaniem swojej walizeczki.

– Dzień czy dwa? – spytała, zdejmując nowe futro. – A może moglibyśmy zostać trzy dni?

– Wyjeżdżamy dzisiaj – powiedział Joe, unosząc głowę.

Początkowo nie zrozumiała, a kiedy już do niej dotarło, nie mogła uwierzyć. Spojrzała na niego i napotkała jego ponure, niemal urągliwe spojrzenie. Rysy miał wykrzywione olbrzymim napięciem, jakiego nigdy jeszcze nie widziała na ludzkiej twarzy. Nie poruszał się; stał jak sparaliżowany, pochylony, trzymając w rękach rzeczy z walizki.

– Jak tylko zjemy – dodał.

Nie mogła znaleźć słów.

– Więc włóż tę niebieską sukienkę, która tyle kosztowała – powiedział Joe. – Tę, która ci się tak podobała, rozumiesz? – Zaczął rozpinać koszulę. – Ja się ogolę i wezmę dobry, gorący prysznic. – W jego głosie było coś mechanicznego, jakby mówił z wielkiej odległości przez jakieś urządzenie; odwróciwszy się, poszedł do łazienki sztywnym, podrygującym krokiem.

– Dzisiaj jest już za późno – zdołała wreszcie powiedzieć.

– Nie. Obiad skończymy o wpół do szóstej, najpóźniej o szóstej. Do Cheyenne możemy dojechać w dwie, dwie i pół godziny. Będzie dopiero wpół do dziewiątej, w najgorszym razie dziewiąta. Możemy zatelefonować stąd i powiedzieć Abendsenowi, że przyjeżdżamy, wyjaśnić mu sytuację. To zrobi nawet dobre wrażenie, telefon zamiejscowy. Powiedz mu… że lecimy na Zachodnie Wybrzeże i to nasz jedyny wieczór w Denver, ale jesteśmy takimi entuzjastami jego książki, że gotowi jesteśmy jechać do Cheyenne i z powrotem, żeby tylko…

– Ale dlaczego? – przerwała mu Juliana.

Do oczu zaczęły napływać jej łzy i stwierdziła, że zaciska pięści z kciukami do środka, jak wtedy, kiedy była małym dzieckiem; czuła, że broda jej się trzęsie, i odezwała się tak cicho, że ledwie ją było słychać:

– Nie chcę jechać do niego dzisiaj, nie pojadę. Wcale nie chcę jechać, jutro też. Chcę zobaczyć Denver, tak jak mi obiecałeś. – Mówiąc to, znowu poczuła ściskający serce strach, szczególny rodzaj ślepej paniki, która właściwie nigdy jej nie opuszczała w obecności Joego, nawet w najlepszych chwilach. Uczucie to narastało, aż zawładnęło nią całkowicie; czuła, jak drży w jej twarzy i wyziera z oczu, łatwe do zauważenia.

– Popędzimy tam – odrzekł Joe – a potem, jak wrócimy, będziemy zwiedzać miasto. – Mówił sensownie, a jednocześnie z jakimś martwym chłodem, jakby recytował.

– Nie – powiedziała.

– Włóż tę niebieską sukienkę. – Przetrząsnął paczki, aż znalazł największe pudło. Ostrożnie odwiązał sznurek, wyjął suknię i pieczołowicie rozłożył ją na łóżku; nie śpieszyło mu się. – Zgoda? Wszyscy będą padać z wrażenia. Weźmiemy też ze sobą butelkę jakiejś drogiej whisky. Może Vat 69.

Frank, pomyślała. Ratuj mnie. Wdałam się w coś, czego nie rozumiem.

– To jest znacznie dalej, niż myślisz – odezwała się. – Sprawdzałam na mapie. Zanim tam dojedziemy, będzie bardzo późno, jedenasta, a może po północy.

– Włóż tę suknię, bo cię zabiję – powiedział.

Przymknąwszy oczy, zaniosła się śmiechem. Mój trening, pomyślała. Więc to jednak była prawda; teraz się okaże. Czy on mnie zabije, czy ja zdołam przetrącić mu kręgosłup i zrobić z niego kalekę na resztę życia? Ale on bił się z tymi angielskimi komandosami; on już przez to przeszedł, wiele lat temu.

– Wiem, że możesz mnie rzucić – powiedział Joe. – Albo i nie.

– Nie rzucić. Okaleczyć na zawsze. Naprawdę potrafię. Mieszkałam na Zachodnim Wybrzeżu. Japończycy nauczyli mnie tego w Seattle. Jedź sobie do Cheyenne, jak chcesz, a ja zostanę. Nie próbuj mnie zmuszać. Boję się ciebie i – tu głos jej się załamał – zrobię ci krzywdę, jeżeli spróbujesz mnie tknąć.

– O, daj spokój… włóż tę cholerną suknię! O co ten cały szum? Masz chyba źle w głowie, pleciesz coś o zabijaniu i kaleczeniu tylko dlatego, że chcę, żebyś po obiedzie wsiadła do samochodu i pojechała ze mną zobaczyć tego faceta od książki…

Pukanie do drzwi.

Joe ostrożnie zbliżył się do drzwi i otworzył. Na korytarzu stał boy hotelowy.

– Służba pokojowa. Zostawił pan wiadomość w recepcji.

– A, tak – powiedział Joe i podszedł do łóżka, skąd wziął dwie świeżo kupione koszule i zaniósł je boyowi. – Czy możesz przynieść je z powrotem za pół godziny?

– Tylko prasowanie? Bez prania? – spytał boy, spojrzawszy na koszule. – Tak, jestem pewien, że tak, proszę pana.

Kiedy Joe zamknął drzwi, Juliana spytała:

– Skąd wiesz, że nowej białej koszuli nie nosi się bez prasowania?

Nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami.

– Ja zapomniałam – powiedziała Juliana – a kobieta powinna pamiętać. Kiedy się je wyjmuje z celofanu, są całe pogniecione.

– Jak byłem młody, lubiłem się stroić i bawić.

– Skąd wiedziałeś, że w hotelu jest służba pokojowa? Ja tego nie wiedziałam. Czy naprawdę obciąłeś i ufarbowałeś włosy? Myślę, że jesteś blondynem i nosiłeś perukę. Prawda?

Znowu wzruszenie ramion.

– Musisz być agentem SD – ciągnęła. – Udajesz tylko włoskiego kierowcę ciężarówki. Przyznaj się, nigdy nie walczyłeś w Afryce Północnej. Przysłali cię tutaj, żebyś zabił Abendsena, jestem tego pewna. Ależ ja byłam głupia! – Poczuła, że słabnie, wiotczeje.

Po chwili Joe odezwał się:

– Właśnie że walczyłem w Afryce. Może nie w baterii Pardiego. Z Brandenburczykami. Wehrmacht Kommando. Przeniknęliśmy do brytyjskiej kwatery głównej. Nie widzę żadnej różnicy, brałem udział w wielu akcjach. Byłem też pod Kairem. Dostałem medal i pochwałę, jako kapral.

– Czy to wieczne pióro to broń?

Brak odpowiedzi.

Bomba, pomyślała nagle i powiedziała to na głos:

– Mina pułapka, która wybucha, kiedy ktoś chce ją rozkręcić.

– Nie. To, co widziałaś, to dwuwatowa radiostacja nadawczo-odbiorcza. Żebym mógł być w stałym kontakcie. W razie zmiany planu, całkiem możliwej przy niepewnej sytuacji politycznej w Berlinie.

– Skontaktujesz się z nimi, zanim to zrobisz. Żeby się upewnić.

Skinął głową.

– Nie jesteś Włochem, tylko Niemcem.

– Szwajcarem.

– Mój mąż jest Żydem – powiedziała.

– Nie obchodzi mnie, kim jest twój mąż. Wszystko, czego chcę od ciebie, to żebyś włożyła tę sukienkę i poszła ze mną na obiad. Zrób coś z włosami. Dobrze by było, gdybyś poszła do fryzjera. Może hotelowy salon piękności jest jeszcze otwarty. Mogłabyś tam pójść, a ja się umyję i będę czekać na koszule.

– Jak chcesz go zabić?

– Proszę cię, Juliano, włóż tę nową sukienkę. Ja zadzwonię na dół i spytam o fryzjera. – Podszedł do telefonu.

– Do czego ja ci właściwie jestem potrzebna?

Wybierając numer, Joe wyjaśnił:

– Mamy dossier tego Abendsena i wygląda na to, że gustuje on w ciemnowłosych, seksownych kobietach typu śródziemnomorskiego lub bliskowschodniego.

Podczas gdy Joe rozmawiał z recepcją, Juliana położyła się na łóżku i zamknęła oczy, przesłoniwszy twarz ramieniem.

– Mają fryzjerkę – powiedział Joe, odłożywszy słuchawkę. – Może cię zaraz przyjąć. Idź do salonu, jest na półpiętrze. – Wsunął jej coś do ręki; otworzyła oczy i zobaczyła niemieckie banknoty. – To na fryzjerkę.

– Zostaw mnie w spokoju. Bardzo cię proszę.

Przyglądał jej się z ciekawością i zatroskaniem.

– Seattle jest takie, jakie byłoby San Francisco, gdyby nie wielki pożar – powiedziała. – Naprawdę stare, drewniane domy, trochę murowanych i wzgórza jak w S.F. Japończycy byli tam na długo przed wojną. Mają tam całą dzielnicę handlową, domy i sklepy, wszystko bardzo stare. To jest port. Ten mały stary Japończyk, który mnie uczył… pojechałam tam z pewnym marynarzem i wtedy zaczęłam brać lekcje… nazywał się Minoru Ichoyasu. Nosił kamizelkę i krawat. Był okrągły jak jo-jo. Uczył na piętrze nad jakimiś japońskimi biurami. Miał na drzwiach staromodny złocony napis i poczekalnię, jak u dentysty. Z numerami „National Geographic”.

Pochyliwszy się nad nią, Joe wziął ją za rękę i uniósł do pozycji siedzącej.

– Co się dzieje? Zachowujesz się, jakbyś była chora – spytał, zaglądając jej w twarz i usiłując coś wyczytać z jej rysów.

– Umieram – powiedziała.

– To tylko napad lękowy. Często je miewasz? Mogę ci przynieść środek uspokajający z hotelowej apteki. Może fenobarbital? Poza tym nie jedliśmy nic od rana. Nic ci nie będzie. Kiedy przyjedziemy do Abendsena, nie musisz nic robić, tylko stój przy mnie; ja będę mówił. Ty tylko się uśmiechaj i bądź miła dla mnie i dla niego. Trzymaj się go i zajmuj go rozmową, żeby był przy nas i nigdzie nie odchodził. Jestem pewien, że nas wpuści, kiedy cię zobaczy, zwłaszcza z tym dekoltem. Ja bym cię w każdym razie wpuścił, gdybym był na jego miejscu.

– Pozwól mi pójść do łazienki. Niedobrze mi. Proszę. – Spróbowała się od niego uwolnić. – Puść mnie, jest mi niedobrze.

Puścił ją, przeszła niepewnym krokiem do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Potrafię to zrobić, pomyślała. Włączyła światło, przez chwilę była oślepiona. Zmrużyła oczy. Znajdę. W szafce paczka żyletek, mydło, pasta do zębów. Otworzyła paczuszkę żyletek. Odwinęła jedno nowe, lśniące, błękitne ostrze.

Weszła pod odkręcony natrysk. Wielki Boże, przecież ma na sobie ubranie. Zniszczone. Kostium przykleił się do ciała. Włosy mokre. Przerażona potknęła się, omal nie upadła, uciekając po omacku spod prysznica. Woda ścieka po pończochach… zaczęła płakać.

Joe znalazł ją przy umywalce. Zdjęła mokry, zniszczony kostium; stała naga, podparta jedną ręką i odpoczywała.

– Jezu Chryste – powiedziała, kiedy sobie zdała sprawę, że Joe jest obok. – Nie wiem, co zrobię. Mój dżersejowy kostium jest do niczego. To wełna. – Wskazała ręką; Joe odwrócił się i zobaczył stos przemoczonej odzieży.

Bardzo spokojnie, choć jego twarz zdradzała, że jest wstrząśnięty, powiedział:

– Cóż, i tak nie miałaś w nim wyjść. – Potem wytarł ją puszystym białym ręcznikiem hotelowym i przyprowadził z łazienki do ciepłego, wyścielonego dywanem pokoju. – Włóż coś na siebie – powiedział – sprowadzę fryzjerkę tutaj. Będzie musiała przyjść i tyle. – Jeszcze raz podniósł słuchawkę.

– Jakie proszki mi przyniosłeś? – spytała, kiedy skończył telefonować.

– Zapomniałem. Zaraz zadzwonię do apteki. Nie, poczekaj, ja coś mam. Nembutal albo jakieś inne świństwo. – Pośpieszył do swojej walizki i zaczął w niej przewracać.

Po chwili podał jej dwie żółte kapsułki.

– Czy to mnie zniszczy? – spytała, biorąc je niezręcznie.

– Co? – Jego twarz przebiegł nerwowy skurcz.

Zje mnie do pasa, pomyślała. Wysuszy lędźwia.

– Pytam – powiedziała ostrożnie – czy to osłabi moją zdolność koncentracji.

– Nie, to wyrób A.G. Chemie, który dostałem jeszcze w kraju. Używam tego, kiedy nie mogę zasnąć. Przyniosę ci szklankę wody. – Wybiegł z pokoju.

Żyletka, pomyślała. Połknęłam ją, teraz będzie już zawsze kroić moje lędźwie. Kara. Żona Żyda wiąże się z gestapowskim mordercą. Poczuła wzbierające łzy. Za wszystko, co popełniłam. Zniszczona.

– Chodźmy! – rzuciła, wstając. – Do fryzjera.

– Jesteś nie ubrana! – Posadził ją z powrotem i usiłował bezskutecznie włożyć jej majtki. – Muszę cię uczesać – mówił zdesperowany. – Gdzie jest ta *Hure*, ta kobieta?

– Hurgot huraganu hamuje rozwój nagości – powiedziała powoli i starannie. – Hulajnoga hakiem hamaczy. Hak od Boga. Hałas. *Hure*. – Pigułki palą. Pewnie kwas terpentynowy. Wszystko się składa, zabójczy, najbardziej gryzący roztwór, będzie mnie żarł na wieki.

Patrząc na nią, Joe pobladł. Widocznie czyta we mnie, pomyślała. Czyta moje myśli za pomocą swojej maszyny, chociaż jej nie widzę.

– Te pigułki – powiedziała – oszałamiają i przytępiają.

– Jeszcze ich nie połknęłaś. – Wskazał jej zaciśniętą pięść; stwierdziła, że wciąż je trzyma. – Jesteś chora umysłowo. – Stał się nagle ociężały, powolny, niczym jakaś bezwładna bryła. – Jesteś bardzo chora. Nie możemy jechać.

– Nie trzeba doktora. Wszystko będzie dobrze. – Próbowała się uśmiechnąć i obserwowała jego twarz, żeby zobaczyć, czy jej się udało.

– Nie mogę cię zabrać do Abendsena – powiedział. – W każdym razie nie w tym stanie. Może jutro, jeżeli ci się poprawi. Spróbujemy jutro. Musimy.

– Czy mogę iść jeszcze raz do łazienki?

Kiwnął głową z twarzą zafrasowaną, ledwo ją słysząc. Wróciła z łazienki, znowu zamknęła za sobą drzwi. Jeszcze jedna żyletka z szafki ściennej, trzyma ją w prawej ręce. Jeszcze raz wyszła z łazienki.

– Pa-pa – rzuciła.

Kiedy otwierała drzwi na korytarz, Joe krzyknął i rzucił się za nią.

Ciach.

– To straszne – powiedziała. – Oni gwałcą. Powinnam wiedzieć. – Przygotowana na spotkanie ze złodziejami, różnymi ciemnymi typami, potrafię dać sobie radę. A ten gdzie się podział? Chwyta się za szyję, tańczy. – Zejdź mi z drogi, jeżeli nie chcesz dostać nauczki. Tylko kobiety. – Trzymając żyletkę w pogotowiu, otworzyła drzwi. Joe siedział na podłodze, przyciskając dłonie do szyi. Jakby się opalał. – Do widzenia – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi. Ciepły, wyścielony dywanem korytarz.

Kobieta w białym kitlu, mrucząc i podśpiewując, z opuszczoną głową popychała wózek. Zatrzymała się przed Julianą, podniosła głowę i wytrzeszczyła oczy, a szczęka jej opadła.

– Oj, kochanie – odezwała się – ale ty jesteś zabzdryngolona i fryzjer tu nie wystarczy. Wracaj do pokoju i ubierz się, zanim cię wyrzucą z hotelu. Mój Boże. – Otworzyła Julianie drzwi. – Powiedz swojemu chłopu, żeby cię doprowadził do przytomności. Każę wam przysłać gorącą kawę. A teraz, proszę, wejdź do pokoju. – Wepchnąwszy Julianę z powrotem do pokoju, kobieta zatrzasnęła za nią drzwi i odgłos wózka oddalił się.

Fryzjerka, przypomniała sobie Juliana. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że nie ma nic na sobie; kobieta miała rację.

– Joe – powiedziała. – Oni nie chcą mnie wypuścić. – Znalazła łóżko, znalazła swoją walizkę, otworzyła, wyrzuciła zawartość. Bielizna, potem bluzka, spódnica… pantofle na niskim obcasie. – Kazali mi wrócić – dodała. Znalazłszy grzebień, pośpiesznie uczesała i wyszczotkowała włosy.

– Co za przeżycie! I ta kobieta była tuż pod drzwiami, właśnie chciała pukać. – Poszła poszukać lustra. – Czy tak jest lepiej? – Lustro w szafie; obracając się, sprawdzała sylwetkę, stanęła na palcach. – Jestem tak zażenowana – mówiła, spoglądając w stronę Joego – że sama nie wiem, co robię. Musiałeś mi coś dać. Zamiast mi pomóc, tylko mi zaszkodziło.

Wciąż siedząc na podłodze i uciskając szyję, Joe powiedział:

– Słuchaj. Jesteś bardzo dobra. Przecięłaś mi aortę. Arterię szyjną.

Zachichotała, przesłaniając usta dłonią.

– O Boże, jaki ty jesteś śmieszny. Zawsze przekręcasz słowa. Aortę ma się w piersi. Chcesz chyba powiedzieć: tętnicę.

– Jak puszczę, wykrwawię się w dwie minuty. Dobrze wiesz. Więc sprowadź mi jakąś pomoc, wezwij lekarza albo karetkę. Rozumiesz mnie? Zrobiłaś to naumyślnie? Widocznie tak. W porządku, zadzwoń albo sprowadź kogoś.

Po namyśle wyjaśniła:

– Zrobiłam to naumyślnie.

– Dobrze – powiedział. – Tak czy inaczej sprowadź kogoś. Zrób to dla mnie.

– Idź sam.

– Nie zatamowałem upływu całkowicie. – Zobaczyła, że krew przecieka mu między palcami, spływa po ręce. Kałuża na podłodze. – Boję się ruszyć. Muszę tu zostać.

Włożyła nowy płaszcz, zamknęła nową skórzaną torebkę ręcznej roboty, wzięła walizkę i tyle swoich paczek, ile zdołała unieść; zwłaszcza upewniła się, czy ma duże pudło z niebieską włoską sukienką. Otwierając drzwi na korytarz, obejrzała się na niego. – Może powiem tym na dole w recepcji.

– Zrób tak.

– Dobrze. Powiem im. Nie szukaj mnie w moim mieszkaniu w Canon City, bo ja już tam nie wrócę. Mam większość twoich niemieckich pieniędzy, więc mimo wszystko jestem w dobrej sytuacji. Do widzenia i przepraszam. – Zatrzasnęła drzwi i pobiegła korytarzem, ściskając walizkę i pakunki.

Przy windzie pomogli jej elegancko ubrany starszy biznesmen i jego żona; wzięli od niej pakunki i w hallu na dole oddali boyowi.

– Dziękuję państwu – powiedziała Juliana.

Kiedy boy wyniósł bagaże, znalazła pracownika hotelu, który wytłumaczył jej, jak dostać się do samochodu. Wkrótce stała w chłodnym, betonowym garażu w podziemiach, czekając, aż inny pracownik sprowadzi jej studebakera. W torebce znalazła pieniądze różnych nominałów; dała napiwek i po chwili wyjeżdżała żółto oświetloną rampą na ciemną ulicę z samochodami, blaskiem reflektorów i neonowych reklam.

Umundurowany portier sam ułożył jej walizkę i pakunki w bagażniku, uśmiechając się tak sympatycznie, że dała mu na odjezdnym olbrzymi napiwek. Nikt nie próbował jej zatrzymać i to ją zdumiało. Nikt nie okazał najmniejszego zdziwienia. Widocznie są pewni, że on zapłaci, pomyślała. Albo już zapłacił, z góry.

Kiedy czekała wśród innych samochodów na zmianę świateł, przypomniała sobie, że nie powiedziała w recepcji, że Joe siedzi na podłodze i potrzebuje lekarza. Wciąż tam czeka, może tak czekać do końca świata albo do przyjścia sprzątaczki. Lepiej wrócę, uznała, albo zatelefonuję. Zatrzymam się przy budce telefonicznej.

Jakie to głupie, myślała, szukając miejsca, gdzie mogłaby zatrzymać się i zatelefonować. Kto by pomyślał jeszcze godzinę temu? Kiedy meldowaliśmy się w hotelu, kiedy robiliśmy zakupy… niedużo brakowało, a przebralibyśmy się i poszli na obiad; może nawet poszlibyśmy do

nocnego klubu. Stwierdziła, że znowu płacze. Łzy kapały jej z nosa na bluzkę. Szkoda, że nie poradziłam się wyroczni, ostrzegłaby mnie. Dlaczego tego nie zrobiłam? Miałam tyle okazji, żeby zapytać, w czasie podróży, nawet jeszcze przed wyjazdem. Zaczęła bezwiednie pojękiwać; ten dźwięk, którego nigdy u siebie nie słyszała, przeraził ją, ale nie potrafiła go zdusić, mimo że zaciskała zęby. Upiorne zawodzenie, śpiew, kwilenie, wydobywające się przez nos.

Zjechała na bok i siedziała, nie wyłączając silnika, drżąc, z rękami w kieszeniach płaszcza. Jezu Chryste, powiedziała żałośnie sama do siebie. Cóż, widocznie takie rzeczy się zdarzają. Wysiadła z wozu i wyciągnęła z bagażnika walizkę; na tylnym siedzeniu otworzyła ją i ryła wśród ubrań i butów, aż znalazła dwa tomy wyroczni. Tam, na tylnym siedzeniu samochodu, przy włączonym silniku, zaczęła rzucać trzema dziesięciocentówkami, korzystając ze świateł pobliskiego domu towarowego. Co mam robić? Powiedz mi, proszę, co mam robić?

Heksagram czterdziesty drugi. Wzrost, z liniami ruchomymi na drugiej, trzeciej, czwartej i górnej pozycji; zatem przejścia do heksagramu czterdziestego trzeciego. Przełom. Rzuciła się żarłocznie na tekst, chwytając kolejne fazy znaczenia, układając je w umyśle i pojmując. O Jezu, tekst odpowiadał sytuacji idealnie: jeszcze jeden cud. Ma przed oczami wszystko, co się zdarzyło, w postaci schematu, planu.

Działanie.
Przynosi korzyść.
Korzystne jest przebycie wielkiej wody.

Wyprawa. Jechać i zrobić coś ważnego, nie siedzieć na miejscu. Teraz linie ruchome. Szukała, poruszając wargami.

Dziesięć par żółwi nie może mu stawić czoła.
Stały wysiłek przynosi szczęście.
Król przedstawia go Bogu.

Teraz szóstka w trzeciej linii. Czytając, poczuła zawrót głowy.

Wzbogacenie przez przeciwności losu.
Nie ma winy, jeżeli jest szczery.
Idzie środkiem.
I stawia się z pieczęcią u księcia.

Książę… to musi być Abendsen. Pieczęć to nowy egzemplarz jego książki. Przeciwności losu: wyrocznia wie, co się jej przydarzyło, o tej okropności z Joem, czy jak on się tam nazywa. Przeczytała szóstkę na czwartym miejscu.

Jeżeli pójdziesz środkiem
I stawisz się u księcia,
On pójdzie za tobą.

Muszę tam pojechać, uświadomiła sobie Juliana, nawet jeżeli Joe miałby pojechać za mną. Rzuciła się na ostatnią ruchomą linię, dziewiątka na górze.

On nie wzbogaca nikogo.
Ktoś nawet zadaje mu cios.
Jego serce nie jest stałe.

Niepowodzenie.

O, Boże, pomyślała; mowa o mordercy, ludziach z Gestapo. Wyrocznia mówi mi, że Joe, albo ktoś taki jak on, pojedzie tam i zabije Abendsena. Szybko przeskoczyła do heksagramu czterdziestego trzeciego. Osąd:

Należy zdecydowanie ujawnić sprawę
Na dworze króla.
Musi być ogłoszona zgodnie z prawdą.
Niebezpieczeństwo.
Należy koniecznie zawiadomić swoje miasto.
Walka zbrojna nie jest wskazana,
Ale należy podjąć jakieś działanie.

Więc nie ma po co wracać do hotelu i upewniać się co do Joego; to beznadziejne, ponieważ będą też inni wysłannicy. Po raz drugi, z jeszcze większym naciskiem, wyrocznia mówi: jedź do Cheyenne i ostrzeż Abendsena bez względu na własne bezpieczeństwo. Mam przynieść mu prawdę.

Zamknęła książkę.

Usiadłszy z powrotem za kierownicą, włączyła się do ruchu. Wkrótce znalazła drogę z centrum Denver do głównej autobahny wiodącej na północ; jechała z maksymalną szybkością, aż z silnika wydobywał się dziwny, wibrujący odgłos wprawiający w drżenie kierownicę, siedzenie i schowek, w którym wszystko grzechotało.

Bogu dzięki za doktora Todta i jego autobahny, myślała, mknąc przez mrok, widząc tylko własne światła i linie znaczące pasmo ruchu.

Nie zdążyła do Cheyenne przed dziesiątą wieczór z powodu dętki. Nie miała innego wyjścia, jak zjechać z drogi i poszukać miejsca na nocleg.

Wkrótce zobaczyła tablicę zapowiadającą zjazd z autobahny: Greeley Pięć Mil. Wyruszę dalej jutro rano, powiedziała sobie kilka minut później, jadąc powoli główną ulicą Greeley. Dostrzegła kilka moteli informujących, że mają wolne miejsca, z noclegiem nie było więc kłopotu. Przede wszystkim, uznała, muszę dziś jeszcze zadzwonić do Abendsena i uprzedzić go, że przyjeżdżam.

Zatrzymała się, ociężale wysiadła z samochodu i z ulgą rozprostowała nogi. Cały dzień w drodze, od ósmej rano. Nieco dalej na ulicy dostrzegła otwarty drugstore; poszła ku niemu z rękami w kieszeniach płaszcza i po chwili stała w zaciszu budki telefonicznej, dzwoniąc do informacji Cheyenne.

Bogu dzięki ich numer był w książce. Wrzuciła ćwierćdolarówki i po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo? – energiczny, miły głos młodej kobiety, zapewne w jej wieku.

– Czy pani Abendsen? – spytała Juliana. – Mogę prosić pana Abendsena?

– A kto mówi?

– Czytałam książkę pani męża – zaczęła wyjaśniać Juliana – i jechałam cały dzień z Canon City w Kolorado. Jestem teraz w Greeley. Myślałam, że zdążę do państwa dzisiaj, ale to niemożliwe, więc chciałabym wiedzieć, czy będę mogła zobaczyć się z nim jutro.

Po chwili pani Abendsen odpowiedziała nadal miłym głosem:

– Tak, dzisiaj jest już późno, chodzimy spać wcześnie. Czy ma pani jakiś… szczególny powód, żeby się z nim widzieć? Jest teraz bardzo zapracowany.

– Chciałabym porozmawiać z pani mężem – powiedziała Juliana. Własny głos wydał jej się jakiś bezbarwny, drewniany; gapiła się na ściankę budki

i nie przychodziło jej do głowy nic, co by jeszcze mogła dodać. Była obolała, w ustach jej zaschło i czuła nieprzyjemny posmak. Z budki telefonicznej widziała sprzedawcą, który przy ladzie z napojami podawał koktajle mleczne czterem nastolatkom. Zazdrościła im i ledwie słuchała tego, co mówi pani Abendsen. Myślała o zimnym, orzeźwiającym napoju i jakimś sandwiczu, na przykład z sałatką z drobiu.

– Hawthorne pracuje nieregularnie – mówiła pani Abendsen wesołym, ożywionym głosem. – Jeżeli przyjedzie tu pani jutro, to nic nie obiecuję, bo może być zajęty przez cały dzień. Ale jeżeli mimo to…

– Dobrze – wtrąciła Juliana.

– Jestem pewna, że chętnie porozmawia z panią kilka minut, o ile tylko znajdzie czas – ciągnęła pani Abendsen. – Ale niech pani nie będzie rozczarowana, jeżeli przypadkiem nie znajdzie dla pani ani chwili.

– Czytaliśmy książkę pani męża i bardzo nam się podobała – powiedziała Juliana. – Mam ją przy sobie.

– Rozumiem – wtrąciła wyrozumiale pani Abendsen.

– Zatrzymaliśmy się w Denver, żeby zrobić zakupy, i straciliśmy masę czasu. – Nie tak, pomyślała, wszystko się zmieniło, wszystko jest teraz inaczej. – Proszę pani – wypaliła – wyrocznia kazała mi przyjechać do Cheyenne.

– Ach tak. – Pani Abendsen powiedziała to takim tonem, jakby słyszała o wyroczni, ale nie traktowała sprawy zbyt poważnie.

– Podam pani linie. – Juliana miała wyrocznię ze sobą; oparłszy oba tomy na półeczce pod telefonem, mozolnie odwracała kartki. – Chwileczkę. – Znalazła właściwą stronę i przeczytała pani Abendsen osąd oraz interpretację dodatkowych linii. Kiedy doszła do dziewiątki na górze, o zadawaniu ciosu i niepowodzeniu, usłyszała, że pani Abendsen krzyknęła. – Słucham? – spytała Juliana.

– Proszę czytać dalej – powiedziała pani Abendsen. Tym razem w jej głosie wyczuwało się podniecenie.

Kiedy Juliana przeczytała osąd heksagramu czterdziestego trzeciego, ze słowem „niebezpieczeństwo”, zapadło milczenie. Ani pani Abendsen, ani Juliana nic nie mówiły.

– No cóż, czekamy na panią jutro – odezwała się wreszcie pani Abendsen. – Czy mogę prosić o nazwisko?

– Juliana Frink. Dziękuję pani bardzo, pani Abendsen. – Włączyła się telefonistka; powiedziała, że czas się skończył, i Juliana odwiesiła słuchawkę, zabrała torebkę oraz wyrocznię i podeszła do lady.

Zamówiwszy sandwicza z coca-colą i odpoczywając z papierosem w dłoni, uświadomiła sobie ku swemu przerażeniu, że nie powiedziała pani Abendsen nic o człowieku z Gestapo czy z SD, licho wie, skąd był ten Joe Cinnadella, którego zostawiła w pokoju hotelowym w Denver. Nie mogła po prostu w to uwierzyć. Zapomniałam! – powtarzała. Zupełnie wypadło mi z pamięci. Jak to możliwe? Widocznie wariuję. Widocznie jestem okropnie chora, głupia i pomylona.

Otworzyła torebkę i przez chwilę szukała bilonu na następny telefon. Nie, pomyślała, kiedy już wstała ze stołka. Nie mogę dzwonić drugi raz tego wieczoru. Dam spokój, za późno. Jestem zmęczona, a oni pewnie już śpią.

Zjadła sandwicza i wypiła coca-colę, po czym pojechała do najbliższego motelu, wynajęła pokój i drżąc na całym ciele, wśliznęła się do łóżka.

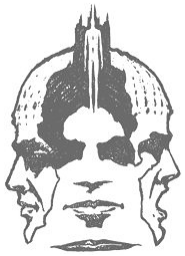

14

Nie ma odpowiedzi, myślał pan Nobusuke Tagomi. Nie ma wytłumaczenia. Nawet w wyroczni. A jednak muszę żyć dzień po dniu.

Będę szukał rzeczy małych. Żył niewidoczny. Przynajmniej do czasu, aż…

W każdym razie pożegnał się z żoną i wyszedł z domu. Jednak tego dnia nie udał się do budynku Nippon Times, jak zazwyczaj. Może trochę odprężenia? Pojechać do parku Złote Wrota z jego ogrodem zoologicznym i akwarium? Tam, gdzie stworzenia, które mimo że nie myślą, cieszą się życiem.

Czas. To daleka droga dla rikszy, co da mi więcej czasu na postrzeganie. Jeżeli można się tak wyrazić.

Ale drzewa i ogród zoologiczny są bezosobowe, a ja muszę się trzymać życia ludzkiego. Zrobiłem się jak dziecko, co zresztą może mi wyjść na dobre. Mogę to obrócić na dobre.

Rikszarz pedałował Kearny Street w stronę śródmieścia San Francisco. Przejechać się tramwajem linowym, pomyślał nagle pan Tagomi. Szczęście w spokojnej, sentymentalnej przejażdżce pojazdem, który powinien był zniknąć w 1900, ale dziwnym trafem przetrwał.

Zwolnił rikszę i poszedł w stronę najbliższego przystanku tramwajowego.

Może, rozmyślał, już nigdy nie wrócę do budynku Nippon Times z jego odorem śmierci? Moja kariera skończona, ale to nic. Dyrekcja Misji Handlowych może znaleźć kogoś na moje miejsce. Ale Tagomi nadal chodzi, żyje, pamięta każdy szczegół. Więc to niczego nie rozwiązuje.

Tak czy inaczej wojna, plan Dmuchawiec, zmiecie nas wszystkich. Niezależnie od tego, co będziemy wówczas robić. Nasz wróg, po którego stronie walczyliśmy w ostatniej wojnie. Co nam z tego przyszło? Może należało walczyć przeciwko niemu? Albo pozwolić mu przegrać, wspomagając jego wrogów, Stany Zjednoczone, Anglię, Rosję.

Beznadziejnie, gdziekolwiek się obrócić.

Wyrocznia niejasna. Może wycofała się ze świata strapionych ludzi. Odejście mędrców.

Nadeszła Chwila, w której zostaliśmy sami. Nie możemy uzyskać pomocy, jak dotąd. Cóż, myślał pan Tagomi, może to też jest dobre. Albo da się obrócić na dobre. Nadal trzeba starać się odnaleźć Drogę.

Wsiadł do tramwaju na California Street i dojechał do końca trasy. Wyskoczył nawet i pomógł obrócić wagonik na drewnianej obrotnicy. Ze wszystkich spotkań z miastem to było najbardziej znaczące, zazwyczaj. Teraz czar gdzieś znikł, przez co jeszcze dotkliwiej odczuł pustkę, jakby stracił to miejsce.

Oczywiście wrócił też tramwajem. Ale… była to już formalność, co odczuł, patrząc na ulice, domy, pojazdy przesuwające się w odwrotnym kierunku.

Przy Stockton wstał, żeby wysiąść, ale na przystanku, kiedy już miał nogę na stopniu, zatrzymał go konduktor.

– Proszę pana, teczka!

– Dziękuję. – Zostawił teczkę w tramwaju. Odebrał ją od konduktora i skłonił się, kiedy tramwaj ruszył z brzękiem. Bardzo cenna zawartość, pomyślał. Antyczny colt .44, ozdoba kolekcji w środku. Teraz zawsze w zasięgu ręki, na wypadek gdyby mściwe zbiry z SD chciały się na nim odegrać. Nigdy nie wiadomo. A jednak pan Tagomi czuł, że w tym nowym zwyczaju, mimo wszystkiego, co się zdarzyło, jest coś niezdrowego. Nie powinienem temu ulegać, powtarzał sobie po raz któryś, idąc ulicą z teczką w ręku. Natręctwo lękowe. Ale nie potrafił się od niego uwolnić.

Ja mam rewolwer, rewolwer ma mnie, pomyślał.

Czyżbym zatem stracił źródło radości? – zadał sobie pytanie. – Czy wspomnienie tego, co zrobiłem, skaziło wszystkie instynkty? Całe kolekcjonerstwo stracone, nie tylko stosunek do tego jednego eksponatu? Podpora mojego życia – cicha przystań, niestety, w której chroniłem się z taką ulgą.

Przywoławszy rikszę, kazał jechać na Montgomery Street do sklepu Roberta Childana. Przekonajmy się. Została jedna nić łącząca mnie z wolną wolą. Może uda mi się opanować moje nerwowe skłonności podstępem: zamienię tę broń na jakiś bardziej historyczny przedmiot. Ten rewolwer ma dla mnie zbyt osobistą, zbyt nieprzyjemną historię. Ale to dotyczy wyłącznie mnie, nikt inny nie wyczuje tych emanacji z broni. One istnieją wyłącznie w mojej psychice.

Uwolnię się, postanowił w przypływie ożywienia. Kiedy rewolwer zniknie, wszystko zniknie wraz z nim, cały obłok wspomnień. Bo rzecz jest nie tylko w mojej psychice, ale… jak zawsze twierdzili obrońcy historii… również w tym rewolwerze. Więź między nim a mną!

Dojechali do sklepu. Miejsce, gdzie tyle kupowałem, pomyślał, płacąc rikszarzowi. Zarówno dla firmy, jak i prywatnie. Z teczką w ręce wszedł szybko do środka.

Tam, przy kasie, pan Childan. Przeciera kawałkiem sukna jakiś przedmiot.

– Pan Tagomi. – Childan się skłonił klientowi.

– Pan Childan. – Pan Tagomi odpowiedział ukłonem.

– Co za niespodzianka. Jestem oszołomiony. – Childan odłożył przedmiot i sukno, wyszedł zza lady. Zwykły rytuał, powitanie et cetera. Jednak pan Tagomi wyczuł jakąś zmianę. Jakby ściszenie. Uznał to za poprawę. Zawsze nieco zbyt głośny, zbyt krzykliwy, pomyślał. Podskakiwał z podniecenia. Ale może to być też zły omen.

– Panie Childan – zaczął pan Tagomi, kładąc na ladzie teczkę, i otworzył ją. – Pragnę odsprzedać przedmiot kupiony przed laty. Pan to praktykuje, o ile pamiętam.

– Tak – przyznał pan Childan. – W zależności od stanu przedmiotu. – Spojrzenie miał czujne.

– Rewolwer Colt .44 – powiedział pan Tagomi.

Przez chwilę obaj milczeli, przyglądając się broni spoczywającej w otwartym tekowym pudle z napoczętą paczką amunicji.

Chłód pana Childana. Ach tak, pomyślał pan Tagomi. No, dobrze.

– Nie interesuje to pana – powiedział.

– Nie, proszę pana – odparł sztywno pan Childan.

– Nie będę nalegał. – Nie czuł w sobie żadnej energii. Poddaję się. Obawiam się, że *in*, miękkość, uległość ma mnie w swojej mocy…

– Proszę wybaczyć, panie Tagomi.

Pan Tagomi skłonił się, włożył pudło z bronią i amunicją do teczki. Przeznaczenie. Muszę zatrzymać tę rzecz.

– Wygląda pan na zawiedzionego – powiedział pan Childan.

– Zauważył pan. – Był poruszony; czy wystawił swój świat wewnętrzny na widok publiczny? Wzruszył ramionami. Niewątpliwie tak.

– Czy ma pan jakiś szczególny powód, żeby zwrócić ten przedmiot?

– Nie – odparł, zamykając, jak należało, świat swoich prywatnych uczuć.

– Ja… zastanawiam się, czy to pochodzi z mojego sklepu – odezwał się pan Childan po chwili wahania. – Ja nie prowadzę tych rzeczy.

– Jestem pewien, że tak – powiedział pan Tagomi. – Ale to nie ma znaczenia. Zgadzam się z pana decyzją i nie jestem urażony.

– Pozwoli pan, że zademonstruję nowe nabytki. Czy ma pan trochę czasu?

Pan Tagomi poczuł, że budzi się w nim dawny instynkt.

– Coś szczególnie interesującego? – spytał.

– Proszę za mną. – Childan poszedł w głąb sklepu, pan Tagomi za nim.

W zamkniętej szklanej gablocie na tackach z czarnego aksamitu leżały małe wiry z metalu, kształty, które raczej sugerowały, niż miały formę. Wywołały w panu Tagomim niesamowite uczucie, kiedy się pochylił, żeby je obejrzeć.

– Pokazuję to bezlitośnie wszystkim moim klientom – powiedział Robert Childan. – Czy pan wie, co to jest?

– Wygląda na biżuterię – rzucił pan Tagomi, rozpoznawszy broszkę.

– Amerykańskiej roboty. Tak, oczywiście. Tylko to, proszę pana, nie są antyki.

Pan Tagomi podniósł głowę.

– To są, proszę pana, rzeczy nowe. – Białą, trudną do zapamiętania twarz Roberta Childana odmieniła emocja. – To jest, proszę pana, nowe życie mojego kraju. Zalążek w formie małych, niezniszczalnych ziaren. Ziaren piękna.

Z należnym zainteresowaniem pan Tagomi długo oglądał kilka egzemplarzy. Tak, jest w nich coś nowego, co je ożywia, przyznał. Demonstrują prawo *tao*; kiedy wszędzie panuje *in*, nagle

w najciemniejszych głębiach rodzi się pierwszy promyk światła… znamy to wszyscy, obserwowaliśmy to nie raz. A jednak dla mnie to tylko kawałki metalu. Nie potrafię się nimi zachwycić, jak ten pan Childan. Na nieszczęście dla nas obu. Ale taka jest prawda.

– Bardzo przyjemne – bąknął, odkładając biżuterię.

– Proszę pana, tego nie odczuwa się od razu – powiedział stanowczo pan Childan.

– Proszę?

– Nowego drgnienia w sercu.

– Jest pan nawrócony – stwierdził pan Tagomi. – Zazdroszczę panu. Ja nie jestem. – Skłonił się.

– Następnym razem – powiedział pan Childan, odprowadzając go do wyjścia; nawet nie próbował pokazywać innych artykułów, zauważył pan Tagomi.

– Pańska pewność jest w złym guście – orzekł pan Tagomi. – Przypomina niefortunnie natrętność.

Pan Childan nie okazał pokory.

– Wybaczy pan, ale mam rację. Nieomylnie wyczuwam w tych przedmiotach ukryte zalążki przyszłości.

– Możliwe, ale pański anglosaski fanatyzm do mnie nie przemawia. – Mimo to poczuł jakby drgnięcie nadziei. Swojej własnej nadziei, w sobie. – Do widzenia. – Skłonił się. – Zajdę do pana znowu kiedyś, któregoś dnia. Może wówczas sprawdzimy pańską przepowiednię.

Pan Childan skłonił się bez słowa.

Pan Tagomi wyszedł, niosąc swoją teczkę z coltem .44. Wychodzę, jak przyszedłem, pomyślał. Nadal szukam, nadal brak czegoś, co by mi pozwoliło wrócić do świata.

A gdybym tak kupił jeden z tych dziwnych, niepozornych drobiazgów? Może mając go, oglądając, kontemplując… mógłbym stopniowo, za jego pośrednictwem, odnaleźć drogę powrotną? Wątpię.

To jest dobre dla niego, nie dla mnie.

A jednak, nawet jeżeli tylko jeden człowiek odnajdzie swoją drogę… to znaczy, że Droga *jest*. Choćbym ja nie potrafił jej odnaleźć.

Zazdroszczę mu.

Zawróciwszy, pan Tagomi skierował się z powrotem do sklepu. W drzwiach stał pan Childan, który nie wszedł jeszcze do środka, tylko stał i czekał.

– Proszę pana – powiedział pan Tagomi – kupię jedną z tych rzeczy, cokolwiek pan wybierze. Nie jestem przekonany, ale obecnie gotów jestem chwycić się wszystkiego. – Znów podszedł za panem Childanem do szklanej gabloty. – Ja nie wierzę. Ale będę to nosił przy sobie i oglądał w regularnych odstępach czasu. Co drugi dzień, na przykład. Po dwóch miesiącach, jeżeli nie dostrzegę…

– Może pan zwrócić za pełną cenę.

– Dziękuję – powiedział pan Tagomi. Poczuł ulgę. Czasem trzeba spróbować czegokolwiek, stwierdził. To nie wstyd. Wprost przeciwnie, oznaka mądrości, rozeznania w sytuacji.

– To panu da spokój – rzekł pan Childan, wyjmując mały srebrny trójkąt ozdobiony otworami w kształcie kropli. Czarny od dołu, jasny i wypełniony światłem od góry.

– Dziękuję – powiedział pan Tagomi.

Pan Tagomi dojechał rikszą do Portsmouth Square, małego, nie ogrodzonego parku na zboczu wzgórza powyżej komisariatu policji przy

Kearny Street. Tam usiadł na ławce w słońcu. Po kamiennych ścieżkach dreptały gołębie w poszukiwaniu okruszyn. Na sąsiednich ławkach jacyś brudni, obszarpani ludzie czytali gazety lub drzemali. Inni posypiali tu i ówdzie na trawie.

Wyjąwszy z kieszeni papierową torebeczkę z nazwą sklepu Roberta Childana, pan Tagomi siedział przez chwilę, trzymając ją w obu dłoniach i wygrzewając się w słońcu. Potem otworzył torebkę i wyciągnął swój nowy nabytek, żeby go obejrzeć w samotności, tutaj, na skwerze starych ludzi.

Uniósł w palcach srebrny kleks. Odbicie południowego słońca, jak premiowa błyskotka z pudełka płatków śniadaniowych, powiększające lusterko Jacka Armstronga. Albo… zajrzał w głąb srebrnego drobiazgu. *OM*, jak mówią bramini. Całość sprowadzona do jednego punktu. Obie rzeczy naraz, choćby w formie aluzji. Wielkość, kształt. Nadal studiował drobny przedmiot z należytą uwagą.

Czy zdarzy się to, co zapowiadał pan Childan? Pięć minut. Dziesięć minut. Będę siedział tak długo, jak tylko się da. Czas, niestety, zmusza nas do przedwczesnych sądów. Co to jest, co trzymam w ręku teraz, kiedy jeszcze jest czas?

Wybacz mi, zwrócił się w myśli pan Tagomi do bryłki metalu. Zawsze coś nas zmusza, żeby wstać i dokądś iść. Z żalem zaczął wkładać przedmiocik do torebki. Ostatnie pełne nadziei spojrzenie… jeszcze raz wpił się wzrokiem w srebrny drobiazg. Jak dziecko, pomyślał. Naśladowanie niewinności i wiary. Na brzegu morza przyciskać przypadkowo znalezioną muszlę do ucha. Słyszeć w jej bełkocie mądrość oceanu.

Tutaj oko zamiast ucha. Wejdź we mnie i powiedz mi, co się zdarzyło, co to znaczy, dlaczego. Całe zrozumienie zamknięte w małej bryłce metalu.

Kto prosi o zbyt wiele, nie dostaje nic.

– Posłuchaj – szepnął do bryłki – gwarancja handlowa obiecywała bardzo dużo.

A może potrząsnąć tym gwałtownie, jak starym opornym zegarkiem. Zrobił to. Albo jak kośćmi w decydującej grze. Obudzić bóstwo w środku. A nuż śpi. Albo jest w podróży. Denerwująca, ciężka ironia proroka Eliasza. A może kogoś ściga. Pan Tagomi jeszcze raz gwałtownie potrząsnął zamkniętą w dłoni srebrną bryłką. Przywołać go głośniej. Jeszcze raz jej się przyjrzał.

Ty drobino, pomyślał. Jesteś pusta.

Zwymyślać ją, powiedział do siebie. Przestraszyć.

– Moja cierpliwość zaraz się skończy – szepnął.

I co wtedy? Wyrzucić do rynsztoka? Pochuchać, potrząsnąć, znowu pochuchać. Wygraj mi tę grę.

Roześmiał się. Idiotyczny obrazek tutaj na ciepłym słońcu. Widowisko dla wszystkich przechodzących. Rozgląda się teraz ukradkiem. Nikt nie patrzy. Staruszkowie drzemią. Pewna ulga pod tym względem.

Próbował wszystkiego, uświadamia sobie. Błagał, kontemplował, groził, filozofował. Co więcej można zrobić?

Gdybym mógł tu zostać. Ale to niemożliwe. Może okazja jeszcze się nadarzy. A jednak, jak powiada W. S. Gilbert, taka okazja się nie powtórzy. Czy to prawda? Mam przeczucie, że tak.

Gdym był dziecięciem, myślałem jako dziecię; lecz gdym się stał mężem, wyniszczyłem, co było dziecinnego… Teraz muszę szukać w innych kategoriach. Muszę rozgryźć ten przedmiot w inny sposób.

Powinienem postępować naukowo. Wyczerpać za pomocą analizy logicznej wszystkie podejścia. Systematycznie. W klasycznym stylu arystotelesowsko-laboratoryjnym.

Zatkał palcem prawe ucho, żeby wyeliminować hałas uliczny i wszelkie inne rozpraszające uwagę dźwięki, po czym przyłożył srebrny trójkąt, jak muszlę, do lewego ucha.

Żadnego dźwięku. Nawet szumu rzekomego oceanu, w rzeczywistości odgłosu pulsowania własnej krwi.

Jaki jeszcze zmysł może zrozumieć tajemnicę? Słuch nic tu nie pomoże, jak widać. Pan Tagomi zamknął oczy i zaczął obmacywać powierzchnię przedmiotu, milimetr po milimetrze. Dotyk nie: palce nic mu nie powiedziały. Zbliżył srebro do nosa i wciągnął powietrze. Słaby zapach metalu, jednak bez żadnego znaczenia. Smak. Otworzywszy usta, wsunął w nie srebrny trójkąt jak krakersa, ale oczywiście go nie rozgryzł. Żadnego znaczenia, tylko coś zimnego, twardego i gorzkiego.

I znowu miał to na dłoni.

Z powrotem do wzroku. Najważniejszy ze zmysłów według greckiej hierarchii. Obracał srebrny trójkąt na wszystkie strony; oglądał go z każdego punktu widzenia *extra rem*.

Co widzę? – zadawał sobie pytanie. Co wynika z tego długiego, cierpliwego, wnikliwego badania? Gdzież jest przebłysk prawdy ukryty w tym przedmiocie?

Poddaj się, mówił do srebrnego trójkąta. Wykrztuś ten swój wielki sekret.

Jak żaba wyciągnięta z głębiny, pomyślał. Trzymana w garści, ma powiedzieć, co znajduje się na dnie. Ale tutaj żaba nawet się nie wyrywa; dusi się w milczeniu, zmienia się w kamień, błoto albo minerał. Bezwładna. Staje się na powrót nieożywioną substancją, powszechną w jej grobowym świecie.

Metal pochodzi z ziemi, myślał, nie przerywając obserwacji. Z dołu, z najniższego, najbardziej gęstego królestwa. Kraina trollów i jaskiń, wilgotna, wiecznie mroczna. Świat *in* w swoim najbardziej ponurym

aspekcie. Świat trupów, rozkładu, odchodów, wszystkiego, co umarło, a teraz rozpada się i osuwa warstwa za warstwą, coraz głębiej. Demoniczny świat niezmiennego czasu, który przeminął.

A jednak srebrny trójkąt błyszczy w blasku słońca. Odbija światło. Ogień, pomyślał pan Tagomi. Nie jest to wcale przedmiot wilgotny i ciemny. Nie ciężki, ospały, lecz pulsujący życiem. A więc górne królestwo, aspekt *jang*; empirejski, eteryczny. Jak przystało dziełu sztuki. Tak, na tym polega zadanie artysty: bierze okruch skały z mrocznej, milczącej ziemi i przekształca go w błyszczący, igrający światłem kształt z nieba. Przywraca mu życie. Trup zajaśniał błyskiem; przeszłość uległa przyszłości.

Czym ty jesteś? – zapytywał srebrnego kleksa. Ciemnym, martwym *in* czy jasnym, żywym *jang*? W jego dłoni bryłka metalu tańczyła i oślepiała; zmrużył oczy, widząc teraz jedynie grę ognia.

Ciało z *in*, dusza z *jang*. Metal i ogień połączone. Zewnętrzne; mikrokosmos w mojej dłoni.

Do jakiej przestrzeni to się odnosi? Pionowe wznoszenie się. Do nieba. W świetlisty świat zmienności. Tak, ten przedmiot wyrzucił wreszcie swego ducha: światło. Przykuł całą moją uwagę; nie potrafię oderwać wzroku. Zauroczenie hipnotyczną, połyskującą powierzchnią, nad którym już nie panuję, od którego nie umiem się uwolnić.

Przemów do mnie teraz, prosił. Teraz, kiedy mnie schwytałeś. Chcę usłyszeć twój głos wydobywający się z oślepiającego jasnego, białego światła, jakie widuje się tylko w życiu pośmiertnym znanym z księgi *Bardo Thödol*. Ja jednak nie muszę czekać na śmierć, na rozkład mojego ducha wędrującego w poszukiwaniu nowego ciała. Pomińmy wszystkie przerażające i dobroczynne bóstwa, jak również kopulujące pary. Wszystko

z wyjątkiem światła. Jestem gotów stanąć bez lęku. Zobacz, nawet nie drgnę.

Czuję, jak porywa mnie gorący wicher karmy. Mimo to zostaję tutaj. Uczono mnie słusznie: nie wolno cofać się przed czystym białym światłem, bo kto się cofa, musi powtarzać cykl narodzin i śmierci, nie wiedząc, co to wolność, bez nadziei na wyzwolenie. Maja znowu spuści zasłonę, jeżeli…

Światło zgasło.

Trzymał w palcach jedynie matowy kawałek srebra. Cień przysłonił słońce; pan Tagomi spojrzał w górę.

Wysoki policjant w granatowym mundurze z uśmiechem stoi przy jego ławce.

– Słucham? – odezwał się zaskoczony pan Tagomi.

– Przyglądałem się, jak pan rozwiązuje tę łamigłówkę.

– Łamigłówkę? – powtórzył pan Tagomi. – To nie jest łamigłówka.

– Myślałem, że to jedna z tych małych łamigłówek. Mój syn ma ich całą masę. Niektóre są bardzo trudne.

Policjant odszedł.

Zmarnowana szansa na nirwanę, pomyślał pan Tagomi. Uciekła. Przerwana przez białego, barbarzyńskiego, neandertalskiego jankesa. Ten podczłowiek uznał, że rozwiązuję dziecinną łamigłówkę.

Wstawszy z ławki, zrobił kilka niepewnych kroków. Muszę się uspokoić. Okropne, pospolite, szowinistyczne inwektywy poniżej mojej godności.

Niewiarygodne, niewybaczalne pasje ścierają się w mojej piersi. Ruszył ścieżką. Iść przed siebie, powiedział. Katharsis przez ruch.

Doszedł do końca skweru. Chodnik, Kearny Street. Wielki, hałaśliwy ruch na jezdni. Pan Tagomi zatrzymał się na skraju chodnika.

Nie było widać ani jednej rikszy, poszedł więc chodnikiem, włączył się w tłum. Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebne.

Boże, a to co? Stanął, wytrzeszczając oczy na obrzydliwą, niekształtną bryłę na tle nieba. Jak koszmarna kolejka górska z wesołego miasteczka szpecąca widok. Olbrzymia konstrukcja z metalu i cementu zawieszona w powietrzu.

Pan Tagomi zwrócił się do przechodnia, chudego mężczyzny w wymiętym garniturze.

– Co to jest? – spytał, wskazując palcem.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Okropne, prawda? To autostrada Embarcadero. Większość ludzi uważa, że zapaskudza widok.

– Nigdy dotąd tego nie widziałem – powiedział pan Tagomi.

– Miał pan szczęście – odparł mężczyzna i odszedł.

Szalony sen, pomyślał pan Tagomi. Muszę się obudzić. Gdzie się dziś podziały riksze? Przyśpieszył kroku. Wszystko było skąpane w jakimś dymnoszarym, grobowym sosie. Woń spalenizny. Zamglone, szare budynki, chodnik, jakiś szczególny pośpiech u ludzi. I nadal ani jednej rikszy.

– Riksza! – zawołał, nie zwalniając kroku.

Beznadziejne. Tylko samochody i autobusy. Auta jak wielkie, brutalne kruszarki, żadnych znajomych kształtów. Starał się ich nie widzieć, patrzył wprost przed siebie. Szczególnie złośliwe zniekształcenie percepcji wizualnej, myślał. Horyzont też powykręcany. Jak śmiertelny astygmatyzm spadający bez ostrzeżenia.

Potrzebna mi jest chwila wytchnienia. Tuż przede mną jakaś obskurna jadłodajnia, w środku sami biali, wszyscy jedzą. Pan Tagomi pchnął drewniane drzwi wahadłowe. Zapach kawy. W kącie ryczy jakaś groteskowa szafa grająca; skrzywił się i podszedł do lady. Wszystkie miejsca zajęte przez białych. Pan Tagomi podniósł głos. Kilku białych

spojrzało w jego stronę. Ale żaden się nie ruszył! Żaden nie ustąpił mu miejsca! Po prostu jedli dalej.

– Ja nalegam! – rzucił pan Tagomi do najbliższego białego; krzyknął mu prawie do ucha.

Mężczyzna odstawił filiżankę z kawą.

– Uważaj, Tojo – powiedział.

Pan Tagomi rozejrzał się po sali; wszyscy przyglądali mu się wrogo. I nikt się nie ruszył.

Świat z *Bardo Thödol*, pomyślał pan Tagomi. Gorący wiatr niosący mnie nie wiadomo dokąd. To jest wizja… ale czego? Czy dusza potrafi to znieść? Tak, Księga Zmarłych przygotowuje nas do tego; po śmierci dostrzegamy innych ludzi, ale wszyscy wydają się wrogo nastawieni. Jest się izolowanym. Pozbawionym oparcia. Straszliwa podróż i wszędzie światy cierpienia i nowych narodzin, gotowe przyjąć uciekającą, zastraszoną duszę. Omamy.

Wybiegł z jadłodajni. Drzwi zamknęły się za nim; znowu był na ulicy.

Gdzie ja jestem? Wyrwany ze swego świata, ze swego czasu i przestrzeni.

Ten srebrny trójkąt mnie zdezorientował. Zerwałem się z kotwicy, straciłem grunt pod nogami. Oto rezultat moich wysiłków. Lekcja na całe życie. Człowiek nie wierzy własnym zmysłom… i dlaczego? Żeby błąkać się bez map i drogowskazów?

Stan hipnagogiczny. Zdolność postrzegania zmniejszona jak w półmroku; świat widziany wyłącznie w symbolicznym, archetypowym aspekcie, totalnie przemieszanym z materiałem nieświadomości. Typowe dla wywołanego hipnozą somnambulizmu. Muszę skończyć z tym przerażającym snuciem się wśród cieni; skoncentrować się i odzyskać równowagę psychiczną.

Poszukał w kieszeniach srebrnego trójkąta. Nie ma. Na ławce w parku razem z teczką. Katastrofa.

Zgięty wpół pobiegł z powrotem na skwer.

Drzemiący włóczędzy przyglądali mu się ze zdziwieniem, kiedy śpieszył alejką. Jest ławka. I oparta o nią teczka. Ale ani śladu srebrnego trójkąta. Poszukiwania. Tak, wpadł w trawę; leży częściowo zasłonięty. Tam, gdzie go cisnął w gniewie.

Usiadł, ciężko dysząc.

Skoncentrować się na srebrnym trójkącie ponownie, pomyślał, kiedy wrócił mu oddech. Wpatrzyć się w niego z całą siłą i liczyć. Przy dziesięciu wydać przenikliwy okrzyk. *Erwache* na przykład.

Idiotyczne marzenia na jawie typu eskapistycznego, pomyślał. Naśladownictwo najbardziej niezdrowych objawów wieku dojrzewania raczej niż jasna, czysta niewinność autentycznego dzieciństwa. Akurat to, na co zasługuję.

Wszystko to moja własna wina, nie zamiar pana Childana czy rzemieślnika. Jedyną przyczyną moja własna zachłanność. Nie można zrozumienia osiągać na siłę.

Liczył powoli, na głos, a potem zerwał się na równe nogi.

– Przeklęta głupota! – zawołał.

Czy zamroczenie ustąpiło?

Rozejrzał się dokoła. Nieostrość ustąpiła, jak się wydaje. Po tym można docenić celne słowa świętego Pawła… „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno”. To nie przenośnia, lecz trafne powołanie się na odkształcenie optyczne. My rzeczywiście widzimy astygmatycznie w fundamentalnym sensie: nasza przestrzeń i czas są wytworami naszej własnej psychiki i mogą ulegać chwilowym zniekształceniom, jak przy ostrym zaburzeniu błędnika.

Chwiejemy się wówczas ekscentrycznie, tracąc wszelkie poczucie równowagi.

Pan Tagomi usiadł, schował srebrną bryłkę do kieszeni marynarki i zastygł z teczką na kolanach. Powinienem teraz pójść, powiedział sobie, i zobaczyć, czy ta zwyrodniała konstrukcja… jak ten człowiek ją nazwał? Autostrada Embarcadero. Czy nadal tam straszy.

Zabrakło mu jednak odwagi.

Przecież nie mogę tu siedzieć bez końca, pomyślał. Robota czeka, jak mawia tutejszy lud.

Dylemat.

Dwaj mali Chińczycy, dokazując hałaśliwie, przechodzili alejką. Zerwało się stadko gołębi, chłopcy przystanęli.

– Hej, malcy! – zawołał pan Tagomi, sięgając do kieszeni. – Chodźcie tutaj.

Chłopcy podeszli ostrożnie.

– Macie tu dziesiątkę. – Pan Tagomi rzucił im monetę; chłopcy wyszarpywali ją sobie. – Zejdźcie na Kearny Street i zobaczcie, czy są jakieś riksze. Potem wróćcie i powiedzcie mi.

– A dostaniemy jeszcze jedną dziesiątkę, kiedy wrócimy?

– Tak – zgodził się pan Tagomi. – Tylko powiedzcie mi prawdę.

Chłopcy pobiegli alejką.

Jeżeli nie będzie riksz, myślał pan Tagomi, powinienem udać się w odludne miejsce i zabić się. Zaciskał dłonie na teczce. Nadal mam broń; pod tym względem żadnych trudności.

Mali Chińczycy wrócili pędem.

– Sześć! – wrzeszczał jeden. – Naliczyłem sześć!

– Ja widziałem pięć – sapał drugi.

– Jesteście pewni, że to były riksze? – spytał pan Tagomi. – Widzieliście wyraźnie ludzi, którzy pedałowali?

– Tak, proszę pana – odpowiedzieli chórem.

Dał chłopcom po dziesiątaku. Podziękowali i pobiegli.

Z powrotem do biura i pracy, pomyślał pan Tagomi. Wstał, ściskając rączkę teczki. Obowiązki wzywają. Znowu dzień powszedni.

Jeszcze raz poszedł alejką do ulicy.

– Riksza! – krzyknął.

Ze strumienia pojazdów wyjechała riksza i zatrzymała się przy skraju chodnika; ciemna twarz rikszarza błyszczała od potu, pierś pracowała ciężko.

– Jedź do budynku Nippon Times! – nakazał mu pan Tagomi. Wszedł do rikszy i usadowił się wygodnie.

Wściekle pedałując, rikszarz pomknął wśród innych pojazdów.

Było prawie południe, kiedy pan Tagomi dotarł do budynku Nippon Times. Z głównego hallu kazał telefonistce, żeby połączyła go z panem Ramseyem na górze.

– Tu Tagomi – odezwał się, gdy podniesiono słuchawkę.

– Dzień dobry panu. Bardzo się cieszę. Nie widząc pana, z niepokojem o dziesiątej zadzwoniłem do pańskiego domu, ale żona powiedziała, że wyszedł pan w nieznanym kierunku.

– Czy zrobiono porządek? – spytał pan Tagomi.

– Żadnego śladu.

– Z całą pewnością?

– Ręczę słowem, proszę pana.

Uspokojony pan Tagomi odłożył słuchawkę i udał się do windy.

Na górze, wkraczając do biura, pozwolił sobie na błyskawiczną inspekcję. Kątem oka. Ani śladu, zgodnie z obietnicą. Poczuł ulgę. Kto nie

widział, niczego się nie domyśli. Czas przeszły zaklęty w plastikowe płytki podłogi.

W biurze przywitał go pan Ramsey.

– Pańska odwaga jest tematem panegiryku w dzisiejszym „Timesie” – zaczął. – Artykuł opisujący… – Oceniwszy wyraz twarzy pana Tagomiego, urwał w pół słowa.

– Odpowiedzi w palących kwestiach – powiedział pan Tagomi. – Generał Tedeki? To jest *quondam* pan Yatabe?

– W starannie zakamuflowanym rejsie do Tokio. Fałszywe tropy w różnych kierunkach. – Pan Ramsey skrzyżował palce, wyrażając w ten sposób nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie.

– Proszę o informację o panu Baynesie.

– Nie wiem nic. Podczas pańskiej nieobecności pojawił się na krótko, wręcz ukradkowo, ale nic nie mówił. – Pan Ramsey zawahał się. – Pewnie wrócił do Niemiec.

– Znacznie lepiej dla niego byłoby udać się na Wyspy – powiedział pan Tagomi, głównie do siebie. W każdym razie ich główną troską był stary generał. I sprawa przekracza zakres moich obowiązków, myślał pan Tagomi. Moich i mojego biura; wykorzystali mnie, co oczywiście było właściwe i słuszne. Byłem dla nich… jak się to nazywa? Przykrywką.

Jestem maską kryjącą rzeczywistość. Za moimi plecami, ukryte, toczy się prawdziwe życie, zabezpieczone przed wzrokiem wścibskich.

Dziwne, myślał. Jak ważną rolę odgrywa czasem tekturowa fasada. Jest w tym przebłysk satori, gdybym tylko potrafił go uchwycić. Cel w ogólnym planie iluzji, gdybyśmy mogli go zgłębić. Prawo ekonomii: nic nie jest zbyteczne. Nawet nierzeczywistość. Ileż w tym wyszukania.

Weszła panna Ephreikian, wyraźnie podniecona.

– Panie Tagomi, przysłała mnie recepcja.

– Proszę się uspokoić – powiedział pan Tagomi. Prąd czasu nas popędza, pomyślał.

– Proszę pana, jest tutaj konsul niemiecki. Chce z panem rozmawiać. – Spoglądała to na niego, to na pana Ramseya, twarz miała nienaturalnie bladą. – Mówią, że był tutaj już wcześniej, ale ponieważ wiedzieli, że pana…

Pan Tagomi uciszył ją ruchem ręki.

– Panie Ramsey, proszę przypomnieć mi nazwisko konsula.

– *Freiherr* Hugo Reiss, proszę pana.

– Teraz sobie przypominam. – No cóż, pomyślał, może pan Childan oddał mi niezamierzoną przysługę. Odmawiając przyjęcia broni.

Nie wypuszczając teczki z ręki, wyszedł na korytarz.

Stał tam szczupły, elegancko ubrany biały. Krótko przycięte, pomarańczowe włosy, lśniące czarne lakierki, prosta postawa. I niemęska cygarniczka z kości słoniowej. Niewątpliwie to on.

– *Herr* Reiss? – spytał pan Tagomi.

Niemiec ukłonił się.

– Faktem jest – powiedział pan Tagomi – że w przeszłości załatwialiśmy sprawy listownie i telefonicznie. Ale do dzisiaj nie spotkaliśmy się oko w oko.

– To zaszczyt – powiedział *Herr* Reiss, robiąc krok w jego stronę. – Nawet zważywszy na denerwująco nieprzyjemne okoliczności.

– Wątpię – odparł pan Tagomi.

Niemiec uniósł brew.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział pan Tagomi. – Moja świadomość jest zaćmiona z powodu wspomnianych okoliczności. Kruchość tego, co z prochu powstało, można powiedzieć.

– To okropne – zauważył *Herr* Reiss, potrząsając głową. – Kiedy usłyszałem…

– Zanim pan zacznie swoją litanię, niech mi pan pozwoli coś powiedzieć – przerwał mu pan Tagomi.

– Ależ oczywiście.

– Ja osobiście zastrzeliłem pańskich dwóch ludzi z SD.

– Byłem wzywany przez miejscową policję – powiedział *Herr* Reiss, spowijając ich obu w obłok zjadliwego dymu papierosowego. – Spędziłem kilka godzin w gmachu policji przy Kearny Street i w kostnicy, a później studiowałem zeznania, które pańscy ludzie złożyli inspektorom policji prowadzącym śledztwo. Wszystko to było absolutnie przerażające, od początku do końca.

Pan Tagomi nie odezwał się.

– Jednak – podjął *Herr* Reiss – posądzenie, że ci bandyci mieli jakiekolwiek powiązania z Rzeszą, nie zostało potwierdzone. Jeśli o mnie chodzi, cała ta sprawa jest szaleństwem. Jestem przekonany, że postąpił pan absolutnie słusznie, panie Tagori.

– Tagomi.

– Oto moja dłoń – powiedział konsul, wyciągając rękę. – Uściśnijmy sobie dłonie, żeby zakończyć tę sprawę. Rzecz jest niewarta sporu, zwłaszcza w naszych niebezpiecznych czasach, kiedy głupi rozgłos może rozpalić namiętności tłumu ze szkodą dla interesów obu naszych narodów.

– Mimo to na mojej duszy ciąży wina – powiedział pan Tagomi. – Krwi, *Herr* Reiss, nie można wymazać jak atramentu.

Konsul wyglądał na wielce zakłopotanego.

– Pragnę przebaczenia – ciągnął pan Tagomi. – Pan jednak nie może mi go dać. Prawdopodobnie nikt nie może tego zrobić. Mam zamiar przeczytać

słynne pamiętniki dawnego teologa z Massachusetts, Goodmana C. Mathera. Dotyczą, jak mi powiedziano, winy, piekła i tak dalej.

Konsul palił nerwowo papierosa, wpatrując się z napięciem w pana Tagomiego.

– Niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie, że pański naród jest w przededniu pogrążenia się w zbrodnie przekraczające dotychczasowe. Zna pan heksagram Otchłań? Mówiąc jako osoba prywatna, niejako reprezentant władz japońskich, oświadczam: serce chore z przerażenia. Rozlew krwi przechodzący wszelkie wyobrażenie. A pan nawet w takiej chwili dąży do swoich małych, egoistycznych celów. Utrzeć nosa tym z rywalizującej frakcji, z SD, co? Pan kopie dołki pod *Herr* Kreuzem vom Meere, a tymczasem… – Nie mógł mówić dalej. Poczuł skurcz w piersi. Jak w dzieciństwie, pomyślał. Astma, kiedy był zły na matkę. *Herr* Reiss zgasił papierosa. – Cierpię – wyjaśnił pan Tagomi – na tę chorobę od dawna, ale przybrała ostrą formę od dnia, kiedy słuchałem bezsilnie o wybrykach pańskich przywódców. Teraz możliwości terapeutyczne równe zeru. To samo dotyczy pana. Mówiąc językiem Goodmana C. Mathera, jeżeli dobrze pamiętam: Czyńcie pokutę!

– Pamięta pan dobrze – powiedział ochryple niemiecki konsul i drżącymi palcami zapalił nowego papierosa.

Z sekretariatu wyszedł pan Ramsey; niósł plik papierów.

– Korzystając z obecności konsula. Zwykła procedura związana z jego funkcją – powiedział do pana Tagomiego, który stał w milczeniu, usiłując bezboleśnie złapać oddech.

Pan Tagomi mechanicznie wziął papiery. Rzucił na nie okiem. Druk 20/50 Rządu Rzeszy za pośrednictwem swego przedstawiciela w PSA konsula Hugo Reissa żąda ekstradycji przestępcy zatrzymanego przez policję miasta San Francisco. Żyda nazwiskiem Frank Fink, obywatela

niemieckiego, na podstawie prawa Rzeszy z czerwca 1960 roku. Celem umieszczenia w areszcie ochronnym et cetera. Pobieżnie przerzucił tekst.

– Pióro, proszę pana – rzekł pan Ramsey. – To na dzisiaj kończy sprawy z rządem niemieckim. – Podając pióro panu Tagomiemu, spojrzał z pogardą na konsula.

– Nie – powiedział pan Tagomi i zwrócił formularz panu Ramseyowi. Zaraz jednak wyrwał go z powrotem i napisał na dole: „Zwolnić. Główna Misja Handlowa, Oddział San Francisco. Vide Protokół Wojskowy 1947. Tagomi". Wręczył jedną kopię konsulowi, pozostałe wraz z oryginałem oddał panu Ramseyowi. – Do widzenia, *Herr* Reiss – rzekł i ukłonił się.

Konsul również się skłonił. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć na dokument.

– Proszę w przyszłości załatwiać sprawy za pośrednictwem takich urządzeń jak poczta i telefon – dodał pan Tagomi. – Nie osobiście.

– Pan mnie obarcza odpowiedzialnością za ogólną sytuację, wykraczającą poza moją jurysdykcję – poskarżył się konsul.

– Gówno – odparł pan Tagomi. – Tyle panu odpowiem.

– W ten sposób nie załatwia się spraw między ludźmi kulturalnymi – powiedział konsul. – Pan wprowadza element zawziętości i mściwości tam, gdzie powinno się stosować formy urzędowe, bez osobistych uprzedzeń. – Rzucił niedopałek na podłogę, potem odwrócił się i odszedł.

– Niech pan zabierze swój śmierdzący papieros – powiedział pan Tagomi słabym głosem, ale konsul był już za rogiem. – Dziecinne zachowanie – zwrócił się do pana Ramseya. – Był pan świadkiem odrażającego dziecinnego zachowania. – Niepewnym krokiem wrócił do swojego gabinetu. Zupełnie nie mógł złapać oddechu. Ból spłynął wzdłuż lewej ręki i jednocześnie jakaś wielka dłoń ścisnęła mu klatkę piersiową. Uf, jęknął. Przed nim zamiast dywanu deszcz iskier, zbliżający się, czerwony.

Ratunku, panie Ramsey, chciał powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Wyciągnął przed siebie ręce, zatoczył się. Nie ma się nawet o co oprzeć.

Padając, ścisnął w kieszeni marynarki trójkątną bryłkę srebra, na którą go namówił pan Childan. Nie uratowała mnie, pomyślał. Nie pomogła. Tyle wysiłku.

Jego ciało zderzyło się z podłogą. Dłonie i kolana, bolesny oddech, dywan przy nosie. Pan Ramsey teraz podbiega, wydając nieartykułowane dźwięki. Nie trać równoważności, pomyślał pan Tagomi.

– Mam lekki atak serca – zdołał tylko powiedzieć.

Teraz już kilka osób przenosiło go na kanapę.

– Niech pan się uspokoi – mówił ktoś.

– Proszę zawiadomić żonę – powiedział pan Tagomi.

Po chwili usłyszał sygnał karetki pogotowia. Zawodzenie syreny z ulicy. Wielkie zamieszanie. Ludzie wchodzą i wychodzą. Przykrywają go kocem, zdejmują krawat, rozluźniają kołnierzyk.

– Już lepiej – mówi pan Tagomi. Leży wygodnie, nie próbując się ruszać. Kariera skończona, tak czy owak, myśli. Niemiecki konsul niewątpliwie awansuje. Złoży skargę na niegrzeczne zachowanie. Ma powód, chyba. W każdym razie praca wykonana. To, co mogłem, moja część. Reszta należy do Tokio i frakcji w Niemczech. Walka nie na moją skalę.

A ja myślałem, że chodzi o plastiki. Poważny dostawca form wtryskowych. Wyrocznia zgadła i zasygnalizowała, ale…

– Zdjąć mu koszulę! – rozkazał jakiś głos. Zapewne miejscowy lekarz. Wielce autorytatywny ton; pan Tagomi uśmiechnął się. Ton jest ważny.

A może to właśnie jest odpowiedź? – zastanowił się pan Tagomi. Tajemnica organizmu, jego własna mądrość. Czas odejść. Albo częściowo się wycofać. Decyzja, której muszę się podporządkować.

Co powiedziała wyrocznia ostatnim razem? Na jego pytanie w biurze o tych dwóch, umierającego i zabitego? Sześćdziesiąt jeden. Wewnętrzna Prawda. Świnie i ryby są najmniej inteligentne ze wszystkich stworzeń; trudno je przekonać. To ja. Księga miała na myśli mnie. Nigdy do końca nie zrozumiem; taka jest natura tych stworzeń. A może Wewnętrzna Prawda to jest to, co teraz dzieje się ze mną?

Poczekam. Zobaczę. Co jest prawdą.

Może i to, i to.

Tego wieczoru, zaraz po posiłku, funkcjonariusz policji wszedł do celi Franka Frinka i kazał mu odebrać rzeczy z depozytu.

Po chwili Frank znalazł się przed budynkiem policji na Kearny Street wśród tłumu przechodniów, trąbiących autobusów, samochodów i pokrzykujących rikszarzy. Powietrze było chłodne. Przed każdym budynkiem ścieliły się długie cienie. Frank Frink stał przez chwilę, a potem automatycznie dołączył do gromady ludzi przechodzących przez jezdnię.

Aresztowali mnie bez powodu, myślał. Bez żadnego celu. A potem w ten sam sposób mnie puszczają.

Nic mu nie powiedzieli, po prostu oddali mu worek z odzieżą, portfel, zegarek, okulary, kilka osobistych drobiazgów i zajęli się następną sprawą, starym pijakiem przyprowadzonym z ulicy.

Cud, myślał. Że mnie puścili. Jakaś pomyłka. Według wszelkich zasad powinienem znajdować się w samolocie lecącym do Niemiec, w celu eksterminacji.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ani w aresztowanie, ani teraz w to. Nierzeczywiste. Szedł, mijając zamknięte sklepy, depcząc po śmieciach niesionych wiatrem.

Nowe życie, pomyślał. Jak powtórne narodziny.

Komu mam dziękować? Modlić się może?

Modlić się do kogo?

Chciałbym móc to zrozumieć, mówił sam do siebie, idąc zatłoczonym wieczornym chodnikiem, wśród neonów i hałasu bijącego z otwartych drzwi barów przy Grant Avenue. Chcę to pojąć. Muszę.

Ale wiedział, że nigdy nie pojmie.

Po prostu ciesz się, myślał. I rób swoje.

A jakaś część umysłu podpowiedziała: I wracaj do Eda. Musisz znaleźć drogę do warsztatu w piwnicy. Wrócić do tego, co ci przerwano, robić biżuterię, pracować rękami.

Przecznica za przecznicą śpieszył przez miasto w zapadającym mroku, chcąc jak najszybciej wrócić do swego stałego, zrozumiałego miejsca.

Kiedy tam dotarł, zastał Eda McCarthy’ego zajadającego przy warsztacie kolację. Dwie kanapki, termos z herbatą, banan, kilka ciasteczek. Frank Frink, zdyszany, stanął w drzwiach.

Ed usłyszał go i odwrócił głowę.

– Myślałem, że już nie żyjesz – odezwał się, przełknął i odgryzł następny kęs.

Ed miał przy warsztacie mały elektryczny piecyk. Frank podszedł do niego i przykucnął, ogrzewając dłonie.

– Dobrze, że wróciłeś – powiedział Ed. Walnął Franka dwa razy po plecach i zajął się znowu swoją kanapką. Nie powiedział nic więcej, jedynymi dźwiękami był szum piecyka i odgłos żucia.

Powiesiwszy marynarkę na oparciu krzesła, Frank wybrał garść nie dokończonych srebrnych elementów i przeniósł je na warsztat. Założył na polerkę wojłokową tarczę, włożył maskę chroniącą oczy, włączył silnik,

a potem usiadł na stołku i zaczął oczyszczać elementy biżuterii z czarnej łuski.

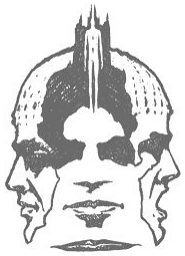

15

Kapitan Rudolf Wegener, obecnie podróżujący pod nazwiskiem Conrada Goltza, hurtowo handlującego lekami, wyglądał przez okienko należącej do Lufthansy rakiety ME9-E. Już Europa. Jak szybko, myślał. Za siedem minut wylądujemy na Tempelhofer Feld.

Ciekawe, czy coś osiągnąłem, myślał, obserwując zbliżającą się ziemię. Teraz wszystko jest w rękach generała Tedekiego. Co mu się uda zdziałać w Tokio? W każdym razie przekazaliśmy im informację. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

Ale, myślał, nie ma powodu do optymizmu. Może Japończycy nie mogą wywrzeć żadnego wpływu na wewnętrzną politykę Niemiec. Rząd Goebbelsa jest u władzy i jeżeli się utrzyma, to po okresie konsolidacji wróci zapewne do planu Dmuchawiec. I kolejna wielka połać planety zostanie zniszczona wraz z ludnością w imię szalonej, fanatycznej idei.

A jeżeli w końcu naziści zniszczą ją całą? Pozostawią tylko martwy popiół? Mając bombę wodorową, mogliby to zrobić. I niewątpliwie zrobiliby – ich myślenie zawsze ciążyło w stronę *Gotterdammerung*. Mogą nawet tego pragnąć, dążyć aktywnie do ostatecznej zagłady wszystkiego.

Co pozostanie po tym trzecim światowym szaleństwie? Czy będzie to koniec wszelkiego życia, wszędzie? Kiedy Ziemia stanie się planetą martwą, zamordowaną przez nas samych?

Nie mógł w to uwierzyć. Nawet jeżeli wszelkie życie na naszej planecie ulegnie zagładzie, musi istnieć jakieś inne życie, o którym nic nie wiemy. To niemożliwe, żeby nasz świat był jedyny; muszą istnieć inne, niewidoczne dla nas, w jakichś innych miejscach lub wymiarach, których nie postrzegamy naszymi zmysłami.

Mimo że nie potrafię tego udowodnić, mimo że to nie jest logiczne, ja w to wierzę, pomyślał.

– *Meine Damen und Herren. Achtung, bitte* – odezwał się głośnik.

Podchodzimy do lądowania, stwierdził kapitan Wegener. Prawie na pewno czeka na mnie Sicherheitsdienst. Pytanie, jaka to będzie frakcja policji? Ludzie Goebbelsa czy Heydricha? Zakładając, że generał SS Heydrich jeszcze żyje. Podczas gdy ja znajdowałem się na pokładzie tej rakiety, mogli go wytropić i zastrzelić. W państwach totalitarnych wydarzenia biegną szybko, gdy dochodzi do zmiany władzy. W nazistowskich Niemczech istniały wystrzępione spisy nazwisk, nad którymi zastanawiano się od dawna…

Kilka minut później, kiedy rakieta wylądowała, był już na nogach i z płaszczem przerzuconym przez ramię zmierzał do wyjścia. Za nim i przed nim niecierpliwi pasażerowie. Tym razem nie ma Lotzego, młodego nazistowskiego artysty, który by mnie zadręczał swoimi kretyńskimi poglądami.

Umundurowany pracownik linii lotniczej, wystrojony, zauważył Wegener, jak sam marszałek Rzeszy, sprowadzał ich pojedynczo po rampie na płytę lotniska, gdzie stała grupka czarnych koszul. Po mnie? Wegener

zaczął powoli schodzić. Tam, nieco dalej, czekają mężczyźni i kobiety, machają, nawołują… są nawet dzieci.

Ktoś z czarnych koszul, blondyn z płaską twarzą i nieruchomym spojrzeniem, w mundurze z oznakami Waffen-SS, podszedł po wojskowemu do Wegenera, strzelił obcasami i zasalutował.

– *Ich bitte mich zu entschuldigen. Sind Sie nicht Kapitän Rudolf Wegener, von der Abwehr?*

– Niestety – odparł Wegener. – Jestem Conrad Goltz. Przedstawiciel A.G. Chemikalien, zaopatrzenie medyczne. – Ruszył dalej.

Podeszli do niego dwaj inni esesmani. Wszyscy trzej szli tuż za nim, tak więc, mimo że zmierzał własnym tempem w swoim kierunku, szybko i sprawnie został faktycznie aresztowany. Dwaj z esesmanów mieli pod rozpiętymi płaszczami pistolety maszynowe.

– Pan jest Wegener – powiedział jeden z nich, kiedy weszli do budynku.

Nie odezwał się.

– Mamy samochód – mówił esesman. – Dostaliśmy polecenie być przy lądowaniu, skontaktować się z panem i zabrać pana natychmiast do generała SS Heydricha, który wraz z Seppem Dietrichem przebywa w sztabie Leibstandarte Division. W szczególności mamy nie dopuścić do kontaktu pana z przedstawicielami Wehrmachtu i partii.

Więc nie zostanę zastrzelony, powiedział sobie Wegener. Heydrich żyje, jest w bezpiecznym miejscu i chce wzmocnić swoją pozycję wobec rządu Goebbelsa.

Może jeszcze rząd Goebbelsa upadnie, myślał, gdy go prowadzono do sztabowego daimlera SS. Oddział Waffen-SS nagle w nocy zmieni pozycję; obejmie wartę przy Kancelarii Rzeszy. W Berlinie komisariaty policji zaczną nagle wypluwać na wszystkie strony uzbrojone grupy SD.

Radiostacje i elektrownie wyłączone, Tempelhofer zamknięte. Huk ciężkich dział w ciemnościach na głównych ulicach.

Ale cóż z tego? Nawet jeżeli doktor Goebbels straci władzę i plan Dmuchawiec zostanie odrzucony? Nadal będą istnieć czarne koszule, partia, plany podboju, jeżeli nie Wschodu, to innych terenów. Choćby Marsa i Wenus.

Nic dziwnego, że pan Tagomi nie wytrzymał, pomyślał. Straszliwy dylemat naszego życia. Cokolwiek się zdarzy, zło zawsze zwycięża. Po cóż więc walczyć? Po co dokonywać wyboru, skoro wszystko prowadzi do tego samego…?

Widocznie żyjemy tak, jak żyliśmy zawsze, z dnia na dzień. Teraz działamy przeciwko planowi Dmuchawiec. Później, w innym momencie, będziemy zwalczać policję. Ale nie możemy zrobić wszystkiego naraz, musi być kolejność. Rozwijający się proces. Możemy zmierzać do celu, jedynie dokonując wyboru przed każdym krokiem.

Wolno nam tylko mieć nadzieję. I robić, co się da, myślał.

Może w jakimś innym świecie sprawy wyglądają inaczej. Lepiej. Wybór między dobrem i złem jest tam oczywisty. Nie ma tych podejrzanych dodatków, tych mieszanek, których składu nie potrafimy ustalić.

Nie żyjemy w świecie idealnym, takim, jaki chcielibyśmy mieć, gdzie moralność jest prosta, ponieważ łatwo odróżnić dobro od zła. Gdzie bez trudu można postępować słusznie, bo droga jest oczywista.

Daimler ruszył z kapitanem Wegenerem na tylnym siedzeniu, esesmani po obu jego stronach z pistoletami maszynowymi na kolanach. Za kierownicą jeszcze jedna czarna koszula.

Przypuśćmy, że to podstęp, nawet teraz, myślał Wegener, podczas gdy samochód z wielką szybkością przedzierał się między innymi pojazdami. Nie wiozą mnie do generała SS Heydricha w sztabie Leibstandarte

Division; wiozą mnie do partyjnego więzienia, żeby mnie torturować i zabić. Ale ja już wybrałem; wybrałem powrót do Niemiec; wybrałem ryzyko aresztowania, zanim dotrę do ludzi z Abwehry i ochrony.

Śmierć w każdej chwili, oto jedyna droga, która zawsze stoi przed nami otworem. I wybieramy ją w końcu wbrew samym sobie. Albo rezygnujemy i decydujemy się na nią świadomie. Obserwował mijane berlińskie domy. Mój własny *Volk*, myślał, znowu jesteśmy razem.

– Jak tam sprawy? – zwrócił się do esesmanów. – Coś nowego w sytuacji politycznej? Nie było mnie przez kilka tygodni, wyjechałem przed śmiercią Bormanna.

Esesman z prawej odpowiedział:

– Jest oczywiście histeryczne poparcie tłumów dla Małego Doktora. To tłum wyniósł go do władzy. Kiedy jednak górę wezmą trzeźwiejsze elementy, jest mało prawdopodobne, że zechcą poprzeć kalekę i demagoga, który podżega tłumy kłamstwami i magią.

– Rozumiem – powiedział Wegener.

Wszystko jak dawniej, pomyślał. Międzyfrakcyjna nienawiść. Może w tym kryje się ziarno. W końcu pożrą się nawzajem i tych, co przeżyją, zostawią w spokoju. Tyle, żeby jeszcze raz budować, żyć nadzieją i snuć nieskomplikowane plany na przyszłość.

O pierwszej po południu Juliana Frink dojechała do Cheyenne w stanie Wyoming. W centrum handlowym naprzeciwko olbrzymiego budynku starego dworca kolejowego zatrzymała się przy trafice i kupiła dwie popołudniowe gazety. Przeglądała je w zaparkowanym samochodzie, aż znalazła to, co jej było potrzebne.

TRAGICZNY FINAŁ WAKACJI

Poszukiwana w sprawie śmiertelnego zranienia męża w szykownym apartamencie hotelu „Prezydent Garner” w Denver pani Cinnadella z Canon City, według zeznań pracowników, opuściła hotel bezpośrednio po tragicznym finale przypuszczalnej kłótni małżeńskiej. Pani Cinnadella, opisywana jako ciemnowłosa, atrakcyjna, dobrze ubrana i szczupła kobieta w wieku lat około trzydziestu, jak wszystko wskazuje, podcięła mężowi gardło znalezionymi w pokoju żyletkami, które, jak na ironię, hotel dostarcza dla wygody gości. Ciało zostało znalezione przez Theodore’a Ferrisa, pracownika hotelu, który zaledwie pół godziny wcześniej wziął do odprasowania koszule Joego Cinnadelli i odnosząc je, ujrzał w pokoju makabryczny widok. Pokój hotelowy, jak stwierdziła policja, wykazuje ślady walki, sugerujące gwałtowną kłótnię…

Więc on nie żyje, pomyślała Juliana, składając gazetę. I nie znają mojego prawdziwego nazwiska; nie wiedzą, kim jestem ani w ogóle nic o mnie.

Znacznie spokojniejsza pojechała dalej, aż znalazła odpowiedni motel; zajęła tam pokój i przeniosła swoje rzeczy z samochodu. Teraz już nie muszę się śpieszyć, powiedziała sobie. Z pójściem do Abendsenów mogę zaczekać nawet do wieczora; dzięki temu mogłabym włożyć nową sukienkę. Nie wypada pokazywać się w niej w ciągu dnia, nie nosi się takiej wieczorowej sukni przed kolacją.

Mogę też skończyć książkę.

Rozgościła się w pokoju, włączyła radio, przyniosła sobie kawę z baru i ułożyła się na schludnie zasłanym łóżku z dziewiczym egzemplarzem *Szarańczy*, który kupiła w hotelu w Denver.

O szóstej piętnaście wieczorem skończyła książkę. Ciekawe, czy Joe doczytał ją do końca? – zastanawiała się. Jest w niej znacznie więcej, niż on zrozumiał. Co ten Abendsen chciał właściwie powiedzieć? Nie chodziło mu o jego wymyślony świat. Czy tylko ja jedna to wiem? Bardzo możliwe, że

nikt inny nie rozumie naprawdę *Szarańczy*, ludziom się tylko wydaje, że ją rozumieją.

Wciąż jeszcze nieco roztrzęsiona schowała książkę do walizki, włożyła płaszcz i wyszła z motelu, żeby zjeść gdzieś obiad. W powietrzu unosił się przyjemny zapach, a światła i reklamy Cheyenne wyglądały jakoś szczególnie wesoło. Przed jakimś barem kłóciły się dwie ładne, czarnookie prostytutki Indianki; zwolniła kroku, żeby popatrzeć. W pobliżu chodnika krążyło wiele lśniących samochodów; cały spektakl otaczała świąteczna atmosfera nadziei, wyczekiwania na jakieś ważne i radosne wydarzenie, nie zaś… oglądania się za siebie, pomyślała, na to, co stęchłe i ponure, zużyte i odrzucone.

W drogiej francuskiej restauracji – gdzie samochody gości parkował pracownik w białej marynarce, na każdym stole płonęła świeca w wielkim pucharze, a masło podawano uformowane w kulki – zjadła ze smakiem obiad, po czym, mając dużo czasu, przespacerowała się do motelu. Niemieckie banknoty kończyły się, ale nie przejmowała się tym; nie miało to znaczenia. On nam powiedział coś o naszym własnym świecie, pomyślała, otwierając w motelu drzwi do pokoju. O tym, który nas otacza. W pokoju włączyła z powrotem radio. Chce, żebyśmy go ujrzeli takim, jaki jest. I ja to widzę, z każdą chwilą coraz wyraźniej.

Wyjąwszy z pudła niebieską włoską suknię, rozłożyła ją ostrożnie na łóżku. Nie pogniotła się; potrzebowała co najwyżej szczotkowania, żeby usunąć pyłki. Kiedy otworzyła pozostałe paczuszki, stwierdziła jednak, że nie zabrała z Denver nowego półbiustonosza.

– Do diabła! – zaklęła, opadając na fotel. Zapaliła papierosa i siedziała przez chwilę, zaciągając się nim.

Może da się to nosić z normalnym stanikiem. Zrzuciła bluzkę i spódnicę i przymierzyła suknię. Widać było ramiączka i górną część stanika, nic

z tego. A może, pomyślała, będę mogła pójść bez stanika… nie robiła tego od lat… przypomniały jej się dawne dni w szkole średniej, kiedy miała bardzo mały biust: martwiło ją to nawet wówczas. Teraz jednak dojrzałość i sport sprawiły, że miała 95 centymetrów w obwodzie. Przymierzyła suknię bez stanika, stojąc na krześle w łazience, żeby się przejrzeć w lustrze nad umywalką.

Suknia prezentowała się oszałamiająco, ale, do licha, było to zbyt ryzykowne. Wystarczyło się schylić, żeby zgasić papierosa albo wziąć napój… i katastrofa.

Broszka! Może nosić suknię bez stanika i spiąć ją z przodu. Wysypawszy na łóżko zawartość swojej szkatułki z biżuterią, rozłożyła broszki, stare, podarowane jej przez Franka lub innych mężczyzn przed tym, jak się pobrali, i nową, którą kupił jej w Denver Joe. Tak, mała srebrna broszka z Meksyku w kształcie konia będzie dobra; przypięła w odpowiednim miejscu. Mimo wszystko może pójść w tej sukni.

Wszystko mnie teraz cieszy, pomyślała. Tyle rzeczy się nie udało; tak niewiele pozostało z cudownych planów.

Poświęciła wiele czasu na szczotkowanie włosów, aż błyszczały i potrzaskiwały, po czym pozostało już tylko wybrać pantofle i klipsy. Potem włożyła nowe futerko, wzięła nową skórzaną torebkę ręcznej roboty i wyszła.

Nie chciała jechać starym studebakerem, poprosiła więc właściciela motelu o przywołanie taksówki. Czekając na nią w jego biurze, poczuła nagle, że musi zatelefonować do Franka. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego ją to naszło, ale fakt pozostawał faktem. Dlaczego nie? – zadała sobie pytanie. Mogła zadzwonić na jego koszt; byłby uszczęśliwiony, że się odezwała, i chętnie by zapłacił.

Stojąc przy biurku, trzymała słuchawkę i z przyjemnością słuchała głosów łączących ją kobiet. Słyszała telefonistkę, która daleko w San Francisco pytała o numer w informacji, potem terkot i trzaski, i wreszcie dzwonek. Czekając na połączenie, rozglądała się jednocześnie za taksówką. Powinna być lada chwila, myślała. Najwyżej zaczeka, to się dość często zdarza.

– Numer nie odpowiada – odezwała się wreszcie telefonistka z Cheyenne. – Zadzwonimy jeszcze za jakiś czas i…

– Nie trzeba – powiedziała Juliana, potrząsając głową. To i tak była tylko fantazja. – Mnie już tu nie będzie. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę – właściciel motelu stał w pobliżu, czuwając, żeby go przypadkiem nie obciążono żadnymi kosztami – i szybko wyszła z biura, postanawiając zaczekać w chłodzie i ciemności na zewnątrz.

Chwilę później Juliana była już w drodze, jadąc wygodnie na tylnym siedzeniu taksówki przez wieczorne Cheyenne do Abendsenów.

Dom Abendsenów był jasno oświetlony, dobiegała z niego muzyka i głosy. Był to parterowy tynkowany dom w sporym ogrodzie z ozdobnymi krzewami i pnącymi różami. Wstępując na ułożoną z kamieni ścieżkę, pomyślała: Czy to naprawdę tutaj? To ma być Wysoki Zamek? A wszystkie plotki i opowieści? Dom był zwyczajny, dobrze utrzymany, otoczenie zadbane. Na długiej betonowej alejce stał nawet trzykołowy dziecięcy rowerek.

Może to nie ci Abendsenowie? Wzięła wprawdzie adres z książki telefonicznej, ale pasował do numeru, pod który dzwoniła poprzedniego wieczoru.

Weszła na ganek z poręczami z kutego żelaza i nacisnęła guzik dzwonka. Przez uchylone drzwi widziała salon, stojących ludzi, białe żaluzje w oknach, fortepian, kominek, półki z książkami… ładnie urządzone, pomyślała. Przyjęcie? Ale ludzie nie byli wieczorowo ubrani.

Chłopiec, potargany, może trzynastoletni, w T-shircie i dżinsach, otworzył drzwi szerzej.

– Czy pan Abendsen jest w domu? Czy jest zajęty? – spytała.

Zwracając się do kogoś w głębi domu, chłopiec zawołał:

– Mamo, ona chce się widzieć z tatą.

Obok chłopca ukazała się kobieta z kasztanowymi włosami, może trzydziestopięcioletnia, z mocnym spojrzeniem szarych oczu i uśmiechem tak pewnym siebie i bezlitosnym, że Juliana wiedziała natychmiast, to jest Caroline Abendsen.

– Dzwoniłam wczoraj wieczorem – powiedziała Juliana.

– Ależ tak, oczywiście. – Pani Abendsen uśmiechnęła się szerzej. Miała piękne, białe zęby: Irlandka, zdecydowała Juliana. Jedynie irlandzka krew mogła nadać taką kobiecość zarysowi szczęki. – Proszę mi dać futro i torebkę. Trafiła pani bardzo dobrze; jest u nas kilkoro przyjaciół. Jaka urocza suknia… to od Cherubiniego, prawda? – Zaprowadziła Julianę przez salon do sypialni, gdzie położyła jej rzeczy obok innych na łóżku. – Mąż jest gdzieś w pobliżu. Niech się pani rozgląda za wysokim mężczyzną w okularach popijającym old-fashioned. – Inteligentny błysk jej oczu przenikał Julianę. Jest między nami tyle zrozumienia, uświadomiła sobie Juliana. Czy to nie zadziwiające?

– Przyjechałam z daleka – powiedziała.

– Tak, to prawda. O, widzę go. – Caroline Abendsen poprowadziła ją z powrotem do salonu, ku grupce mężczyzn.

– Kochanie – powiedziała. – Pozwól tutaj. To jedna z twoich czytelniczek, która bardzo chce z tobą porozmawiać.

Jeden z mężczyzn poruszył się i podszedł ze szklanką w ręku. Juliana ujrzała niezwykle wysokiego człowieka z czarnymi, kręconymi włosami; skórę miał również ciemną, a jego oczy wydawały się fioletowe lub brązowe, bardzo pastelowe za okularami. Miał na sobie nienagannie skrojony, drogi garnitur z naturalnego włókna, zapewne angielskiej wełny; garnitur bez żadnych sztuczek podkreślał jego szerokie, muskularne ramiona; stwierdziła, że wpatruje się w niego zafascynowana.

– Pani Frink jechała aż z Canon City w Kolorado, żeby porozmawiać z tobą o *Szarańczy* – wyjaśniła Caroline.

– Byłam przekonana, że pan mieszka w fortecy – powiedziała Juliana.

Pochylając się, żeby się jej przyjrzeć, Hawthorne Abendsen uśmiechnął się z roztargnieniem.

– Tak było. Ale musieliśmy dostawać się do niej windą i nabawiłem się fobii. Byłem dosyć pijany, kiedy się to zdarzyło, ale tak jak pamiętam i jak mi opowiadają, nie chciałem stać w windzie, bo twierdziłem, że za linę ciągnie Jezus i jedziemy aż do samej góry. A ja uparłem się, że nie będę stał.

Juliana nie rozumiała.

– Hawth powtarzał, odkąd go znam, że kiedy ujrzy Jezusa, nie będzie stał, tylko usiądzie – wyjaśniła Caroline.

Juliana przypomniała sobie słowa hymnu.

– Zrezygnowaliście więc państwo z Wysokiego Zamku i sprowadziliście się z powrotem do miasta.

– Chciałbym zrobić pani coś do picia – powiedział Hawthorne.

– Bardzo proszę, ale nie old-fashioned. – Zdążyła już zauważyć stolik z kilkoma butelkami whisky, zakąskami, szklankami, lodem, mikserem,

wiśniami w syropie i plasterkami pomarańczy. Podeszła tam, Abendsen jej towarzyszył. – Proszę Harpera z lodem – powiedziała. – To mi zawsze smakuje. Czy zna pan wyrocznię?

– Nie – odparł Hawthorne, nalewając jej whisky.

– Nie zna pan Księgi Przemian? – spytała zdumiona.

– Nie, nie znam – powtórzył, podając jej szklankę.

– Nie drocz się z panią – wtrąciła się Caroline.

– Czytałam pańską książkę – powiedziała Juliana. – Prawdę mówiąc, skończyłam ją dziś wieczorem. Skąd pan wiedział to wszystko, o tym innym świecie, który pan opisał?

Hawthorne nie odpowiedział; pocierał zgiętym palcem górną wargę i zmarszczony patrzył gdzieś obok niej.

– Czy korzystał pan z wyroczni? – spytała.

Spojrzał na nią.

– Nie chcę, żeby pan żartował i dowcipkował – powiedziała Juliana. – Proszę mi odpowiedzieć bez silenia się na dowcipy.

Przygryzając wargi, Hawthorne spuścił wzrok i oplótłszy się ramionami, kołysał się na piętach. Stojący w pobliżu umilkli i Juliana zauważyła, że ich nastrój się zmienił. Nie spodobało im się to, co powiedziała. Ale nie próbowała cofnąć swoich słów ani ich tuszować. Sprawa była zbyt ważna. Przebyła zbyt daleką drogę i zrobiła zbyt wiele, żeby przyjąć od niego coś innego niż prawdę.

– Trudno na to odpowiedzieć – odezwał się wreszcie Abendsen.

– Wcale nietrudno – zaprzeczyła Juliana.

Teraz wszyscy obecni ucichli; patrzyli na Julianę stojącą z Abendsenami.

– Niestety – powiedział Abendsen – nie mogę odpowiedzieć tak od razu. Musi pani się z tym pogodzić.

– Dlaczego zatem napisał pan tę książkę? – spytała.

Wskazując ręką ze szklanką, Abendsen powiedział:

– Do czego służy ta broszka przy pani sukni? Ma odstraszać niebezpieczne duchy podziemnego królestwa? Czy tylko trzymać wszystko razem?

– Dlaczego pan zmienia temat? – spytała Juliana. – Unika pan odpowiedzi i robi bezsensowne uwagi. To dziecinne.

– Każdy ma swoje sekrety zawodowe – odparł Hawthorne Abendsen. – Pani ma swoje, ja mam swoje. Czytając moją książkę, powinna ją pani przyjmować taką, jaka jest, tak jak ja przyjmuję to, co widzę. – Ponownie wyciągnął w jej stronę rękę ze szklanką. – Bez wnikania, co jest naprawdę pod spodem, co z tego jest dziełem drutów albo fiszbinów i gąbki. Czyż ten rodzaj wzajemnego zaufania nie leży w naturze ludzkiej i nie spotykamy się z nim codziennie? – Wydawał się teraz drażliwy i podenerwowany, zapomniał o grzeczności, o roli gospodarza. I twarz Caroline, jak zauważyła Juliana kątem oka, przybrała wyraz bolesnego napięcia; wargi miała zaciśnięte, przestała się uśmiechać.

– W swojej książce – powiedziała Juliana – pokazał pan, że jest wyjście. Czy nie o to panu chodziło?

– Wyjście – powtórzył ironicznie.

– Zrobił pan dla mnie bardzo wiele – mówiła Juliana. – Widzę teraz, że nie ma się czego bać, chcieć, nienawidzić albo unikać. Nie ma za czym gonić ani przed czym uciekać.

Przyglądał się jej badawczo, podzwaniając lodem w szklance.

– Według mnie jest na tym świecie wiele rzeczy godnych uwagi – powiedział.

– Dobrze wiem, o czym pan teraz myśli – odparła Juliana. Znała ten wyraz na twarzach mężczyzn, ale w tym wypadku jej to nie przeszkadzało.

Zmieniła się pod tym względem. – W kartotece Gestapo jest zapisane, że pociągają pana kobiety w moim typie.

– Gestapo nie istnieje od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku – powiedział Abendsen z nieznacznym tylko drgnięciem w twarzy.

– No to SD czy jak się to nazywa.

– Czy zechce pani to wyjaśnić? – wtrąciła ostrym głosem Caroline.

– Chcę to wyjaśnić. Przyjechałam z jednym z nich do Denver. Prędzej czy później pokażą się tutaj. Powinniście pojechać gdzieś, gdzie was nie znajdą, a nie prowadzić dom otwarty i wpuszczać każdego z ulicy, tak jak mnie. Kiedy przyjedzie tu następny, nie będzie kogoś takiego jak ja, który by go powstrzymał.

– Powiedziała pani „następny” – odezwał się Abendsen po chwili milczenia. – Co się stało z tym, który przyjechał z panią do Denver? Dlaczego on się tu nie pokazuje?

– Bo poderżnęłam mu gardło – powiedziała Juliana.

– To jest coś. Usłyszeć taką rzecz od kobiety. I to od kobiety, którą się widzi po raz pierwszy w życiu…

– Pan mi nie wierzy?

– Ależ wierzę. – Skinął głową. Uśmiechnął się do niej nieśmiało, łagodnie, wręcz bezbronnie. Widocznie nawet nie przyszło mu do głowy, że to może być nieprawda. – Dziękuję – powiedział.

– Proszę się przed nimi ukryć – dodała.

– Cóż, jak pani wie, próbowaliśmy tego. Czytała pani na okładce książki… o broni i drutach elektrycznych. Kazaliśmy to wydrukować, żeby stworzyć pozory, że nadal jesteśmy bardzo ostrożni. – W jego głosie brzmiało znużenie.

– Mógłbyś przynajmniej nosić przy sobie broń – zauważyła żona. – Wiem, że pewnego dnia ktoś, kogo zaprosisz, zastrzeli cię, gdy będziecie

rozmawiali. Jakiś nazistowski morderca, wysłany, żeby się zemścić. A ty będziesz po swojemu filozofował. Już to widzę.

– Zawsze mogą człowieka załatwić, jeżeli tylko chcą – powiedział Abendsen. – Mimo drutów elektrycznych i Wysokich Zamków.

Jesteś fatalistą, pomyślała Juliana. Człowiekiem pogodzonym ze śmiercią. Czy znasz ją tak samo, jak poznałeś świat ze swojej książki?

– Pańską książkę napisała wyrocznia, czy nie tak? – powiedziała Juliana.

– Chce pani znać prawdę?

– Chcę i mam do tego prawo po tym, co zrobiłam. Czy nie tak? Pan wie, że tak jest.

– Wyrocznia – odrzekł Abendsen – spała smacznie przez cały czas, gdy pisałem tę książkę. Spała smacznie w kącie gabinetu. – Jego oczy nie zdradzały rozbawienia; wprost przeciwnie, twarz miał jakby dłuższą, poważniejszą.

– Powiedz jej – wtrąciła się Caroline. – Ona ma rację, ma prawo wiedzieć po tym, co dla ciebie zrobiła. Dobrze, ja pani powiem – zwróciła się do Juliany. – Hawth przeprowadzał próby, tysiące prób, za pomocą linii. Okres historyczny. Temat. Postacie. Akcja. Zajęło to kilka lat. Zapytał nawet wyroczni, jakie powodzenie będzie miała książka. Powiedziała mu, że odniesie olbrzymi sukces, pierwszy prawdziwy sukces w jego karierze. Miała więc pani rację. Musi pani sama często korzystać z wyroczni, skoro pani odgadła.

– Zastanawiam się, dlaczego wyrocznia chciała napisać powieść – powiedziała Juliana. – Czy pomyśleli państwo, żeby ją o to spytać? I dlaczego o tym, że Niemcy i Japonia przegrały wojnę? Dlaczego właśnie taką historię, a nie jakąś inną? Co to jest, czego nie może nam powiedzieć wprost, jak to zwykle robi? To musi być coś niezwykłego, nie sądzicie państwo?

Hawthorne i Caroline milczeli.

– Wyrocznia i ja – odezwał się wreszcie Abendsen – dawno temu uzgodniliśmy sprawę honorariów. Jeżeli spytam ją teraz, dlaczego napisała *Szarańczę*, będę musiał oddać jej swoją część. Takie pytanie oznaczałoby, że moja praca ograniczyła się do pisania na maszynie, a to nie byłoby ani zgodne z prawdą, ani uczciwe.

– Ja spytam – powiedziała Caroline. – Jeżeli ty nie chcesz.

– To nie jest twoje pytanie – zaprotestował Abendsen. – Niech ona spyta. – A do Juliany powiedział: – Pani ma… niezwykły umysł. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę?

– Gdzie jest pana egzemplarz wyroczni? – spytała Juliana. – Mój został w samochodzie, w motelu. Pojadę po niego, jeżeli nie pozwoli mi pan skorzystać ze swojego.

Abendsen odwrócił się. Juliana i Caroline poszły za nim przez pokój pełen ludzi do zamkniętych drzwi. Abendsen wszedł, a one zostały przed drzwiami. Kiedy wrócił, wszyscy ujrzeli dwa czarno oprawne tomy.

– Nie używam łodyg krwawnika – wyjaśnił Julianie. – Nie umiem nimi operować, stale mi wypadają z ręki.

Juliana usiadła przy niskim stoliku w kącie.

– Potrzebny mi jest papier do pisania i ołówek – powiedziała.

Ktoś podał jej kartkę i ołówek. Goście zbliżyli się, tworząc krąg wokół niej i Abendsenów, żeby widzieć i słyszeć.

– Może pani zadać pytanie na głos – rzekł Hawthorne. – Nie mamy w tym gronie tajemnic.

– Wyrocznio, dlaczego napisałaś *Utyje szarańcza*? Czego miało to nas nauczyć? – spytała Juliana.

– Sformułowała pani pytanie w sposób irytująco przesądzający sprawę – zauważył Hawthorne, ale przykucnął, żeby obserwować rzucanie monet. –

Niech pani zaczyna – dodał, podsuwając jej trzy chińskie brązowe monety z dziurkami w środku. – Ja zwykle używam tych.

Zaczęła rzucać monety, czuła spokój i pewność. Hawthorne zapisywał kolejne linie. Kiedy rzuciła monetami sześć razy, spojrzał na zapis i powiedział:

– Słońce na górze. *Tui* na dole. Pusto w środku.

– Wie pan, który to heksagram, bez zaglądania do tabeli? – spytała.

– Tak, wiem.

– To jest *Chung Fu* – powiedziała Juliana. – Wewnętrzna Prawda. Ja też wiem bez zaglądania do tabeli. I wiem, co to znaczy.

Abendsen wpatrywał się w nią, uniósłszy głowę. Miał teraz prawie dziki wyraz twarzy.

– To znaczy, że moja książka mówi prawdę, czy tak? – spytał.

– Tak.

– A Niemcy i Japonia przegrały wojnę? – powiedział ze złością.

– Tak.

Abendsen bez słowa wstał i zatrzasnął oba tomy wyroczni.

– Nawet pan nie chce spojrzeć prawdzie w oczy – stwierdziła Juliana.

Zastanawiał się. Jego spojrzenie stało się puste. Zwrócone do wewnątrz, zrozumiała Juliana. Pochłonęły go własne myśli… po chwili oczy zajaśniały mu znowu; chrząknął, poruszył się.

– Nie jestem pewien niczego – powiedział.

– Niech pan uwierzy – nalegała Juliana.

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie może pan? Jest pan pewien?

– Czy chce pani, żebym pani podpisał egzemplarz książki? – spytał Hawthorne Abendsen.

Juliana też się podniosła.

– Myślę, że już pójdę – powiedziała. – Bardzo panu dziękuję. Przepraszam, jeżeli popsułam państwu wieczór. To miło, że mnie państwo przyjęli.

Wyminąwszy Abendsena i jego żonę, utorowała sobie drogę przez krąg gości i przeszła z salonu do sypialni, gdzie było jej futro i torebka.

Kiedy się ubierała, pojawił się za nią Hawthorne.

– Czy pani wie, kim pani jest? – Zwrócił się następnie do stojącej obok niego Caroline. – Ta dziewczyna jest demonem. Małym chtonicznym duszkiem, który… – uniósł rękę i potarł czoło, zawadzając przy tym o okulary – …krąży niezmordowanie nad ziemią. – Poprawił okulary. – Ona postępuje zawsze zgodnie z instynktem, po prostu jest sobą. Nie miała zamiaru przyjść tutaj i narobić szkody. To po prostu jej się przytrafiło, tak jak nam przytrafiła się pogoda. Cieszę się, że przyszła. Nie żałuję, że poznałem to jej objawienie, którego doznała dzięki książce. Ona sama nie wiedziała, co tu zrobi i czego się dowie. Myślę, że wszyscy mamy szczęście, więc nie gniewajmy się, zgoda?

– Ona ma straszliwą zdolność burzenia wszystkiego – powiedziała Caroline.

– Podobnie jak rzeczywistość – dodał Hawthorne. Wyciągnął do Juliany rękę. – Dziękuję za to, co pani zrobiła w Denver.

– Dobranoc – powiedziała, podając mu dłoń. – Niech pan zrobi tak, jak panu radzi żona. Niech pan przynajmniej nosi rewolwer.

– Nie – odparł. – Przemyślałem to dawno temu i postanowiłem się nie przejmować. Zawsze mogę wesprzeć się wyrocznią. Kiedy poczuję lęk, zwłaszcza w nocy. To pomaga w takich sytuacjach. – Uśmiechnął się z lekka. – Prawdę mówiąc, niepokoi mnie tylko to, że cała ta słuchająca nas gromada darmozjadów wypija mi alkohol, a ja tu stoję i gadam.

Odwróciwszy się, podszedł do barku, żeby dorzucić sobie lodu do drinka.

– Co pani teraz zrobi, kiedy skończyła już pani z tym tutaj? – spytała Caroline.

– Nie wiem. – Nie zastanawiała się nad tym. Muszę być trochę taka jak on, pomyślała. Nie przejmuję się pewnymi sprawami, nawet jeżeli są to sprawy bardzo ważne. – Może wrócę do męża. Próbowałam dzwonić do niego dziś wieczorem, może zadzwonię jeszcze raz. Zobaczę później.

– Mimo tego, co pani dla nas zrobiła, albo co pani mówi, że zrobiła…

– Wolałaby pani, żeby moja noga nie stanęła w tym domu – powiedziała Juliana.

– To okropne z mojej strony, jeżeli pani uratowała życie mężowi, ale jestem taka wzburzona. Nie mieści mi się wprost w głowie to, co pani mówiła, i to, co mówił Hawthorne.

– To dziwne. Nigdy bym nie pomyślała, że prawda może rozgniewać. – Prawda, pomyślała. Straszna jak śmierć. Ale trudniej ją znaleźć. Ja miałam szczęście. – Myślałam, że będziecie zadowoleni i podnieceni tak jak i ja. Pomyliłam się, prawda? – Uśmiechnęła się i po chwili pani Abendsen również zdobyła się na uśmiech. – No cóż, dobranoc.

Chwilę później Juliana szła z powrotem po kamiennej ścieżce, przez plamy światła z okien salonu, potem przez cień ogródka, do chodnika.

Szła, nie oglądając się już na dom Abendsenów, wypatrując w uliczkach taksówki lub innego samochodu, ruchu, światła, życia.

Podziękowania autora

W powieści tej wykorzystano i cytowano wersję *I-cing*, czyli Księgi Przemian, przetłumaczoną przez Richarda Wilhelma, którą oddał w języku angielskim Cary F. Baynes, opublikowaną przez Pantheon Books, Bollingen Series XIX, Nowy Jork 1950.

Haiku, które napisał Yosa Buson, a przetłumaczył Harold G. Henderson, zaczerpnięto z *Anthology of Japanese Literature* (Antologia literatury japońskiej), tom I, zebrał i opracował Donald Keene, Grove Press, Nowy Jork 1955.

Waka napisał Chiyo, a przetłumaczył Daisetz T. Suzuki; zaczerpnięte z *Zen and Japanese Culture* (Zen i kultura japońska), wyd. Pantheon Books, Bollingen Series LXIV, Nowy Jork 1959.

Wykorzystałem w dużej mierze *The Rise and the Fall of Third Reich, A History of Nazi Germany* (Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy. Historia nazistowskich Niemiec) Williama L. Shirera, wyd. Simon & Schuster, Nowy Jork 1960; *Hitler, a Study in Tyranny* (Hitler, studium tyranii) Alana Bullocka, wyd. Harper, Nowy Jork 1953; *The Goebbels Diaries, 1942–1943* (Dzienniki Goebbelsa 1942–1943), zredagował i przetłumaczył Louis P. Lochner, wyd. Doubleday & Company, Inc., Nowy Jork 1948; *The Tibetan Book of the Dead* (Tybetańska Księga Umarłych), zebrał

i zredagował W. Y. Evans-Wentz, wyd. Oxford University Press, Nowy Jork 1960; *The Foxes of the Desert* (Lisy pustyni) Paula Carella, wyd. E. P. Dutton & Company, Inc., Nowy Jork 1961.

Winien jestem osobiste podziękowania pisarzowi Willowi Cookowi za jego pomoc w uporządkowaniu materiału zgodnie z historią wytworów ręki ludzkiej i dziejami amerykańskiego osadnictwa na Dzikim Zachodzie.

PHILIP K. DICK urodził się w 1928 r. w Chicago, lecz większą część życia spędził w Kalifornii. Krótko był studentem Uniwersytetu Kalifornijskiego. Prowadził sklep z płytami i stację radiową. Przeszedł też doświadczenia z narkotykami, które wykorzystywał w swej twórczości. Zmarł w 1982 r. Wydał 36 powieści, z których wiele weszło na stałe do kanonu literatury SF. Był też autorem kilku powieści realistycznych, osadzonych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. O większości jego rówieśników uhonorowanych nagrodą Pulitzera czy literacką Nagrodą Nobla niewielu już pamięta, on zaś ma coraz liczniejsze grono wielbicieli, a o jego książkach pisze się doktoraty…
Dom Wydawniczy REBIS wydał m.in.: *Ubik*, *Blade runner*, *Valis*, *Człowiek z Wysokiego Zamku*, *Trzy stygmaty Palmera Eldritcha* czy *Doktor Bluthgeld*.

WOJCIECH SIUDMAK – polski malarz. Urodził się w 1942 r. w Wieluniu. Od lat mieszka i tworzy we Francji. Czołowy reprezentant realizmu fantastycznego. Prace wystawiał m.in. we Francji, Niemczech, Anglii, Szwajcarii, Kanadzie i USA. Jest autorem rysunków do cyklu science fiction „Kroniki Diuny”, które wydał Dom Wydawniczy REBIS. Z jego inicjatywy została utworzona Fundacja Arkana XXI w celu realizacji Światowego Projektu Pokoju „Wieczna Miłość”. Honorowy Obywatel Miasta Wielunia i Ozoir-la-Ferrière. Otrzymał Order Zasługi RP.

Tytuł oryginału: *The Man in the High Castle*

Copyright © 1962 by Philip K. Dick
Copyright renewed 1990 by Laura Coelho, Christopher Dick and Isa Dick
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Copyright © for the Polish translation by Lech Jęczmyk

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor serii: Radosław Kot

Redaktor tego wydania: Grzegorz Dziamski

Copyright © 2011 for the illustrations by Wojciech Siudmak

Grafiki: Wojciech Siudmak

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Człowiek z Wysokiego Zamku, wyd. V, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-127-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: KALADAN, www.kaladan.pl

Powieść wyróżniona prestiżową nagrodą Hugo, najczęściej tłumaczona książka Philipa K. Dicka, którą napisał, radząc się… *I-cing*, Księgi Przemian.

„Nieszczęścia, jakie wyrządza wojna ludności miast, granicom i państwom, opisują bataliści; zagrywkami polityków zajmują się stratedzy; zmagania wodzów analizują specjaliści od logistyki, rodzajów broni, gospodarki i szyfrów… Dicka interesowało to, co się wyprawia z duszami. Toteż odwracając w tej książce znane wszystkim losy wojny, pokazał historię jako udrękę, pułapkę, niezrozumiały spektakl wprawiający w przerażenie, wobec którego pozostajemy bezradni. Chyba że ocalejemy, że odzyskamy równowagę w wyniku kaprysu losu. Który czasem odpowiada na nasze starania, na modlitwy, tęsknoty".

z przedmowy Macieja Parowskiego

REBIS

www.rebis.com.pl